

Cookson Catherine

Obsesja

W małym angielskim miasteczku życie toczy się sennie i powoli. Młody lekarz John, który rozpoczyna tu praktykę, wie, że wszyscy mieszkańcy mają wprawdzie mroczne tajemnice, ale starannie dbają o swój wizerunek w oczach sąsiadów. Rodzina Penrose Steel nie różni się pod tym względem od innych. Mury wielkiego, pięknego domu strzegą sekretów, które ujawnia dopiero śmierć ojca. Córki chcą jak najszybciej opuścić rodzinne gniazdo, a najlepszym na to sposobem jest wyjście za mąż. Najstarsza z sióstr, Beatrice, przeżywa chwile triumfu. Teraz ona jest panią w rodzinnym domu. To jednak najwyraźniej jej nie wystarcza. Podstępem i manipulacją wpływa na życie innych. Bo najważniejszy jest DOM.

Część pierwsza

PRZYJĘCIE W OGRODZIE

Rozdział pierwszy

Szedł pod górę długą aleją wiodącą do dworu, wysadzaną po obydwu stronach sosnami, które rosły tak gęsto, że tłumiły dochodzące spoza nich odgłosy.

Zbliżanie się do końca alei przypominało wynurzenie się z ciemnego tunelu. Okoliczna roślinność wyjaśniała nazwę Sosnowego Wzgórza. Widział je teraz po raz pierwszy, ponieważ stanowiło rewir jego wspólnika. Budynek dworu był długi, lecz nie za niski. Spojrzał w prawo i ujrzał coś, co wyglądało na dobudowany na końcu skrzydła domek, o oknach - tak jak wszystkie pozostałe - złożonych z licznych kwadratowych szybek. Na froncie głównego budynku znajdował się taras, z którego płaskie schody poprzez wysypany żwirem plac wiodły na obszerny trawnik.

Dwór wyglądał przepięknie od podnóża schodów aż do ozdobnych kominów, których - jak zauważył - było całkiem sporo, a więc gmaszysko musiało być jeszcze większe, niż to się wydawało z zewnątrz. Dochodzące spoza odległego narożnika rzenie konia zdradzało, że właśnie tam znajdują się stajnie. Odwrócił się od domu i spojrzał na miejsce, gdzie dwa krzewy, świeżo przycięte w kształcie lwów, pilnowały niskich kolumn, za którymi cztery stopnie wiodły nie - jak można by oczekiwać - do ogrodu różanego, lecz na duży trawnik, gdzie

Catherine Cookson

pod wielkimi parasolami ustawiono stoły. Kilka osób siedziało już przy stołach, jednak większość spacerowała w ich pobliżu. Poprawił trzymaną pod ramieniem małą paczuszkę i przypomniał sobie, że to nie było tylko zwyczajne ogrodowe przyjęcie, ale uroczystość z okazji dwudziestych pierwszych urodzin panny Beatrice Penrose-Steel.

Spostrzegł, że od jednej z grup odrywa się jakiś mężczyzna i zmierza w jego kierunku. Pomyślał, że to zapewne „Pan na włościach” - jak określił go stary Cornwallis, nie dający się porównać z jego ojcem, niedawno zmarłym pułkownikiem.

- A więc znalazł nas pan - powitał go Simon Steel. - Jakże się miewa doktor Cornwallis?

- Niestety, dzisiaj nie czuje się zbyt dobrze. Bardzo boli go noga.

- Chyba nie grozi mu artretyzm, prawda?

- Nie.

- No cóż, chodźmy. Poznam pana z moją córką. Poprowadzono go do stolika, przy którym siedziała młoda

kobieta. Natychmiast spostrzegł podobieństwo między ojcem i córką: oboje mieli taką samą karnację, takie same jasno-brązowe włosy, szare oczy, identycznego kształtu usta - szerokie, lecz o cienkich wargach. Różniły ich jedynie nosy: on miał orli, a ona lekko zadarty.

- Kochanie, to jest doktor Falconer, zastępca doktora Cornwallisa.

John Falconer rzucił gospodarzowi niemiłe spojrzenie. Chciał przywołać go do porządku i powiedzieć: „Wspólnik”, bo przecież tamten wiedział, że teraz on i Cornwallis byli partnerami.

- Dzień dobry. Pozwolę sobie złożyć pani najlepsze życzenia urodzinowe.

- Dziękuję. - Miała delikatny głos. Uśmiechnęła się szeroko.

Wręczył jej paczuszkę.

OBSESJA

- Muszę panią poinformować - powiedział ze śmiechem - że to nie ja wybrałem ten upominek. Doktor Cornwallis powiedział, że pani przepada za czekoladkami.

- Zgadza się. Bardzo panu dziękuję. - Po chwili, gdy do stolika podeszły dwie młode kobiety, wstała. - To moje siostry. - Wskazała jedną z nich. - To jest Helena... Doktor Falconer.

Spojrzał na dziewczynę o połyskujących, brązowych włosach i ciemnych oczach. Jej skóra przypominała alabaster, a usta miała pełne i szerokie. Była niemal tak wysoka jak on, a przecież mierzył ponad sto osiemdziesiąt centymetrów, więc ona musiała mieć przynajmniej metr siedemdziesiąt pięć. Jakże śliczną miała figurę... Była piękna. Inaczej niż jej siostra.

- A to jest Marion - powiedziała Beatrice odwracając jego uwagę od Heleny.

Marion również była wysoka, lecz miała bardzo jasne włosy - ładna, jednak nie piękna. Rysy jej twarzy były łagodne, chociaż w oczach pojawił się żywszy błysk, gdy odezwała się:

- Zapewne zastępuje pan doktora z powodu jego chorej nogi... a nie artretyzmu. Tylko nie artretyzm - dodała figlarnie, potrząsając głową.

Wykonując podobny ruch odpowiedział jej ze śmiechem w taki sam sposób:

- Tylko nie artretyzm. Proszę nie wypowiadać tego słowa.

- To powinna być dla pana lekcja, doktorze, że trzeba unikać pewnych rzeczy.

- Tak jest. Ta pierwsza lekcja już za mną, panno... Marion. RoześmieK się wszyscy.

- Heleno, przyjechał Leonard - odezwała się nagle Beatrice.

- Ojej! - zawołała Helena i pospiesznie ruszyła w kierunku wysokiego mężczyzny w średnim wieku, który stał u szczytu schodów.

- Co do mnie - rzekła Marion - lepiej pójdę zaopiekować się naszym dzielnym wojskiem.

Catherine Cöokson

John Falconer stał przez chwilę zdezorientowany.

- Ona ma adoratora - powiedziała trochę sztucznie Beatrice - który, podobnie jak adorator Heleny, jest żołnierzem. Przykro mi, że w tym momencie nie mogę oprowadzić pana... ale jest tu Rosie. Ona pana oprowadzi. To moja najmłodsza siostra w każdym calu. Rosie! - zawołała do dziewczyny, która właśnie pobiegła w stronę jednej z grup śmiejących się młodych ludzi. Tamta odwróciła się i skręciła w ich kierunku. - Słucham, Beatrice?

- To jest doktor Falconer. Czy zechciałabyś oprowadzić go i przedstawić innym gościom?

- Ależ oczywiście. - Spojrzała na Johna. - Widziałam już pana w_K miasteczku. Pan pracuje u doktora Cornwallisa, prawda? - Jestem jego współnikiem.

- Wspólnikiem? Przepraszam bardzo. Myślałam, że jest pan po prostu jednym z tych, jak to się ich nazywa? zastępców?

- Rosie! - odezwała się surowo Beatrice. - Zachowuj się! W odpowiedzi Rosie uśmiechnęła się szeroko do Johna i odparła:

- Chodźmy. Bardzo szybko przyzwyczai się pan do nas wszystkich.

- Nie wątpię. - Skinął głową. Była bardzo ładna, miała nie więcej niż szesnaście, siedemnaście lat. Rozpierała ją energia, była pełna życia, co uwidaczniało się w każdym jej kroku, w każdym wypowiedzianym słowie.

Gdy mijali schodki, po których szła jej wysoka, piękna siostra z bardzo przystojnym mężczyzną o miłej twarzy, Rosie szepnęła mu do ucha:

- To jej przyszłość. Pobiorą się. On jest trochę starszawy, ale cudowny.

- Co takiego? - spytał gwałtownie.

- Powiedziałam, że oni się pobiorą i że on...

- Ale przecież ona jest bardzo młoda - przerwał jej szybko.

OBSESJA

- Wcale nie. Ma już dwadzieścia lat. Oczywiście, tak jak mówiłam, on jest sporo starszy. Ma chyba czterdziestkę, więc jest dość stary, ale bardzo fajny. Ja mam prawie osiemnaście lat i też chętnie wyszłabym za niego. - Roześmiała się wesoło. Pokręcił głową, jakby była niegrzecznym dzieckiem.

- No cóż, nigdy bym w to nie uwierzył. Powiedziałbym, że ma ze dwadzieścia cztery lata.

Zerknęła na niego z rozbawieniem i powiedziała:

- No więc to jest ogród różany, ale pan jako lekarz i inteligentny człowiek na pewno już się tego domyślił. - Zaśmiała się znowu wesołym, dziewczęcym śmiechem.

- A tu są nasze ozdobnie strzyżone krzewy i drzewa. Nie lubię, gdy drzewom obcina się gałęzie i obciosowuje pnie. A pan?

Zastanowił się przez chwilę:

- Ja też nie. Wyglądają groteskowo i nienaturalnie.

- Tak jest. Właśnie tak. Podskakując pobiegła przodem.

- A to, proszę pana, jest sosnowy las. Niech pan zwróci uwagę, że zewsząd otaczają pana sosny.

Uśmiechnął się. O ile znał się na ludzkich charakterach, z tej dziewczyny był istny diabełek. Każda z tych trzech siostr była inna. Znowu pomyślał o pięknej dziewczynie, która zamierzała wyjść za mąż za mężczyznę dwa razy starszego od siebie. Nie pamiętał, żeby kiedykolwiek widział kogoś takiego jak ona. Wyszli z lasu na łąkę, która ciągnęła się aż do rzeki, gdy wtem John zatrzymał się na widok bardzo wysokiego muru. Spojrzał w prawo, lecz tam nie widać było początku budowli, ponieważ ginęła pośród drzew. Z drugiej strony mur kończył się na brzegu rzeki. Rosie szła obok niego, więc spojrzał na nią i powiedział: - Bardzo wysoki mur. - Tak. Kiedyś był tu kuchenny ogród, ale wówczas ogro-

Catherine Cookson

dzenie nie było aż tak wysokie. Teraz jest chyba z pół metra wyższe.

- Dlaczego?

- Och, panie doktorze... to... to bardzo długa historia.

- Lubię długie historie. Chciałbym ją usłyszeć.

- Naprawdę?

Objęła ramieniem młode drzewo i John pomyślał, że okręci się wokół niego, lecz ona tylko przytuliła twarz do pnia.

- Nazywam ten mur „Ścianą Płaczu”, podobnie jak tę, którą Żydzi mają w Jerozolimie, czy gdziekolwiek ona jest. Uśmiechnął się.

- Tak, gdziekolwiek ona jest.

- Nigdy nie byłam dobra z geografii. W każdym razie to było ogrodzenie naszego kuchennego ogrodu, który miał jakieś dwadzieścia pięć hektarów.

- Całe dwadzieścia pięć hektarów?

- Tak, ale tylko do czasu, aż ta część została odcięta. Wszystko zaczęło się od mojego dziadka. Wie pan, on był wojskowym, lecz mimo to cudownym człowiekiem. - Wciąż się uśmiechała, lecz w jej głosie zabrzmiała nutka smutku. - Tak, to był jeszcze jeden cudowny mężczyzna. Babcia też była cudowna. Dziadek ciągle pokrzykiwał, a babcia groziła mu palcem, o, tak. - Pomachała wskazującym palcem. -1 wtedy on robił się łagodny niczym baranek, a ona mówiła: „Wilk znowu wyje”. Dziadek odpowiadał rozdrażniony: „Nie jestem wilkiem. Nie jestem”. A babcia często mówiła z uśmiechem: „To pewnie jakiś pies szczeka”. Czasem on wrzeszczał: „Needler to głupiec”. Zawsze był Needler albo Oldham albo Connor. Wtedy babcia drażniła go mówiąc: „Z pewnością to nie był James Macintosh”. Wie pan, dziadek bardzo lubił Jamesa Macintosha. - Skinęła głową w kierunku ściany.

- Robbie to jego syn. Niczego jeszcze nie rozumiał, lecz wiedział, że zaraz dowie się całej reszty.

OBSESJA

Poszli dalej.

- Dziadek był podpułkownikiem czy pułkownikiem, sama nie wiem, i miał ordynansa, który nazywał się Jamie Macintosh. Byli razem w Indiach, gdzie Jamie po raz pierwszy uratował dziadkowi życie w jakiejś niedużej bitwie. Dziadek znalazł się w bardzo ciężkiej sytuacji, był osaczony przez wroga, a ten odważny Szkot - uśmiechając się do niego zaczęła mówić ze szkockim akcentem - przebił się do niego. Myślę, że skoro był podobny do dziadka, to musiał strasznie wrzeszczeć, no i pewnie wystraszył tamtych na śmierć, bo uciekli w popłochu. W ten sposób uratował dziadka. Obaj zostali ranni, lecz to Jamie zabrał go stamtąd. Za drugim razem sytuacja była znacznie groźniejsza. Jamie Macintosh był wtedy sierżantem i nie stało się to w Indiach, lecz w jakimś innym dzikim kraju. Dziadek dowodził, zdaje mi się, kompanią, która musiała się wycofać z linii. - Odwróciła się z promienną twarzą i dodała ze śmiechem: - Zawsze mówią, że Brytyjczycy atakują, a nie uciekają, prawda?

Przygryzł wargę, lecz nie odezwał się.

- No więc podczas tego odwrotu - podjęła opowieść - Ghurkowie, czy jak tam oni się nazywają... Po czyjej stronie walczyli Ghurkowie?

- Zależy, kiedy to się działo.

- Wszystko jedno. W każdym razie postrzelili dziadka w nogę i myśląc, że nie żyje, poszli dalej. Ale wspaniały Jamie Macintosh - znowu wróciła do szkockiego akcentu - co robi? Wraca nocą na pole bitwy i wyciąga mojego dziadka. Tymczasem tamci czekali w ukryciu i odstrzelili Jamiemu ramię.

- Naprawdę? - spytał otwierając szeroko oczy.

- Tak, naprawdę, od tego miejsca. - Przytknęła palec nieco powyżej łokcia. - Miał protezę zakończoną hakiem, którym potrafił robić mnóstwo rzeczy. Potem Jamie został odznaczony, był z niego prawdziwy bohater. Dziadek wcale nie stracił

Catherine Cookson

nogi, tyle że musiał chodzić o lasce. A Jamie Macintosh, cóż, dziwne, że nie wyrosła mu nowa ręka. No więc mieliśmy ten wspaniały ogród kuchenny otoczony wysokim murem, który sięgał do samej rzeki. Ogrodnik mówił, że to najlepsza ziemia w całym majątku. Po nasłonecznionej stronie muru rosły piękne drzewa owocowe, ziemia rodziła wspaniałe warzywa. U szczytu tego kawałka ziemi stała chata. Może nawet trochę więcej niż chata, raczej dom, bo było tam osiem pokoi, pracownię, więc to trochę za dużo jak na chatkę, prawda? - Kiwnął w odpowiedzi głową. - Od pewnego czasu domek stał pusty, więc dziadek wyremontował go i oddał Jamiemu. Co więcej, musiał to zrobić w tajemnicy. Oczywiście babcia i tak o wszystkim wiedziała, ale nie mój ojciec. Miał wtedy dziewiętnaście lat i bardzo interesowała go każda piędź rodzinnej ziemi. Zresztą tak jest do dzisiaj. Ale wtedy dziadek oddał Jamiemu cały teren za murem. Było tego ze cztery hektary uprawnej ziemi i podwórko za domem na żywy inwentarz, dwie łąki, po których można było jeździć konno, a także parę owiec. Wszyscy zgodnie twierdzili, że to najlepsza ziemia w całym majątku, bo rosło tam wiele sosen, a ich korzenie wzruszały ziemię. Musieli zaorać ziemię po tej stronie muru i założyć nowy ogród warzywny. Niegdyś rosły tu kwiaty, stały szklarnie i cieplarnie z winoroślami, wzniesione wielkim nakładem pracy. Ojciec był wściekły, ale nie mógł nic zrobić, bo dziadek przekazał to... eee - zająknęła się i dokończyła pytająco - aktem darowizny?

- Tak jest. Można przekazać coś komuś aktem darowizny .

- No więc to właśnie zrobił. Wtedy zaczęły się kłopoty, które po śmierci dziadka przerodziły się w wojnę. Mur biegnie do samej wody, a dziadek wkładał swoje długie rybaczkę i brodził w rzece z wędką, zachodząc na drugą stronę muru. To było łatwe, sama to robiłam. Wejście na teren było możliwe jeszcze tylko przez bramę od strony drogi. Dla dziadka była to dłuższa wyprawa. Gdy byłam jeszcze bardzo

OBSESJA

mała, brał mnie za rękę i razem szliśmy do Robbiego. A, zapomniałam panu powiedzieć, że Jamie ożenił się z Anną, która wydała na świat Robbiego. Kiedy się urodziłam, miał dziesięć lat. Byłam najmłodsza w rodzinie. Pani Anna robi wspaniałe naleśniki, które smaruje masłem i miodem. Oczywiście obżerałam się bez pamięci, a potem chorowałam i zawsze były z tego powodu kłopoty. Pamiętam, że chodziłam tam już od trzeciego roku życia. Robbie miał wtedy trzynaście, może dwanaście lat, a ja chodziłam za nim wszędzie jak kurczak za kwoką. Wydawał mi się stary, dorosły. Zdarzało się, że Mary May i Henrietta, to były dwie krowy, przechodziły na drugą stronę muru, włączyły do ogrodu i zjadały rośliny. Jejku, co to się wtedy działo! Więc żeby nie zaognić sytuacji, dziadek zbudował przegrodę z palików i drutu, która stanowiła jakby przedłużenie muru w głąb rzeki. To, oczywiście, utrudniało przejście, ale Mary May udawało się omijać tę przeszkodę. Potem ocieliła się i ciągnęła za sobą małą Mary May. - Zamilkła i wpatrywała się w ścianę. Gdy ponownie zaczęła mówić, w jej głosie zabrzmiał smutek. - To były wspaniałe, piękne dni. Nawet gdy padał śnieg albo deszcz, wydawało się, że świeci słońce, bo na miejscu byli dziadek i babcia. Cudowni ludzie. I wtem, dwa lata temu, wszystko wydarzyło się jakby jednocześnie. - Odwróciła się do niego i spojrzała mu prosto w oczy. - Nagle, zupełnie nieoczekiwanie, zmarła babcia. Dziadek siedział obejmując ją ramieniem, a ona po prostu umarła. Dwa miesiące później śmierć przyszła także po niego: nie mógł bez niej żyć. Od dnia jej śmierci ani razu nie wszedł do rzeki. Czasami chodził aż do drogi, a stamtąd bramą do domu Robbiego, bo Jamie zmarł poprzedniego roku i dziadkowi bardzo go brakowało. Ale Robbie wspaniale go zastępował i słuchał wszystkich opowieści dziadka o ich wojennych przygodach, o bohaterstwie i odwadze swojego ojca. A potem, po kolejnych trzech miesiącach, zmarła mama. Wszyscy odeszli w ciągu tego jednego roku, dwa lata temu.

Catherine Cookson

Od tego czasu wszystko się zmieniło. - Spojrzała na swoje stopy. - Ani babcia, ani dziadek nie chcieli umierać. Razem byli tacy szczęśliwi. Ale mama czekała na śmierć. Tak właśnie. Chciała umrzeć. - Gwałtownym ruchem uniosła głowę i dodała szeptem: - Chyba nie powinnam była tego mówić, prawda? - Dlaczego? To leżało ci na sercu, a ja jestem przecież lekarzem, więc niemal tym samym, co ksiądz. - Tak? - spytała.

- Dlaczego teraz wszystko się zmieniło?

Ruszyła przed siebie, a on poszedł za nią pozostając pół kroku w tyle.

- Teraz rządzi Beatrice, to ona jest głową rodziny. Ona uwielbia ten dom, chlubi się nim. Nikt z nas nie ma tyle uczucia dla naszego domu, co ona i ojciec. Jest do niego bardzo podobna. A między ojcem a Robbiem trwa wojna. Jeśli podejdzie pan tam, zobaczy pan, co mam na myśli... tam nad wodę.

Poszli wzdłuż ściany i gdy zbliżali się do rzeki, Rosie krzyknęła nagle:

- Nie! Tylko nie to! Mary May!

Krowa przechodziła właśnie na drugą stronę ogrodzenia.

Przyglądał się, jak dziewczyna siada na trawie, zdejmując pantofle i jakby nieświadoma jego obecności podciąga spódnicę, po czym ściąga podwiązki i pończochy. Sznurowadła butów związuje razem, zawiesza je sobie na szyi i rusza pędem do wody.

- Jeśli chce pan przyjść, niech pan ściągnie buty! - zawołała biegnąc.

- Raczej przejdę przez mur - odkrzyknął.

- Potrafi pan?

- Oczywiście. Umiem się wspinać.

Patrzył teraz, jak dziewczyna chwytła krowę za ucho i odwraca ją w drugą stronę. Woda sięgała jej powyżej kolan mocząc bieliznę i coś, co wyglądało na falbanki od reform. Cały czas mówiła coś do krowy i co chwilę krzyczała:

OBSESJA

- Robbie! Robbie!

Obejrzał mur, z którego gdzieniegdzie sterczały chropowate kamienie. Zbliżył się do jednego z nich i podciągnął na taką wysokość, że udało mu się chwycić górną krawędź ściany. Stamtąd ujrzał znajdujący się dokładnie pod nim chlewik, z którego przyglądał mu się zdziwiony wieprz. Gdy skierował wzrok wzdłuż ścieżki, zobaczył nadbiegającego młodego mężczyznę.

- Podciągnij się na prawo! Tam jest drabina. Spoglądając we wskazanym kierunku, cał po calu przesuwiał

się w niewygodnej pozycji po nierównej ścianie, aż dotarł do rosnących przy niej, rozpiętych na kracie jabłoni. Wtedy zobaczył drabinę.

Nim zdążył opuścić się na ziemię, młodzieniec odbierał już krowę od Rosie ze słowami:

- Trzeba ją było tam zostawić.

- I pozwolić, żeby ojciec ją zastrzelił? Wiesz, że by to zrobił. Jak amen w pacierzu. Powiedział ci to ostatnim razem.

- Niech tylko spróbuje. Ja też mam dobre oko i już mu przyobiecałem to i owo.

- Nie mógłbyś postawić ogrodzenia wzdłuż brzegu, żeby w ogóle nie mogły wejść do wody?

- A dlaczego? Rzeka jest dla wszystkich.

- Nie wygłupiaj się, Robbie.

- Wcale się nie wygłupiam. Rzeka naprawdę jest dla wszystkich. To własność wszystkich obywateli.

Sprawdź to sobie. - Naprawdę? - Odwróciła się do Johna, który otrzepywał ubranie z kurzu i zastanawiał się, czy jego nadwerężone na siedzeniu spodnie wytrzymają do powrotu do domu.

- Nigdy o tym nie słyszałem, ale skoro twój przyjaciel tak mówi, to na pewno tak jest.

- Dzień dobry - powiedział Robbie.

- Cześć, Robbie. Wiele o tobie słyszałem.

Catherine Cookson

- To ty jesteś nowym lekarzem?

- Tak jest.

- Mam nadzieję, że przychodzisz na wezwanie pacjentów szybciej niż twój szef.

- To nie mój szef, lecz wspólnik.

- Naprawdę? Wykupiłeś udziały w firmie? Świetnie! Zawsze będzie mi miło gościć cię u siebie.

Poczekajcie, aż zamknę to zwierzę, i chodźcie do domu na herbatkę.

- My... to znaczy ja jestem gościem na urodzinowym przyjęciu. - Oparł się o ścianę.

- Ach, tak. Na pewno nie zauważą twojej nieobecności przez kilka minut. Wejdz, poznasz moją matkę.

Zawsze skarży się na różne bóle, więc chętnie się z tobą spotka.

Gdy John szedł długą ścieżką w kierunku ładnego domu u szczytu pochyłości, widział, jak bardzo żyzna jest ta ziemia. Wokół niego pięły się w górę dorodne rośliny. Zrozumiał, dlaczego obecny właściciel sąsiedniego majątku tak bardzo nie chciał stracić tej działki. Tak, teraz było to jasne. Lecz z drugiej strony cieszył się, że ten prosty, szczerzy młodzieniec szedł śladami swego ojca: takiego człowieka dobrze jest mieć u swego boku w trudnej chwili.

Pani Anna Macintosh była okrągłutka, różowa na twarzy i wesoło usposobiona.

- Witam, witam pana doktora - powiedziała od razu. - No, nareszcie ktoś się nami zajmie. Pana kolega, ten staruszek, zajrzy do czyjejs chaty dopiero wtedy, gdy pacjent jest już sztywny i gotowy do trumny.

A i to robi tylko dlatego, że chce sprawdzić, czy wieko jest solidnie przybite gwoździami.

John roześmiał się. Dziwne, że wszyscy mówią o jego partnerze „staruszek”, bo przecież nie przekroczył jeszcze sześćdziesiątki. Musiał jednak przyznać, że Cornwallis wyglądał staro.

Codziennie zmagania odcisnęły swoje piętno nie tylko na jego nodze.

Siedząc w kuchni i smakując gorące, zdjęte prosto z patelni naleśniki pani Macintosh, usłyszał, jak Robbie mówi do Rosie:

OBSESJA

- Możesz już włożyć pończochy i pantofle. Jeszcze nie widziałem, żeby młoda dama zachowywała się w taki sposób.

- Ach, ty! Gdybyś lepiej pilnował swojej trzódki, nie musiałabym tak często zrzucać garderoby. Na te słowa John i Robbie wymienili znaczące spojrzenia i z trudem powstrzymywali się od wybuchnięcia gromkim śmiechem.

- Ma pani piękny dom - odezwał się John.

- Tak, całkiem niezły - rzekła gospodyni. - A wszystko dzięki pułkownikowi, niech pan Bóg czuwa nad jego duszą. Na pewno spoczywa w spokoju, a razem z nim jego żona. Bardzo nam go brakuje, prawda, panno Rosie?

- Tak, pani Macintosh. Codziennie myślę o obojgu. To byli tacy cudowni ludzie.

- Nie ty jedna, aniołku, nie ty jedna. Może jeszcze jednego naleśnika, doktorze?

- Nie, dziękuję. Muszę jeszcze spróbować urodzinowego tortu, prawda, Rosie?

- Chyba tak - odparła nachylając się, by zawiązać sznurowadło pantofelka. Po chwili wstała. - Powinniśmy tam wrócić. Chodźmy więc. - Mówiła tak swobodnie, jakby rozmawiała ze starym przyjacielem. - Którędy zamierzasz wrócić? Co do mnie, to nie będę przełaził przez mur ani zanurzał się w wodzie. Ty możesz, ale ja wracam drogą.

- A kto powiedział, że pójde przez rzekę? Też wrócę drogą.

- No to uważaj - odezwał się Robbie - żeby cię nie zauważyli, bo narazisz się na kłopoty.

- Jeszcze nigdy mnie nie zauważyli.

- Nie bądź za sprytna. No, ruszaj w drogę.

Johna rozbawiła ta rozmowa, ich wzajemny stosunek do siebie. Mogliby być ojcem i córką albo bratem i siostrą. Lecz jeśli się nie mylił, Robbie myślał o niej zupełnie inaczej, chociaż była jeszcze taka młoda, a nawet dziecinna w swojej nieświadomej beztrosce.

Catherine Cookson

Po pięciu minutach przeszli przez przerwę w ogrodzeniu w sosnowym lesie i wynurzyli się na łące, idąc ramię w ramię, jakby właśnie wracali z przechadzki.

- Niech pan spojrzy! - powiedziała Rosie, kierując jego myśli ku swojej siostrze. - Beatrice dobrała się już do pańskich czekoladek. Lubi takie rzeczy. Ciagle zajada się nimi, ale wcale od nich nie tyje. Dobrze, że nie przepada tak samo za winem albo piwem, prawda? To by dopiero było. Niech pan pomyśli o skutkach. Jejku!

Oboje roześmiali się. I wtedy przyszło mu do głowy, że ta dziewczyna jest jak powiew świeżego powietrza. Miał nadzieję, że taka pozostanie, przynajmniej na jakiś czas.

Rozdział drugi

John uważał to urodzinowe przyjęcie za początek swojego nowego życia. Jego szkolenie medyczne wydawało się już tak bardzo odległe. Dwa lata spędzone na oddziałach szpitalnych jakby zupełnie wyleciały z jego życiorysu. Jedynym ważnym wspomnieniem z tego okresu pozostawała tylko matka. Przypomnił sobie, że powinien był ją dzisiaj odwiedzić, lecz taka wizyta oznaczałaby pośpiech, jazdę tam i z powrotem, a przecież dzisiaj był jego wolny dzień, który chciał mieć tylko dla siebie. Pragnął wyjechać z miasta, gdzie w samotności, z dala od ludzi, mógłby wędrować po równinach, wspinać się na wzgórza, nawet zdobywać szczyty. Po prostu chciał być sam, z dala od miejskiego życia. Tak też uczynił. Zabrał ze sobą plecak, do którego włożył ciepłe bułeczki i kanapki prosto z piekarni, a także dwie butelki piwa.

Był środek lipca, wysoko nad głową jaśniało bezchmurne niebo, lekki wiatr przyjemnie chłodził rozgrzane powietrze. Pod stopami czuł twardą ziemię. Gdy zdjął czapeczkę, poczuł kolejny miły powiew we włosach.

Omijając domostwa skierował się ku wzgórzom. Znał tę trasę: wiodła lekko pod górę aż do niemal pionowego wyrobiska, które doprowadziło go na niewielki płaskowyż, skąd ujrzał w oddali sylwetkę katedry w Durham, stojącej na brzegu rzeki

Catherine Cookson

Wear. Z lewej strony miał Gateshead, a dalej, po drugiej stronie rzeki Tyne leżało Newcastle. Dopiero niedawno poznał północną część kraju. Jego matka pochodziła z Sussex, ojciec był półkrwi Francuzem. Tylko siostra matki, Ada, mieszkała w Middlesbrough, i właśnie tam przebywała teraz matka, zresztą wcale niezadowolona z tego faktu. Jej choroba reumatyczna postępowała, więc z roku na rok John odczuwał coraz silniejszą potrzebę - wynikającą częściowo z synowskiej miłości, a częściowo z poczucia obowiązku - że musi ją mieć bliżej siebie.

Lecz dzisiaj nie chciał o tym myśleć, dzisiaj był zupełnie wolny: nie było żadnych dolegliwości jelitowych, żółciowych, kurzajek, otartych stóp, bólów głowy; zresztą wszystko to były łagodne przypadki. Nieuleczalnie chorzy stanowili oddzielny rozdział.

Teraz rozciągnął się na twardym podłożu, ręce ułożył pod głowę, daszek czapeczki naciągnął na oczy i wcale się nie zdziwił, że jego myśli natychmiast powędrowały ku Sosnowemu Wzgórzu. Oto znowu był na przyjęciu w ogrodzie i niemal widział, jak figluje razem z tym podlotkiem, Rosie. Potem w myślach pojawił się obraz Heleny, tej, która wkrótce miała wyjść za mąż. Jeszcze raz zastanawiał się, dlaczego jej twarz wywarła na nim tak silne wrażenie. Oczywiście, była piękna, ale w przeszłości widywał już piękne dziewczyny i piękne kobiety w różnym wieku. Tak, w różnym wieku, bo każdy wiek ma swój własny ideał piękna. Jednak ona była inna. No i ta Marion, która stanowiła dla niego pewną zagadkę. Dowiedział się, że i ona ma wyjść za mąż. Nagle pomyślał o ojcu sióstr. Cieszył się, że nie ma go na liście jego pacjentów, bo po prostu nie znosił takich typów, nadętych i aroganckich. Zgrywał wielkiego pana na włościach. A przecież jego ojciec stanowił zupełne przeciwieństwo syna. Przypomniał sobie opowieści Rosie o dziadku, które zresztą w pełni zgadzały się z tym, co wcześniej usłyszał od Cornwallisa. Jak wyraziła się

OBSESJA

Rosie, musiał to być cudowny starszy pan. „Cudowny” - tego słowa używała tylko w stosunku do ludzi, których naprawdę lubiła. A jakie było miejsce Beatrice w tej rodzinie? Była panią tamtego domu. Nawet trochę jej współczuł, nie wiedział dlaczego, ale współczuł. Nie była podobna do pozostałych sióstr. Ładna, jednak nie atrakcyjna.

Cóż, westchnął, oni wszyscy byli daleko, gdzieś tam w dolinie, a on znajdował się wysoko nad nimi, odpoczywał w zgodzie z przyrodą i Panem Bogiem. Czy aby na pewno? Dlaczego gdzieś w głębi świadomości nieustannie świdrowała myśl, że przyjechał za późno? Za późno na co?

Czy to królik przebiegł po trawie? Czy ktoś zdobył już to wzgórze? Czemu nie? Potrzeby, czas, okoliczności - z tego składa się życie.

W jego sennym marzeniu odezwał się jakiś głos: „Przykro mi”, a on odpowiedział: „Nic nie mogłaś na to poradzić. O niczym nie wiedziałaś. Przyjechałem cały rok za późno. Mnie również jest przykro. Takie rzeczy spadają na nas zupełnie niespodziewanie”. I wtedy ogarnęła go pełna ciepła, błoga pustka, której pozwolił się całkowicie pochłonać.

Nie wiedział, ile czasu przespał. Czuł, że piecze go twarz - widocznie czapeczka zsunęła się i słońce świeciło mu prosto w oczy. Jutro będzie czerwony jak burak. Jego skóra była wrażliwa i szybko chwytala promienie, lecz potem nie było na niej widać ładnej opalenizny, tylko nierównomierny brąz. Matka mawiała, że to wygląda bardzo pociągająco. Przypomniawszy sobie, że powinien zająć się matką, musi poprosić o kilka dni wolnych.

Kiedy otworzył oczy i zamrugał, bo raziło go ostre słońce, ujrzał czyjaś uśmiechniętą twarz.

Natychmiast zacisnął mocno powieki.

- Ładnie pan sobie pospał.

Usiadł tak gwałtownie, że poczuł w plecach ostry skurcz. Skrzywił się z bólu i spojrzał w bok. Helena Steel siedziała na ziemi.

Catherine Cookson

Kiedy zbierał się, żeby wstać, wyciągnęła do niego rękę i powiedziała ze śmiechem:

- Niech pan nie wstaje tak szybko! Lekarze mówią, że to szkodzi. Mógłby pan dostać ataku serca. - Pokiwała głową. Na chwilę zakrył sobie twarz, po czym wymamrotał:

- Przepraszam. Od dawna pani tu siedzi?

- Niech no pomyślę. - Uniosła dłoń, którą zakryła sobie oczy, i odchyliwszy do tyłu głowę dokończyła: - Od chwili, gdy czas i okoliczności złożyły się na życie.

- A kiedy to było? Odwróciła swój zegarek na łańcuszku.

- Dokładnie czterdzieści dwie minuty temu.

- I cały czas pani tu siedziała?

- Cóż, tak jak pan chciałam odpocząć po trudnej wspinaczce. Pomyślałam, że panu należy się odpoczynek bardziej niż mnie, bo przecież nie spał pan przez pół nocy.

Zdumiony otworzył szeroko oczy i przesunął ręką po głowie, starając się przyglądzić niesforne włosy.

- Skąd pani wie, że nie spałem pół nocy? - Needler mi powiedział.

- Needler?

- Tak. Prowadził Pansy do podkucia, a pan właśnie zwracał kowalowi, Benowi Atkinsonowi, pożyczonego konia. Isaac Green mieszka jakieś sześć kilometrów za miastem, była trzecia w nocy, a Nancy bardzo źle się czuła.

- Needler i Ben Atkinson powinni założyć gazetę. Roześmiała się.

- Chłopiec czy dziewczynka?

- Chłopiec i dziewczynka - odpowiedział. Na chwilę zaniemówił.

- Bliźniaki? Tylko nie to!

- Tak jest, bliźniaki. - Skinął głową. - Razem będzie już jedenaścioro.

- Boże miłosierny! A ona jeszcze straciła cztery ciężce.

OBSESJA

Jeszcze szerzej otworzył oczy.

- Skąd pani wie, że je straciła? - spytał, po czym oboje kiwając głowami powiedzieli: - Od Needlera. Śmiejąc się mówiła dalej.

- Needler powiedział, że Isaac wziął Nancy za królicę i oboje zajadali razem trawkę. Powiedział też, że Isaac czyta codziennie Biblię i żyje ściśle według zapisanych w niej prawd.

Pochylony do przodu John zawtórował jej śmiechem, po czym odwróciwszy głowę w bok otarł wilgotne oczy.

- Myślę, że Needler zapomina, że rozmawia z młodą damą - powiedział.

- Jest pan zaszokowany?

- Ja? Skądże. Ale zdumiewa mnie, że młode damy są w pewnych sprawach tak świetnie poinformowane.

- O, my wszyscy jesteśmy doskonale poinformowani. Już dziadek się o to postarał i chwala mu za to. Często zabierał nas do sąsiadów, wie pan, o kim mówię, gdy rodziły się prosięta, i wtedy on i pan Jamie rozmawiali o różnych rzeczach. Był też Robbie, którego Rosie nie odstępowała na krok od chwili, gdy nauczyła się chodzić, czołgać pod ogrodzeniem i wiosłować, by ominąć mur. I jak my wszystkie, tak i ona uczyła się obserwując dwie krowy, pięć kóz i klacz, która urodziła ślicznego źrebaka, tyle że biedak zdechł tego samego dnia. A wtedy, mówię panu, płacz było słycać w całym domu i nawet ojciec nie mógł na to nic poradzić. Pan już oczywiście wie o wojnie między ojcem a MacIntoshami, skoro rozmawiał pan z Rosie. Potwierdził ruchem głowy.

- Dowiedziałem się dość dużo, nie przeczę. Wydaje się, że ten Robbie Macintosh to bardzo zaradny młodzieniec: urządził za tą ścianą małą farmę.

- Owszem. - Nagle przestała się uśmiechać. - To wciąż kość niezgody. Tak to już jest. - Wsparła się na rękach i odchyliła do tyłu patrząc w niebo. - Czyż to nie najpiękniejsze miejsce w okolicy?

Catherine Cookson

- Tak, to prawda.

- Jak pan się tu znalazł?

- No, lubię wędrować, wspinać się...

- Naprawdę? Chodzi pan w góry?

- Jeśli zobaczę jakąś ładną górkę, to tak. Te ostatnie dwadzieścia metrów niemal pionowej wspinaczki to dla mnie dobry trening. Ale, przebóg, jak pani udało się tu dostać?

- Ja, proszę szanownego pana, również lubię się wspinać. Przychodzę tu od... ho, ho, od wielu lat. Nawet zimą. Wtedy widok stąd jest naprawdę niesamowity: wszystko widać tak bardzo wyraźnie i czysto. Patrzył, jak zwilża językiem usta. - Chce się pani pić? - spytał.

- Tak, bardzo. Zwykle zabieram coś ze sobą, ale dzisiaj stało się inaczej, bo wyszłam z domu w pośpiechu. - Znowu spochmurniała.

- Mogę ugasić pani pragnienie, ale czy zdecyduje się pani napić piwa?

- Mocnego czy słabego? - spytała.

Zaśmiał się krótko i sięgnął do plecaka. Szukając po omacku butelki powiedział:

- Jest chyba niezbyt mocne, a poza tym ciepłe. Powinienem był postawić je w cieniu.

- Tu na górze trudno znaleźć zacienione miejsce.

- Gdybym miał trochę rozumu, powiesiłbym je na skale. Sterczy z niej kawałek starego pnia. - Nalał do kubka piwo i podał jej.

Wypiła je dwoma łykami i gdy wyciągnęła do niego rękę z pustym kubkiem, siłą woli powstrzymał się, żeby nie chwycić jej i nie przyciągnąć do siebie. W milczeniu nalał sobie piwo, a potem wyjął z plecaka kartonowe pudełko. - To nie od pani Pearson.

- Czy ona aż tak źle gotuje?

- Strasznie. I cały kłopot w tym, że jeśli przez grzeczność

OBSESJA

powie się, że coś nam smakuje, to dostaje się potem to samo przez pięć dni w tygodniu.

- Kucharka jest dokładnie taka sama. Kiedyś powiedziałam jej, że bardzo smakuje mi jej placek ze śliwkami, i od tamtej pory ciągle go dla mnie robi. Inni jadają biszkopty, jabłka w cieście i inne rzeczy, a ja tylko placek ze śliwkami. - Spróbowała naśladować głos kucharki: „Bo panna Helenka lubi, gdy robimy zapasy na zimę”. - Pokręciła głową. - Sama nigdy tego nie lubiłam, ale mam tu wielkiego sprzymierzeńca w osobie Janie. Janie Bluet, wie pan, nasza pokojówka. A Flossie i Biddy, czyli nasze pieski, zawsze wiedzą, kiedy jest dzień robienia przetworów i zapasów, bo gdy mnie widzą, zawsze szczekają radośnie.

Cały czas nie spuszczał z niej oczu.

- Kanapka z serem i pomidorem albo... najlepsza, z szynką.

- No to poproszę miłego pana o tę najlepszą z szynką. Bardzo dziękuję.

Podał jej pudełko.

- Do usług szanownej pani. - Starał się dostosować do jej stylu. - Kanapki z szynką są po prawej stronie, to znaczy, dla pani po lewej. - Znowu się roześmiali.

Dopił piwo z pierwszej butelki i otworzył drugą. Wzięła z jego dłoni napełniony kubek i podniosła go do ust. - Pewnie wzbudziłabym sensację, gdybym wróciła do domu zataczając się i objając o drzwi.

Ojciec spytałby: „Gdzie byłaś, córko?”, a ja odpowiedziałabym: „Na wycieczce z naszym doktorkiem.

Siedzieliśmy sobie na szczycie skalistego pagórka Craig's Tor"... Ale by to było! - Napła się piwa i oddając mu kubek rzekła: - Znowu wykażę się brakiem dobrego wychowania, lecz muszę powiedzieć, że bardzo miło spędziłam to popołudnie. Już nie pamiętam, kiedy tak dobrze się bawiłam.

Popatrzył jej prosto w oczy, które zdawały się wyczekiwać jego spojrzenia.

- Kiedy wychodzi pani za mąż? - spytał cicho.

- Na Wielkanoc - odparła również zniżając głos.

Catherine Cookson

- Gdzie będziecie mieszkać?

- Na początku w Hampshire. Wynajęliśmy tam mały domek.

- O! - Wciąż patrzyli sobie w oczy. - Mam nadzieję, że będzie pani bardzo szczęśliwa.

- Na pewno. Tak, na pewno będę - mówiła dobitnie. - Na pewno.

Nagle odchylił się do tyłu i wyciągnął zegarek.

- Jezus Maria! Wie pani, która godzina? Już wpół do piątej, a przecież o piątej zaczynam przyjmować pacjentów. Muszę wrócić szybciej, niż szedłem w tę stronę. - Dlaczego to powiedział? Przecież wcale nie miał dzisiaj dyżuru w gabinecie.

Włożył do plecaka pudełko po kanapkach i puste butelki, po czym wstał i spojrzał na Helenę. Wciąż siedziała obejmując kolana splecionymi dłońmi.

- Pani jeszcze nie wraca - stwierdził.

- Nie, jeśli pan pozwoli - odparła bardzo cicho. - i tak nie wracam prosto do domu. Idę tam. - Pokazała palcem. - Widzi pan dach tego domu w dolinie?

- Widzę. Sam wierzchołek.

- Tam mieszka moja przyjaciółka. Szłam właśnie do niej, gdy dałam się skusić, żeby tu wejść.

- To dość daleko.

- W prostej linii wcale nie. Stąd będzie jakieś pięć kilometrów, z miasteczka może osiem.

- Proszę nie wstawać. - Zatrzymał ją ruchem dłoni. - Niech pani siedzi.

Uniosła wzrok i z poważną twarzą powiedziała cicho:

- Dziękuję za cudowne popołudnie. Nigdy go nie zapomnę.

- Ja również - odparł i odwrócił się szybko, po czym zniknął za skrajem urwiska.

Gdy odszedł, spojrzała w kierunku domu stojącego w dolinie, a potem zgięła nogi w kolanach, objęła je rękami i oparła na nich głowę. Siedziała tak długo i powtarzała sobie w myślach: „Czas i okoliczności składają się na życie”.

Rozdział trzeci

Czy farma Wallace'a jest duża? - spytała Rosie.

- Zależy od tego, co rozumiesz przez słowo „duża” - odpowiedział Robbie. - Ja nie nazwałbym jej dużą, chociaż na pewno jest większa od tej działki. Oh ma tam pół tuzina krów i parę owiec. Czasami zajmuje się przeganianiem bydła, bo kiedyś to była jego praca. A dlaczego pytasz?

- Tak bez powodu.

- Ty nigdy nie zadajesz pytań bez powodu. No więc, o co chodzi?

- Bo widziałam jego syna, Jackiego, chyba tak się nazywa, prawda? Któregoś dnia chodził w naszym sosnowym lesie.

Robbie na moment zamarł w bezruchu.

- W waszym lesie? - Spojrzał na Rosie. - Co on tam robił? Lepiej, żeby uważał na twojego ojca, zwłaszcza jeśli ten ma przy sobie strzelbę. - Uśmiechnął się.

- Tak sobie właśnie pomyślałam.

- Zbierał drewno?

- Nie, po prostu chodził, potem przeskoczył ogrodzenie i wszedł na pole... Czy pani Wallace jest miła?

- Hm! No... - Zaśmiał się krótko. - Zależy co masz na myśli: czy ma miły wygląd, czy też charakter?

- Po prostu, czy jest miła?

Catherine Cookson

- Jest ładną i na swój sposób energiczną kobietą. Ale dlaczego o nią pytasz?

- Tak sobie.

- Tak sobie? - Spojrzał na nią przez szparki zwięzonych oczu. Znał swoją Rosie bardzo dobrze: jeśli zadawała pytanie, to na pewno nurtowała ją jakaś myśl. Z trzpiotki szybko wyrastała na dorosłą kobietę. W rzeczy samej największa zmiana dokonała się w ciągu kilku ostatnich miesięcy. Powstrzymał się przed objęciem jej ramieniem i powiedzeniem: „No, malutka, wyrzuć to z siebie. Znasz mnie przecież, wiesz, że i tak to z ciebie wyciągnę”. Taką taktykę przyjmował, ilekroć Rosie była niesforna, jednak teraz stawała się młodą damą. Najmłodsza z sióstr Steel, ostatnia, która przyszła na świat. No, tak. Ale co miał począć w sprawie młodego Wallace'a? Co mógł uczynić w tej sprawie? Wiedział, czym to się skończy: pewnej nocy chłopak dostanie kulę w plecy. Zawsze mówił sobie - tak jak jego ojciec - że na tym ziemskim padole nikogo się nie boi. Ale to dotyczyło sytuacji, gdy miało się przed sobą wroga, wroga, którego się znało na tyle, by wiedzieć, czego się można z jego strony spodziewać. A Simon Steel był wielką niewiadomą, działał z ukrycia i to działał skutecznie. Czyżby ona podejrzewała...? Odwrócił się i spojrzał na nią, lecz nie zobaczył twarzy, bo dziewczyna właśnie pochylała się nad cielaczkiem.

- To byczek, więc chyba nie będziesz musiał go zastrzelić, prawda? - spytała.

- Zastrzelić? - powiedział gromko. - Na Boga, skądże znowu! Raczej utuczę go i zatrzymam na rozplód;

- Cieszę się. Nie mogłabym znieść myśli, że zostanie sprzedany na mięso.

- Moje zwierzęta nie są na sprzedaż.

- Z wyjątkiem kur i kaczek. Pokręcił głową.

- Tylko wtedy, gdy są już bardzo stare.

OBSESJA

- Nie rozumiem, jak możesz zabić kurczaka, kaczkę czy gęś, jeśli tak bardzo kochasz zwierzęta.
- Rosie! Naprawdę nie mam teraz ochoty dawać ci wykładu na temat życia i śmierci. Chcę wiedzieć, dlaczego ostatnio jesteś taka smutna. Jakieś kłopoty w domu?
- Nie. Tylko że niedługo Helena pójdzie na swoje, potem wyjedzie Marion, a ja zostanę.
- Tylko ze mną?

Odwróciła się do niego i roześmiała na widok jego miny.

- No właśnie. Czy to nie okropne? Tylko z tobą! - Wykonała ręką gest, jakby chciała go od siebie odepchnąć. - Ty i tak zawsze będziesz albo tam, albo tutaj.

Na chwilę zaniemówił.

- Tak, Rosie, zawsze będę albo tam, albo tutaj... Dokąd się teraz wybierasz?
- Wracam do domu, zaraz będzie podwieczorek. Ale nie pójdę drogą ani szlakiem wzdłuż rzeki, lecz przez pola i dalej aleją przez las. Do zobaczenia.

Nie odpowiedział. Patrzył, jak podchodzi do ogrodzenia na skraju pola, przeskakuje na drugą stronę i rusza prosto przez pole. Stał tak, aż zniknęła mu z oczu.

Coś ją gryzło, znał przecież swoją Rosie, znał ją bardzo dobrze. A ona... ona nie знаła go prawie wcale. Jeszcze nie.

Zamiast pójść prosto do domu, Rosie skierowała się ku altanie widokowej, stojącej za kortami tenisowymi. Usiadła i nagle zapragnęła, żeby móc z kimś porozmawiać. Tylko komu mogła zaufać w sprawie, która tak bardzo zaprzętała jej myśli? Mogła się przecież mylić, chociaż była pewna, że tak nie jest.

Włożyła palce między deski ławeczki i mocno zacisnęła na nich dłonie. Życie było niesprawiedliwe, chociaż jeszcze do niedawna wszystko układało się cudownie. Wiedziała, że

Catherine Cookson

ojciec nienawidzi Robbiego, że Beatrice nie cierpi go w takim samym stopniu, ale żyła z tym już od lat i nie to było przyczyną jej obecnego smutku. Niedawno pojawiło się coś nowego, coś bardzo, bardzo przygnębiającego.

Jej uwagę odwrócił odgłos zbliżających się szybko kroków. Usłyszała głos Heleny:

- Zatrzymajmy się tutaj, Marion. Wiesz, jaka jest Beatrice: ma oczy z tyłu głowy, zwłaszcza gdy stoi na zachodnim skraju tarasu. A jak zobaczy, że spacerujemy i rozmawiamy, zaraz będzie chciała wiedzieć, o co chodzi... Więc chciałabyś, żebyśmy wyszły za mąż razem, tego samego dnia, i żeby było wspólne wesele?

- Pragnę tego z całego serca. Zrobiłabym wszystko, żeby się stąd wyrwać. Wczoraj dostałam list od Harry'ego. Napisał mi, że z początkiem przyszłego roku na pewno zostanie wysłany do Indii, więc chce tu przyjechać i porozmawiać z ojcem. Jeszcze niedawno nie byłam pewna, co do niego czuję, ale po tym liście... Teraz już wiem, że go kocham, i wprost wariuję na myśl, że pojadę z nim do Indii albo gdziekolwiek indziej, bo będę jego żoną. Zaczęłoby się dla mnie zupełnie nowe życie. - Urwała na moment. - Czy ty kochasz Leonarda?

- Jakże można nie kochać Leonarda? - odpowiedziała Helena po chwili milczenia. - Jest taki miły, dobry, taki troskliwy.

- Rozumiem, ale czy ty go kochasz?

- Kocham go, oczywiście, że go kocham! - mówiła coraz głośniejsze. - Przecież wyjdę za niego za mąż. Kocham go.

Na kilka sekund zapadła cisza, którą przerwała Marion:

- Czy mogłabyś porozmawiać z ojcem o naszym wspólnym weselu? W przyszłym miesiącu kończę dziewiętnaście lat, więc nie jestem już dzieckiem. Powiem ci również - a ty z pewnością przyznasz mi rację - że Beatrice chętnie pozbędzie się nas z domu.

OBSESJA

Rosie odwróciła się i spojrzała na drewnianą ściankę, która dzieliła ją od rozmawiających sióstr.

- A co będzie z Rosie? - spytała Helena. - Ona zostanie.

- Cóż, to może nie odpowiadać Rosie, ale na pewno będzie na rękę Beatrice, bo jeśli ona w ogóle lubi którąś z nas, to właśnie Rosie. Dziwne, ale zawsze myślałam, że traktowała ją jak dziecko, którego sama nigdy nie będzie miała. Na pewno łatwo jej nie wypuści. Zresztą Rosie jest jeszcze taka młoda.

- No, nie wiem. Ma prawie osiemnaście lat. Pamiętasz przyjęcie W ogrodzie i Teddy'ego Goldinga? Był nią zauroczony, a Ona też go lubi. Nie zapominaj, że od tamtej pory odwiedził nas już cztery razy. Oczywiście, ostatnio nie widział się z nią, bo rzekomo miała różyczkę, która zresztą wcale nie okazała się różyczką. Ojciec na pewno zgodziłby się na ich związek, gdyż Goldingowie są bardzo zamożni i mają doskonałe koneksje. Poza tym on pracuje w służbie dyplomatycznej, a to bardzo ładnie brzmi podczas rozmowy przy herbatce czy w klubie. No, dobrze. Co, według ciebie, mamy zrobić? Leonard zaproponował, żebyśmy się pobrali w lutym, ale ja przesunęłam termin do świąt wielkanocnych. On jest przekonany, że wyślą go za granicę i dlatego chce, żebym wtedy była już jego żoną... Zresztą obojgu nam wyjdzie to na dobre. Ale czy nie byłoby lepiej, gdybyśmy wszystkie trzy poszły do ołtarza tego samego dnia? Gdyby nie nasza starsza siostra, na pewno udałoby się nam do tego doprowadzić.

- Tak, to możliwe - odezwała się Marion. - Boże, jak ona gra mi na nerwach, gdy tak rządzi całym domem. Właśnie. Ojciec ma fioła na punkcie ziemi, a ona na punkcie tego domu. Jak stara pokojówka. Wcale bym się nie zdziwiła, gdybym któregoś dnia ujrzała, jak odkurza meble miotełką z piór. Jakże inaczej wszystko wyglądało, gdy żyła mama, a jeszcze inaczej, gdy byli tu z nami dziadek i babcia. Życie było wtedy takie piękne, prawda, Heleno?

- Masz rację. Patrząc wstecz... tak, życie było wspaniałe.

Catherine Cookson

I my wszystkie, takie młodziutkie i beztroskie. Nawet po śmierci dziadka wciąż jeszcze potrafiłyśmy śmiać się z niego i Robbiego z sąsiedztwa. Ale to nie trwało długo.

Słyszając szelest trawy Rosie wyskoczyła z altany, przez chwilę stała na palcach, a potem zaczęła szurać nogami po żwirze, aby stworzyć wrażenie, że właśnie nadchodzi ścieżką. Lecz gdy okrążyła altanę, jej sióstr już nie było. Helena szła w stronę domu, a Marion kierowała się do ogrodu różanego.

Kiedy rozmyślała w altanie, była pełna smutku i obaw, a teraz dodatkowo ogarnęło ją poczucie zupełnej pustki. Helena i Marion chciały wyjechać. Nie tylko one dwie; Rosie także pragnęła wyrwać się z tego domu, pragnęła tego nawet jeszcze bardziej niż siostry, lecz z zupełnie innego powodu. Była umówiona na spotkanie z Teddym w sobotę i gdyby okazał się taki, jak przypuszczały jej siostry, wcale by go nie odepchnęła. Absolutnie. I nie chodziło jej tylko o to, żeby uciec z domu. Lubiła go. Czy go kochała? Tak, Tak, była pewna, że to miłość. W sobotę da mu to do zrozumienia. Tak właśnie zrobi. Właśnie tak.

Rozdział czwarty

Kościelne dzwony biły już od pół godziny. Zdążający do świątyni ludzie przechodzili pod oknem gabinetu; wielu z nich szło tam tylko po to, by obejrzeć Helenę i Marion Steel jako panny młode po ceremonii podwójnych zaślubin. Było to wielkie wydarzenie, jako że nie codziennie dwie siostry wychodziły razem za mąż, a ich najmłodsza siostra służyła im za druhnę.

Gdy dzwony umilkły, John odchylił się do tyłu na swoim obrotowym krześle obitym skórą i mocno zacisnął oczy. Jednak obraz w jego wyobraźni pozostał tak samo żywy: Helena szła do ołtarza wspierając się na lewym ramieniu ojca, który prowadził również idącą po jego prawej ręce Marion. Oblubieńcy czekali poza pierwszym rzędem ławek.

Spojrzał na zegar - wpół do jedenastej. Normalnie o tej porze w poczekalni czekałoby kilku pacjentów, lecz dzisiaj był tylko jeden, a raczej jedna. Wiedział, że to Ethel Hewitt, bo słyszał jej niecierpliwe stukanie laską w podłogę. Zmusił się, by wstać i otworzyć drzwi.

- Dzień dobry, pani Hewitt. Proszę bardzo.

- Dobry to on będzie za jakiś czas, jak tamci pójdą sobie z kościoła. - Utykając przeszła obok niego i usiadła na krześle przy biurku. - Dziwne, że pana tam nie ma, razem z całą

Catherine Cookson

resztą tych głupków. Jeszcze nie wiedzą, co ich czeka. Myślą, że będą mieć" życie usłane różami. Niech no pan poczeka, już niedługo otworzą im się oczy. Bogaci czy biedni, nie ma tu żadnej różnicy.

- Z pani jest urodzona pesymistka.

- Wcale stamtąd nie pochodzę. Dlaczego pan tak myśli? Kiedyś wzięto mnie za Lancasterkę, a ja urodziłam się i wychowałam w Durham.

Innego dnia pewnie by się roześmiał, ale nie dzisiaj.

- Jak tam pani noga?

- Jeszcze nie odpadła.

- To wielkie szczęście.

- Dlaczego pan tam nie poszedł?

- Może ja panią spytam: gdybym tam poszedł, jakże mógłbym panią teraz przyjąć? Poza tym na ślubie musiał być Comwallis, który opiekował się tymi dwiema damami od dzieciństwa i przygotował je do wejścia w dorosły świat... - O, tak - przerwała mu - i przygotowuje je do zejścia z tego świata, tylko w inny sposób, bo one teraz zaczną zupełnie nowe życie. Przecież pan o tym wie. Chociaż... pan nie był nigdy żonaty, prawda? Ja miałam trzech mężów i na temat małżeństwa wiem wszystko. Gdybym była taka wykształcona jak pan, napisałabym książkę.

- Nawet bez wykształcenia mogłaby pani to zrobić. No dobrze. Obejrzyjmy pani nogę.

Po piętnastu minutach odprowadzał pacjentkę do drzwi gabinetu.

- Niech pani nie obciąża chorej nogi - ostrzegł ją, tak jak zawsze. - Niech odpoczywa. W przeciwnym razie stan będzie się pogarszał, mówiłem to już pani.

- Tak, słyszałam. A co, według pana, mam robić? Skakać na jednej nodze? Mam ośmioro wnucząt, które nieustannie do mnie przychodzą, o każdej porze dnia, a nawet nocy.

- Ma pani szczęście.

OBSESJA

Gdy miała już wyjść na ulicę, zatrzymała się, odwróciła do niego i jej porwana zmarszczkami twarz pojaśniała.

- Tak. - Uśmiechnęła się. - Wiem, że w pewien sposób mam szczęście, bo wszystkie dzieciaki mnie lubią. Niektóre nawet bardziej niż rodziców, chociaż ja wcale ich nie rozpieszczam. Czasami trzepnę je po plecach, ale i tak na koniec dostają ode mnie domowe słodycze.

Wciąż słyszał jej zduszony śmiech, gdy kuśtykając szła ulicą wiodącą do kościoła.

Doktor Cornwallis miał zwyczaj powtarzać, jak to kiedyś nie było żadnego domu ani chaty na odcinku między kościołem a jego rodzinnym domem, który stał tam niemal od trzystu lat. Kiedy John usłyszał tę historię po raz pierwszy, odpowiedział ze śmiechem: „Chyba najwyższy czas, żeby przeprowadzić mały remont, nie sądzi pan?” Jednak potem zorientował się, że popełnił wielki błąd, bo przez kolejny tydzień Cornwallis rozmawiał z nim tylko na tematy ściśle medyczne.

Gabinet i poczekalnia były oddzielone od reszty domu długim korytarzem. Gdy zamknął drzwi gabinetu, ujrzał na końcu korytarza sylwetkę kobiety. Na jej widok lekko zeszywniał i nim zdążyła do niego podejść, odezwał się:

- Spóźniła się pani, pani Wallace. Mam pilne wezwanie do pacjenta.

Zbliżyła się.

- Proszę tylko o coś na żołądek. Ja... po prostu nie mogę chodzić.

- I tak nie mógłbym pani przyjąć. Jest pani pacjentką doktora Cornwallisa.

- Wiem, ale on jest na tym ślubie, prawda? - Uśmiechnęła się do niego. - Pomyślałam, że może pan mógłby wyświadczyć mi tę grzeczność. Widzi pan, już od dawna nie byłam u lekarza.

- Wytrzyma pani kilka godzin. Poza tym, jak już mówiłem, muszę bezzwłocznie udać się do pacjenta.

Stała uparcie blokując mu przejście.

Catherine Cookson

- Mogłabym pójść do pani McDougal, ale, zdaje się, że wam, lekarzom, to się bardzo nie podoba.

- To już pani sprawa. Pamięta pani, co się stało, gdy poszła pani do niej ostatni raz? Wspaniale wyleczyła pani brzuch, prawda?

Przez moment milczała, a potem podciągnęła ramieniem piersi i nagle porzuciła proszący ton.

- Wie pan, kim pan jest, doktorze?

- Nie! Więc kim jestem, pani Wallace?

- Zerem, smarkaczem, który pasuje tutaj jak pięść do nosa. Powinien pan wrócić tam, skąd pan przyszedł, bo tu nie ma dla pana miejsca. Nigdy pan tu nie pasował i nigdy nie będzie. - Wydeła zaciśnięte usta i zmarszczyła nos tak bardzo, że spodziewał się, iż zaraz plunie mu w twarz. Jednak kobieta odwróciła się i poszła korytarzem, a on stał i patrzył za nią. W tej chwili poczuł, że ona ma rację, bo rzeczywiście nie pasował do tego miejsca i tęsknił do powrotu w swoje rodzinne strony - tam ludzie nie byli tacy złośliwi i zacięci. Ale spalił już za sobą mosty, a teraz, poza obowiązkami wynikającymi z praktyki medycznej, dokuczała mu również wielka wewnętrzna pustka - wynik dwóch krótkich spotkań, z których pierwsze było jedynie poznaniem młodej kobiety.

Rozprostowawszy ramiona wyszedł na ulicę, kierując się w przeciwną do kościoła stronę.

!Yliał wolny weekend, więc wsiadł w pociąg i pojechał do Middlesbrough. Od stacji przeszedł trzy kilometry drogą wiodącą do domku ciotki, w którym mieszkała teraz jego matka. Czekala na niego przed bramą, a gdy pojawił się w oddali, zawołała:

- Zobacz! Chodzę bez laski! - Oderwała dłoń od słupka barierki, zachwiała się i roześmiała.

Podbiegł do niej i objął serdecznie.

OBSESJA

- Bez laski, ale trzymając się poręczy. Ale dobrze wyglądasz. Jak się czujesz?

- Nieźle. Fizycznie nawet chyba lepiej, lecz psychicznie znacznie gorzej. - Roześmiała się.

- Chodźmy.

Otoczył ją ramieniem, po czym ruszyli ścieżką w kierunku porośniętej bluszczem chatki.

- Strasznie tu nudno, Johnny - powiedziała cicho matka.

- Gdybyśmy mieszkały w mieście, nie byłoby jeszcze tak źle. Ale tutaj? Naokoło widzę tylko krowy, owce, kozy, czasami zabłąkanego lisa. - Pokręciła ze smutkiem głową. - A, w zeszłym tygodniu była wielka atrakcja, bo przyjechał do nas wędrowny jarmark. Nawet go nie widziałam, tylko słyszałam dobiegający stamtąd dźwięk katarynki.

Gdy weszli do chaty, rozejrzał się po wnętrzu.

- Gdzie ciotka Ada?

- Poszła do miasta. Z powodu twojego przyjazdu chciała kupić coś specjalnego na kolację. A właśnie, mam dla ciebie wiadomość: ona chce sprzedać ten dom i zamieszkać razem z George'em w Devon.

- Niemożliwe! Chce zamieszkać z George'em? A jego Vera? Przecież gdy się spotykają, to chodzą wokół siebie jak pies z kotem.

- Ona o tym wie, ale wydaje mi się, że teraz porównanie z psem i kotem odnosi się bardziej do George'a i Very. Ona chce być jak najbliżej niego. Potrafię to zrozumieć. - Odwróciła się i niezbyt delikatnie poklepała go po policzku.

- Pojechałabym nawet do Halifax albo do Klondike, gdybym tylko mogła być blisko ciebie. I nie myśl sobie, że zwariowałam, bo pierwszy raz powiedziałam ci to zupełnie otwarcie.

Pocałował ją jeszcze raz.

- Miałas przecież możliwość zamieszkać niedaleko mnie, ale nie podobało ci się Fellburn.

Catherine Cookson

- Przecież nawet tam nie byłam. A my właśnie opuściliśmy nasze piękne hrabstwo Sussex, pamiętasz?

- Tak. Pamiętam również twoje pierwsze wrażenie: nie chciałaś dokonać żywota w takiej dziurze, więc z radością przyjęłaś propozycję cioci Ady, żeby zamieszkać tutaj.

Odsunęła się od niego.

- Ale teraz jestem gotowa dokonać żywota w Fellburn. Co ty myślisz? Przecież ona chce, żebym kupiła ten dom. Przypomniała mi, z jaką radością tu przyjechałam i że do tej pory na pewno pokochałam tę ziemię, te ogrody. Ale wyjrzyj tylko przez okno. Ile tu tej ziemi? Czy to w ogóle są ogrody? Trzeba zebrać ze cztery takie kawałki, by powstała jedna mała działka. Nie, panie doktorze Falconer, podjęłam już decyzję - ściszyła głos - ostateczną decyzję, mój chłopcze, że chcę być blisko ciebie. Na tyle blisko, żebym mogła widzieć, jak biegasz tu i tam ze swoją lekarską torbą, nawet jeśli będę widziała cię tylko przez okno i tylko jeden raz dziennie.

Znowu ją objął.

- Mamo, dla mnie to najlepsza wiadomość od bardzo, bardzo dawna, bo wiesz... sam powoli zaczynałem mieć dosyć Fellburn. Naprawdę nie wiem, co mnie skusiło, żeby wykupić sobie udział w lecznicy, która zatrzyma mnie na miejscu przez następne pięć lat.

- Nie chcę, żebyś tam został nawet na pięć minut, jeśli sam tego nie pragniesz - powiedziała głośno. - Słuchaj, chłopaku, już ci powiedziałam, że teraz jesteśmy w dobrej sytuacji. Zaczynam już gadać jak tutejsi mieszkańcy. W każdym razie za nasz dom dostałam znacznie więcej, niż oczekiwałam, a w ciągu ostatniego roku akcje twojego ojca podwoiły swoją wartość. Mógłbyś pójść do tego swojego wspólnika, odebrać udziały i powiedzieć mu, że...

- Dosyć, pani Falconer! Rozmawialiśmy już o tym wielokrotnie. Co twoje, to twoje, a moje będzie wtedy, gdy sobie zapracuję. Poza tym wydałaś już na mnie dość pieniędzy. Nie

OBSESJA

wracajmy do tego. Koniec! Ani słowa więcej! - Pogroził jej palcem. - Wiesz co? Mam ochotę wrócić tam jak najszybciej i dowiedzieć się o pokoje do wynajęcia.

- O, nie! - Pokręciła stanowczo głową. - Nie pójdę do żadnego pokoju. Chcę mieć dom i będę go miała. I to w dobrej dzielnicy. Poza tym... musi mieć prawdziwy ogród. Wyglądając przez okno chcę widzieć coś ładnego, a nie drogę z kostki, uliczny bruk albo pochylone od starości kamienice, a zdaje się, że to właśnie stanowi typowy obrazek w Fellburn.

- Jest jeszcze Brampton Hill. - Uśmiechnął się. - Tamtejsze domy mają piękne, hektarowe ogrody, sześć do ośmiu sypialni, pomieszczenia dla służby, wszystko, co potrzeba.

- Mogłabym sobie na to pozwolić, panie Złośliwy. Mogłabym, jeśli nie znalazłbyś nic odpowiedniego w miasteczku lub w pobliżu swojego mieszkania... no, może nie w samym mieście, wiesz, o co mi chodzi. Podszedł do niej.

- Tak jest, sędziwa damo, wiem, o co ci chodzi. A teraz, skoro czekamy na ciocię Adę, to może tymczasem mógłbym napić się herbaty albo kawy? A jeszcze lepiej kropelkę czegoś mocniejszego. Kulejąc ruszyła do kuchni.

- Zrobię ci herbatę. Rano lekarzom nie wolno pić, w każdym razie nic mocniejszego. Powinieneś być się tego nauczyć od swojego współnika. Jak on się miewa?

- Gdy nie pije, jest z nim źle, a gdy pije, z jakiegoś powodu staje oko w oko ze śmiercią. Mówiąc poważnie, jeśli nie będzie uważał, to ta chora noga wykończy go całkowicie.

- Wtedy będziesz mógł wykupić lecznicę.

- Mamo! Dajże spokój! - powiedział lekko zszokowany. - Jak możesz życzyć mu śmierci? To naprawdę porządny człowiek.

- To stary samolubny drań. Nie mów mi o porządnym ludziach. Większość z nich robi tylko to, co przynosi im

Catherine Cookson

korzystać; jeśli robią ci uprzejmość, to z reguły chcą czegoś w zamian.

- Nie wiem, kto ci wmówił te bzdury, szanowna pani Falconer. Jesteś naprawdę bardzo cyniczna. A przecież babcia i dziadek byli taką słodką parą.

- Wiem coś o tym. Wszyscy ich uwielbiali i uważali za uroczych ludzi. Tak było zawsze w towarzystwie, albo gdy chcieli zwrócić na siebie uwagę. Powiem ci coś: oni też czasami zachowywali się egoistycznie, nawet bardzo, i bywało, że skakali sobie do oczu. Często budziły mnie ich wieczorne kłótnie. A cała ta słodycz na pokaz, to wrażenie zgodnego współżycia, przyprawiało mnie o mdłości. Usiadł, obok kuchennego stołu i patrząc, jak ona przygotowuje herbatę, zaczął się śmiać. Wiedział, że reumatyzm, który nazywała artretycznymi bólami, dawał się jej we znaki i że matka odgrywa przed nim małe przedstawienie. Był szczęśliwy, że teraz zamieszka blisko niego. Potrzebował jej towarzystwa jeszcze bardziej, niż ona pragnęła jego, bo czuł w sobie wielką pustkę. Jeśli ona będzie blisko, to życie stanie się weselsze. Przecież matka miała duże poczucie humoru, jednocześnie była rozsądna i miła. Właśnie tego potrzebował teraz najbardziej.

Rozdział piąty

Simon Steel stał przed lustrem w hallu i poprawiał sobie krawat, a Beatrice trzymała w rękach grube palto i tweedową czapkę z nausznikami.

Zobaczyła, jak ojciec poślinił czubek palca i przeciągnął nim po swoich cieniutkich wąsikach. Był przystojny, a ona po prostu mogła się nim tylko szczyścić. Pomogła mu włożyć palto.

- Na dworze jest bardzo zimno. Jak daleko się wybierasz na ten spacer?

- To zależy od mojego samopoczucia. Jeśli zajdę do miasta, to może tam zostanę i coś zjem.

- Dlaczego nie chcesz jechać powozem? Odwrócił się do niej.

- Nie jestem starcem i nie muszę jechać powozem, gdy chcę zaczerpnąć trochę świeżego powietrza.

Mam nadzieję, że to nie będzie konieczne jeszcze przez następne dwadzieścia lat.

- Oczywiście, że nie, ojcze. Ja tylko...

- Tak, znowu bawiłaś się w matkę. Muszę przyznać, że bardzo dobrze ci to wychodzi, naprawdę doskonale. Należą ci się gratulacje. - Wziął od niej czapkę, a drugą ręką szukał czegoś w kieszeni. -

Masz trochę drobnych?

- Drobnych?

Catherine Cookson

- Tak właśnie powiedziałem: drobnych. Daj no mi ze dwa suwereny, może lepiej trzy.

- Ale... ale... - Cofnęła się o krok. - Mam akurat tylko tyle pieniędzy na życie, żeby dotrzeć do końca miesiąca. A są jeszcze nie zapłacone rachunki.

Zamknął oczy, jakby próbował zachować cierpliwość.

- Nie musisz mi przypominać o rachunkach. Zostaną uregulowane w kwartalnym terminie, a to dopiero za trzy tygodnie. Czy teraz możesz mi dać trochę drobnych? To ty jesteś gospodynią w tym domu, a wydaje mi się, że większość dobrych gospodyń potrafi zaoszczędzić parę funtów.

- Ja... oszczędzam, ale większość tego idzie na... - miała ochotę dokończyć: „na twoje kieszonkowe”. Odwróciła się nachmurzona i poszła korytarzem do gabinetu. Z szuflady wyjęła blaszaną puszkę i z obawą zajrzała do wnętrza, po czym wzięła dwa suwereny. Gdy wręczała pieniądze ojcu, popatrzył na dwie monety i powiedział coś, co bardzo ją zabolalo.

- Masz zadatki na starą służącą. - Ruszył przez obszerny hall, otworzył szeroko drzwi i wyszedłszy trzasnął nimi dość głośno. Beatrice wciąż stała tam, gdzie ją opuścił.

Kochała ojca. Sądziła, że go rozumie. Był wspaniałym człowiekiem, uczynnym i hojnym, zawsze pomagał ludziom, zawsze chciał rozdawać pieniądze. Jednak czasami jego słowa raniły ją boleśnie, ale i to potrafiła zrozumieć, bo ona jedna w rodzinie była do niego podobna - w złości również potrafiła powiedzieć coś niemiłego. Teraz była zła, bo na schodach pojawiła się Rosie ubrana do wyjścia.

- A dokąd to w taki chłodny ranek, co? - wrzasnęła na nią.

- Po co pytasz, skoro dobrze znasz odpowiedź? Idę do sąsiadów. To jedyne miejsce, gdzie mogę chodzić w odwiedziny.

- Mogę ci tylko powiedzieć, że masz bardzo zły gust. Przecież cię ostrzegałam, prawda? Gdyby ojciec wiedział, że

OBSESJA

tak często tam przebywasz, zaczęłyby się kłopoty. Wiesz przecież, czym groził, jeśli ich zwierzęta znowu przejdą na naszą stronę. I na pewno to zrobi.

Rosie zatrzymała się na dole schodów. Była o pół głowy wyższa od siostry i spojrzała na nią z góry.

- A gdyby on tego nie zrobił, ty spełniłabyś jego groźbę, prawda?

- Tak, żebyś wiedziała - odparła Beatrice po chwili milczenia. - On mieszka na ziemi, która nie jest jego własnością.

- Właśnie że jest. Należała do jego ojca, a on dostał ją od naszego dziadka, któremu ocalił...

- Nie zaczynaj znowu. Mam już dosyć wysłuchiwania tych opowieści. Powiem ci tylko jedno: ojciec sprawdzi, czy w tej sprawie da się coś zrobić. Może w akcie darowizny jest jakaś łuka.

Rosie zapięła guzik płaszcza pod szyją i odpowiedziała powoli:

- Miałabyś satysfakcję, prawda? Patrząc, jak wyrzucają ich na bruk, jak zabierają cały żywy inwentarz. Gdyby tak się stało i gdybym nie miała wyjść za Teddy'ego, poszłabym za Robbiem.

Beatrice roześmiała się pogardliwie.

- Nie opowiadaj bzdur. Zresztą przez następne trzy lata i tak nic nie możesz zrobić. Jesteś pod władzą ojca, aż skończysz dwadzieścia jeden lat. Mógłby cię tu ściągnąć z każdego miejsca na świecie, a ty wyszłabyś na idiotkę. Lepiej o tym zapomnij. To cud, że pozwolił ci się zaręczyć z twoim Teddym.

Byłam doprawdy zdumiona.

- Powiem ci, dlaczego się zgodził - rzekła cicho Rosie nachylając się do siostry. - Bo Teddy pracuje w ministerstwie, w służbie dyplomatycznej i zna wielu ludzi na stanowiskach, zaś ojciec to snob pierwszej wody. A ty odziedziczyłaś to po nim.

Beatrice stała z rozdziawionymi ustami i patrzyła, jak Rosie

Catherine Cookson

idzie w kierunku drzwi. Jakże nagle ta dziewczyna się zmieniła. Już nie była jej małą siostrzyczką - jedyną, którą naprawdę lubiła. Można ją było skrzyczeć, potem rozpieszczać, była dziewczynką, a ona opiekowała się nią jak matka. Ale nie była już dzieckiem, nie była nawet podlotkiem. Oparła rękę na poręczy schodów, jakby chciała się podtrzymać. Wiedziała, co Helena i Marion o niej myślą, ale przecież Rosie zawsze stała po jej stronie i nawet gdy rugała ją za wizyty u Robbiego, nigdy nie odwróciła się i nie odeszła tak jak przed chwilą.

Nagle Beatrice poczuła, że straciła siostrę, i chciała krzyknąć z rozpacz. Rosie była jej przyjaciółką, która sama miała niewiele do powiedzenia, za to potrafiła słuchać całymi godzinami tak łatwo dawała się rozweselić. Śmiała się nawet wtedy, gdy była skarcona.

Spojrzała w stronę drzwi. Przed chwilą wyszła nimi siostra i zamknęła je za sobą cicho, bez trzaskania, jak to uczynił ojciec. Pozostało wrażenie, że ten akt stanowił zakończenie rozdziału czyjegoś życia.

Ale czyjego?

Powiedziała sobie, że nie będzie już molestować Rosie, przynajmniej jeśli chodzi o jej sąsiedzkie wizyty. Bez względu na to, co o tym myślała, zachowa to dla siebie, bo nie mogła, nie chciała stracić siostry. Jeszcze zanim Rosie zaręczyła się z Edwardem Goldingiem, Beatrice obawiała się tego, co może się wywiązać między nią i Robbie MacIntoshem, bo fakt, że on był dziesięć lat starszy, nie miał większego znaczenia. Chociaż była przeciwna zaręczynom z Edwardem, to alternatywne rozwiązanie było nie do przyjęcia.

Rozejrzała się po hallu. Powinna być szczęśliwa, nawet bardzo szczęśliwa - przecież teraz była panią tego pięknego domu. Zawsze go kochała, lecz teraz stał się jej prawdziwą obsesją. Rządziła nim; nie był jej własnością, ale nim rządziła. Jednak od czasu do czasu nachodził ją lęk: co będzie, jeśli ojciec zdecyduje się powtórnie ożenić? W myślach nie mogła się pogodzić z konsekwencjami takiej sytuacji.

Nie mogłaby

OBSESJA

znieść, gdyby inna kobieta rządziła tym domem. Tak, nie chodziło jej o to, że ojciec mógłby się znowu ożenić, ale o to, że nie ona byłaby tutaj panią.

Gwałtownie zdjęła rękę z poręczy. Fałdy jej sukni tańczyły z boku na bok, gdy żwawo szła do salonu, by sprawdzić rezultat porannej pracy pokojówki Janie Bluett.

Zamiast iść zwykłą trasą wzdłuż muru i wokół przegrody w rzece, Rosie wyszła główną bramą i skręciła na drogę.

Zawsze dziwiła się, że bez względu na to, którądy wchodzi na ich teren, ma wrażenie, jakby wkraczała do zupełnie innego świata: głębiej nabierała powietrza i miała przemożną chęć usiąść, a nawet położyć się gdzieś na ziemi, rozpostrzeć szeroko ramiona i błogo odpoczywać.

Dzisiaj Anna Macintosh powitała ją z tej części ogrodu, gdzie znajdowała się zagroda dla zwierząt.

- Upojne powietrze, prawda? Uwielbiam takie poranki. Nie schodź niżej, już do ciebie idę.

Rosie kiwnęła głową, po czym weszła do domu i skierowała się do kuchni, gdzie natychmiast ogarnęła ją fala ciepła.

Rozpięła płaszcz i opadła na wiklinowe krzesło na prawo od otwartego kominka. Westchnęła głęboko, długo, przeciągle. Ta kuchnia mogłaby zaspokoić potrzeby mieszkańców dużej farmy: ze stropu wspartego na dębowych belkach zwisały wędzone szynki i wiązki ziół. Na środku znajdował się długi stół z białym blatem; przy jednej ze ścian stał kredens wypełniony porcelaną, a na skraju drugiej - obitą materiałem sofa, obok której były drzwi wiodące do podłużnej, chłodnej spiżarni.

W tym pomieszczeniu, tak bardzo innym od reszty domu, Rosie zawsze dobrze się czuła, a teraz szczególnie potrzebowała ukojenia.

Niska kobieta pospiesznie weszła do środka i postawiła na stole ciężki koszyk wypełniony brukselką.

Catherine Cookson

- Ręce mi odpadają - powiedziała zmęczona.

- Gdzie Robbie?

- Pojechał z towarem do miasta. Skończyła się już kapusta i marchewka, została tylko brukselka i resztką z kopca ziemniaków. - Nagle przerwała zdejmowanie rękawic i spojrzała na Rosie uważnie. - Co się stało? - Wszystko, wszystko się wali, pani Anno. Właśnie rozmawiałam z Beatrice. W naszym domu panuje okropna atmosfera. Jakżebym chciała już wyjść za mąż i wydostać się stąd!

Anna Macintosh zdjęła kurtkę, po czym sięgnęła po wiszące na stojaku filizanki i spodki. Stawiając je na tacy spytała cicho: - Tak bardzo chcesz wyjść za mąż?

- Bardzo tego chcę, naprawdę bardzo.

- I chcesz wyjść za mąż tylko dlatego, że pragniesz opuścić swój dom?

Rosie nie od razu odpowiedziała; patrzyła na tę oddaną sobie przyjaciółkę i zastanawiała się przez chwilę. - Chcę wyjechać z domu - rzekła z wahaniem - ale przecież lubię Teddy'ego.

- Lubisz go? Co to znaczy, dziewczyno? Ty go lubisz? Lubisz mnie, Robbiego, ale jeśli chcesz za kogoś wyjść za mąż, musisz do niego czuć coś więcej.

- No... tak. Ja go więcej niż lubię. Czuję do niego afekt.

- Afekt.

- Tak! - krzyknęła Rosie.

- Czy to oznacza, że go kochasz?

- Kocham? Tak, chyba tak.

- Chyba tak.

Z czajniczkiem w ręce Anna podeszła do kominka i naląła wrzątku z gorącego imbryka, potem postawiła czajniczek na stole i położyła na nim watowaną pokrywkę. To, co następnie powiedziała, nie miało żadnego związku z miłością lub innymi uczuciami:

OBSESJA

- Wiesz, wymyśliłam przepis na bułeczkę z porzeczkami i wypróbowałam go wczoraj wieczorem.

Chcesz spróbować?

Rosie oddychała szybko. Nie odpowiedziała na pytanie, tylko patrzyła ponad stołem na starą kobietę.

I nagle wybuchnęła niepoohamowanym śmiechem.

- Jest pani najzabawniejszą osobą, jaką znam.

- Nie znasz jeszcze zbyt wielu ludzi, różyczko.

- Właśnie że znam, ale oni nigdy nie mówią śmiesznych rzeczy. - Przechyliła głowę na bok. - Gdy się nad tym zastanowię, to tutejsi mieszkańcy są strasznie nudni. Gadają tylko o pogodzie, urodzinach, śmierci. To znaczy wszyscy z wyjątkiem doktora Falconera. Lubię go. Rozśmieszył mnie któregoś dnia. Powiedział tak: „Wiesz, śniło mi się dzisiaj, że jestem robakiem”. To ja pytam: „Ale dlaczego coś takiego się panu przyśniło?” A on mówi: „Zostałem wezwany do dworu, a tam jakiś lokaj spojrzał na mnie w taki właśnie sposób. Nazywają go Lemas, więc ułożyłem o nim śmieszny wierszyk”. -

Znowu zaczęła się śmiać. - Nie pamiętam go dokładnie, ale to było zabawne. Tak, lubię naszego doktora. - Wzięła z rąk pani Anny filiżankę herbaty. - Gdy wyjdę za mąż, poznam mężczyznę zupełnie innego typu. - Mam nadzieję, że będzie ci to odpowiadało. Powiem ci tylko jedno, dziewczyno. - Pogroziła jej palcem. - Musisz się jeszcze wiele nauczyć, a z tego, co mówisz, wynika, że będzie to dla ciebie bolesne doświadczenie. Według mnie, elokwencja i intelektualne rozmowy nie wystarczają do szczęścia, pod nimi często ukrywa się podłość i wiele innych złych cech. Nie musisz daleko szukać przykładów takich ludzi. - Przeszła na drugą stronę stołu.

Rosie wstała i postawiła swoją filiżankę.

- Nie miałam na myśli nic złego, pani Anno - powiedziała z opuszczoną głową. - Ja tylko... sama już nie wiem...

Nagle jej głos załamał się i wybuchnęła płaczem. Pani Anna zbliżyła się do niej i objęła mocno.

Catherine Cookson

- Uspokój się. No, uspokój. Ja cię rozumiem. Twoje życie we dworze nie jest usłane różami, zresztą zawsze tak było. Życie twojej matki wyglądało podobnie.

- Co??? - Głowa Rosie uniosła się z ramienia pani Anny. Dziewczyna zamrugła i nerwowo przełknęła ślinę. - Co pani mówi? Jak to? Dlaczego jej życie wyglądało podobnie? Przecież ona... była bardzo szczęśliwa.

- Pozwól, że ci coś powiem, drogie dziecko. Twoja matka sprawiała wrażenie szczęśliwej, abyście wy wszystkie, jej córki, miały poczucie szczęścia. Sama nie była szczęśliwa. Teraz nic więcej ci nie powiem. Przyjdzie czas, że dowiesz się więcej o swojej matce.

- A kto mi to powie, jeśli nie pani?

- Ode mnie nie dowiesz się nic więcej. Już i tak za dużo ci powiedziałam, ale zrobiłam to, bo mi cię szkoda. Twoje siostry również nic ci nie powiedzą, więc nawet ich nie pytaj. A teraz wypij herbatę, bo muszę wyjść. Mary Ann nie opiekuje się swoimi prosiętami tak jak jej matka, nie pozwala im ssać do syta. Chodźmy, porozmawiamy z nią. Ona lubi, gdy się do niej mówi. Ubierz się. - Uniosła dłoń. - Widzę po twojej twarzy, że będziesz zadawać pytania. To nie mam sensu, nic więcej nie powiem. I przepraszam za to, co już powiedziałam. Posłuchaj: jak wiesz, twoja matka często mnie odwiedzała, jeszcze gdy żył twój dziadek. Dużo rozmawiałyśmy, i może nadejdzie dzień, gdy opowiem ci o tych rozmowach. Ale nie dzisiaj, nie jutro, ani pojutrze. Chodźmy.

Kobieta wyszła pospiesznie na dwór, a Rosie podążyła za nią do zagrody dla zwierząt, gdzie maciora z dwunastką prosiąt ocierała sobie boki o zmarzniętą ziemię, podczas gdy jej dzieci usiłowały dobrać się do sutków.

- Spokojnie, Mary Ann - odezwała się pani Anna. - Połóż się i daj im jeść. No, bądź grzeczna. - Przełożyła ramię przez niski murek, ale nie udało się jej dosięgnąć głowy zwierzęcia. - Może ty spróbujesz, Rosie?

OBSESJA

Dziewczyna podciągnęła rękaw, przechyliła się nad murem i z łatwością położyła dłoń na ciele świni.

- No, co się z tobą dzieje, Mary Ann? Boli cię brzusek? Bądź grzeczna i pozwól swoim dzieciom zjeść śniadanie.

Macióra chrząknęła.

- Tak trzymaj - powiedziała pani Anna z uśmiechem.

- Słyszałaś? Odpowiedziała ci. Może uda ci się dokonać więcej niż weterynarzowi. Już chciałam go wezwać, chociaż wcale nie mam ochoty płacić mu słono za to, co robiłam do tej pory sama. No ale ostatnio jakoś wyszłam z wprawy. Z tobą jednak rozmawia. O, znowu. Popatrz, już wszystkie maluchy ssą mleko. Świetnie. Bolą cię plecy?

- Nie - mruknęła Rosie. - Postoję tak, aż się najedzą.

- Byłoby wesoło, gdybym musiała wzywać cię za każdym razem, kiedy będą chciały possać. - Pani Anna zachichotała.

- Musiałabym zakraść się do tylnego wejścia, prawda? I mówiłabym: „Proszę przekazać panience Rosie, żeby się pospieszyła, bo Mary Ann odmawia wydania swojej dziatwie kolacji”.

- Niech mnie pani nie rozśmiesza, bo cegły uwierają mnie w brzuch - odparła Rosie. - Zaraz przelecę na drugą stronę i wyląduję obok niej w błocie.

- Zabierz rękę. Zobaczymy, co teraz zrobi.

Rosie powoli odsunęła dłoń i z wysiłkiem wyprostowała bolące plecy. Patrzyły na maciore, która nie ruszyła się i pozwoliła maluchom najeść się do syta. Pani Anna uśmiechnęła się.

- Powiem Robbiemu. Będzie rad, bo martwił się z jej powodu. Wczoraj próbował wszystkiego, żeby pozwoliła im dobrać się do swojego pełnego brzucha, ale za nic nie chciała położyć się na boku.

Dziękuję ci. - Zawsze do usług. To będzie kosztować dwa szylingi i sześć pensów.

- Chcesz dostać pieniądze od razu, czy możesz trochę poczekać?

Catherine Cookson

Wyszły z chlewika i udały się do obórki, gdzie dwie krowy spokojnie żuły siano.

- Nie wypuściłam ich dzisiaj na zewnątrz. Trawa jest taka sztywna, że poraniłaby im gardła.

Na podwórku pani Anna wskazała palcem kurczaki, które usiłowały grzebać w ziemi.

- Uśmiełam się. Młode nie mogły pojąć, dlaczego nie udaje im się wspiąć na kopiec. Zjeżdżały z góry na grzbietach. Niektóre były bardzo nieustępliwe. Robbie zawołał mnie, żebym to zobaczyła.

Uprzątnął stopnie, ale one wcale nie chciały z nich skorzystać, bo były przyzwyczajone do trawy.

Rosie spojrzała na kopiec. Nie był wysoki, a jednak z jego szczytu rozchodził się wspaniały widok na okolicę. Pani Anna domyśliła się, co Rosie zamierza zrobić.

- Z wierzchołka będzie dziś doskonała widoczność. Nie wiem, dlaczego ludzie twierdzą, że szron spłaszcza krajobraz; według mnie przywraca go do życia. Nadaje ziemi inną szatę, jeszcze inną niż śnieg.

- Wejdę tam i popatrzę - rzekła Rosie. Stojąc na nierównym wierzchołku zawołała:

- Rzeczywiście, wszystko wygląda zupełnie inaczej. Jakie to piękne. Nigdy jeszcze nie widziałam całej okolicy w takiej szacie. Tam daleko po prawej stronie wszystko wygląda wcale nie biało, lecz różowo. To chyba odbijające się promienie słońca. - Odwróciła się. - Ojej! Widzę Col Mount, kominy i dachy domów. Muszą być prawie pięć kilometrów stąd.

- Całe pięć kilometrów - odrzyknęła pani Anna. - Dzisiaj szron jest wyjątkowo twardy i jasny. Nie zawsze tak jest. Przyroda ma różne oblicza, różne nastroje, tworzą je słońce, wiatr i deszcz.

- Jezu! Widzę farmę Wallace'a, jakby znajdowała się tuż obok. Przecież z dołu nigdy jej nie widać. Pewnie zasłania ją las.

Patrzyła na farmę. Było coś, co powinna o niej pamiętać.

OBSESJA

Zauważyła tam jakiś ruch. Ktoś wchodził na pole, które przylegało do ich majątku. Stała przez chwilę zdumiona. Jeśli się nie myliła, pole kończyło się lasem. Pokręciła głową i zeszła ostrożnie po stopniach.

- Chodź do domu i ogrzej się - powiedziała pani Anna. - Lada chwila przyjdzie Robbie.

Już miała iść za panią Anną, lecz wspomnienie o Robbiem zatrzymało ją. W pewnym stopniu miał on związek z wcześniejszą rozmową na temat jej chęci opuszczenia domu i wyjścia za mąż. Miał zwyczaj badawczego wypytywania jej, wyciągania z niej wszelkich informacji. Zawsze tak robił. Już słyszała, jak mówi: „No, Rosie Steel, nie karm mnie wymyślnymi kłamstwami. Chcę tylko prawdy”. A ona odpowiadałaby: „Myślisz, że jesteś taki wygadany, Robbie Macintosh, bo czytujesz książki. Każdy, kto ma odrobinę rozumu, może nauczyć się słówek i wyrażeń z książek”.

Nie, dzisiaj nie chciała spotkać się z Robbiem. Nie wiedziała dlaczego, ale już po chwili zrozumiała: on wydobyłby z niej najbardziej skrywane myśli i obawy. Ale czego się obawiała? Odpowiedziała sobie, że życia w rodzinnym domu po tym, jak jej siostry rozjechały się po świecie. Nie powinna tak mówić, przecież została Beatrice i ojciec. A teraz chciała już stąd odejść. Pójdzie sobie na spacer.

- Przepraszam, ale muszę wracać - powiedziała. - Myślę, że powinnam pomóc Beatrice... Nie myślę, wiem, że ona na mnie czeka. Wie pani, że ona ma fioła na punkcie domu. Dwie dziewczyny pracują tam jak niewolnice, nieustannie czyszczą, polerują, a ona każe mi jeszcze chodzić z miotełką i ścierać kurze. Niewiarygodne, prawda?

- Wcale nie, moja droga. Pani Beatrice jest właśnie taka. Z tego co wiem, jest bardzo dumna, że prowadzi cały dom. Kucharka czasami ma jej dosyć.

Rosie roześmiała się.

- Czasami wszystkie mamy jej dosyć. Ale zarazem, sama

Catherine Cookson

nie wiem, po prostu mi jej szkoda, i w pewien sposób nawet ją podziwiam.

- Oczywiście, moja droga, oczywiście, że ją podziwiasz. Jeśli chcesz iść przez las, to lepiej już ruszaj. Zobacz, niebo się zmienia. Wcale bym się nie zdziwiła, gdyby zaczął padać śnieg, chociaż zwykle po takim przymrozku najpierw następuje odwilż, a dopiero potem opady śniegu. Ale cóż - roześmiała się - od czasu, gdy przestałam tu rządzić, pogoda całkowicie wymknęła mi się spod kontroli.

Rosie delikatnie ścisnęła ją za ramię.

- Pójdę górą - rzekła śmiejąc się. - Nie ma mowy, żeby dzisiaj udało mi się wejść na mur. Od razu poślizgnęłabym się na kamiennych stopniach, które zbudował Robbie. Same w sobie są niebezpieczne. Gdybym nie umiała tak dobrze chodzić po górach, już nieraz leżałabym na plecach.

- Bardzo możliwe - rzekła pani Anna odprowadzając ją do bramy, od której ścieżka wiodła dalej ku drodze.

Dotknęła policzka Rosie i stała przez chwilę patrząc, aż dziewczyna zniknęła w lesie. Pomyślała, że będzie z niej cudowna kobieta, że w szybkim tempie przekracza próg dorosłości. Gdyby tylko... Och, gdyby tylko...

W lesie było przepięknie. Ścieżka ciągnęła się niczym srebrzysta rzeka, a potem nagle jakby urywała się, odcięta ścianą oszronionych sosen.

Dookoła panowała cisza - głęboka, niezmacona, dająca poczucie bezpieczeństwa cisza. Nawet odgłos kroków Rosie na ścieżce nie zakłócał wszechobecnego spokoju.

Teraz szła przez część lasu, w której rosły cienkie drzewa, a pod niskim poszyciem ziemia - ku zdziwieniu Rosie - wcale nie była pokryta szronem.

Nagle zatrzymała się, stanęła z otwartymi ustami na widok czegoś, co wyrwało z jej piersi okrzyk:

- Jakież to piękne!

Spojrzała na niezwykle wielki grzyb, który miał chyba ze

OBSESJA

dwadzieścia centymetrów wysokości. Nachyliła się nad nim, a potem - tak jak Robbie - przysiadła w kucki i podziwiała niezwykle piękno tego dzieła natury. „Domek wróżki”. Nie widziała takiego już od wielu lat. Muchomory - owszem, nawet duże, nazywały je „parasolkami wróżki”. Wyciągnęła rękę, lecz po chwili cofnęła ją. Grzyb był tak delikatny, że nawet najłżejszy dotyk mógł go przewrócić. Pomyślała, że to największy i najpiękniejszy grzyb, jaki kiedykolwiek widziała. Od jego okrągłej nóżki rozchodziły się blaszkowate kolumny, na których opierał się okrągły dach - olbrzymi różowy parasol o średnicy piętnastu centymetrów. Blaszkowate kolumny były ciemnozielone albo kremowe, a dookoła wznosiła się palisada z oszronionej trawy, wysokiej na jakieś trzy centymetry.

Jako dziecko zawsze wyobrażała sobie, że w takim domku mieszkają wróżki. Rozmawiała z nimi, mówiła, żeby się nie bały i że nikomu nie zdradzi, gdzie stoi ich domek, na wypadek gdyby komuś zachciało się tam przyjść i zniszczyć go. W zakamarkach pamięci zachował się obraz jednej z sióstr, która kopnięciem przewróciła jeden z domków, a wtedy ona, Rosie, zaczęła na nią wrzeszczeć. Skończyło się tym, że matka musiała ukoić jej ból, podając jej do łóżka gorące mleko z cynamonem. Niechętnie wstała, cofnęła się o krok i obiecała sobie, że kiedy wróci do domu - narysuje go, a potem namaluje. Nigdy nie zapomni tego poranka i tego przepięknego „domku wróżki”. Poczowała się lekko i radośnie. Co za wspaniały, cudowny ranek.

Rozejrzała się dookoła, a potem pochyliła nad domkiem i z tą resztką dziecinnego zauroczenia, które już za chwilę miała na zawsze utracić, powiedzi; ta:

- Żegnajcie, moje kochane. Do przyszłego roku. - i w tym momencie zdała sobie sprawę, że życie składa się z gorzkiej rzeczywistości i że nie ma w nim miejsca dla wróżek z bajki.

Catherine Cookson

Wróciła na ścieżkę, gdzie co krok wyrastały z ziemi korzenie drzew i gdzieś w oddali ujrzała sylwetkę chłopca, który zachowywał się dość dziwnie. Wyszedł z lasu po przeciwległej stronie i patrzył w punkt, gdzie - dosłownie kilka metrów od niego - ścieżka gwałtownie skręcała i ginęła z oczu.

Chłopiec przekrzywił lekko głowę, jakby czegoś nasłuchiwał.

Rosie znieruchomiała i patrzyła ciekawie. Nagle jej oczy rozszerzyły się, gdy chłopiec skoczył gwałtownie ze ścieżki między drzewa, a w tej samej chwili zza zakrętu wyłoniła się idąca szybko postać. Zdumiona rozdziawiła usta: to był jej ojciec.

Ale przecież to było niemożliwe: ojciec powiedział, że wybiera się do miasta. Sama słyszała, jak mówił o tym Beatrice. Lecz bez wątpienia był to on we własnej osobie. Nikt inny nie był do niego podobny.

Już miała ruszyć w jego stronę i zawołać, gdy wtem zeszywniała na odgłos łamiącego się drzewa. Zobaczyła, jak olbrzymi konar pada na ścieżkę, którą szedł jej ojciec. Krzyknęła. Widok i odgłos były tak przerażające, że na moment zacisnęła mocno oczy, a gdy je otworzyła, zdała sobie sprawę z dwóch rzeczy: chłopak, którego znała jako młodego Wallace'a, właśnie zniknął za zakrętem, ciągnąc coś za sobą po ziemi, a gałąź nie upadła na ścieżkę, lecz prosto na ojca.

Biegła co sił krzycząc na całe gardło niezrozumiałe słowa, przypominające: „Ratunku! Na pomoc!”

Gdy znalazła się przy ojcu, nie widziała jego twarzy, bo cała była pokryta krwią. Spojrzała na konar - był gruby jak duże drzewo. Mocny Boże! Co robić? Rozejrzała się. Ten chłopak... może pobiegł wezwać pomoc. Nie! Co też przyszło jej do głowy? Przecież on uciekał ciągnąc za sobą linę. Zaczaił się i czekał na jej ojca. Boże! Spróbowała unieść jeden z końców gałęzi, ale bez skutku.

- Tato! Tato! - krzyczała przeraźliwie. Nagle rzuciła się

OBSESJA

pędem ku drodze, którą właśnie przysła. - Robbie! Robbie! - darła się na całe gardło.

Kiedy znalazła się na drodze, ujrzała Charliego Fenwicka, węglarza. Właśnie brał z wózka i zarzucał sobie na plecy worek z węglem.

- Panie Fenwick! Panie Fenwick! Błagam, niech pan pomoże! Mój ojciec jest ranny! Przywaliło go drzewo! - Co się stało, panienko? - Położył na jej ramionach ubrudzone dłonie. - Twój ojciec ranny? Zaraz, zaraz. Gdzie on jest?

- W lesie! W lesie! Niech pan idzie! Jest cały we krwi! Wciąż trzymając ją za ramiona odwrócił się i zawołał głośno: - Pani Anno! Pani Anno! Pani Anna podbiegła do bramy.

- Jezus Maria! Co się stało, dziewczyno? Czy ty...

- Mówi, że jej ojciec jest ranny - przerwał węglarz.

- Przywaliło go drzewo w lesie.

- Przywaliło go... drzewo?

- Tak! Tak, pani Anno! - krzyczała Rosie bez opamiętania.

- Jest cały we krwi! Nie mogłam podnieść tego pnia.

- Spokojnie, dziewczyno, spokojnie. Wezmę tylko okrycie. Zostaw to, Charlie. Pójdziemy zobaczyć, co tam się stało.

Gdy znaleźli się przy rozpostartej na ścieżce, pokrytej krwią postaci, Charlie Fenwick wykrzyknął:

- Jezu! Co tu się stało? Spróbujmy zdjąć z niego tę gałąź. Ostrożnie podnieśli razem splątane i połamane gałęzie, odsłaniając twarz mężczyzny. Pokonując wewnętrzny opór pani Anna przyklękła na zamrzniętej ziemi i delikatnie przechyliła głowę leżącego.

- Jezusie! W jego głowie tkwi kawałek gałęzi. Lepiej tego nie dotykać, Musimy sprowadzić lekarza i... kilku mężczyzn z domu. Zawołam ich przez mur. Na pewno ktoś będzie w pobliżu. - Odwróciła się do Rosie, która stała obok

Catherine Cookson

zakrywając sobie dłonią usta. W jej oczach malowało się przerażenie. - Chodź, kochanie. Chodź. Charlie tu zostanie. Chodź ze mną. - Rosie jakby wrosła w ziemię. Pani Anna siłą odciągnęła ją z miejsca, cały czas powtarzając: - Charlie z nim zostanie. Chodź już. No, chodź.

Rosie bezwolnie ruszyła z panią Anną. Czuła się dziwnie, ogarnął ją nagle przejmujący chłód. Było jej niedobrze, słabo. Oddychała szybko.

Pani Anna zaciągnęła ją do kuchni, prosto do płytkiego kamiennego zlewu. Tam Rosie wymiotowała.

- Dobrze, maleńka. Wyrzuć to z siebie. Usiądź potem przy kominku. Muszę biec po pomoc. Rozumiesz? Rozumiesz, co mówię? Zrób, o co cię prosiłam: usiądź przy kominku.

Pani Anna wybiegła z domu i wyciągnęła z drewnianej szopy krótką drabinę. Pociągnęła ją za sobą w stronę muru. Z najwyższego szczebla ledwie widziała cokolwiek z drugiej strony. Zebrawszy siły krzyknęła na całe gardło:

- Ratunku! Pomocy! Niech ktoś tu przyjdzie! Pomocy! Pan Steel został ranny w lesie!

Willie Connor pierwszy usłyszał jej krzyk. Nie wiedział, kto woła, ale zrozumiał, że wzywano pomocy gdzieś od strony zarośli w drugim końcu ogrodu.

Kiedy dobiegł do muru i ujrzał nad nim twarz Anny, gdy zrozumiał treść jej słów, odpowiedział szybko:

- Boże święty! Zaraz tam biegniemy.

- Przynieście coś, żeby go zabrać. I wezwijcie lekarza - powiedziała mu jeszcze, gdy odchodził.

Rosie wciąż jeszcze była w kuchni. Pani Anna, mocno objąwszy dziewczynę ramieniem, siedziała obok niej na sofie. Tymczasem Robbie krzyczał jak opętany.

Anna patrzyła na syna, lecz ani razu mu nie przerwała, nie zwróciła mu uwagi, żeby zachowywał się jak należy.

OBSESJA

- Zapomnij o tym! - warczał na Rosie. - Wcale nie widziałaś w lesie Jackiego Wallace'a. Nikogo tam nie widziałaś. Po prostu szłaś, żeby spotkać się z ojcem, a wtedy nagle przywaliło go drzewo... I tak jest przegniłe, cały konar jest przegniły. Więc jak on mógł mieć z tym coś wspólnego?

- Miał! Właśnie że miał! Widziałam, jak biegnie. Czekał na ojca, czyhał tam. Mówię ci. I potem ciągnął coś za sobą. Teraz wiem, co to było: lina. Mówię ci...

- Nic mi nie wmówisz, dziewczyno. Posłuchaj, Rosie. Jeśli otworzysz usta i powiesz, że widziałaś tam tego chłopca, wywołasz wokół swojego domu taki smród, jakiego nigdy dotąd nie czułaś. Nigdy się go nie pozbędziesz.

Rosie spojrzała na panią Annę.

- On czekał na ojca. Widziałam go, zanim to się stało. Czekał tam. Musiał... pociągnąć ten konar za pomocą liny. Mówię wam, że widziałam go...

Robbie położył ręce na jej ramionach.

- Nie ma sensu oszukiwać cię, panienko, ukrywać przed tobą prawdę. Bardzo możliwe, że to naprawdę był Jackie. W porządku. Ale on miał powód. Wiesz jaki? Wiesz, skąd wracał twój ojciec? Właśnie wyskoczył z łóżka matki Jackiego. Zrozum to wreszcie. - Ujął jej twarz w swoje dłonie i trzymał mocno, patrząc jej prosto w oczy. - Posłuchaj. Twój ojciec był w łóżku z matką Jackiego. Chodził tam dość często i chłopak miał już tego dosyć. Oddawała się mężczyznom, gdy jej własnego męża nie było w domu, gdy zajmował się spędem bydła. Więc Jackie po prostu usiłował ich odstraszyć. Podpalał stogi siana, zostawiał otwarte bramy, robił różne rzeczy, by tylko ich odciągnąć od swojej matki. Ale jego matka to kurwa. Wiesz, kto to jest kurwa? Nie wiesz, co? To kobieta lekkich obyczajów, która pozwala każdemu mężczyźnie przespać się z nią za pieniądze. Nie z miłości, ale za pieniądze. A twój ojciec jest zepsutym do cna mężczyzną.

Catherine Cookson

Spytaj mojej mamy. Twoja matka żyła z tym przez wiele lat, ale musiała przymykać na to oczy, aby wychować was na godne szacunku dziewczyny, na które inni nie patrzyliby z pogardą, jako na córki miejscowego donżuana.

Rosie szarpała się, próbowała uwolnić się z rąk Robbiego, ale on jej nie puszczał. Teraz chwycił ją za dłoń.

- Musisz wrócić na ziemię, wydorosnąć. Myślałem, że przestałaś być dzieckiem, gdy zaręczyłaś się z panem Goldingiem. Ale nawet to nie pomogło ci trzeźwo spojrzeć na świat. Teraz poznasz ciemne strony życia. Twój ojciec był podłym człowiekiem. I powiem ci coś jeszcze. Charlie Fenwick, ten węglarz, nie przywiózł dziś węgla do twojego domu, bo już od wielu miesięcy zalegacie mu z rachunkami. No proszę! Teraz dopiero jesteś zdumiona, co? Niemoralność nie wywarła na tobie wielkiego wrażenia, ale w to trudno ci uwierzyć. Twój ojciec jest zadłużony u każdego w tym mieście. Od wielu lat uprawia hazard i zadaje się z kurwami. Twój dziadek spłacał jego długi tylko ze względu na twoją matkę. Ale nadszedł moment, kiedy i on musiał przestać. Twój dziadek był takim wesołym, uroczym człowiekiem, prawda? Powiem ci, że przez wiele lat musiał udawać, tylko po to, by zachować coś, co nazywa się godnością. Słuchaj, dziewczyno, gdybyś wymieniła nazwisko Jackiego Wallace'a, wszystko to wyszłoby na jaw i musiałabyś z tym żyć. Jak sądzisz, czy twój narzeczony, pan Golding, będzie dość silny, żeby przyjąć to spokojnie do wiadomości? On jest urzędnikiem państwowym w służbie dyplomatycznej, a tacy ludzie mają o sobie dość wysokie mniemanie. Nie lubią skandali. Może w ich własnym środowisku bywają skandale, lecz są doskonale skrywane przed światem zewnętrznym. W pewien sposób ci ludzie są podobni do twojej matki, bo potrafią znieść bardzo wiele, żeby uniknąć zbrukania swego dobrego imienia.

Rosie milczała, ale poczuł, że mięknie pod jego uściskiem. Puścił ją i prostując się powiedział cicho:

OBSESJA

- Pomyśl o tym, Rosie, i pamiętaj, że ten chłopak przechodził piekło starając się, żeby jego własny ojciec o niczym się nie dowiedział. Ale ojciec i tak wie dość dużo. Jest tematem dowcipów w barach, ale dobry z niego człowiek. Cichy, zapracowany Dave Wallace. Nie zasługiwał na taką żonę. A chłopak przez wiele lat obserwował, co wyrabia jego matka, więc próbował odstraszyć jej klientów. I wielokrotnie mu się to udało. Wielokrotnie.

Rosie oparła się na sofie, pani Anna objęła ją czule ramieniem i przytuliła do siebie. Lecz Rosie pozostała zimna, w sercu czuła lód. Pomyślała, że nigdy już nie uda się jej poczuć prawdziwego, błogiego ciepła. Nie mogła w to wszystko uwierzyć, lecz w końcu uwierzyła. To wyjaśniało, dlaczego od pewnego czasu nie mogła się pozbyć niejasnych jeszcze podejrzeń wobec ojca. Teraz przypomniała sobie, ileż to razy matka miała wilgotne oczy, rzekomo w wyniku przeziębienia. Przypomniała sobie wiele rzeczy, a szczególnie to, że gdy pewnego dnia pani Wallace mijala ją na targu, roześmiała się na jej widok. Wtedy Rosie pomyślała, że tamta jest trochę zdziwaczała, bo krzywo nosiła kapelusz i miała nie zapięte guziki bluzki poniżej biustu. Tylko nie to! Jej własny ojciec z tą kobietą.

Nagle wyrwała się z uścisku pani Anny.

- Lepiej już pójdę. Beatrice będzie mnie potrzebowała.

- Dobrze - odparł Robbie. - Odprowadzę cię do samej bramy. - Nie dodał: „Bo twój ojciec nie czeka tam na mnie z powitaniem”.

Rozdział szósty

Gdy John prowadził swój rower po zboczu wzgórza, światło z karbidowej lampki oświetlało tylko mały kawałek drogi bezpośrednio przed nim. Był zmęczony. To był długi dzień: od godziny wpół do dziewiątej, kiedy zaczynał swój dyżur, nie miał ani chwili odpoczynku. Co drugi pacjent przychodził albo z silnym przeziębieniem, albo z bronchitem. To były lżejsze przypadki. No ale przede wszystkim wynikła sprawa pana Steela.

Zbliżała się już siódma. Ziemia, która odtajała nieco w czasie popołudnia, teraz znowu kryła się pod warstwą szronu. Będzie musiał uważać; przed chwilą poślizgnął się i niemal wpadł do rowu. Przed upadkiem uratowało go to, że w ostatnim momencie chwycił się pnia młodego drzewa.

Podniósł głowę, gdy na szczycie wzgórza ujrzał światło kołyszącej się latarni. Niosący ją mężczyzna podszedł do niego i zatrzymał się.

- To pan, doktorze?

- A, witam pana, panie Wallace. Czeka nas kolejna mroźna noc.

Dave Wallace nie zareagował na te słowa.

- Nie widział pan gdzieś mojego chłopaka? - spytał Johna.

- Jackiego? Nie. Przynajmniej w ciągu ostatnich paru godzin.

OBSESJA

- Czy pan go w ogóle widział? Nie ma go cały dzień. Myślałem, że jak się ściemni, to wróci do domu.

- Poszedł na wagary?

- Nie, do szkoły nie chodzi już od tygodnia, ale to z powodu choroby.

- Ach, tak - rzekł John. - Ale, zaraz. Teraz sobie przypominam, że go widziałem. To było... chwileczkę... to musiało być około czwartej, koło Bishop's Meadow. Ciekaw byłem, co tam robi. Chyba szukał kamieni ze starego domku na farmie. Pomyślałem wtedy, że na pewno nie szuka drewna, bo czego nie strawił ogień, na pewno już dawno zabrały dzieciaki.

- Bishop's Meadow? Dziękuję panu, doktorze. Mówi pan, około czwartej?

- Tak, chyba tak. Czy zdarzyło się już kiedyś, że tak długo nie wracał?

- Nie, nigdy! Absolutnie nigdy! - Dave Wallace urwał na chwilę. - Dopiero niedawno wróciłem z pracy. Słyszałem... że pan Steel nie żyje. Podobno przywaliło go upadające drzewo.

- Tak. To prawdziwa tragedia. Przegniły konar. Wie pan, jak wygląda drewno w taką pogodę. Łamie się jak cienki patyczek. Najbardziej niebezpiecznie jest wtedy w lesie, zwłaszcza gdy złapie taki mróz jak dziś rano. - O której godzinie to się stało?

- Przedpołudniem.

- W lesie?

- Tak, niedaleko od pańskiego domu.

Mężczyzna nie odpowiedział, po czym nagle odwrócił się i ruszył w dalszą drogę. John patrzył na kołyszącą się latarnię. Po jej ruchu zorientował się, że Wallace przeskoczył rów i skierował się ku Bishop's Meadow. Chciał zawołać: „Niech pan zaczeka, pójdę z panem”, ale był zbyt zmęczony i głodny. Przypomniał sobie owe dziwne wypadki, które przydarzały się gościom tej kobiety, gościom, a raczej ich mieniu. Przecież Steel również nadchodził od strony farmy, chłopca cały dzień

Catherine Cookson

nie było w domu, a jego ojciec był czymś bardzo zdenerwowany. Wszystko zaczynało do siebie pasować. Wcale się nie zdziwił, gdy po chwili usłyszał swój własny głos:

- Niech pan zaczeka, pójdę z panem.

Odczepił lampę od roweru, sprowadził go do rowu, po czym sam przeskoczył na drugą stronę.

David Wallace nie zwolnił, a kiedy John dogonił go, powiedział:

- Nie ma potrzeby, panie doktorze. Ale dziękuję panu. Aby dostać się na Bishop's Meadow, musieli wspiąć się na kamienny mur, a potem zeszli łagodnym zboczem w kierunku miejsca, gdzie stał spalony niegdyś doszczętnie dom. Gdy podeszli bliżej, John uniósł lampę na wysokość głowy. W świetle ukazała się pozbawiona drzwi, odrapana ściana. Większa część dachu również uległa zniszczeniu, a dachówki pewnie latały teraz dziury w domu innego farmera. Opuścił lampę.

Tymczasem David Wallace wszedł już do środka i John zobaczył w świetle jego lampy przykucniętego w narożniku chłopca. Nie ruszał się, tylko patrzył przed siebie wytrzeszczonymi oczami i z szeroko otwartą buzią. Po chwili obaj mężczyźni przyklękli obok chłopca.

- Już dobrze, synu - powiedział David Wallace. - Już wszystko dobrze. Słyszysz? Dobrze.

John ujął chłopca za nadgarstek, aby sprawdzić mu puls. Palce Jackiego były sztywne i bardzo zimne, więc zaczął rozcierać mu dłonie. Błada twarz chłopca miała siny odcień.

- Ja... nie chciałem, tato.

- Już dobrze, synu, dobrze. Nic nie mów.

- Ale on... nie żyje. Ja nie chciałem.

- Wiem, wiem, że nie chciałeś.

- Chciałem... go tylko... nastraszyć. Ta gałąź była przegnita... Nie wyrządziłaby żadnej krzywdy.

Naprawdę. Ja nie chciałem, tato.

- Chodźmy już. Wstań.

OBSESJA

Obaj próbowali pomóc mu wstać, ale pod chłopcem ugięły się nogi, więc położyli go i zaczęli rozcierać przemarznięte kończyny.

- Nie chciałem.

- Ciii. Nic nie mów. Twój tata wie, że nie chciałeś - powiedział John.

Dopiero teraz chłopiec zdał sobie sprawę z obecności doktora i patrzył na niego przerażony.

- Nie... proszę mnie nie zabierać.

- Nikt nigdzie cię nie zabierze. Musisz tylko... - klepał go lekko w policzki - słuchaj mnie, nie wolno nikomu o tym mówić. Rozumiesz? Nie wolno o tym mówić. Co powiedziałem?

- Nie wolno... o tym mówić.

- Tak jest. Właśnie tak. Nikt o tym nie wie, tylko ty. Nie wie twój tata, ja też nie wiem, tylko ty, więc nic o tym nie mów. To był przegniły konar. Wszyscy to wiedzą. Rozumiesz?

- Nie... nie mówić o tym. Tak, panie doktorze. Gorąco mi. Przedtem było mi zimno. Tato, było mi bardzo zimno. Bardzo zimno.

- Zaraz wrócisz do domu, synku. Spróbuj wstać. Jeszcze raz podnieśli chłopca. Chwiał się, gdy wyprowadzali

go ze zrujnowanego domu, a potem pięli się po łagodnym zboczu. Dziesięć minut później, gdy dotarli do farmy, chłopiec szedł już o własnych siłach, mimo że głowa opadała mu na piersi, a oddychał nabierając powietrza krótkimi haustami.

Gdy Dave Wallace kopnięciem otworzył drzwi do swego domu, John zrozumiał, że nie jest on już cichym, spokojnym człowiekiem-

Z pokoju było wejście do kuchni, a tam przy stole stała żona Wallace'a.

- Więc go znalazłeś, co? - powiedziała kiwając głową. - Jak zwykle, same z nim kłopoty. O, jest i pan doktor. Boże! Mamy dziś gościa. Czym sobie zasłużyliśmy na taki zaszczyt?

Catherine Cookson

Dave Wallace nie odpowiedział - zachowywał się tak, jakby jej w ogóle nie zauważył. Poprowadził swojego syna i Johna obok schodów i dalej przez drzwi do sypialni.

Tutaj postawił lampę na szafce i pociągnął syna w kierunku łóżka.

Gdyby chłopak był w stanie wydobyć z siebie głos, powiedziałaby, że to łóżko ojca i matki, ale nie mógł mówić i pozwolił ojcu oraz doktorowi zdjąć z siebie odzież. Natarli mu ciało szorstkim ręcznikiem i położyli pod kołdrą.

- Będę musiał wrócić do gabinetu - powiedział cicho John. - Będzie mu potrzebne lekarstwo.

- Zanim pan pójdzie, czy mógłby pan z nim zostać jeszcze pięć minut? Muszę coś zrobić.

- Dobrze. Niech pan idzie.

Dave Wallace powoli wyszedł z pokoju i zamknął za sobą drzwi. Cicho zbliżył się do stołu, przy którym wciąż stała jego żona, i bez słowa uderzył ją pięścią między oczy. Gdy krzycząc upadała, chwycił ją za bluzkę i przyciągnął do siebie, zbliżając twarz do jej twarzy.

- Ty brudna, śmierdząca kurwo! Nie zasługujesz, żeby żyć. Chętnie posłałbym cię tam, gdzie już przebywa ten twój fagas. Porządnie go, obsłużyłaś, zanim przygniotło go drzewo. To lepsze niż pistolet, którego zamierzałem na was użyć. To ocaliło moją głowę. A teraz, kurwo, jazda na górę. Zabieraj swoje szmaty i wynoś się stąd. Tym razem żadnego ociągania się ani gadania. Żadnych obietnic. Wynoś się! - krzyknął i pchnął ją w kierunku schodów, aż uderzyła plecami w poręcz i niemal osunęła się na podłogę.

Zakryła ręką czoło.

- Nie możesz tego zrobić. Ja... nie mam dokąd iść.

- Co takiego? Nie masz dokąd iść? A twoi, klienci? Ich żony na pewno chętnie cię przyjmą, zwłaszcza Gładys Know-les. Wyrwałaby ci z głowy wszystkie włosy, gdyby się dowiedziała, że znowu mu dajesz. Jazda na górę, bo zaraz

OBSESJA

wejdiesz tam na moich kopach! - Wysunął nogę, jakby chciał zrealizować swoją groźbę, lecz ona ruszyła już po schodach. Poszedł za nią.

Na podeście stała wielka szafa. Otworzył ją, wyjął płócienną torbę z dwoma uchwytami i rzucił jej pod nogi.

- Masz! Wsadź w to swoje szmaty, a co się nie zmieści, zawieś sobie na szyi. Szybko, do roboty. Jak będziesz się ociągać, to wywalę wszystko przez okno, a na końcu ciebie.

Przez chwilę stała nieruchomo. Jej dolna warga zaczęła drżeć, gdy powiedziała:

- Nagle zrobił się z ciebie wielki waśniak.

- W samą porę! - ryknął na nią. - W samą porę! Jeśli ktoś na tym świecie był idiotą, to właśnie ja. Pakuj się - kopnął torbę. - Ostrzegam cię. Masz tylko kilka minut.

Z wściekłością zbierała bluzki, spódnice i bieliznę. Schyliła się, żeby wyjąć z dolnej szuflady swoje drobiazgi.

- Torba jest już pełna, a ja chcę jeszcze zabrać moje rzeczy z dołu.

- Tak, twoje rzeczy. Odpustowe błyskotki i mazidła. Bierz je, przydadzą ci się w pracy. - Zbiegł po schodach, chwycił wiszącą w kuchni torbę z łyka i wpadł do sypialni. Przesunął na bok stojącą na szafce lampę i jednym ruchem ramienia zgarnął do torby puderka i szkatułki. Wyciągnął górną szufladę i również wysypał jej zawartość do torby.

John ani na chwilę nie odwrócił się od łóżka i cały czas masował ręce i nogi chłopca. Usłyszał jednak krzyk kobiety: - Jeszcze ci odpłacę, zobaczysz. A poza tym... nie mam żadnych pieniędzy.

- Nie zapłacił ci dziś rano? Wynoś się! Ale już! Bo ci pomogę.

Po chwili rozległ się trzask zamykanych drzwi.

Dave Wallace nie od razu wrócił do sypialni. Czuł się tak, jakby właśnie skończył ciężką, wyczerpującą walkę. Oparł się ciężko o drzwi, głowa opadła mu na piersi. Stał tak przez

Catherine Cookson

kilka minut, aż w drzwiach sypialni pojawił się John, podszedł do niego i położył mu dłoń na ramieniu.

- Chodźmy. Niech pan usiądzie obok chłopca. On pana potrzebuje, cały czas pyta o pana. Ja już pójde, ale niedługo wrócę. Mały powinien mieć ciepło. Niech mu pan włoży pod kołdrę nagrzaną płytkę z pieca i da coś gorącego do picia.

Dave Wallace nie podziękował, w ogóle się nie odezwał, lecz pozwolił zaprowadzić się do łóżka, w którym leżał jego syn. Objął chłopca ramieniem i przyciągnął go do siebie.

Kiedy po godzinie John wrócił i cicho wszedł do środka, Dave Wallace wciąż siedział na brzegu łóżka, trzymając syna za rękę. Widać było, że mężczyzna płakał.

Rozdział siódmy

Być może świeży opad śniegu spowodował, że na pogrzebie zjawili się tak niewielu ludzi. Jeszcze mniej osób udało się później do domu, ale członkowie rodziny spostrzegli, że było wśród nich czterech nie znanych im, elegancko ubranych dżentelmenów, którzy popijali zaprawione korzeniami wino i chętnie jedli podane potrawy.

Była już czwarta po południu. W salonowym kominku mocnym ogniem płonęły polana. Gazowa lampa z żyrandolem świeciła wesoło i jasno, jednak na twarzach zebranych malowała się powaga. Beatrice, której przypominająca alabaster skóra bardzo kontrastowała z czernią stroju, siedziała patrząc przed siebie szeroko otwartymi oczami. Usta miała mocno zaciśnięte. Wysoka Helena wyglądała w żałobnych szatach piękniej niż kiedykolwiek dotąd. Obok niej siedział jej mąż w wojskowym mundurze. Była też Rosie. Nie siedziała - jak inni - prosto na krześle, lecz pochylała się na bok podpierając głowę na rękę, której łokieć spoczywał na poręczy fotela. I nie uniosła głowy, gdy siedzący na sofie przy stoliku mecenas Coulson z firmy adwokackiej Coulson, Pratt & Sanders powiedział:

- Nie ma wiele do odczytania, ponieważ nie ma testamentu, a jedynie zwykły list. Pani ojciec nie spisał swojej ostatniej

Catherine Cookson

woli. - Spojrzał na Beatrice. - Kiedyś istniał testament, ale to było, zanim zmarła wasza matka. Po tym, jak oddał dom w zastaw hipoteczny...

- Co? - Beatrice usiadła na brzegu krzesła. - Co pan powiedział?

- Powiedziałem, panno Steel: po tym, jak pani ojciec oddał dom w zastaw hipoteczny. I mogę dodać, że mimo iż nie ma testamentu, to jest wiele do powiedzenia w tej sprawie.

- Oddał w zastaw? Przecież ten dom nie jest obciążony hipoteką.

Adwokat westchnął tak głośno, że to westchnienie usłyszeli wszyscy obecni. Spokojnie patrzył na Beatrice.

- Ten dom - powiedział cierpliwie - jest obciążony hipoteką na sumę dziesięciu tysięcy funtów. To dużo pieniędzy. Jednak zabezpieczeniem nie był sam tylko dom, ale i wiele przedmiotów, które się w nim znajdują, włącznie z wymienionymi na tej liście obrazami. - Stuknął palcem w leżący przed nim dokument. - Razem pięć obrazów, które uważał za bardzo wartościowe. Lecz tylko dwa z nich to autentyki, jeden pędzla Bouchera. Niestety, Rembrandt był kopią.

- O czym pan mówi? - Beatrice niemal wrzasnęła na niego.

- Cicho bądź - odezwała się Helena. - Przynajmniej przez chwilę.

Beatrice odwróciła się w jej stronę.

- Tobie to wszystko jedno! - krzyknęła na siostrę. - Siedzisz sobie zadowolona i nic cię nie obchodzi, w ogóle cię nie dotyczy. To na mnie spoczywa cała odpowiedzialność, a tu dowiaduję się...

- Czy mam kontynuować, panno Steel? Czy też woli pani, bym przekazał to jednemu z moich wspólników, który zaprosi panią do naszej kancelarii?

Beatrice na chwilę opuściła głowę. Wcisnęła pięści w swoją czarną spódnicę. Przez chwilę w pomieszczeniu panowała cisza, którą przerwał pan Coulson.

- Przejdę do odczytania listu. Nie znam jego treści, wiem

OBSESJA

tylko, że zmarły zostawił go pod naszą pieczę, abyśmy go otworzyli po jego śmierci.

Rozciął kopertę, wyjął z niej pojedynczą kartkę, popatrzył na nią, a następnie uniósłszy głowę spojrzął po kolei na wszystkich zebranych i odczytał cicho:

Zostawiam majątek mojej najstarszej córce, Beatrice Steel, i mam życzenie, aby znalazła jakiś sposób, by go utrzymać.

Simon Arthur Steel

Wszyscy patrzyli na Beatrice. Nawet Rosie wyprostowała się w fotelu. Beatrice zaczęła poruszać ustami, otwierała je i zamykała jak wyjęta z wody ryba.

Ciszę przerwał Leonard Morton Spears, który patrząc na adwokata rzekł cicho:

- Jaki jest dochód?

- Bardzo niewielki, proszę pana. Praktycznie można go pominąć.

- Nieprawda! To nieprawda! - poderwała się Beatrice. - Są przecież obligacje, papiery wartościowe.

Ojciec dostawał odsetki co kwartał.

- Pani ojciec przez ostatnie pół roku brał pożyczki od firmy, która pobiera niebotyczne procenty, Bank nie zgodził się na kolejną pożyczkę pod zastaw hipoteczny, więc był zmuszony szukać pieniędzy gdzie indziej.

- Ale były przecież obligacje i akcje matki... - Urwała zniżywszy głos do szeptu.

Adwokat spojrzął na nią ze współczuciem.

- Przykro mi to pani wyjawić, ale pani matka była zmuszona sprzedać znaczną część swoich papierów, aby - przerwał na chwilę, westchnął ciężko i popatrzył na obecnych - aby spłacić długi pani ojca.

Catherine Cookson

- Ale... - jęknęła łamiącym się głosem Beatrice. - Ale jakie długie? Przecież on tylko jeździł do swojego klubu w Newcastle dwa, trzy razy tygodniowo, a do Londynu prawie wcale.

- Jeśli ktoś tkwi w szponach hazardu, nie trzeba daleko jeździć, żeby stracić tysiące funtów, proszę pani.

- To ojciec był...? - Beatrice odwróciła się przerażona i spojrzała błagalnie na Helenę, potem na siedzącego obok niej mężczyznę, lecz żadne z nich nie potrafiło znaleźć słów, by ją pocieszyć.

Znowu przeniosła wzrok na adwokata.

- On... nie mógł przegrać wszystkich tych pieniędzy. Przecież musiał też wygrywać, przynajmniej czasami.

- Owszem, niekiedy wygrywał, ale niewiele. Z tego co wiem, zachęcało go to do jeszcze ostrzejszej gry, do stawiania setek funtów.

Nagle zebrani poruszyli się gwałtownie, gdy Rosie powiedziała mocno i dobitnie:

- Poza tym były jeszcze jego kobiety, Beatrice. Nie wiedziałaś o nich, prawda?

Helena wstała i podeszła do młodszej siostry. Objęła ją ramieniem.

- Cicho, Rosie. Ciii. Proszę cię.

- Nie, Heleno! - usłyszała w odpowiedzi. - Niech to wreszcie wyjdzie na jaw. Pan Coulson jest zbyt dobrze wychowany, by oznajmić to wprost. Powiem ci więcej, Beatrice. Tego ranka, gdy ojciec zginął, właśnie wracał od jednej ze swoich przyjaciółek. Jednej z wielu. Ale przecież musiał im płacić, prawda? I ty musiałaś mu dać dwa funty z pieniędzy przeznaczonych na prowadzenie domu.

Wszyscy wstali z miejsc.

- Ty oszalałaś, dziewczyno. Zupełnie postradałaś rozum. Przez kilka sekund nikt nie odpowiedział na te słowa.

Dopiero po chwili pan Coulson usiadł ciężko na krześle i spojrzał na Beatrice.

OBSESJA

- Niestety, panno Steel. Ona ma rację. Byłem zbyt delikatny, żeby wyrazić to tak odważnie jak pani siostra. Pani dom i ziemia jest dzisiaj w takim, a nie innym stanie, ponieważ pani zmarły ojciec miał różne słabości. Pozostała nam jeszcze do omówienia jedna mała, lecz ważna sprawa - podjął już bardziej energicznym głosem pan Coulson. - Zechcą państwo usiąść. - Przysunął ku sobie leżącą dotąd z boku stertę papierów i stuknął w nie dłonią. - Jest wiele zaległych rachunków, nie tylko od miejscowych sklepikarzy, ale i od... dżentelmenów, którzy są tu obecni. Dwaj z nich to dyrektorzy firmy udzielającej pożyczek, a pozostali - z konsorcjum zajmującego się hazardem. Ich żądania spłaty długów dotyczą znacznych sum. Istnieje jednak następująca okoliczność: skoro w majątku nie ma żadnych pieniędzy, to nie wiem, czy ci panowie mogą zgodnie z prawem przyjść do pani po pieniądze, które był im winien pani ojciec. Będę musiał zbadać tę sprawę. Same odsetki od należnych kwot trudno nam będzie znaleźć. Obawiam się, że dojdą jeszcze odsetki za pożyczkę pod zastaw hipoteczny. Jeśli mogę coś radzić i jeśli znajdzie pani na to jakiś sposób, to przede wszystkim natychmiast uregulowałbym długi u miejscowych wierzycieli. Niech pani również pomyśli o zredukowaniu zatrudnionej w domu służby. Proszę się też zastanowić, co pani zamierza zrobić z majątkiem, ponieważ w zaistniałych warunkach trudno będzie pani go utrzymać. - Zaczął wkładać papiery do skórzanej teczki.

- Proszę zostawić rachunki dotyczące miejscowych długów - odezwał się Leonard Morton Spears. - Ja to załatwię.

- To bardzo ładnie z pańskiej strony. Wie pani... jest jeszcze nadzieja. Może pani jeszcze coś zrobić. - Patrzył przez stół na Beatrice, która utkwiała wzrok w podłodze. - Jest tu jeszcze około dwudziestu hektarów ziemi, której część, o ile wiem, leży odłogiem. Chodzi mi o ten zaniedbany las. Według mnie powinna się pani zastanowić nad sprzedażą kawałka tej ziemi. Dzisiaj za tereny przeznaczone pod budowę

Catherine Cookson

eleganckich domów można dostać" dobrą cenę. Jestem pewien, że bank udzieliłby pani pomocy w tym przedsięwzięciu. Beatrice uniosła głowę.

- Sprzedać ziemię? Ojciec nigdy...

- Zamknij się! - Znowu wszyscy spojrzeli zaskoczeni na Rosie, która mówiła dalej: - Nie wygaduj bzdur o tym, co ojciec by zrobił, a czego by nie zrobił. Według mnie, a inni na pewno przyznają mi rację, narobił dość szkody i oszukiwał nas przez wiele lat. Poza tym teraz dopiero widać, jakie życie miała u jego boku nasza mama.

Helena wzięła Rosie za rękę i siłą pociągnęła ją do drzwi.

- Chodź, moja droga. Wystarczy. Nic już nie mów. Ani słowa.

Beatrice patrzyła na siostrę zdumiona i przerażona. Jakże ona śmiała! Jakże śmiała! Bez względu na to, co zrobił ojciec, nie miała prawa mówić tak do niej w obecności świadków. Nie miała prawa!

Najmniejszego!

Jakiś wewnętrzny głos nakazał jej jednak milczeć. Ciężko usiadła na krześle.

Podszedł do niej szwagier i położył dłoń na jej ramieniu.

- Nie przeżywaj tego tak mocno, Beatrice. Takie rzeczy się zdarzają. Zobaczysz, wszystko będzie dobrze. Naprawdę. Zrobimy, co będzie można.

Powinna była unieść głowę i podziękować mu, ale nie potrafiła. Patrzył na nią z nie skrywanym współczuciem. Życie było niesprawiedliwe. Bardzo niesprawiedliwe.

Wstała i wyszła z salonu nawet nie skinąwszy głową adwokatowi.

- Parszywa historia - powiedział Leonard do pana Coul-sona. - Z niego naprawdę był kawał świni.

Wiedziałem o tym już od jakiegoś czasu, ale o takich rzeczach nie mówi się głośno, nie mówi się w obecności kobiet, a zwłaszcza jego córek. Czy sprawy rzeczywiście stoją aż tak źle?

- Z mojego punktu widzenia, proszę pana, już nie mogło

OBSESJA

być gorzej. Dom i ziemię należałoby sprzedać, a po spłaceniu banku reszta pieniędzy powinna wystarczyć pannie Steel na kupno jakiegoś małego lokum. Widzę jednak, że jest to nierealne.

Niestety. Leonard skinął głową.

- Moja żona zawsze mówiła, że Beatrice ma obsesję na punkcie tego domu i dlatego chciała, by zwracano się do niej Beatrice Penrose-Steel. Nawet gdy była jeszcze dzieckiem, tutaj zawierał się cały jej świat, w którym wszystko znajdowało się na swoim miejscu, a ona... ona była małą panią tego domu. Teraz zaś jest ogarniętą wściekłością kobietą. Najtrudniej będzie jej zaakceptować prawdę o tym, jaki naprawdę był ojciec. Z tego, co zauważyłem, wewnątrz oboje byli do siebie bardzo podobni, oczywiście nie biorąc pod uwagę moralności.

- Oczywiście. No dobrze, będę się już zbierał. Dokończymy załatwiania tej sprawy w kancelarii. - Wstał zabierając swoją teczkę. - Nie był to radosny pogrzeb.

Leonard pomyślał, że to bardzo dziwne spostrzeżenie. Musiał się jednak zgodzić z opinią mecenasa.

Rozdział ósmy

John spojrział na Helenę, która stała przy końcu łóżka.

- Mam nadzieję, że będzie teraz spała przez następne dwanaście godzin. Jak do tego doszło?

Helena podeszła do okna i spojrzała na opadające wolno śniegowe płatki.

- To z powodu ujawnienia ciemnych stron życia mojego ojca. Okazało się, że dom jest obciążony hipoteką, że jest do zapłacenia mnóstwo długów miejscowym handlarzom, a także innym hazardzistom i lichwiarzom, którzy pobierają olbrzymie procenty. Nie zostawił żadnego testamentu.

- W ogóle nic?

- Tylko list, zresztą bardzo krótki. Dwie linijki adresowane do Beatrice. - Nie powtórzyła niesamowitej treści listu, który w subtelny sposób żądał od Beatrice, by załatwiła wszystkie te brudne sprawy, które on zostawił po sobie odchodząc na tamten świat.

- I to wywołało u Rosie aż taką histerię? - spytał z niedowierzaniem.

- Nie, nie tylko to. - Odwróciła się w jego stronę. - Ona chyba wiedziała o wszystkich niecznych postępkach ojca, zanim jeszcze adwokat powiedział o tym głośno. Ale nie chodziło

OBSESJA

tylko o pieniądze. - Przeszła obok niego i skierowała się do drzwi. Gdy je otwierała, zatrzymał ją słowami:

- O ile wiem, jego związki były nie tylko publiczną tajemnicą, ale i tematem dowcipów. - Stał tuż tuż za nią. Helena odwróciła się do niego.

- Nie wiem, jak dowiedziała się o tym wszystkim - wybuchnęła. - i nie rozumiem, dlaczego my tak długo o niczym nie wiedziałyśmy. Przecież matka również cierpiała z jego powodu. Jednak patrząc wstecz muszę przyznać, że to był szczęśliwy dom. I my, i mama zawsze byliśmy takie wesole... Tak, to ona nadawała ton naszemu życiu: dzięki niej byliśmy szczęśliwe i dopiero po jej śmierci wszystko uległo zmianie, gdy jedna po drugiej postanowiłyśmy opuścić dom. To znaczy z wyjątkiem Beatrice. Marion odeszła razem ze mną. Teraz jest w Indiach ze swoim mężem.

Nie skomentował tego, lecz patrzył prosto w jej oczy.

- Rosie też odejście, chociaż nie tak szybko, jak by tego chciała. - Poruszyła się, by spojrzeć w stronę łóżka. - Ona była najszczęśliwsza z nas wszystkich - dodała cicho, ze smutkiem. - Taka wesola trzpiotka. Nigdy nie mogła spokojnie usiedzieć na miejscu. Byłam zdumiona zmianą, jaką u mej spostrzegłam, gdy przyjechaliśmy trzy dni temu. Zachowywała się dziwnie, milczała, niemal cały czas była na granicy płaczu. Teraz już wiemy, dlaczego tak się działo. Co więcej, ona na pewno cierpiała już od dawna. Wyczułam to w jej listach. - A czy pani jest szczęśliwa?

- Słucham?

- Spytałem, czy pani jest szczęśliwa. Na chwilę utkwiała wzrok w jego oczach.

- Tak - odpowiedziała powoli. - Jestem bardzo szczęśliwa. Mam... mam wspaniałego męża. To cudowny człowiek... cudowny.

- Cieszę się.

Patrzyli na siebie, aż w końcu ona odwróciła się, żeby

Catherine Cookson

otworzyć drzwi i wyjść, więc cofnął się o krok, by zrobić jej miejsce, po czym bez słowa poszedł za nią. Zeszli na dół, gdzie czekał na nich Leonard.

- Właśnie przyjechał Teddy - powiedział na ich widok.

- Teddy Golding. Nie mógł zjawić się na pogrzebie, ale bardzo chciał przybyć tu i złożyć wyrazy współczucia. Jeszcze dzisiaj wieczorem musi wracać... Jak Rosie się czuje? Czy on może wejść do niej na chwilę?

John pokręcił głową.

- Musiałem dać jej coś na uspokojenie, bo niemal wpadła w histerię. Jutro rano będzie już znacznie lepiej, ale trzeba czuwać nad nią dzień albo dwa, aż minie szok, którego doznała.

- Gdzie Teddy? - spytała Helena męża.

- Beatrice zaprosiła go do salonu. Chodźmy tam przywitać się i wyjaśnić, co się stało. Beatrice nie jest teraz w nastroju, by zabawiać gości. Potrafiłaby jedynie narzekać i obwiniać świat za niepowodzenia swojego ojca. - Odwrócił się do Johna. - Na pewno chętnie wypije pan filiżankę herbaty, zanim wyjdzie pan w taką pogodę - wskazał głową okno.

- Mgła coraz gęstsza. Chodźmy do gabinetu. Tam jest ciepło, bo w kominku od dawna płonie ogień. Dziewczęta przyniosą panu coś gorącego do picia.

John wahał się przez moment. W zasadzie chciał się wymówić wizytą u pacjenta, ale spostrzegł, że patrzy na niego Helena. Zdawała się mówić: „Niech pan zostanie. To cudowny... cudowny człowiek”. Po kilku minutach siedział już w głębokim skórzanym fotelu przy kominku, naprzeciwko Leonarda. Nie mógł jednak znaleźć słów, by nawiązać rozmowę. Zresztą nie było takiej potrzeby, gdyż wysoki, przystojny żołnierz wstał nagle z fotela i powiedział ze śmiechem:

- Spytałem, czy chce pan coś gorącego do picia, a zapomniałem wydać polecenie służbie. - Zadzwoił pociągając ozdobny sznur zwisający obok kominka i powtórnie zajął

OBSESJA

miejsce. - Chyba dotąd nie mieliśmy jeszcze okazji się poznać, prawda? To znaczy, porozmawiać. Ale słyszałem o panu dość dużo od Heleny.

- Od Heleny? - powtórzył bezwiednie.

- Tak. Ona uważa pana za świetnego lekarza. Ma pan doskonale podejście do ludzi i dzięki temu... no, może nie jest pan niańką, ale człowiekiem, który wzbudza zaufanie swoich pacjentów i uświadamia im, że nie umrą z powodu zwykłego przeziębienia. - Obaj roześmiali się, teraz odrobinę zawstydzeni. Zapadło krótkie milczenie.

- To chyba głupie pytanie - podjął Leonard - ale... dlaczego wybrał pan zawód lekarza? Nie. Wróć. Wiem doskonale, dlaczego niektórzy z was zostają lekarzami: robią to po prostu dla pieniędzy. Ale od czasu do czasu znajdzie się taki, który widzi w tym swoje powołanie, obowiązek wobec innych ludzi. Takich lekarzy spotykamy najczęściej we wsiach i małych miasteczkach.

- Mówi pan tak, jakby miał pan dużo do czynienia z lekarzami.

- Zgadza się. Niestety, mam.

- Ooo. - John uniósł lekko brwi. - Chorował pan?

- W przeszłości na typowe choroby, jakie biali łapią za granicą: malaria, febra i tak dalej. Ale widziałem lekarzy, którzy traktowali ludzi jak bydło, podczas gdy inni zasypiali oparci o łóżko pacjenta. Teraz mam dobrego lekarza.

- Od kiedy służy pan w wojsku?

- Od osiemnastego roku życia. Znowu roześmiali się.

- No więc na pewno wiąże pana z armią głębokie uczucie - powiedział John.

- Ależ oczywiście. Niech pan doda trochę nienawiści od czasu do czasu, to będzie pan bliżej prawdy.

Pytałem, dlaczego został pan lekarzem, lecz pan mi nie odpowiedział. Za-

Catherine Cookson

stanawiałem się, czy odbyło się to podobnie jak u mnie, gdy zaciągałem się do wojska. Mój ojciec był żołnierzem, a człowiek chce iść śladami swego ojca. Czy pański ojciec był lekarzem?

- Nie, kamieniarzem.

- Naprawdę?

- Tak. A raczej rzeźbiarzem, bo potrafił zrobić z kamieniem dosłownie wszystko. Ale nie był szczęśliwy, jeśli nie wisiał na kościelnej wieży wymieniając zniszczony kamień lub chimere, albo też uzupełniając nakrycie muru w taki sam sposób, jak robiono to dwieście lat temu.

Otworzyły się drzwi i weszła Janie Bluett.

- Czy moglibyśmy dostać herbatę i kilka ciasteczek? - spytał Leonard głośnym szeptem, jakby prosił o wyświadczenie osobistej przysługi.

Uśmiechnęła się.

- Oczywiście, panie Spears. W okamgnieniu.

To okamgnienie trwało pięć minut, po których Janie wróciła z dużą tacą z serwisem do herbaty, a za nią wszedł Frances Middleton niosący ciastka i herbatniki.

Leonard podziękował im gorąco.

- Jeśli chodzi o moją pracę - powiedział z uśmiechem John - to często jestem oskarżany o dość szorstkie traktowanie chorych. Nie mam cierpliwości do symulantów.

Leonard, który właśnie zamierzał zdjąć przykrywkę z czajniczka, znieruchomiał.

- Kiedyś nienawidziłem swojego ojca za to, że namówił mnie na służbę w wojsku, ale w dniu, kiedy włożyłem mundur, powiedział mi: „Zobaczysz ludzi, którzy będą straszliwie poniewierani przez swoich dowódców. Im większy byk, tym głośniej krzyczy i tym bardziej jest nienawidzony. Bądź twardy. Nie spoufalaj się z ludźmi spoza twojej klasy, bo utracisz u nich wszelki szacunek. Gdy będziesz się z nimi zadawał, bądź sprawiedliwy i nie zapominaj, że są ludźmi.

OBSESJA

Pamiętaj, że gdyby nie moja pozycja, a także pozycja mego ojca i dziada, dzisiaj ty sam mógłbyś być jednym z nich". Z tego krótkiego przemówienia nauczyłem się więcej niż podczas wielu lat nauki w szkole, gdzie i na mnie stosowano kary cielesne. - Gestem wskazał tacę z poczęstunkiem. - Zobaczmy, co nam się teraz dostało.

John siedział patrząc na niego. Leonard dał się lubić, nie miał co do tego wątpliwości. Również Helena uważała go za cudownego człowieka. Rosie też często używała tego określenia, przynajmniej robiła to do tej pory. Był typem mężczyzny, który mógł się podobać każdej kobiecie. Ale czy Helena go kochała? Powiedziała, że jest szczęśliwa. Cóż, tylko jakaś wyjątkowo dziwna kobieta nie byłaby szczęśliwa z takim mężczyzną.

Znowu otworzyły się drzwi i do pokoju weszła Helena.

- No proszę! - zawołał na jej widok Leonard. - Nawet przez pięć minut nie można zaznać samotności.

- Odstawił jednak czajniczek i podszedł do niej, po czym objąwszy ją ramieniem przywiódł do kominka i posadził w fotelu, który sam przed chwilą opuścił. Spojrzał na Johna, na żonę i powiedział:

- Miło tu i zacisznie. Zupełnie jak daleko na tyłach za linią frontu.

John przyglądał się małżonkom. Sam nie wiedział, jak to możliwe, że siedzi tu i słucha tego mężczyzny, któremu potajemnie zazdrościł i którego czasami szczerze nienawidził.

Czesc Druga

Beatrice

Rozdział pierwszy

Beatrice siedziała w gabinecie za biurkiem, na którym leżały przeróżne papiery. Położyła łokieć na blacie i oparłszy głowę na dłoni wpatrywała się w oszkloną szafkę i powtarzała sobie, że nie pozostało jej nic innego, jak tylko postąpić zgodnie z radą prawnika, a więc sprzedać część ziemi. Może nawet osiem hektarów. Przy obecnych cenach uzyskane pieniądze wystarczyłyby na spłacenie odsetek od pożyczki hipotecznej i uregulowanie zaciągniętych przez ojca długów, a przynajmniej tego, który zaciągnął u lichwiarzy. Dług hazardowy można było kwestionować; pan Coulson powiedział, że to sprawa honoru. Sugerował też, by zredukować liczbę służby o połowę, lecz ona stanowczo się sprzeciwiła, bo liczna służba stanowiła o prestiżu, a prestiż był jedyną rzeczą, jaka jej pozostała. Nie zamierzała go tracić. Za żadną cenę.

Znowu zagłębiła się w leżące na biurku rachunki. Niektóre z nich zostały od razu zapłacone przez Leonarda, lecz od tamtej pory nadeszła masa kolejnych. Dwa z nich sprawiły, że przygryzła wargi niemal do krwi: pochodziły ze sklepu z damską konfekcją w Newcastle. Dwa osobne rachunki na sukienki z datą sprzed osiemnastu miesięcy. Chociaż wiedziała, że odziedziczyła po ojcu wiele cech, to jednak gdyby teraz był

Catherine Cookson

tutaj, zrobiłaby mu coś złego. Już sobie wyobrażała, jak stoi po drugiej stronie biurka i mówi do niej: „Ty jesteś rozrzutną panią tego domu. Musisz się nauczyć, jak oszczędnie gospodarować pieniędzmi”. W ciągu ostatnich tygodni dostała jeszcze jedną przykrą lekcję: tak zwani przyjaciele na dźwięk słowa „skandal” i wszystkiego, co było z nim związane, dyskretnie usuwali się w cień. W całej okolicy było już powszechnie wiadomo, że ojciec nie zostawił testamentu, lecz całą stertę długów. Co więcej, wyszło na jaw to, co adwokat delikatnie określił mianem „słabości”. Zresztą wszyscy mogli się przekonać, że to prawda, gdy żona Dave'a Wallace'a pojawiła się w gospodzie sponiewierana, z podbitymi oczami.

Beatrice oparła się na krześle. W domu panowała zupełna cisza. Była w nim sama; służby nie uważała za mieszkańców.

Rosie pojechała do Newcastle, żeby spotkać się z Edwardem Goldingiem, który przyjechał służbowo z Londynu na dwa dni. Wyglądało na to, że miał Rosie coś ważnego do powiedzenia, być może o zdobyciu stanowiska w Newcastle, gdzie potem mogliby razem zamieszkać.

Od czasu, gdy Rosie dowiedziała się prawdy o ojcu, zaszła w niej wielka zmiana. Chociaż i Beatrice doznała szoku, jednak nie dotknęło jej to aż tak boleśnie. Ale przecież Rosie zawsze była dziecinna, nie rozumiała wielu spraw dorosłego życia. Przebywała w swoim własnym, wyidealizowanym świecie. Mimo wszystko Beatrice cieszyła się, że gdy Rosie wyjdzie za mąż, to będzie mieszkała niedaleko. Bez niej czułaby się zupełnie opuszczona. Bardzo ją lubiła, mimo że najmłodsza siostra miała taki niefrasobliwy charakter. Lubiała ją bardziej niż Marion czy Helenę. Tak, Helena grała jej na nerwach, podobnie jak jej zaślepiony, rozkochany mąż. Owszem, ładnie się zachował płacąc te rachunki, ale teraz przecież miał wystarczająco dużo pieniędzy. Ale Helena... nie, Heleny nie mogła już znieść, nigdy nie mogła. Było w niej coś, jakieś

OBSESJA

poczucie wyższości. Dawała do zrozumienia innym, że jest od nich lepsza. Może to tylko jej wysoki wzrost i uroda... Wszystko jedno, załazła jej za skórę i denerwowała ją za każdym razem, gdy się spotykały. Rozległo się pukanie do drzwi.

- Proszę! - zawołała. Do gabinetu weszła Frances Middleton ze srebrną tacą.

- Poczta, proszę pani.

- Połóż tam. - Beatrice wskazała narożnik biurka i nawet nie podziękowawszy służącej wróciła do swoich zapisków.

Dopiero później z pewną dozą niechęci otworzyła listy. Pierwszy - wiedziała to doskonale - zawierał kolejny rachunek. Rachunki zawsze przychodziły w specjalnych kopertach. Już nauczyła się je rozpoznawać. Lecz druga koperta była inna. Obejrzała ją dokładnie. Nim dotarła do jej domu, była już dwukrotnie zwracana spod innych adresów. Otworzyła ją i po nagłówku listu od razu zorientowała się, że nadawcą jest firma adwokacka. List zaczynał się słowami:

Szanowny Panie Pułkowniku Steel.

Jeszcze raz spojrzała na kopertę. Pismo było adresowane do pułkownika Steela, a więc nie do jej ojca, lecz do dziadka. Zaczęła czytać.

Informuję Pana, że pańska siostra, Alicja Benton Forester, zmarła 17 lutego dożywszy sędziwego wieku dziewięćdziesięciu ośmiu lat. Mieliśmy trudności z odnalezieniem Pańskiego adresu, ponieważ zmarła pamiętała jedynie pańskie imię i nazwisko. Nie pozostawiła testamentu, a roczna pensja, dzięki której mogła mieszkać w domu, wygasła wraz z jej śmiercią. Zostawiła po sobie niewiele: bransoletę i wisiorek. Żaden z tych przedmiotów nie ma większej wartości, lecz przekażę je Panu, jeśli wyrazi Pan takie życzenie.

Catherine Cookson

Spotkałem zmarłą kilka razy, ale to było sporo lat temu. Była osobą łagodnego charakteru, tak przynajmniej twierdzą pracownicy domu opieki. Poinformowali mnie oni również, że jej stan zdrowia uległ zmianie od czasu, gdy miała czterdzieści lat, kiedy to zdarzały się jej stany podniecenia i histeryczne napady, podczas których opanowywało ją pragnienie obnażania się. Ataki z biegiem lat stopniowo ustępowały. Była ulubienicą całego personelu.

Zmarła zostaje pochowana na miejscowym cmentarzu, a ponieważ na tej ceremonii nie spodziewamy się Pana obecności, oczekuję na Pańską decyzję odnośnie do tych kilku pozostałych błyskotek.

Czekam na odpowiedź.

Z wyrazami szacunku

Thomas Harding

Przesunęła wzrok na górę kartki, gdzie wydrukowano napis „Kancelaria Prawnicza Harding & Bright”, pod którym widniał adres w Falmouth.

Więc byłby to ktoś, kto mógł im zostawić tylko parę błyskotek. Z obrzydzeniem odrzuciła list. To była ciocia Ally,

o której opowiadała babcia i do której czasami jeździł dziadek - cały świat drogi do Kornwalii.

Odwróciła głowę w bok i w myślach powtórzyła niechętnie wyrażenie z listu: „obnażać się”. Niech sobie zatrzymają te błyskotki. Nie zamierzała odpowiadać na list, bo i tak miała dość spraw na głowie, a oni przesłaliby jej w następnej kolejności rachunek za pogrzeb. Znała prawników. Miała ich już dość, zwłaszcza tego Coulsona. Adwokaci winni pomagać ludziom, a on poradził jej tylko, by sprzedała ziemię. No

i oczywiście Helena... ta doradziła jej, żeby odnajęła komuś oficynę, która właściwie była oddzielnym domem. Niech sama postępuje według takich rad i weźmie sobie lokatorów do swojego domu.

OBSESJA

Nagle Beatrice wstała i powiedziała sobie: „Na dzisiaj mam już dosyć”. Wyszła z gabinetu. W hallu zatrzymała się. Miała zamiar pójść do salonu, lecz dochodziły stamtąd odgłosy sprzątanania, więc zapewne była tam jedna z pokojówek. Ruszyła więc po schodach na górę. Na podeście stanęła znowu i spojrzała ponad barierką na hall. Dlaczego dzisiaj dom wydawał się taki pusty? Pewnie dlatego, że nie było Rosie. Co ona, Beatrice, zrobi, kiedy siostra wyjdzie za mąż? Oczywiście będzie mieszkała w pobliżu, ale to nie to samo, co w domu. Było to jednak lepsze od wyboru, którego dokonała Marion - wyjazd do Indii, a także od wyboru Heleny, by zamieszkać w Hampshire. Naturalnie Helena zdecydowała się na to, aby być blisko utytułowanego kuzyna męża. Głosiła teorię, że wszyscy mężczyźni lubią sobie pozełgować... A ona przecież bardzo lubiła towarzystwo mężczyzn. Beatrice weszła do swojej sypialni, gdzie od razu skierowała się do stolika, na którym leżało pudełko czekoladek. Uniosła pokrywę i włożyła czekoladkę do ust. Już miała się odwrócić, lecz w ostatniej chwili pochwyliła pudełko i usiadła przy oknie, pochłaniając po kolei wszystkie czekoladki. Gdy miała chandrę, odczuwała potrzebę zjedzenia czegoś słodkiego. Jak sięgała pamięcią, czekoladki zawsze dawały jej ukojenie.

Nagle przestała jeść i odsunęła pudełko. Zapragnęła, żeby Rosie wróciła już do domu.

Rozejrzała się po pokoju: wszystko aż lśniło od czystości, lecz ten widok wcale nie sprawił jej przyjemności, nie poprawił nastroju, bo odczuwała teraz coś zupełnie nowego. Nigdy nie zdawała sobie sprawy, że potrzebowała kontaktu z ludźmi. Zwykle trzymała się na uboczu, z dala od denerwującego ją śmiechu i rozmów towarzystwa.

Spojrzała przez okno: stada gawronów wracały na noc do swych stałych miejsc. Wstała. Nie lubiła gawronów i ich nieustannego krakania. Jutro weźmie dubeltówkę. Oko miała gorsze niż jej ojciec, ale zawsze udawało się jej ustrzelić kilka

Catherine Cookson

sztuk. Tyle że ostatnio ptaki przeniosły swoje gniazda na drzewo, które rosło jeszcze bliżej domu. Odgłos zamykanych z głośnym hukiem frontowych drzwi poderwał ją niemal do biegu. Szybkim krokiem pokonała schody i na dole podeszła do Rosie, która właśnie wyjmowała ozdobne szpilki z kapelusza.

- Ojej, widzę, że przemarzłaś.

- Wcale nie. - Rosie uśmiechnęła się szeroko. - Przyjechałam ze stacji omnibusem, a resztę drogi przeszłam. Było cudownie. - Zdjęła palto. - Marzę o herbacie, Beatrice.

- Zaraz zadzwonię po służbę. Chodźmy do saloniku, bo w dużym salonie teraz sprzątają.

Gdy Rosie opadła na miękką sofę, Beatrice spytała:

- Byliście w jakiejś miłej restauracji?

- Tak. Było wspaniale. Mam dla ciebie wiadomość. Chodź i usiądź tutaj. - Lekko poklepała miejsce na sofie tuż obok siebie. Beatrice zajęła wskazane miejsce, a wtedy siostra chwyciła ją mocno za rękę. - Jestem taka podniecona. - Pokręciła głową. - Wprost nie mogę w to uwierzyć: być może wyjadę do Ameryki. Beatrice milczała przez chwilę.

- Co takiego? Do Ameryki? - Zmrużyła oczy, jakby starała się wyobrazić sobie odległość dzielącą ich od tego kontynentu.

- Tak! Tak! Do Ameryki! Wiesz, że Teddy miał objąć posadę w Newcastle, ale został wezwany na dwór Jego Wysokości. - Klasnęła w dłonie. - Tak nazywa swojego przełożonego. To bardzo ważna osoba i, jak powiedział Teddy, nie każdy jest zapraszany do gabinetu na piętrze, chyba że zasłużył sobie na naganę. Właśnie tego się spodziewał. - Roześmiała się. -1 wiesz co? Otrzymał propozycję wyjazdu do Ameryki. Zdaje się, że jeden z pracujących tam dyplomatów zachorował i zmarł. Był taki młody... - Nagle uśmiech zniknął z jej ust. - I nie miał jeszcze żony. W tym rzecz. - Straciła humor. - Właśnie o to chodzi. Wolą, żeby ich młodzi

OBSESJA

pracownicy wysyłani na odległe placówki nie byli żonaci, ale od czasu do czasu robią wyjątki, no i zanim Teddy powie im o tym, chce być pewny, że za niego wyjdę. - Przygryzła mocno wargę, żeby powstrzymać się od radosnego uśmiechu.

- On zostanie w Newcastle jeszcze przez dwa, może trzy dni, bo chce tu przyjechać i porozmawiać z tobą. Skoro ojciec nie żyje, pragnie właśnie ciebie prosić o pozwolenie. Teddy bardzo dba o formy, mimo że jest jeszcze taki młody. No, może nie aż taki młody, ma w końcu dwadzieścia cztery lata. Zamieszkał w hotelu „George Inn” i chciałby, żebyśmy tam przyjechały na kolację w przeddzień jego wyjazdu. Mówię ci... - Zamknęła oczy i aż zadrżała z radości. - Jestem taka szczęśliwa! Ameryka! Wielka Ameryka! - Spojrzała na siostrę.

- Nie cieszysz się razem ze mną? Wiem, że to okropne zostawić cię tutaj... ale musisz mnie zrozumieć. Ostatnio czułam się bardzo nieszczęśliwa... od czasu, gdy wynikły te sprawy z ojcem, i możliwość wyjazdu... - Chwyciła obie dłonie Beatrice. - Mogłabyś przyjeżdżać tam na wakacje. Teraz nie ma z tym problemu. Statki płyną bardzo szybko: osiem dni i już jesteś na miejscu. A ty przecież jeszcze nigdy stąd nie wyjeżdżałaś. Żadna z nas nie wyjeżdżała. Teraz Marion jest w Indiach, no i świetnie. W ostatnim liście napisała, że jest tam nieziemsko pięknie. Przecież zostanie ci jeszcze Helena. Jeśli jej pozwolisz, będzie cię odwiedzała.

- Przyciągnęła rękę Beatrice do swojej piersi. - Nigdy nie byłaś w dobrych stosunkach z Heleną, ale gdybyś tylko spróbowała... Ona jest taka miła. Myśli o tobie i niepokoi się o ciebie. Sama mi mówiła.

Beatrice niemal siłą wyrwała rękę z dłoni siostry, wstała i spojrzała na nią z góry.

- Nie potrzebuję żadnej łaski ani od Heleny, ani od kogokolwiek. Nikt nie musi się o mnie martwić, bo ja sama dam sobie radę. Jeśli zaś chodzi o ciebie i tę nowinę, ten twój wyjazd do Ameryki, to świadczy, że wcale o mnie nie

Catherine Cookson

pomyślałaś. Zostanę tu zupełnie sama, ale to przecież nieważne. W ogóle nieistotne. - Odwróciła się w stronę płonącego w kominku ognia. - Mam jeszcze ten dom i... i to jest dla mnie najważniejsze.

Zrozum to, mieć dom i utrzymać go.

- Nawet gdy mówiła te słowa, wiedziała, że w tej chwili to wcale nie jest dla niej najważniejsze.

Potrzebowała towarzystwa, towarzystwa Rosie. Oczywiście, chciała zatrzymać dom, który przez całe życie był dla niej wszystkim, lecz chciała dzielić życie w nim z... no, nie z każdym, tylko z kimś, kto wyrósł tu, kochał ten dom, wielbił i pielęgnował go tak jak... Chciała dodać: „jak niegdyś jej ojciec”.

Jednak teraz nie mogła myśleć o ojcu.

Rosie stanęła obok siostry.

- Spotkasz się z nim jutro po południu, dobrze? - spytała błagalnie. - On prosił, żeby to było jutro.

- Oczywiście. Oczywiście, że się z nim spotkam. W każdym razie, z prawnego punktu widzenia jestem twoją opiekunką i mogłabym się nie zgodzić.

- Ale nie zrobisz tego, prawda, Beatrice? Wiesz przecież, że chcę wyjechać.

- Dlaczego chcesz wyjechać? To jest twój dom. Rosie odsunęła się gwałtownie od siostry.

- To nie jest mój dom! - zawołała. - Już nie uważam go za mój. Powiem ci, że bardziej u siebie w domu czuję się po drugiej stronie muru.

- O, tak. Jestem w stanie w to uwierzyć. U tego prostaka świniopasa i jego mat...

- Nie waż się nazywać go prostakiem i świniopasem! Jeśli gdzieś na świecie żyje prawdziwy farmer, to jest nim właśnie on. Tylko nie ma dużo ziemi. Gdyby miał to wszystko

- zatoczyła ręką koło - zobaczyłabyś, co by z tego zrobił! Beatrice patrzyła na nią zaskoczona: oto młoda kobieta. Po

uległym dzieciaku nie zostało już ani śladu. Nie było już nikogo, nad kim mogłaby dominować, a potrzebę dominacji

OBSESJA

odczuwała równie mocno jak potrzebę towarzystwa. Chociaż nie zdawała sobie z tego sprawy, musiała mieć kogoś, kim mogłaby rządzić.

Rosie ruszyła przez salon w stronę drzwi.

- Pojadę do Ameryki - rzuciła dobitnie. - I ty nic na to nie poradzisz.

Beatrice oparła się o kominiek. „Nie”, pomyślała ze smutkiem. „Nic na to nie poradzę”. Opadła bezwładnie na sofę i skrywszy twarz w dłoniach jęknęła głośno. Chciało jej się płakać.

Po chwili wyprostowała się, otarła twarz chusteczką i kilka razy odetchnęła głęboko, jakby z rezygnacją przyjmując do wiadomości to, co nieuchronnie nastąpi...

Dziesięć minut później zaczęła uprzątać biurko w gabinecie. Na końcu wzięła kilka otwartych listów, na które jeszcze nie odpowiedziała, i ułożyła w równy plik. Wtedy jej wzrok padł na list od prawnika, który informował o śmierci nieznannej kobiety w domu opieki.

Z lat dziecięcych dobrze pamiętała przysłowie: ziarnko do ziarnka aż zbierze się miarka. Wciąż wpatrywała się w kartkę. Tak, trudne sytuacje wymagają zdecydowanych środków zaradczych.

Wzięła list do ręki i przeczytała go jeszcze raz. Jej oczy wędrowały po słowach:

„stany podniecenia i histeryczne napady,

podczas których opanowywało ją pragnienie obnażania się.

Ataki...”

Położyła na liście otwartą dłoń i przycisnęła tak mocno, jakby go chciała wprasować w biurko.

Pomyślała o dotychczasowym życiu swojej młodszej siostry. To był punkt zaczepienia. Mocny punkt.

Wcale nie będzie kłamała. Chwyciła list, złożyła go, odszukała w koszu na śmieci kopertę, w której nadszedł, po czym wstała i jeszcze raz trzykrotnie głęboko odetchnęła. Tym razem z ulgą.

Rozdział drugi

Rosie siedziała przy stole pani Anny, która zajmowała miejsce naprzeciwko niej. Robbie stał za matką, trzymając rękę na oparciu jej krzesła. Oboje patrzyli na swojego gościa.

- Do Ameryki? - powtórzyła pani Anna.

- Tak. Czy to nie cudowne? Proszę was - wyciągnęła ku nim rękę przez stół - nie mówcie mi, że to tak daleko, że będziecie za mną tęsknić, bo ja będę tęskniła za wami dwa razy mocniej. Ale ja... muszę się stąd wyrwać. - Ostatnie słowa powiedziała niemal szeptem. - To jest jakby odpowiedź na moje modlitwy - mówiła cicho. - Nie chcę wyjechać po prostu do sąsiedniego miasteczka, do Newcastle czy Durham, chcę odjechać gdzieś daleko stąd, daleko od tego domu.

- Co na to Beatrice?

- Stała okoniem i zagroziła, że jest w stanie zabronić mi wyjazdu, bo nie mam jeszcze dwudziestu jeden lat. Lecz teraz chyba już się z tym pogodziła. O trzeciej przyjeżdża Teddy. Słyszałam, jak Beatrice mówiła kucharce, żeby przygotowała coś specjalnego, więc - uśmiechnęła się blado - chyba nie zamierza poczęstować go jedynie słowami „dzień dobry” i „do widzenia”. Pojechała do Newcastle, żeby porozmawiać z prawnikiem o sprzedaży ziemi. Musi to zrobić, jeśli chce utrzymać dom. Powiedziała, że wróci o pierwszej. Jestem taka

OBSESJA

podniecona, pani Anno. I - spojrzała na Robbiego - proszę, nie patrzcie tak na mnie. Nie będzie mi łatwo was opuścić, bo tak wiele dla mnie znaczą. Oboje. W tych ostatnich latach gdyby nie wy, chyba zrobiłabym coś strasznego... może nawet poprosiłabym Jimmy'ego Oldhama, żeby się ze mną ożenił. Ma dopiero czterdzieści lat. Ale wtedy musieliby szukać innego parobka. On był zawsze miły dla...

- Przestań! Mówisz jak miejska dziwka!

Zdumiona spojrzała na Robbiego, który szybkim krokiem wychodził z kuchni. Przeniosła wzrok na jego matkę. Pani Anna patrzyła na stół, wybijając palcami na blacie jakiś rytm. Odgłos uderzeń brzmiał w uszach Rosie jak kakofonia. Czekwała na jakieś wyjaśnienie, lecz usłyszała tylko krótkie zdanie:

- Robbie bardzo cię lubi.

- Ja... ja wiem - jąkała się. - Wiem i sama też go lubię. Bardzo go lubię. Chciałam tylko powiedzieć, wytłumaczyć samej sobie, dlaczego chcę stąd wyjechać.

- Wiem, moje dziecko. - Pani Anna wyciągnęła rękę i chwyciła dłoń Rosie. - To dziwne, że tak często nie dostrzegamy rzeczy, ważnych rzeczy, które się dzieją tuż przed naszymi oczami. Powinniśmy umieć ocenić ich znaczenie, ale nigdy tego nie potrafimy. Potrzebne jest coś, nie wiem, huragan, trzęsienie ziemi... osobisty wstrząs, żeby otworzyły nam się oczy.

Na twarzy Rosie malowało się zaskoczenie. Powiedziała sobie, że pani Anna chyba nie ma na myśli tego samego, co ona, bo Robbie miał dwadzieścia osiem lat... i dla niej zawsze był jak starszy brat, czasami prawie jak ojciec. Niekiedy złościł się na nią, krzyczał, nigdy nie mówił tak łagodnie jak pani Anna. W każdym razie teraz tak do niej nie mówił. Bywał miły, kiedy ona była jeszcze mała. Brał ją na barana. Lecz w ciągu ostatniego roku bywały okresy, kiedy prawie w ogóle się do niej nie odzywał. Wiedziała, że chodził na tańce z Peggy Morgan i Mary MacKenzie. Lecz teraz Mary

Catherine Cookson

MacKenzie była mężatką. Pamiętała pewną młodą kobietę, która przychodziła dość często, a pani Anna kłamała, że Robbiego nie ma w domu. Była córką właściciela sklepu spożywczego. Pani Anna mawiała, że ta dziewczyna pragnęła krwi Robbiego. Rosie zawsze śmiała się z tego.

Ale teraz nie dostrzegала w życiu nic śmiesznego. Przez moment żałowała swojego wyjazdu do Ameryki, bo wiedziała, jak bardzo będzie tęskniła za tymi ludźmi. Kochała ich. Tak, to było właściwe słowo. Kochała ich tak, jak nie kochała nikogo ze swojej rodziny, w każdym razie od czasu śmierci matki. Owszem, lubiła Helenę... Dlaczego siedziała tutaj mając w głowie kompletny zamęt?

- Idź, porozmawiaj z nim - powiedziała niespodziewanie pani Anna.

- Zwymyśla mnie. Jest w takim nastroju...

- A czego się spodziewasz?

- Chciałabym, żeby mi życzył szczęścia i żebym wyrwała się z domu, w którym mieszkam. On nienawidzi go tak samo jak ja, bo jeszcze dłużej niż ja. Myślałam, że ucieszy się z moich planów.

Pani Anna wstała i odwróciła się do pieca.

- Idź. Porozmawiaj z nim.

Rosie powoli podniosła się i wyszła. Wiedziała, gdzie go szukać, i udała się prosto do obory.

Gdy otworzyła drzwi, zobaczyła go: stał tuż przy ścianie i garścią słomy wycierał bok jednej ze swoich podopiecznych.

- Robbie.

Odwrócił głowę w jej stronę.

- Przepraszam... Przepraszam, że zdenerwowałam cię głupim gadaniem.

- Daj sobie spokój. - Powrócił do przerwanej zajęcia.

- Nie mogę dać sobie spokoju. Ja... pewnie wyjadę szybciej, niż kiedykolwiek przypuszczałam. I bez względu na to, co się stanie, będzie mi ciebie brak. Nawet nie wiesz, jak bardzo.

OBSESJA

- Więc dlaczego to robisz? - Wykonał gwałtowny obrót, rzucił słomę i po chwili stał przy niej, przysuwając twarz blisko do jej twarzy. - Dlaczego to robisz? - powtórzył natarczywie. W pierwszej chwili nie potrafiła mu odpowiedzieć. Miała ściśnięte gardło. Z jej oczu popłynęły łzy.

- Wiesz dlaczego - załkała. - Wiesz. Ja muszę wyrwać się... muszę...

- Jeśli chcesz uciec, to są inne sposoby, żeby to osiągnąć.

- Nie... nikt... nikt inny nie poprosił mnie o rękę...

- Jezus Maria! Dziewczyno! - Przycisnął ją mocno do siebie. - Nie płacz, malutka, no nie płacz. Rozumiem. Rozumiem cię. - Zniżył głos do szeptu. - Nikt nie prosił cię o rękę? Dobry Boże! Skończony dureń! Nie płacz tak, malutka. Już dobrze, dobrze. Rozumiem. Przestała płakać i wyrwała się z jego objęć.

- Przepraszam... przepraszam cię. Spojrzał jej prosto w oczy.

- Pragnę tylko jednego, Rosie - powiedział cicho. - Twego szczęścia. Zawsze chciałem tylko tego. To był nawet główny cel mojego życia, od czasu, gdy ściągnąłem cię na ziemię. Pragnąłem, żebyś zachowała tę swoją młodzieńczą radość i beztroskę, która tak bardzo różniła cię od innych. Wiem, że to jeszcze nie umarło, że to wciąż w tobie tkwi, chociaż teraz jest głęboko ukryte. Dorastanie zawsze nieco tłumi tę radość życia, ale ona jeszcze powróci. Zobaczysz. Gdziekolwiek będziesz, w Ameryce czy też w Timbuktu, ona powróci. Chodźmy już. Nie płacz, bo mama da mi po głowie za to, że doprowadziłem cię do takiego stanu. Ostatnio miałaś już dosyć zmartwień, a teraz trzeba ci odrobiny radości. Uwierz mi, Rosie: ja pragnę tylko twojego szczęścia. - Powstrzymał się, by nie dodać: „U mojego boku, najmilsza. U mojego boku”. Objął ją ramieniem i poprowadził z powrotem do domu. W kuchni odezwał się do matki:

Catherine Cookson

- Mam nadzieję, że nie wypiął resztki tego trunku, co?

- Nie wiem, o czym mówisz - odparła. - Ja nie piję żadnych trunków. Ale doskonale wiem, kto je żłopie.

- No to wypijmy za Amerykę, co? - Uśmiechnął się do Rosie, po czym odwrócił się do matki.

Pomyślał, że i ona za chwilę zacznie płakać, więc krzyknął na nią: - Nie stój jak manekin, kobieto.

Przynies tę butelkę.

Gdy pani Anna brała whisky z półki w jadalni, przygryzła mocno wargę i powiedziała sama do siebie:

- Anno Macintosh, masz najlepszego syna spośród miliona innych synów na świecie.

Na widok Beatrice, wchodzącej do salonu w swojej najlepszej sukni, Rosie zerwała się na nogi.

- Ślicznie wyglądasz, Beatrice. Ta suknia zawsze bardzo mi się podobała i doskonale do ciebie pasuje.

Dziękuję ci, że włożyłaś odświętne ubranie na jego wizytę. Mówię ci! W kuchni można by pomyśleć, że wydajemy wielkie przyjęcie. Kucharka przygotowała wspaniałe rzeczy. Która godzina?

Beatrice spojrzała na zegar.

- Za dziesięć trzecia. Mam nadzieję, że jest dżentelmenem i się nie spóźni.

- Ależ jest, zapewniam cię. Jego praca polega na uzgadnianiu terminów i organizowaniu spotkań.

Mówi mi, że czasami czuje się jak sekretarz w parlamencie. Wczoraj rozśmieszył mnie, gdy powiedział, że zawsze jest druhną, a nigdy rumieniącą się panną młodą.

- Masz włosy na policzku. - Beatrice wyciągnęła rękę i palcem zawinęła niesforny kosmyk za uchem siostry. Zrobiła to tak delikatnie, że Rosie nagle pochyliła się nad nią i pocałowała ją w policzek.

- Trochę się denerwuję - rzekła siadając - To będzie oficjalna wizyta, prawda?

OBSESJA

- No, w pewnym sensie... Wybiła trzecia.

Wpół do czwartej.

Rosie kolejny raz podeszła do drzwi.

- Musiał spóźnić się na pociąg albo nie złapał dorożki na stacji. Mówiłam mu, żeby przyjechał dorożką. - Mamy dużo czasu. Usiądź. Przecież nic złego się nie stało. Kucharka zaparzy herbatę dopiero wtedy, kiedy on przyjdzie. Weź sobie czekoladkę. - Podsunęła jej pudełko, a Rosie posłusznie wzięła jedną, mimo że nie lubiła czekoladek. Trzymała ją w palcach patrząc, jak Beatrice zjada kremową pralinę i bierze następną. Dopiero wtedy odłożyła pudełko na stół.

- Stracisz apetyt na podwieczorek, jeśli teraz najesz się słodczy.

- Wiesz, to dziwne, ale słodczy nigdy nie mają wpływu na mój apetyt... No chodź, usiądź. Twoje chodzenie tam i z powrotem gra mi na nerwach.

Dopiero za dziesięć czwarta rozległ się dzwonek u drzwi. Siostry wstały z kanapy. Beatrice wygładziła fałdy aksamitnej sukni, poprawiła stan i ręką zatrzymała Rosie, która już zamierzała ruszyć w kierunku drzwi.

- Frances otworzy, moja droga. Uspokój się.

Dobiegły ich jakieś głosy z hallu, po czym usłyszały, jak zamykają się drzwi, a chwilę potem ktoś zapukał do salonu. To Frances przyniosła na tacy jakiś list, spojrzała to na jedną, to na drugą siostrę i w końcu podsunęła go Rosie.

- To dla panienki.

Rosie wzięła list, złamała pieczęć i przeczytała: *Moja droga Rosie,*

To wielki pech, ale zostałem wezwany z powrotem do Londynu i natychmiast muszę tam jechać. Nie wiem, czy to ma

Catherine Cookson

jakiś związek z moim przyszłym wyjazdem do Ameryki, ale powiadomię Cię, jaką w tej sprawie podjęto decyzję. Szczerze i na zawsze Ci oddany

Teddy

Patrzyła na kartkę.

W liście ani razu nie padły słowa „moja najdroższa”, „kocham cię”, ani też „jakże cierpię z powodu wyjazdu”.

Nie mogła tego pojąć. To nie było podobne do Teddy'ego. Zbierała wszystkie jego listy: były pełne ciepła, tkliwości, nawet miłości. Miała uczucie, że to właśnie dzięki nim nie pogrążyła się w rozpacz podczas tych ostatnich miesięcy. Automatycznie podała list Beatrice.

- Nic nie rozumiem... Naprawdę nic! Wczoraj..; — Urwała. Nie znalazła słów, by opisać jego nastrój poprzedniego dnia, nastrój wywołany perspektywą małżeństwa i wspólnego wyjazdu za granicę. Był tym podniecony jak młokos, mówił nieustannie o Ameryce, o życiu w Nowym Świecie. Oczywiście, ostrzegał ją, że władze raczej nie zezwalały młodym mężczyznom na ożenek przed wyjazdem na odległą placówkę, on jednak miał przeczucie, że wszystko da się załatwić. Lecz ponieważ jeszcze nie przedstawił tej sprawy swoim przełożonym, to wezwanie go do Londynu nie mogło mieć nic wspólnego z jego prośbą o zgodę na zawarcie związku małżeńskiego przed wyjazdem z Anglii.

Beatrice przeczytała list dwukrotnie i powiedziała:

- Mówiąc oględnie, to jest po prostu brak wychowania.

- Ale... to na pewno było coś bardzo pilnego, inaczej nie wezwaliby go do Londynu. - Rosie natychmiast stanęła w jego obronie. - To nie jest typ mężczyzny, który zachowałby się niegrzecznie. On jest nawet zbyt formalny. To część jego pracy, przecież spotyka się z wieloma ludźmi, więc musi zachować nienaganne maniery. Wyjaśnił mi to kiedyś. - Nagle usiadła na kanapie i zadała sobie w myślach pytanie, jak długo

OBSESJA

będzie musiała czekać na wyjaśnienie. On spotka się ze swoimi przełożonymi dopiero nazajutrz, potem napisze list, a ona otrzyma go dopiero następnego dnia. To oznaczało dwa pełne dni oczekiwania, nie licząc dnia obecnego. Nie wiedziała, jak to znieśie.

Spojrzała na Beatrice ubraną w swoją najlepszą suknię. Zadała sobie tyle trudu, żeby godnie przyjąć gościa, a co więcej, Rosie wiedziała, że siostra będzie musiała się zmuszać, żeby być miłą i uprzejmą.

- Przepraszam - powiedziała łamiącym się głosem. - Narobiłaś sobie tyle kłopotu...

- Proszę cię - w głosie Beatrice brzmiała troska - proszę, nie martw się o mnie jedynie dlatego, że włożyłam elegancką suknię. Jeśli zaś chodzi o podwieczorek... cóż, przecież i tak musimy coś jeść. To w ogóle nieważne. Przykro mi tylko, że ty doznałaś rozczarowania. To bardzo dziwna sytuacja.

Usiądź. Zadzwoń, żeby podano podwieczorek.

- Nie, proszę cię. I tak nie mogłabym nic przełknąć, nawet herbaty. Wyjdę na chwilę. - Ruszyła do drzwi.

- Dokąd idziesz?

Rosie nie odpowiedziała, tylko powoli szła w kierunku drzwi.

- Chyba me wybierasz się do sąsiadów za murem, żeby im opowiedzieć, co się stało? - spytała dobitnie Beatrice.

Rosie odwróciła się.

- Tak, żebyś wiedziała. Właśnie to zamierzam zrobić. I tak miałam zamiar tam pójść po podwieczorku, aby im powiedzieć, co zostało ustalone, więc pójdę i powiem, że nic nie zostało ustalone.

- Wiesz, że nie lubię, gdy tam chodzisz. Dlaczego to robisz?

- Bo to moi przyjaciele. Zawsze nimi byli i zawsze będą, bez względu na wszystko. Przykro mi, ale nie masz na to żadnego wpływu, Beatrice. Będę ich odwiedzała tak długo, jak będą tu mieszkać i czekać na moje odwiedziny.

Catherine Cookson

Patrzyły na siebie przez chwilę, następnie Rosie odwróciła się i wyszła cicho zamykając za sobą drzwi. Z garderoby w hallu wzięła stare palto i wełnianą czapkę, a z bocznego stojaka zdjęła kalosze. Zawsze wkładała ten strój, gdy zamierzała przejść przez mur. Jednak wiedziała, że dzisiaj nie będzie tego robić, że pójdzie przez bramę... Pięć minut później, gdy pani Anna usłyszała pukanie w kuchenne drzwi i ujrzała postać stojącą w - jak to określała

- „starych szmatkach”, zawołała:

- Co się stało, dziewczyno? Myślałam, że... - Urwała, bo przerwał jej Robbie, który wstał nagle od stołu, przy którym jadł podwieczorek.

- Może byś się tak odsunęła i wpuściła ją do środka?

- krzyknął na matkę. - Co się z tobą dzieje, kobieto? - Spojrzał na Rosie. - Coś się nie udało?

Myślałem, że...

- Czy mogłabym dostać filiżankę herbaty?

- Oczywiście, różyczko. Nawet dwie albo trzy. Usiądź przy kominku.

Milczeli i czekali, aż Rosie wypije herbatę. Gdy skończyła, spojrzała na gospodarzy.

- On nie przyjechał, tylko przesłał mi to. - Wyjęła z za bluzki list i wyciągnęła rękę w ich stronę.

Robbie pierwszy przeczytał kartkę, po czym uniósł głowę i utkwiał wzrok w Rosie. Bez słowa podał

Ust matce, która zapoznawszy się z jego treścią, powiedziała natychmiast:

- Dziwna sprawa. Czy zawsze dostajesz od niego takie listy? To znaczy, utrzymane w takim tonie?

Rosie opuściła głowę. - Nie - rzekła cicho.

- No, cóż, musi być jakaś przyczyna - odezwał się Robbie.

- Musi być przyczyna, i on, tak jak napisał, powiadomi cię o tym w ciągu kilku dni. Pewnie pisał to, gdy był zdenerwowany faktem, że nie może do ciebie przyjechać. Mówiłaś, że mają tam w Newcastle jakieś biuro, czy coś takiego,

OBSESJA

mające odległe powiązania z rządem, prawda? O takich rzeczach się nie mówi. To zawile, skomplikowane sprawy. - Wstał z kanapy i przykucnął tuż przed Rosie ujmując jej dłonie. - Wszystko będzie dobrze. Jeśli znam się na rzeczy, to ten gość świata poza tobą nie widzi. Według mnie to nie ma nic wspólnego z jego... osobistymi chęciami. Po prostu wynikła pilna sprawa służbowa. Tak było.

- Tak myślisz? - Rosie zajrzała głęboko w brązowe, łagodne oczy. - Najgorsze jest to - głos jej się załamał - że miałam już Beatrice po swojej stronie. Włożyła najlepszą suknię, kazała przygotować wspaniały poczęstunek. I była... próbowała być bardzo miła.

- To u mej dość niezwykle. - Uśmiechnął się Robbie.

- No właśnie - przytaknęła Rosie. - Przez to czuję się jeszcze bardziej przygnębiona. Miała dobre intencje, a mnie nie udało się tego wykorzystać. Robbie wstał.

- Muszę zejść do zagrody. Betsy będzie się żrebić.

- Ale sam mówiłeś, że to nastąpi dopiero po dwóch tygodniach - powiedziała Rosie zmienionym głosem. - Wiem, ale dzisiaj obejrzałem ją i poznałem, że coś jest nie tak, jak powinno. Ona niemal mówiła coś do mnie, więc myślę, że potrzebuje pomocy. Może będę też musiał wezwać weterynarza.

- Czy mogę iść z tobą?

- Masz ładną sukienkę - wtrąciła się pani Anna.

Rosie odwróciła się do niej z lekkim uśmiechem na ustach.

- Ale za to przysłałam w starym palcie. Zauważyła pani?

- Tak, to się zgadza.

Robbie pomógł jej włożyć okrycie, podał wełnianą czapkę, choć przez moment wykonał taki ruch, jakby chciał włożyć ją Rosie na głowę. Jednak oboje zastygli w bezruchu, więc po prostu podał jej nakrycie.

Pani Anna w milczeniu patrzyła, jak syn wkłada swoją

Catherine Cookson

kurtkę i czapkę, następnie bierze Rosie pod łokieć i wyprowadza na zewnątrz. W tej chwili nasza ją dziwna myśl, gdy połączyła dwa cytaty, z których powstało zdanie: „Pan Bóg nierychliwy, ale sprawiedliwy i niezbadane są drogi Opatrzności”.

Josie otrzymała list dopiero trzy dni później. Zabrała go do swojej sypialni. Treść listu wprawiła ją w takie osłupienie, że przeczytawszy go po raz trzeci, rzuciła go na podłogę. Siedziała na łóżku patrząc przed siebie, gdy rozległo się pukanie do drzwi i do sypialni weszła Beatrice.

- Co się stało, moja droga? Złe wiadomości?

Rosie spojrzała na nią, ale w tej właśnie chwili nie potrafiła odpowiedzieć siostrze. Pokazała na podłogę, z której Beatrice podniosła list. Nim zaczęła czytać, podeszła do okna, jakby szukała lepszego światła.

- O Boże! O mój Boże! Tak mi przykro. - Zamiast jednak odwrócić się, by spojrzeć na strapioną dziewczynę, siedzącą na brzegu łóżka, stanęła twarzą do okna i powtórzyła: - Mój Boże! Co za okropność. - Dopiero teraz popatrzyła na Rosie. - Co teraz zrobisz? Co w ogóle możesz zrobić? Ja... nigdy bym się po nim nie spodziewała czegoś takiego.

Oddała siostrze list, która obrzuciła go jeszcze jednym spojrzeniem, złożyła we czworo i umieściła na powrót w kopercie, następnie wstała i przeszła obok Beatrice, zatrzymując się dopiero na podeście schodów. To zachowanie zdziwiło Beatrice, bo jej siostra wcale nie płakała.

Podeszła do niej.

- Dokąd idziesz?

Nie otrzymała odpowiedzi. Gdy znalazły się już na dole, powiedziała jeszcze:

- Napijmy się kawy i... może porozmawiajmy o tym wszystkim?

104

OBSESJA

- A o czym tu rozmawiać? - odezwała się w końcu Rosie. - Ten list wszystko wyjaśnia. - Uniosła go niemal pod sam nos Beatrice, która aż cofnęła się przestraszona.

- Nie możesz... nie możesz traktować tego zbyt poważnie. Takie rzeczy się zdarzają. Chodźmy... -

Urwała widząc, jak siostra zmierza do garderoby. - Nie! Nie możesz tam iść w takim stanie!

Rzuciła się przez hall i próbowała wyrwać z ręki Rosie jej stare palto: Cały czas krzyczała:

- To nie w porządku! Miejże trochę godności, dziewczyno! Nie opowiada się o swoich prywatnych kłopotach wszem i wobec, jak jakiś prostak. - Ściszyła nieco głos, lecz teraz jej słowa płynęły znacznie szybciej. - Tak robi służba. Pamiętaj, kim jesteś, należysz do tego domu... - Wtem Beatrice odskoczyła do tyłu tak gwałtownie, jakby ktoś wymierzył w nią pistolet.

- Do diabła z tym cholernym domem! - wrzasnęła Rosie na całe gardło. - Niech go piekło pochłonie!

Tak mocno odepchnęła siostrę, że Beatrice niemal przewróciła się o stary zegar dziadka.

Automatycznie chwyciła zegar obiema rękami, żeby nie upadł. Dopiero wtedy spojrzała na siostrę, która stała już przy drzwiach. Beatrice ze zdumieniem stwierdziła, że ogarnął ją strach, i zadała sobie pytanie, czy coś takiego było w ogóle możliwe...

Kiedy Rosie zbliżyła się do domu swoich sąsiadów, zobaczyła, jak Robbie prowadzi klacz ciągnącą wózek. On ujrzał ją dopiero wtedy, gdy odwrócił się, żeby zamknąć bramę.

Przez chwilę patrzył na nią osłupiały.

- Rosie! - zawołał po prostu. Podszedł do dziewczyny i zajrzał jej w oczy. O nic nie pytał, powiedział tylko: - Wejdz do domu. Zaraz tam przyjdę, tylko zaprowadzę ją do stajni.

W kuchni pani Anna powitała ją podobnie jak Robbie.

- Rosie! - wykrzyknęła. - Co się stało?

Patrzyła, jak dziewczyna ściąga palto i czapkę, po czym

Catherine Cookson

rzuca je na jedno z krzeseł, siada z boku na kanapie i patrzy w ogień.

Pani Anna usiadła obok, lecz Rosie nie odwróciła się do niej.

- Na pewno napijesz się herbaty - powiedziała nieco zaskoczona i zakłopotana zachowaniem dziewczyny. Wstała, po czym zabrała się do przygotowania napoju. Obie cały czas milczały, aż wreszcie do kuchni wpadł Robbie i natychmiast podszedł do kanapy. Usiadł obok Rosie i odezwał się po swojemu:

- No, mów, wyrzuć to z siebie! Co się stało? Masz od niego wiadomości?

W odpowiedzi Rosie włożyła rękę do kieszeni sukienki i nie patrząc na Robbiego podała mu list.

Zaczął czytać:

Moja droga Rosie,

Nie wiem, jak rozpocząć ten list, bo mam w głowie taki zamęt, więc lepiej po prostu podam ci fakty. Kierownictwo poinformowało mnie, że nie wyraża zgody, aby młodzi pracownicy żenili się przed osiedleniem się na placówce zagranicznej. Z drugiej strony - wiem, że oni nie byliby w stanie powstrzymać mnie przed poślubieniem Cię. Gdybym to jednak uczynił, moja promocja zostałaby cofnięta, co więcej, mogliby mnie wysłać do jakiegoś dzikiego i dalekiego kraju, gdzie piastowałbym podrzędne stanowisko. Dowiedziałem się, że poczyniono już przygotowania związane z moim wyjazdem do Ameryki, abym tam przejął stanowisko po nieoczekiwanie zmarłym młodym pracowniku. Sama więc widzisz, moja droga, w jakiej znalazłem się sytuacji. Gdy otrzymasz ten list, będę już w drodze do Ameryki. Zapewniam Cię jednak, że robię to z ciężkim sercem, bo wiesz, że zawsze byłem Ci szczerze oddany. W zaistniałych okolicznościach byłoby z mojej strony nieuczciwe i niemądre, gdybym Ci cokolwiek obiecywał. Jak wyjaśniłem powyżej, nie wiem, jaka przyszłość czeka mnie w nowym kraju. Spróbuj zrozumieć moje położenie, Rosie. Mogę Ci tylko powiedzieć,

100

OBSESJA

że jest mi zbyt ciężko, żeby pisać dalej, ale zawsze będę Ci oddany i nigdy nie zapomnę o naszej przyjaźni. Moja droga Rosie, jeśli tylko możesz, wybac mi i nie myśl o mnie źle.

Teddy

Robbie siedział nieruchomo, trzymając w dłoni list.

- No, co tam jest napisane? - spytała niecierpliwie pani Anna.

Podał jej kartkę. Kiedy skończyła czytać, zachowała się tak samo jak jej syn: milczała. Dopiero po chwili wybuchła:

- To dopiero świnia! Co za człowiek! Słyszałam wiele prawdziwych opowieści o uwiedzionych kobietach, ale nigdy nie czytałam. On jest...

- Mamo! - wycharczał Robbie, lecz pani Anna zignorowała go.

- Nie zamierzam milczeć ani dla ciebie, ani dla kogokolwiek innego i powtórzę jeszcze raz: on jest świnia! - Podbiegła do siedzącej z opuszczoną głową Rosie i chwytając ją pod brodę zmusiła dziewczynę, by uniosła na nią wzrok. - On nie jest wart, by go opluć.

- Uspokój się, matko! - Robbie zerwał się na nogi i odsunął ją od Rosie. - Może chociaż raz mnie posłuchaj. Czuję, że coś tu jest nie w porządku. W tym liście jest więcej treści, niż widać na pierwszy rzut oka. Poznałem tego młodzieńca. Według mnie ten list w ogóle do niego nie pasuje. - Odwrócił się do Rosie, która nie spuszczała z niego wzroku. - Jaki on był w czasie waszego ostatniego spotkania? Jak się zachowywał?

Jak się zachowywał? Spojrzała w bok, jakby zamyślona. Był wspaniały, taki podekscytowany. Gdy zjedli obiad, poszli na spacer do parku, gdzie on pociągnął ją w cień rosnących tam krzewów i pocałował. Boże, jak on ją całował! Mimo wszystko wiedziała, że jest bardzo ambitny, że chce wyjechać do Ameryki. Pragnął tego całym sercem. Powiedział, że

Catherine Cookson

spadła mu prosto w ręce gwiazdka z nieba, i to ona jest tą gwiazdką. A teraz widział na niebie kolejną gwiazdkę, którą była perspektywa awansu, o jakim nawet nie śnił. Wszyscy w jego firmie marzyli o stanowisku w Ameryce. Powiedział, że będą zazdrośni, że będą o nim plotkować. Ale to przemówił sam Pan Bóg - podniósł głowę, pogroził palcem i rzekł: „To ty pojedziesz do Ameryki, Golding. Fitzsimmons, niestety, zmarł i ty zajmiesz natychmiast jego miejsce”.

Spojrzała Robbiemu w oczy.

- Był... taki jak zawsze, miły i... - poczuła ukłucie w sercu

- taki tkliwy - dodała cicho. Nagle jakby rozwiązał się jej język, bo odwróciła się do pani Anny ze słowami: - Ja też byłam taka uradowana. Pani Anno, tak bardzo się cieszyłam na myśl, że wyjadę z domu i nigdy nie będę musiała w nim mieszkać, że oderwę się od Beatrice. A jednak ona... - pokręciła głową - ona była do tego nastawiona przychylnie. Bardziej, niż mogłam się tego po niej spodziewać. Ale - jej głos się załamał - nie przestała być panią swego domu. Tak.

- Podniosła głos, kiwając głową na przemian pani Annie i Robbiemu. - To jej dom. Ona ma bzika na jego punkcie, mówiłam wam, prawda? Ona i te jej miotełki z kogucich piór. „Nie wolno robić tego i tamtego”. „Tego się nie robi”. Czego się nie robi? - Wstała z kanapy. - Nie można być szczęśliwą, nie można pragnąć miłości, nie można... - mówiła coraz głośniejszym głosem, aż w końcu zaczęła niemal wyci i wybuchnęła płaczem.

Matka i syn siłą posadzili ją z powrotem na kanapie i sami usiedli obok niej, tak że znalazła się między nimi. Wciąż nie mogła przyjść do siebie.

- Chcę już umrzeć - krzyczała przez łzy. - Czuję się taka... zbrukana, wykorzystana. On napisał o przyjaźni. - Jej głowa kiwała się od jednego ramienia do drugiego. Żadnym sposobem nie potrafili jej uspokoić. - To nie była przyjaźń, lecz zaloty.

108

OBSESJA

Wiem, że tak było. - Odwróciła się do Robbiego, który skinął głową.

- Tak, moja droga. On naprawdę chciał twojej ręki. Bardzo się starał.

Wtem rozległo się pukanie do drzwi.

- Czy jest ktoś w domu? - zawołał jakiś głos. Pani Anna poderwała się ze słowami:

- Niech pan wejdzie, doktorze. Przyszedł pan w samą porę, naprawdę.

- O co chodzi? Co się stało? - John położył torbę na stole i zdjął płaszcz, jakby był u siebie w domu, po czym usiadł na kanapie obok Rosie. Nad jej opuszczoną głową spojrzał na Robbiego. - Co się stało? - powtórzył.

- Dużo się stało. Rosie miała... doznała wielkiego zawodu. Chciałbym z tobą o tym porozmawiać.

- Nie! Nie chcę! - Rosie uniosła zalaną łzami twarz i spojrzała na nich po kolei. - Dajcie temu spokój!

Już wszystko skończone. Skończone! To moja sprawa.

- Tak, aniołeczku, wszystko skończone. Nie martw się. Nie będziemy o tym mówić. Wytrzymaj sobie oczy. Filiżankę herbaty, doktorze?

- Chętnie. Nawet dwie. Od rana nie byłem w lecznicy, bo cały czas szukałem jakiegoś domu dla mojej matki. Mówiłem wam o tym. Strasznie bolą mnie nogi. Muszę sprawić sobie konia i dwukólkę. Tak, tak, wiem, już dawno mi mówiłeś, że powinienem to zrobić. - Wstał i przeszedł za kanapę, gdzie stała pani Anna i nalewała herbatę. Ruchem głowy wskazał Rosie, na co pani Anna sięgnęła po leżący na krawędzi stołu list i podała mu go bezszelestnie.

Gdy czytał, widziała, jak jego twarz zmienia się, jak zaczyna wyrażać bezgraniczne zdumienie.

Pokręcił głową.

- Nie, to niemożliwe. To nie on.

- Owszem, to on.

- Nie mogę w to uwierzyć.

Catherine Cookson

- Ja również. Co gorsza, ona także.

Odłożył list na stół i znowu usiadł obok Rosie, delikatnie odwracając ku sobie jej twarz.

- Czy podejrzewałaś, że coś takiego się stanie? Przestała już płakać, lecz słowa w dalszym ciągu z trudem przechodziły jej przez gardło.

- Nie, panie doktorze... w ogóle...

- Trzy, może cztery dni temu przysłał jej krótki list, w którym zawiadamiał, że nie może przyjechać na podwieczorek - odezwał się Robbie. - Miał wtedy prosić panią domu - rzekł z przekąsem - o jej rękę, lecz zamiast tego przesłał wiadomość, że nagle wezwano go do Londynu i że napisze do niej... No i napisał. Obaj spojrzeli na panią Annę, która właśnie stanęła tuż przed nimi.

- Chodź, aniołeczku, do salonu. Tam jest ciepło i przytulnie. Nie wiem, dlaczego napaliłam tam w kominku, bo to przecież sobota. Chyba po to, żeby było sucho. A może wiedziałam, że to się na coś przyda. No, chodź.

Posłusznie, znowu prawie jak dziecko, Rosie pozwoliła wyprowadzić się z kuchni, w której zostali obaj mężczyźni.

- Co ty na to, doktorze?

- Sam nie Wiem. Nic nie rozumiem, wszystko to bardzo dziwne. Naprawdę dziwna sprawa.

- Powiedziałeś: dziwna sprawa. Ja chciałbym jednak dotrzeć do jej sedna. Przecież ten facet ją kochał tak bardzo, jak... - Robbie urwał i podszedł do ognia.

- Chciałeś powiedzieć: „tak bardzo jak ja” - rzekł cicho John.

- Wcale nie chciałem tego powiedzieć - obruszył się Robbie, po czym dodał cicho: - Czy to bardzo rzuca się w oczy?

- Jestem tu od prawie dwóch lat i musiałbym być chyba ślepcem, żeby nie spostrzec, co do niej czujesz. Gdybyś miał trochę oleju w głowie, powiedziałbyś jej o tym wcześniej.

104

OBSESJA

Robbie odwrócił się gwałtownie.

- Przecież ona była dzieckiem, a ja jestem od niej dziesięć lat starszy. Nosilem ją na rękach, gdy była jeszcze niemowlęciem. Jej dziadek przychodził tu codziennie, żeby pogadać z moim ojcem, a ją zostawiał pod moją opieką. Ona patrzy na mnie jak na brata. Czasami, zdaje mi się, nawet jak na ojca. Ale to wszystko.

- Nigdy nie dałeś jej szansy. Ty, Szkocie, masz niewyparzony język, tak jak wszyscy twoi ziomkowie.

- Machnął ręką. - Zadzierałeś nosa, ot co.

- Wcale nie zadzierałem nosa, ale... nie wiedziałem, że na zewnątrz tak to wygląda.

- Niewielu tak cię ocenia, bo niewielu miewasz gości. Mackayowie też uważają Rosie za dziecko.

Robsonowie... O ile Harry ośmieliłby się zaryzykować, wyłożyłby już swoje karty. Ale na przeszkodzie stałeś ty i pan na dworze za murem. Teraz jego już nie ma, a ty uważasz, że jego córka jest jeszcze gorsza. Jedyńm celem jej życia jest osiągnięcie prestiżu. Ale, wiesz, szkoda mi jej. Ona też ma drugie oblicze, zupełnie inne. Odkryłem to dopiero niedawno. Jest łagodna, troskliwa, przynajmniej w stosunku do Rosie. Jest do niej bardzo przywiązana i gdyby nie mania na punkcie domu i ziemi, mogłaby być całkiem atrakcyjna i pojętna. - To dla mnie coś nowego, doktoru.

- Tak jest. Dla innych też. Lecz każdy z nas ma dwie strony, pamiętaj o tym. Ty skrywałeś swoje oblicze zbyt długo. - To co mam teraz zrobić? - spytał Robbie. - Ona nigdy o nim nie zapomni, a jeśli nawet, to do końca życia będzie się czuła skrzywdzona, gorsza od innych. Kobiety, które doznały zawodu, zawsze czują się poniżone.

- A więc będziesz musiał ją, jak ty to mówisz, wesprzeć, prawda? Żeby nie czuła się gorsza od innych. Daj jej trochę czasu - powiedział doktor zmienionym głosem. - Niech powoli dostrzeże to, co do niej czujesz.

Catherine Cookson

- Wątpię, czy to jest w ogóle możliwe. Ona do końca swoich dni będzie na mnie patrzeć jak na brata, starszego opiekuna. Nasz dom zawsze był dla niej azylem i zawsze taki pozostanie. Już ja się o to postaram. No, dobrze, co sprowadza cię do nas?

- Jeszcze jedna sprawa, na którą przymykasz oczy. Kaszel twojej matki. Tak, wiem, ona mówi, że to rezultat lekkiego drapania w gardle, ale z tego może się rozwinąć bronchit. Naprawdę. I jeszcze ten fatalny klimat. Oczywiście, nie jest tak zły jak w Szkocji, ale zima jest wystarczająco nieprzyjemna. W głosie Robbiego zabrzmiała szczerza troska.

- Matka ma chore płuca?

- Nie, ale na pewno zachoruje, jeśli nie będzie o siebie dbała. Jej kaszel bardzo mi się nie podoba. Charczenie również. Nie słyszałeś? Co gorsza, ona wychodzi na dwór w każdą pogodę. No cóż, to już zależy od ciebie. Musisz pilnować, żeby tego nie robiła. Zostawię lekarstwo i płyn do smarowania. Twoja w tym głowa, żeby poddała się kuracji.

Robbie opuścił głowę.

- To dziwne, ale najtrudniej zauważyć to, co ma się pod samym nosem, chyba że to coś zacznie drażnić twój węch.

- Jeśli o to chodzi, ja również coś przewąchuję. Chodzi mi o ten list. Mam kuzyna, który pracuje w administracji państwowej. Może on rzuciłby nieco światła na kwestię małżeństwa pracowników dyplomacji i tak dalej. Tymczasem radzę ci, Robbie, żebyś zapomniał o tym braterstwie czy ojcostwie i starał się być dla niej jeszcze większą pomocą, niż byłeś do tej pory. Rozumiesz? Jeśli nie, to chyba jesteś ślepy.

Robbie zaśmiał się krótko.

- Masz w sobie tyle taktu, co szarżujący nosorożec, a ja nie bardzo lubię szarżujące nosorożce.

Rozdział trzeci

Bardzo mi się to nie podoba, ale będę musiała wynająć przybudówkę... Słyszałaś, co powiedziałam?

- Tak, Beatrice, słyszałam. Będziesz musiała wynająć oficynę. Chciałabym cię tylko spytać, dlaczego nie zrobiłaś tego, zanim zwolniłaś Connora i Taylora?

- Zwolniłam ich, ponieważ teraz nie są już potrzebni. Od czasu, gdy sprzedałam ziemię, nie ma już tyle pracy, a William Connor ma już dobrze po sześćdziesiątce i brak mu sił, by pracować. Tak samo Lukę Taylor. Wszystko jedno, według mnie już od dawna był tu zbędny. O ile wiem, większość czasu spędzał przycinając drzewka.

- Ale przecież ty sama byłaś przeciwna pozbywaniu się służby.

- Tak, wiem, ale zmieniły się okoliczności.

- Więc dlaczego nie pozbyłaś się przy okazji jednej z dziewcząt? Nie potrzebujesz dwóch pokojówek, bo mieszkamy tu same.

- Może to zrobię - warknęła gniewnie - a wtedy zatrudnię ciebie i będziesz sprzątać dom. Musisz się czymś zająć.

Do tej chwili Rosie siedziała na kanapie w salonie, lecz teraz zerwała się na nogi i krzyknęła z całą mocą:

- Nigdy nie zmusisz mnie, żebym tu pracowała! Ty i ten

107

Catherine Cookson

twój dom! Myślisz tylko o nim. I nie mów mi, że mnie zatrudnisz. Nie zmusisz mnie już do niczego więcej. Gdyby nie to, że zostałąbyś tu sama, pojechałabym do Heleny i wiem, że przyjęłaby mnie z otwartymi ramionami.

- O, tak, nie mam co do tego wątpliwości. Gdyby Helena chciała zrobić mi na złość, przyjęłaby cię do siebie.

- Helena nigdy nie zrobiłaby komuś na złość. Całe życie byłaś o nią zazdrosna. Nie możesz ścierpieć myśli, że ona jest szczęśliwa i żyje na wyższym poziomie niż ten, do którego ty zawsze dążyłaś. A ona... ona jest panią domu z prawdziwego zdarzenia.

- Pewnego dnia... - zaczęła Beatrice i wydawało się, że zaniesie się kaszlem, lecz po chwili odwróciła się i szybko wyszła z salonu.

Rosie z powrotem opadła na kanapę. Pomyślała, że długo już tego nie wytrzyma. Zadała sobie pytanie, dlaczego wciąż jeszcze godzi się na takie życie. Znała odpowiedź: została tak wychowana, że gdyby zostawiła tu Beatrice zupełnie samą, cały czas martwiłaby się o nią, bo siostra nie miała nikogo na świecie, kto by się nią opiekował. Przez te wszystkie lata nie miała ani jednej bliskiej przyjaciółki. Wydawało się nawet, że - jeśli nie liczyć ojca - w ogóle nie potrzebowała bliskości drugiej osoby, a od czasu jego śmierci nie było już nikogo. No i co z tym faktem począć? Czuła ból w sercu, czuła, że jest kimś zupełnie nieważnym. Teddy... Nie, nie będzie o nim myśleć, bo zwariuje. Minęło już kilka miesięcy, a ona jeszcze nie otrzymała od niego żadnej wiadomości. Tamten list był rzeczywiście listem ostatnim, pożegnalnym, odrzucającym. Odrzucenie - to słowo nieustannie pojawiała się w jej myślach. Nie wiedziała, co by zrobiła, gdyby nie miała Robbiego i pani Anny. A także doktora. Tak, on był naprawdę miły. Spotykała go wielokrotnie, gdy składała wizytę swoim sąsiadom zza muru. To zabawne określać gospodarstwo Robbiego w ten sposób, bo dla niej zawsze było oddalone o całe tysiące mil

OBSESJA

stał. Kiedy tam przebywała, musiała się zmuszać, żeby wracać do swojego domu.

Otóż to. Właśnie tam teraz pójdzie. Na tę myśl poderwała się z kanapy i wyszła do hallu. Lecz gdy podeszła do szeroko otwartych frontowych drzwi, ujrzała, że po schodkach wchodzi na górę mężczyzna, o którym przed chwilą myślała. Zbliżyła się do niego i powiedziała cicho:

- Czyżby pomylił pan domy?

- Nie sądzę - odpowiedział jej również ściszym głosem. - Przyszedłem w sprawie waszego ogłoszenia. - Co? W sprawie wynajęcia oficyny?

- Tak jest. Nie mogłem w to uwierzyć. Czy siostra naprawdę chce ją wynająć? Jeśli się nie mylę, to część tego domu, prawda?

- Nie myli się pan. I jest pan pierwszą osobą, która przychodzi w tej sprawie. Proszę, proszę do środka. Gdy przeszedł próg, ujrzał idącą schodami w dół Beatrice. Jej twarz i ton głosu nie wyrażały radości z jego wizyty. - Dzień dobry, doktorze.

- Dzień dobry. - Nie dodał „panno Beatrice”.

- Czy ktoś pana tu wzywał? - spytała wprost.

- Tak. Tak właśnie. - Skinął dwukrotnie głową przybierając równie oficjalną pozę. - Wezwało mnie ogłoszenie. O ile dobrze zrozumiałem, zamierza pani wynająć część domu.

Spostrzegł, że wyraz jej twarzy wolno ulega zmianie, by po chwili powrócić do uprzedniej surowości.

- Nie chodzi o część mojego domu, doktorze, ale jedynie o przybudówkę.

- A, tak. O przybudówkę.

- Chce pan ją wynająć?

- No, to zależy.

- Tak, oczywiście. - Kiwnęła głową. - Ale od razu muszę pana uprzedzić, że nie zezwolę na prowadzenie tu gabinetu lekarskiego.

Catherine Cookson

- Wcale nie miałem takiego zamiaru, panno Steel. - Starał się naśladować ton jej wypowiedzi. - W ogóle nie miałem zamiaru zamieszkać tu osobiście. Już od pewnego czasu szukam jakiegoś domu czy dużego mieszkania dla mojej matki.

- Ach, tak. Przepraszam - rzekła ze skruchą w głosie. - Po prostu myślałam... no, pan rozumie.

Nie odpowiedział grzecznie, że rozumie, tylko odwrócił się i spojrzał na Rosie.

- Jest naprawdę ładny. To zupełnie samodzielny dom. Beatrice spojrzała na siostrę łagodnie.

- Tak. Rosie ma rację: to zupełnie samodzielny dom. Ma własne wejście, a nawet małą cieplarnię, z której można przejść do prywatnego ogródka.

Patrzył na Rosie i zdawało mu się, że dostrzega w jej oczach żarliwe pragnienie, pragnienie na pewno szczerze, bo myślała sobie: „Jeśli zamieszka tu jego matka i okaże się, że ma charakter podobny do niego, to będzie tu jeszcze jedna osoba, z którą można porozmawiać. On też będzie przychodził. Mam nadzieję, że on się zdecyduje”. Spojrzała na Beatrice.

- Pójdiesz przez dom, czy mam przynieść klucz od frontowych drzwi?

- Och, możemy iść przez dom. - Beatrice zaczęła się nawet uśmiechać. - Zechce pan pójść za mną? - odezwała się ruszając z miejsca. John i Rosie wymienili spojrzenia i poszli za nią.

Nigdy jeszcze nie był w tej części domu i był zdumiony jego ogromem. Znajdowali się w szerokim korytarzu, po jednej jego stronie ciągnęły się drzwi, po przeciwnej - wysokie okna, a za nimi widać było ogród.

Gdy weszli do niewielkiego hallu, Beatrice wskazała schodki wiodące na górę.

- Tam znajdują się pomieszczenia służby, a to są boczne drzwi do przybudówki. Oczywiście można je na stałe zamknąć z drugiej strony.

110

OBSESJA

Krótki korytarzyk doprowadził ich do obitych na zielono drzwi. Beatrice pchnięciem otworzyła je i stanęła z boku, żeby mógł wejść, lecz on gestem przepuścił obydwie panie przed sobą.

Znalazł się w dość dużym kwadratowym hallu o wyłożonych płytkami ścianach.

- To domek o bardzo zwartej zabudowie - odezwała się Beatrice. - Wszystkiego raptem osiem pokoi.

Na górze są sypialnie.

- Obawiam się, że moja matka będzie musiała spać na dole, bo bardzo dokucza jej reumatyzm.

- O, to żaden problem. W tym domu mieszkały kiedyś dzieci, więc również na dole jest łazienka. -

Poprowadziła ich do pokoju po drugiej stronie hallu. - Oto salonik.

Stanął na środku i rozglądał się ciekawie. Zdumiało go bogate i wygodne umeblowanie pomieszczenia.

- Tu jest wspaniale - powiedział.

Beatrice nie zareagowała na jego słowa, rzekła tylko:

- To może przejdźmy do jadalni.

Jadalnia była znacznie mniejsza, lecz stół mógł z powodzeniem służyć jednocześnie sześciu osobom.

John ponownie zachwycił się wspaniałością mebli i zasłon.

Beatrice otworzyła kolejne drzwi.

- Tutaj mogłaby być znakomita sypialnia dla pańskiej matki. Te duże okna wychodzą na cieplarnię, a za nią jest ogród. Nie należy również zapominać o trzech sypialniach na górze, które zaraz panu pokażę. Matka będzie mogła przyjmować gości na dłuższy pobyt. - Beatrice uśmiechnęła się szeroko i spojrzała na Rosie. - Po to właśnie dziadek zbudował tę oficynę... to znaczy, jako dom dla całej rodziny. Rosie także się uśmiechnęła, lecz nieco żałośnie.

- Kuzyn mamy uwielbiał tu przyjeżdżać. Tyle że oni mieli czworo dzieci, a dla dziadka to było o czworo za dużo, bo w żaden sposób nie dało się ich upilnować. Pamiętasz?

Catherine Cookson

- Przeniosła wzrok na Beatrice. - Zjeżdżali po poręczach i lądowali w hallu. Byłyśmy od nich młodsze, ale we wszystkim starałyśmy się ich naśladować. Marion niemal skręciła sobie kark. Pamiętasz ten dzień? Ale było piekło.

- Tak, pamiętam. - Siostry z rozrzewnieniem pokiwały do siebie głowami. - Dokładnie pamiętam, jak dziadek wyklócał się z babcią. Był autokratyczny. - Beatrice zwróciła się do Johna. - Widzi pan, oni spędzali tu dwa miesiące każdego roku. A szwagier babci był architektem i od niego wszystko się zaczęło. Dziadek potraktował to jak swoją nową zabawkę.

- Zaśmiała się. - Jedyna zabawka nie mająca związku z wojskiem. - Po chwili znowu mówiła poważnie. - Budowa oficyny sporo kosztowała, ale dziadka smuciło, a nawet złościło to, że służyła jedynie przez dwa lata, gdyż brat babci wpadł na genialny pomysł i wraz z całą rodziną wyemigrował do Kanady. - I od tamtej pory ta część domu nie była używana?

- spytał ze śmiechem John.

- Ależ nie. - W głosie Beatrice znowu pojawiła się nuta dostojeństwa. - Kiedy byłyśmy młode... - spojrzała na Rosie i z wymuszonym uśmiechem dodała - ...były tu dzieci, w ogóle wielu ludzi. Babcia miała przyjaciół i krewnych we wszystkich zakątkach kraju. Zawsze tak jest, gdy ma się duży dom i mile widzi się każdego gościa. Niektórzy z nich mieszkali tu całymi tygodniami bez przerwy. Dlatego zrobiono kuchnię. Chodźmy.

Odwróciła się, a Rosie i John ruszyli za nią do hallu, skąd przez kolejne drzwi weszli do niewielkiej, lecz bardzo dobrze wyposażonej kuchni.

- Jak pan widzi - zaczęła Beatrice - nie jest wielka. Moja kucharka zadzierałaby tu nosa. Ale na potrzeby tego domu w zupełności wystarczy.

John spostrzegł, że Rosie odwróciła głowę. Nie wiedział, czy ubodły ją słowa „moja kucharka”, czy też coś innego.

OBSESJA

Beatrice stanęła przy kuchennym piecu.

- Gdy pali się ogień, we wnętrzu jest naprawdę przytulnie. Nawet bez ognia jest to bardzo przyjemne wnętrze. Te wszystkie szafki, szafeczki, naczynia... A teraz, myślę, że chętnie obejrzałby pan ogród. Przeszedł przez cieplarnię i podziwiał rośliny. Popatrzył na ścianę gęsto rosnących świerków i pomyślał, że matka czułaby się tu doskonale. To było właśnie to. Odwrócił się i spojrzał prosto na Beatrice.

- Chyba czas, żebyśmy przystąpili do rzeczy.

- Podoba się panu dom?

- Oczywiście. Chyba każdemu by się podobał. Jestem pewien, że moja matka będzie nim oczarowana. Beatrice milczała przez chwilę.

- Domyślam się, że przywiezie swoje własne meble. Nie będzie z tym kłopotu, bo możemy umieścić wszystko na strychu.

- Obawiam się, że ona nie ma żadnych mebli. Zostały sprzedane razem z domem. Widzi pani, na resztę życia matka zamierzała zamieszkać u swojej kuzynki, ale, niestety, to nie było dobre rozwiązanie. Przez ostatnie parę miesięcy mieszkała w pensjonacie, a ja próbowałem znaleźć dla niej odpowiedni dom.

- No więc, czy wzięłby pan ten dom w takim stanie, w jakim jest?

- W takim stanie? Oczywiście! - podniósł głos. - Jak najbardziej.

Wydawało się, że odczuła ulgę, bo znowu uśmiechnęła się szeroko.

- Z prawdziwą przyjemnością wydzierżawię go panu. To będzie, oczywiście, dzierżawa.

- Oczywiście. - Kiwał głową.

- Pod warunkiem, że najpierw pańska matka obejrzy dom.

- Tak, naturalnie. Czy jutro będzie dobrze?

Catherine Cookson

- Kiedykolwiek. Naprawdę kiedykolwiek. Czy napije się pan kawy?

- Chętnie, dziękuję. - Spojrzał na Rosie. - Nawet nie wiesz, jaka to dla mnie ulga. Całe miesiące ganiałem, oglądałem domy, nie licząc pustych mieszkań, a wszystkie miały mieć' piękny widok z okna. Potem okazywało się, że ten widok to ulica albo... - posmutniał - ślepa uliczka, którą w ogóle nikt nie chodzi.

Uśmiechnięci wracali do domu. Rozglądając się dookoła John pomyślał, że bardzo mu się tu podoba, że chciałby tu zamieszkać, chociaż, oczywiście, nie przeniósłby tu swojego gabinetu. W każdym razie matka na pewno będzie zachwycona, a i on czasami znajdzie tu azyl. Ciekaw był, ile Beatrice zażąda za ten dom, więc zapytał:

- Chyba czas, żebyśmy przystąpili do rzeczy. Jakie są pani warunki?

Zobaczył, że Beatrice oblizuje wargi. Odchrząknęła cicho.

- To by było... - zaczęła z wahaniem - to znaczy czynsz wyniósłby dwa funty i dziesięć szylingów tygodniowo.

Nie spuszczał z niej wzroku, lecz zorientował się, że Rosie odwróciła się gwałtownie w stronę siostry.

- Ale - podjęła Beatrice - jeśli weźmie pan dom w takim stanie... w jakim jest, to musiałabym podnieść opłatę o dziesięć szylingów, ponieważ, jak mówiłam... jak pan widzi, od razu można w nim zamieszkać. Jest nawet pościel i ręczniki w szafce na piętrze. Trzeba tylko przynieść swoje własne... jedzenie.

Uniósł rękę i uśmiechnął się.

- W porządku. Jestem zgodnym człowiekiem i moja matka na pewno zachowa się podobnie.

Dzierżawa będzie na jej nazwisko. - Lecz gdy jeszcze wypowiadał te słowa, pomyślał: trzy funty tygodniowo. Mógłby kupić tuż za miastem ładny dom i półtora hektara ziemi i spłata pożyczki hipotecznej wyniosłaby ze trzy funty na tydzień, jeśli nie mniej. Jednak tu

OBSESJA

było pięknie. Wiedział, że to miejsce idealnie nadawało się dla matki.

Nie tylko zobaczył, ale i usłyszał, jak Beatrice głośno wzdycha.

- No, to chodźmy napić się kawy - rzekła.

Znowu poszła przodem, a Rosie, zanim podążyła za nią, odwróciła się i spojrzała na niego w taki sposób, że bez trudu odczytał jej myśli: To rozbój w biały dzień. Ale było tak, jak powiedział jej później: „Mnie nie byłoby na to stać, ale moja matka to co innego. To zamożna kobieta”. Dał znać Rosie, że zrozumiał. Zaciśnął usta i dotknął jej ramienia.

Byli teraz w salonie dworu. Rozglądając się z podziwem nie zdawał sobie sprawy, że decyzja, którą właśnie podjął, zmieni całe jego życie.

Rozdział czwarty

Trzy funty tygodniowo!

- Powtarzam ci: zaczekaj, aż go zobaczysz.

- Tak, powtarzasz, ale to jest część domu. Oficyna to przecież część domu. A ja chciałam mieć coś oddzielnego, tylko dla siebie.

- W tym mieście nie znajdziesz nic lepszego, nic bardziej odosobnionego, chyba że zdecydujesz się na wiejski domek daleko poza miastem.

- To oznacza ponad sto pięćdziesiąt funtów rocznie. Za takie pieniądze już po trzech latach można sobie kupić całkiem ładny dom. A jeśli to jest tak wspaniałe, jak mówisz... cóż, ja nie potrzebuję żadnych wspaniałości. Po prostu chcę mieszkać w miarę wygodnie.

- Mamo. - Odwrócił się do niej. Wyszli z powozu przy bramie i teraz szli pod górę boczną alejką. - Jeśli nie zdecydujesz się na ten dom, sama będziesz musiała poszukać sobie innego, bo ja nie mam już czasu ani cierpliwości, żeby znaleźć coś, co w pełni cię zadowoli.

- Przepraszam - rzekła ze skrucą. - Bardzo cię przepraszam, mój kochany. Wiem, że ostatnio sporo od ciebie wymagałam, ale ja tylko chciałam... No dobrze, nie powiem już ani słowa, dopóki nie zobaczę tego domu. Tak jak mówiłeś.

122

OBSESJA

Więc tam jest oddzielne wejście z zewnątrz, nie połączone z głównym gmachem?

- Tak. A my jesteśmy teraz na oddzielnej drodze wiodącej do tego wejścia. Kobieto... - zatrzymał się i spojrzał jej w twarz. - Gdyby zażądała pięciu albo sześciu funtów, też powiedziałbym, że warto, i że to miejsce świetnie się dla ciebie nadaje. Ponadto dzięki temu wyciągniemy trochę pieniędzy z bankowych sejfów. Same odsetki od twoich obligacji wystarczą na czynsz, a i tak jeszcze trochę zostanie.

- No dobrze, dobrze już. Obejrzyjmy w końcu to cudeńko. Gdy przeszli przez ozdobną bramę i znaleźli się w ogrodzie, matka stanęła i powiedziała:

- Tu jest ładnie, naprawdę bardzo ładnie.

Nie odezwał się, lecz poprowadził ją dalej. Przeszli za róg i stanęli przed fasadą przybudówki, która również zrobiła na matce dobre wrażenie.

Otworzył drzwi i stanął z boku, żeby pierwsza weszła do hallu.

- Ładnie, bardzo tu ładnie - mruzczała.

Po chwili otworzyły się drzwi do salonu i pojawiła się w nich Beatrice z wazonem pełnym kwiatów.

- Och, przepraszam - powiedziała zaskoczona. - Nie spodziewałam się państwa tak szybko i... właśnie przyniosłam świeże kwiaty, żeby było ładniej i...

- To jest moja matka - John przerwał jej bezładne tłumaczenia. - Mamo - wyciągnął rękę w stronę Beatrice. - Oto panna Penrose-Steel.

- Dzień dobry.

Beatrice szybko postawiła kwiaty na bocznym stoliku i podeszła bliżej z wyciągniętą dłonią.

- Bardzo mi miło panią poznać. Mam nadzieję, że będzie się tu pani dobrze czuła. Mogę panią zapewnić, że nie pojawią się tu żadni nieoczekiwani intruzi. Jestem przyzwyczajona, że wchodzę tu przez dom, ale może pani zamknąć te drzwi od wewnątrz.

Catherine Cookson

Pani Catherine Falconer przyjrzała się młodej kobiecie. Wydała się jej sympatyczna, miała przyjemną barwę głosu. Wyglądała na więcej niż dwadzieścia cztery lata, a tyle dawał jej John. Naprawdę była wystarczająco dojrzała, by prowadzić taki wspaniały dom. Uśmiechnęła się do Beatrice.

- Po tym, co obejrzałam do tej pory, panno Steel... panno Penrose-Steel, jestem naprawdę pod wrażeniem. To jest dokładnie to, co sobie wymarzyłam, zwłaszcza ogród. Zauważyłam, że dookoła jest sporo lasów. Zawsze robiłam galaretki i soki z leśnych owoców.

- O, to ciekawe. Tu w okolicy znajdzie pani mnóstwo dzikiej róży, głogu, dzikich jabłoni, jeżyn i śliw.

- Spojrzała na Johna. - Zostawię państwa samych. A może napiliby się państwo kawy? Poproszę jedną z dziewcząt, żeby przyniosła kawę z kuchni. A potem, zareczam, nikt z nas nie będzie już pani niepokoił. - Uśmiechnęła się szeroko. - O ile sama nie wyrazi pani takiego życzenia.

- Zobaczymy - odparła niezobowiązująco pani Falconer, lecz wciąż uśmiechnięta Beatrice odwróciła się już i wyszła.

Teraz John zaprowadził matkę do salonu, na widok którego jej twarz rozjaśniła się jeszcze bardziej. To samo było w jadalni i gabinecie, który miał służyć za sypialnię. W kuchni jej głos wyrażał już najwyższy zachwyty.

- No, nigdy w życiu... Nigdy nie przypuszczałam, że znajdziesz dla mnie coś takiego. Czuję się tu jak u siebie w domu. Jest cudowny. Piękny.

- Tak - skinął głową. - Jest cudowny.

- O ile wiem, na górze są trzy sypialnie - powiedziała szybko. - Może więc przeniesiesz się tu na stałe?

- Nie, mam - odparł natychmiast. - Mówiłem ci już, że moja praca jest ściśle związana z miastem i tam jest moje miejsce. Co więcej - uśmiechnął się - nie wiem, czy dodatkowi lokatorzy nie spowodują podwyższenia czynszu. Przecież wiesz, że będę tu codziennie do ciebie przychodził. A z tego,

OBSESJA

co do tej pory powiedziałaś, wynika, że nie zamierzasz się nudzić. - Podeszedł do okna. - Jest jeszcze jedna, ostatnia już sprawa. Będziesz musiała zatrudnić kogoś, żeby tu sprzątał co najmniej dwa, trzy razy w tygodniu.

- Sama mogę...

- Nie, nie możesz! I nie będziesz tego robić. W miasteczku jest wiele kobiet, które chętnie podejmą taką dorywczą pracę, zwłaszcza że będą głównie popijały herbatkę i gaworzyły z panią w kuchni. Radzę ci jedno: nie opowiadaj o cudownym Południu żadnej z tutejszych pań, bo przestaną cię lubić i będą wciąż pytać, dlaczego tam nie wracasz. Ja sam często spotkałem się z takim pytaniem.

- Niemożliwe!

- Owszem, możliwe. Kiedy stary leżał chory w łóżku, patrzyli na mnie i mówili: „Chcę mojego lekarza. Poczekam, aż wyzdrowieje”. Ostrzegam cię, to twardzi ludzie. Łącznie z panią tego domu.

- Przecież ona jest taka miła.

- Tak, czasami.

- Jesteś uprzedzony. Miałeś z nią jakieś starcie?

- Nie, żadnego „starcia” z nią nie miałem, ale ona lubi odgrywać wielką damę.

- Czy jej siostra zachowuje się tak samo? Roześmiał się.

- Rosie? Skądże, one są jak niebo i ziemia. A pozostałe dwie siostry są podobne do Rosie. Mimo to, każda z nich jest inna, a zwłaszcza pani tego domu. Ona jest z zupełnie innej gliny.

- Mam nadzieję, że się polubimy.

- Oby tak było.

- Masz wątpliwości?

- Nie, mam, nie mam wątpliwości, ale sama wiesz, że potrafisz się złościć, gdy coś ci nie wychodzi. Rozległo się pukanie do drzwi: to pokojówka przyniosła tacę i z uśmiechem spojrzała na matkę i syna.

Catherine Cookson

- Nazywam się Janie Bluett, proszę pani - zwróciła się do Catherine Falconer. - Jestem pokojówką. Witam panią w tym domu. Bardzo się cieszę, że będzie tu mieszkać matka naszego doktora. -

Uśmiechnęła się do Johna. - Zawsze lubiłam tę część domu: tu jest tak przytulnie.

- Tak, Janie, rozumiem, co masz na myśli i też się cieszę, że tu jestem. Dziękuję za kawę.

- Bardzo proszę. - Janie patrzyła to na Johna, to na jego matkę. W końcu odwróciła się i wyszła uśmiechnięta.

- Czyż to nie miłe?

- Bardzo miłe, mamó, ale nie oczekuj, że będzie tak codziennie. Będziesz tu sama. To jest osobny dom i jestem pewien, że panna Beatrice woli, żeby tak zostało.

- Mówisz, jakbym była jakąś starą wścibską babą.

- Bo tak jest. No, dobrze. Wypij kawę. - Podał jej filiżankę. - I przestań tak patrzeć, bo muszę już jechać. Jeśli chcesz, żebym cię odwiózł i żebyś mogła spakować swoje rzeczy, to nie sącz tej kawy tak powoli, jakbyś siedziała w salonie.

Nie spuszczać z niego wzroku pociągnęła wolno jeden łyk, po czym rzekła:

- Czasami zastanawiam się, dlaczego w ogóle chcę być blisko ciebie.

- Ja też, droga pani Falconer, ja też. No, prędzej. Dopij kawę i jedźmy już, bo dzisiaj i jutro czeka nas mnóstwo roboty. Zacznieś nowe życie w osobnej części wielkiego dworu.

Rozdział piąty

Beatrice wydała już polecenia kucharce - niewiele różniące się od poleceń dnia poprzedniego - odłożyła na biurko papiery i już miała wyjść ze swojego gabinetu, gdy do środka wpadła podekscytowana czymś Rosie i wyciągnęła ku niej trzymaną w ręce kartkę.

- Robbie właśnie mi to pokazał - wydyszała. - To z wczorajszej gazety. Popatrz tylko! - Wskazała kolumnę na złożonej kartce.

Beatrice wzięła ją do ręki i przeczytała:

Wczoraj doszło do tragedii. Sir Frederick Morton Spears i jego syn Michael utonęli podczas burzy w cieśninie Portsmouth. Sir Frederick i jego syn byli dobrze znani w żeglarskim świecie. Michael Morton Spears miał dwadzieścia pięć lat i nie był żonaty, a ponieważ sir Frederick nie miał innego męskiego potomka - tytuł przechodzi na jego kuzyna, majora Leonarda Mortona Spearsa.

Major Leonard Morton Spears i jego żona, Helena, mieszkali w domu sir Fredericka. Zarówno oni, jak i inni liczni przyjaciele zmarłego, są głęboko wstrząśnięci jego śmiercią. Ciała znaleziono wczorajszej nocy. Uroczystości pogrzebowe odbędą się w środę, 3 października.

Catherine Cookson

Gdy Beatrice opuściła kartkę, Rosie wzięła ją do ręki ze słowami:

- To straszne! Okropne! Helena często o nich opowiadała. Mówiła, że to tacy wspaniali ludzie, a ten syn, Michael, miał się wkrótce zaręczyć. Napisała mi to w swoim ostatnim liście.

- W swoim ostatnim liście? Co to ma znaczyć?

- No cóż - Rosie potrząsnęła głową - zawsze się złościś, gdy ona do mnie pisze, więc wzięłam go z poczty.

- Jak mogłaś! Jak mogłaś to zrobić! Ona powinna pisać do mnie, pani tego domu.

- Do diabła z domem! - wyrwało się Rosie, która aż odskoczyła do tyłu. Jednak nie poprzestała na tym.

- Ty i twój dom! Myślisz tylko o nim. Utonęło dwóch ludzi. Leonard będzie bardzo przybity, bo powiedział mi, że on i sir Frederick byli jak bracia, a nie kuzyni. Bardzo się lubili. A teraz on i jego syn nie żyją, a ty masz do powiedzenia tylko tyle, że Helena powinna pisać do ciebie, bo ty jesteś panią domu. Powiem ci, dlaczego ona do ciebie nie pisze. Z powodu przyjęcia, jakie jej zgotowałaś, gdy zmarł nasz ojciec, a także dlatego, że wy dwie nigdy się nie lubiłyście. Ale teraz masz dodatkowy powód do niezadowolenia: jeśli Leonard odziedziczy tytuł, Helena zostanie lady Heleną Morton Spears. Przez to stanie ci się jeszcze bliższa, prawda? Nigdy cię nie zrozumiem, Beatrice. Nigdy! Nigdy! - Odwróciła się gwałtownie i wyszła z pokoju.

Beatrice oparła się o biurko mocno chwytając krawędź blatu.

Lady Helena. Ona, lady Helena. Dlaczego akurat ona ma tyle szczęścia? Teraz nie będzie już żadnych przeszkód, żeby zaczęła bywać w lepszym towarzystwie, może nawet zostanie przedstawiona na królewskim dworze. Dlaczego spotyka ją tyle dobrego? A dlaczego w jej - Beatrice - życiu nie dzieje się nic, co uczyniłoby ją szczęśliwą? Miała dopiero dwadzieścia cztery lata i uważała, że jest dość przystojna i interesująca. To nie było sprawiedliwe. Puściła biurko i niemal po omacku

OBSESJA

usiadła na krześle. Odchyliwszy głowę do tyłu nakazała sobie spokój, bo gdyby teraz przejęła się tym wszystkim, straciłaby humor na wiele, wiele dni.

I w tej właśnie chwili zadała sobie po cichu pytanie: dlaczego tak bardzo nie lubi Heleny? Prawie jej nienawidzi. Czy dlatego, że Helena jest piękną kobietą? Niezupełnie. Nie, nie to. Było coś w jej zachowaniu, ta swoboda, radość, śmiech. Jej sposób mówienia - podobnie jak Rosie - zawsze taki sam w stosunku do wszystkich: służby, dostawców, do każdego. Ona by tak nie potrafiła. Na pewno nie podobałoby się to jej ojcu. On miał wycucie klasy. Niemal podskoczyła na krześle. Dlaczego wciąż dostrzega tylko jego dobre strony? Przez całe lata ją oszukiwał, a ona była dumna, że jest podobna do niego. Teraz miała tylko jedno marzenie w życiu: być kimś innym, wolnym i mniej skrupowanym rygorami konwenansów. Udało się jej to, przynajmniej częściowo, od czasu przybycia pani Falconer, gdy regularnie zaglądał do nich doktor. Tak, właśnie on. Potrafiła z nim nawet żartować: śmiali się razem, gdy on przekomarzał się z matką, zwłaszcza na temat domowego wyrobu wina. Bo pani Falconer uczyła ją, jak robić wino. Nie miała pojęcia, że aż tak wiele rodzajów wina można wyprodukować z pospolitych owoców: śliwy, czarnego bzu, dzikiej róży. A jeszcze więcej z warzyw, takich jak rabarbar i ziemniaki, oraz cudowne wino z pasternaku. Kucharka z pogardą potraktowała ideę robienia galaretki z owoców dzikiej róży, lecz wkrótce zmieniła zdanie, gdy pani Falconer podarowała jej butelkę wina ze śliwek, a także - do spróbowania - próbki innych win.

Prawdę mówiąc, w ostatnim okresie Beatrice była nawet dość zadowolona z życia, aż do momentu, gdy Rosie przyniosła najświeższą wiadomość. Uświadomiła sobie, że siostra z biegiem czasu coraz bardziej ją denerwuje. Mimo to potrzebowała jej. Nie wyobrażała sobie samotnego życia w tym domu, samotnego spożywania posiłków.

Catherine Cookson

Jedyną pociechą było to, że Helena i jej mąż są daleko i raczej nie przeprowadzą się...

Nieco później tego samego dnia John odwiedził matkę, a ona powitała go słowami:

- Słyszałeś już, że ich siostra zostanie szlachcianką?

- Tak. Pani Anna mi powiedziała.

- I co ty na to?

Co on na to? W pewien sposób fakt ten wygasił jego emocje: resztki sentymentu, jakie miał do Heleny, zostały definitywnie pogrzebane.

- Myślę, że z godnością będzie nosiła szlachecki tytuł. Zresztą zawsze była damą i zawsze nią będzie. Matka spojrzała na niego twardo.

- Lubieś ją, prawda?

- Wszystkie je lubiłem - odpowiedział szybko. - To cztery zupełnie niezwykle siostry.

Catherine wyciągnęła stopy w kierunku ognia. Odwróciła głowę, by popatrzeć na syna, który siedział po drugiej stronie kominka.

- Chociaż pani Atkinson jest bardzo miłą i pracowitą kobietą, tylko popatrz, jak wszystko tu wygląda. I chociaż ona mówi, że zostanie ze mną, jeśli tylko zechcę, to czułabym się tu samotna, gdyby nie przychodziła do mnie panna Beatrice, nie interesowała się wyrobem wina i innymi rzeczami. Opa jest naprawdę bardzo zmyślna. Powiem ci więcej: mam wrażenie, że i ona czuje się samotna w tym olbrzymim domu. Kiedy zaczynamy rozmawiać i ona się rozluźnia, wyczuwa się w niej wiele skrywanego dotąd ciepła.

- Cieszę się, że miło spędzasz z nią czas. A Rosie?

- O, Rosie jest cudowna. Z nią nie ma żadnych problemów. Myślę, że doszła już do siebie po tamtej przykrej sprawie, chociaż - urwała na moment - czasami milknie i w jej oczach pojawia się smutek, jakby czuła się zagubiona. W takich chwilach zapominam, że jest młodą kobietą, i wydaje mi się,

OBSESJA

że mam do czynienia z dzieckiem. Jednak wystarczy ją przytulić, dać łyk herbaty i Rosie wraca do siebie. Mówi, że jestem podobna do jej pani Anny z sąsiedztwa i że przynoszę jej pociechę. Roześmiał się.

- Taka właśnie jest Rosie. Ona potrzebuje ludzi, którzy potrafią ją pocieszyć.

- To urodziwa dziewczyna. I nieustannie mówi o tym Robbiem. Czy między nimi coś jest?

- Jeśli Robbie coś zrobi w tej sprawie, to nadejdzie dzień, gdy będą razem. Ale ona wciąż patrzy na niego raczej jak na brata. Myślę, że prawda dotrze do niej w momencie, gdy zrozumie, że może go stracić.

- Często tak bywa. Wiesz co? Już nie mogę się doczekać świąt.

- Przecież to jeszcze kilka tygodni.

- Wiem, ale już z niecierpliwością ich oczekuję. Tutaj na pewno będą cudowne: drzewa i ogród pokryte śniegiem, a w kominku mocny ogień. - Machnęła ręką w kierunku paleniska.

- Nie licz na to - roześmiał się. - Na pewno będzie padał deszcz, a co najwyżej deszcz ze śniegiem, zaś wiatr będzie cię nieprzyjemnie smagał po twarzy.

- Ty to potrafisz zniechęcić człowieka do wszystkiego. Chyba jeszcze nie wychodzisz? Jesteś tu dopiero godzinkę.

Spojrzał na zegarek.

- Jestem tu dwie godziny i piętnaście minut, droga pani Falconer. W tym czasie mógłbym przyjąć kilkunastu pacjentów. Nie wstawaj, sam wyjdę. Jeśli będę mógł, wpadnę jeszcze wieczorem.

- No... dobrze - powiedziała zmienionym, łagodnym głosem. - Zaprosimy ją i zagramy razem w karty. Ostatnim razem bardzo się jej podobało.

- Tak, dobrze. Zrobię to, ale pod jednym warunkiem: nie oddam biednym mojej wygranej, jasne?

Catherine Cookson

- Jasne, panie Skapcu.

Pomachała mu ręką, gdy wychodził śmiejąc się głośno.

Wkładał płaszcz w hallu, gdy otworzyły się drzwi prowadzące do głównej części domu i ukazała się w nich Beatrice. Zawahała się przez chwilę.

- Bardzo przepraszam, nie wiedziałam, że pan tu jest. Sądziłam, że przyjdzie pan dopiero wieczorem. Zrobiła krok w tył, ale on przyciągnął ją z powrotem.

- Niech się pani nie wygłupia. Ona i tak na panią czeka. - Wskazał głową drzwi do salonu. Wciąż trzymał jej rękę, na której teraz położył drugą dłoń i powiedział cicho: - Dziękuję, że jest pani dla niej taka miła. Ona jest pani bardzo wdzięczna za towarzysztwo. I ja także. Zarumieniła się.

- Nic takiego, to ja powinnam dziękować. Ona oddaliła... ona nadała mojemu życiu nowy sens i oddaliła widmo samotności.

Patrzyli na siebie, po czym Beatrice rzekła cicho:

- Rosie wiele czasu spędza u MacIntoshów. Jak pan wie, nigdy nie darzyłam ich sympatią, ale - zawahała się - każdy z nas czegoś potrzebuje, prawda?

- Tak, ma pani rację - odparł równie cicho. - Każdy z nas czegoś potrzebuje. I dziękuję pani z całego serca za życzliwość okazywaną mojej matce. Od pewnego czasu bardzo się o nią martwię. Coraz bardziej dokucza jej artretyzm i nadejdzie dzień, gdy będzie wymagała stałej opieki pielęgniarstwa. Teraz jeszcze może chodzić o własnych siłach, ale to⁷ nie potrwa długo. Nie poddaje się chorobie ani na chwilę, bo kiedyś była jak iskra: jeździła konno jak mężczyzna, umiała też niezłe wiosłować. Gdy mieszkaliśmy na południu, wyprawiała się z Ryem na pełne morze, by łowić ryby.

- Naprawdę?

- Naprawdę.

- Nigdy o tym nie mówi.

126

OBSESJA

- Oczywiście, że nie. W głębi duszy jest zła, że to wszystko należy już do przeszłości. Połowę czasu powinna spędzać w łóżku, więc sama pani rozumie, dlaczego jestem pani tak bardzo wdzięczny za okazywane jej zainteresowanie. - Wysunął rękę z jej dłoni. - O Boże! - krzyknął przerażony. - Błagam! Niech pani nie płacze!

- Ja nie płaczę. Ja tylko... to takie głupie. Tylko... bardzo rzadko ktokolwiek dziękuje mi za coś, co zrobiłam.

- Jeśli chce pani znać moje zdanie, to bardzo źle świadczy o wielu ludziach. Bardzo proszę, niech pani już się nie martwi.

- Nie martwię się. To ja jestem wdzięczna. Nie chcę, żeby pańska matka widziała mnie w takim stanie. Przepraszam pana. - Odsunęła się. Jej usta wciąż drżały, gdy otworzyła drzwi i wróciła do głównej części domu. John stał zdumiony w hallu.

No proszę! Tak jak powiedziała jego matka, panna Beatrice Penrose-Steel miała i drugie, odmienne oblicze. Niesamowite. Samotność to był płaszczyk, płaszczyk, którego zapewne nie uniosła ani razu, by jej siostry mogły pod nim ujrzyć prawdziwego człowieka. Nałożył kapelusz i zamyślony wyszedł z domu. Życie było pełne niespodzianek. Czy właśnie dlatego nalegała, żeby zwracać się do niej Penrose-Steel? Dobrze znał się na dolegliwościach ciała, lecz znacznie mniej na cierpieniach duszy, a przecież jakże często takim cierpieniem była samotność.

Rozdział szósty

Wyjazd dobrze ci zrobi, dziewczyno — mówiła pani Anna.

- Tak, miło będzie spotkać się znowu z Heleną. Chce, żebym zobaczyła dom, zanim zostanie sprzedany. Powiedziała, że jest dla nich o wiele za duży, chociaż leży w pięknym miejscu nad rzeką.

- Jedziesz z jej przyjaciółką?

- Tak, to miła młoda kobieta. Helena spędzała wiele czasu w Col Mount. Kiedyś poszłam tam na wędrowkę. Nie sędzę, żeby od tamtej pory dużo się zmieniło. To piękne miejsce. Nazwa pochodzi od tego, że znajduje się w przełęczy między dwiema górami.

- Czy przyjedzie tu po ciebie? j

- Nie, spotkamy się na stacji w Newcastle. Myślę, że ona też zechce się przeprowadzić. Niedawno straciła męża.

- Na długo wyjeżdżasz? - spytał Robbie, siedzący przy drugim końcu stołu.

Rosie odwróciła się do niego.

- Zostanę tam do Nowego Roku, więc nie będzie mnie jakieś dwa tygodnie.

- A co powiedziała na to panienska Beatrice?

- Cóż... - Rosie przeniosła wzrok z syna na matkę. - Mniej, niż przypuszczałam. Oczywiście nie podoba się jej, że jadę do

OBSESJA

Heleny, więc spodziewałam się kłótni. Ale ona powiedziała tylko: „Wiesz, co o tym myślę, ale nie zwracaj na mnie uwagi”.

- I to wszystko? - Pani Anna uniosła brwi.

- Wszystko, pani Anno. Muszę powiedzieć, że moja siostra ostatnio się zmieniła. Ma nowe zainteresowania od czasu, gdy w oficynie zamieszkała matka doktora. Spędza u niej prawie cały czas.

- Ojej - wykrztusiła pani Anna.

- Co pani rozumie przez „ojej”? - spytała z uśmiechem Rosie.

- Nic. Czy aby nie ma w tym jakiegoś ukrytego celu?

- Ma pani na myśli doktora?

- Oczywiście. Kogóż by innego?

Rosie milczała przez chwilę. Spojrzała na Robbiego i pokręciła głową.

- Ależ nie - powiedziała bez przekonania.

- Dlaczego nie? - wtrącił się Robbie. - Ile ona ma teraz lat? Dwadzieścia cztery? A on?

Pytanie było skierowane do Rosie, lecz ona wzruszyła ramionami.

- Nie wiem. Chyba ze trzydzieści. Ale nie wyobrażam sobie...

- Tylko nie mów, że nie wyobrażasz sobie, by ktoś mógł się w mej zakochać. - Pani Anna pogroziła jej palcem. - Mężczyźni robią różne dziwne rzeczy, zwłaszcza w stosunku do ludzi, którzy są życzliwi dla ich matek. - Roześmiała się i spojrzała na syna, po czym podniesionym głosem rzekła:

- Czy nie nadszedł już czas, żebyś i ty zrobił trochę dziwnych rzeczy? Może tak zwróciłbyś uwagę na Bellę Battling? Właśnie po raz trzeci została wdową.

Wszyscy roześmiali się na te słowa, a Robbie pokiwał głową.

- Byłabyś zaskoczona, gdybym to zrobił, prawda? Zdesperowani mężczyźni działają desperacko. Ona ma pięcioro dzieci, a dwoje z nich jest już zdolne do pracy. Tak, warto się

Catherine Cookson

nad tym zastanowić. Pomyśl tylko o pomocy, jaką bym zdobył do pracy w naszym gospodarstwie. Rosie patrzyła na dwoje swoich przyjaciół, słuchała ich głupkowatej wymiany zdań i pomyślała, że wolałaby zostać tutaj na święta Bożego Narodzenia. Chociaż nie, to byłoby za blisko Beatrice, a poza tym cudownie będzie spotkać się znowu z Heleną. Nagle poraziła ją dziwna myśl: Beatrice i doktor? Nie. Nie. On jest zbyt miły... nie zechciałby jej. Chociaż... siostra ostatnio się zmieniła. Stała się bardziej życzliwa, miłsza. I gdyby... do tego doszło, całe życie w domu uległoby zmianie. Gdyby była szczęśliwa... ale przecież doktor jest za dobry jak dla niej. I dlaczego miałyby zaakceptować w domu kogoś takiego jak on, skoro sama została porzucona przez Teddy'ego. Teddy! To imię nie wywoływało wspomnienia o miłości, wzbudzało już tylko nienawiść. Od czasu tamtego listu nie otrzymała od niego więcej żadnych wiadomości. Bywały dni, nawet ostatnio, gdy nie mogła w to wszystko uwierzyć, gdy myślała, że śni. Ale nie, to nie był sen. Została z pogardą odtrącona. Tak, to właściwe słowo: odtrącona, wzgardzona, odsunięta na bok. I to ją zabolalo, zmieniło, i już nigdy nie będzie się czuła tak młodo i beztrosko jak kiedyś. Czasami śmiała się, szczególnie gdy przychodziła do tego domu, który stał się jej azylem, a tych dwoje ludzi ocaliło jej życie. W każdym razie właśnie im zawdzięczała to, że pozostała przy zdrowych zmysłach.

- Czy ty często odwiedzasz matkę doktora?

- Tak. Cały czas do niej chodzę. To przemiła starsza pani, bardzo wesoła, i mimo że bardzo choruje na artretyzm, stara się normalnie żyć. W ciągu ostatnich tygodni narobiła całą masę butelek wina.

Powiedziała, że wszystko zostanie wypite w czasie świąt. Nauczyła Beatrice, jak robić wino. Mnie też chciała nauczyć, ale... mnie to nie interesowało.

- Jedziesz pociągiem o dziesiątej rano - odezwał się Robbie. - Odwiozę cię.

130

OBSESJA

- Jesteś bardzo miły. Dziękuję ci.

Odwrócił się, zdjął z wieszaka na drzwiach czapkę i kurtkę, po czym bez słowa wyszedł. Rosie wstała, również zabierając się do wyjścia.

- U Heleny spotkasz wielu różnych ludzi - rzekła pani Anna. - To będzie zupełnie inny świat. Kto wie, może znajdziesz tam kogoś, kto ci się spodoba.

Rosie odwróciła się do niej gwałtownie.

- Nie znajdę! - warknęła gniewnie. - Nie znajdę i wcale nie będę szukała. Ja... już nikomu nigdy nie uwierzę. Słyszysz pani? Nigdy!

- Nigdy to długo, dziewczyno. Bardzo długo. Wiem, co czujesz, ale znacznie dziwniejsze rzeczy miały już miejsce. Zrozumiesz to z czasem. Zdaje się, że to samo może się przydarzyć Robbiemu, bo znowu ganiają za nim dwie dziewczyny.

- Co takiego? - spytała zaskoczona Rosie.

- Co się tak dziwisz? Gdyby tylko chciał, mógłby się ożenić choćby dzisiaj.

Rosie nie odpowiedziała. Patrzyła na panią Annę szeroko otwartymi oczami.

Rozdział siódmy

Frances Middleton z brzękiem postawiła na stole dużą tacę,

- Muszę przyznać, że mówiły prawdę. A same są wesolutkie jak skowronki. Śmieją się do rozpuku.

- My też będziemy - powiedziała kucharka - gdy skończymy te trzy butelki. - Wskazała ręką stół. -

Starsza pani robi pierwszorzędny trunek, jednak ostrzegła mnie, że wino jest jeszcze niedojrzałe i powinno trochę postać. Jezu! Ostatniej nocy spałam jak zabita, mimo że wypiałam tylko dwa kieliszki.

- To dlatego, że pani zmieszała różne gatunki - rzekła Mary Simmons. - Mój ojciec mówi, że łatwiej się upić mieszając różne alkohole niż wypijając większą ilość tego samego.

- To są wina domowej roboty, panno Mądra, a nie to, co pija twój tatuś.

Służąca lekko skłoniła głowę, ale Janie Bluett mrugnęła do niej ze słowami:

- Zobaczymy, co będzie później, zwłaszcza ze mną, bo ja napiję się po trochu wszystkiego. Im prędzej, tym lepiej. Posprzątajmy i siadajmy do stołu. Nasza pani ma już wszystko, co jej potrzeba.

- Zauważyłam, że się zmieniła - skinęła głową Frances

OBSESJA

Middleton. - Od czasu, gdy została panią tego domu, nigdy nie słyszałam od niej słowa „dziękuję”. Tak było jeszcze kilka miesięcy temu. Zaś teraz ona nawet prosi, żeby coś zrobić, a nie rozkazuje. Kiedy dzisiaj zaniiosłam jej i starszej pani popołudniową herbatę, śmiała się na całe gardło. Mówię wam, cóż to był za widok...

W tym właśnie momencie Beatrice jeszcze raz roześmiała się głośno.

- Nie, nie mogę w to uwierzyć, pani Falconer.

- Może pani, moja droga. Ten oto nicpoń, który teraz siedzi i uśmiecha się głupkowato, pobiegł na górę i dosłownie zdemolował swój pokój. Nawet zabawki powyrzucił przez okno, a wszystko dlatego, że nie pozwoliłam mu pójść na całodzienną wyprawę z... - pokręciła głową i spojrzała na Johna - jak to się nazywało? Brygada Urwisów, Banda Rycerzy Nadziei, czy jakoś tak? Miał wtedy dopiero sześć lat. Nie było sensu tłumaczyć mu, że trzeba było zostać zaproszonym do udziału, że w wyprawie brały udział tylko wybrane dzieci. Mieszkaliśmy wówczas w Tunbridge Wells, a celem wycieczki było Hastings, gdzie John był już przedtem wielokrotnie. A potem odesłano go kiedyś ze szkoły do domu, bo pokopał kolegę po nogach i jego rodzice przyszli do nauczycieli ze skargą. Tym razem jednak stanęłam w jego obronie: nie miał jeszcze dziesięciu lat, a tamten łobuz miał już dwanaście i był wielki jak młody byk.

- Mamo! Dajże spokój. I zakorkuj lepiej te butelki, bo w przeciwnym razie ja zacznę opowiadać historię o pewnej młodej damie, która skakała do wody z samego końca mola w Hastings mając na sobie niewiele więcej niż majteczki.

- Nie robiłam tego! To nieprawda! Wcale tak nie było.

- Właśnie że było. A teraz przydałaby ci się filiżanka mocnej kawy.

- Zaraz poproszę dziewczęta.

Catherine Cookson

- Nikogo pani nie poprosi. - John zdecydowanym ruchem palca zatrzymał Beatrice, która zamierzała wstać z kanapy.

- Tylko ja trzymam się jeszcze na nogach. Ja zrobię kawę. A ty mamó - odwrócił się i pogroził palcem matce, która siedziała w głębokim fotelu obok kominka

- pamiętaj. Na dzisiaj koniec z próbowaniem wina. Jutro rano o wpół do ósmej mam dyżur, a doskonale wiem, jak te twoje specjały działają na moją głowę. Mam przykre doświadczenia z przeszłości. Nie otwieraj więcej butelek, rozumiesz?

- Dobrze już, dobrze. Pomyślimy o tym, gdy napijemy się kawy.

Gdy wyszedł, w salonie przez jakiś czas panowało milczenie, które przerwała pani Falconer.

- To były cudowne święta, prawda? - powiedziała cicho.

- Nigdy jeszcze nie widziałam go w takim stanie: jest pełen swobody, beztroski. To pewnie dlatego, że na dobre zadomowił się w tym cudownym domu.

Beatrice nie od razu odpowiedziała. Uniosła wzrok, spojrzała na sufit i dopiero po chwili rzekła:

- To najpiękniejsze święta, jakie miałam od czasu... od dzieciństwa. Nawet gdy jeszcze żyli moi rodzice, były tu Helena, Marion i Rosie. Były zawsze takie wesołe, radosne, a ja jakoś nie potrafiłam dostosować się do tego nastroju. Nie wiem dlaczego. Czasami czułam, że nie mam nikogo bliskiego, z wyjątkiem ojca. A potem dowiedziałam się całej prawdy.

- Niech pani o tym zapomni, moja droga. - Catherine przesunęła się na krawędź fotela. - Niech pani zapomni o przeszłości. Jej nie można zmienić. Proszę spojrzeć w przyszłość. Jest pani uroczą młodą kobietą... naprawdę śliczną dziewczyną, jak to tutaj mówią.

Beatrice uniosła głowę, spoczywającą na oparciu kanapy.

- Pani myśli, że jestem urocza?

140

OBSESJA

- Oczywiście. Jest pani urodziwa i bardzo elegancka.
 - Ale... ja wciąż tyję. Jem za dużo czekoladek.
 - Cóż, jest na to tylko jedno lekarstwo: przestać jeść czekoladki. Proszę się ograniczać i zacząć myśleć o przyszłości. Jest pani młoda i ma pani przed sobą całe życie.
 - Ma pani rację. Tak właśnie zrobię.
 - Co pani robi? - spytał John wchodząc z tacą, na której stały trzy filiżanki z kawą.
 - Nieważne - odparła matka. - Napijemy się kawy, a potem możemy znowu otworzyć parę butelek.
 - O, nie, matko. Nie zgadzam się. - No, dobrze. Zobaczymy...
- Wypili kawę, a później jeszcze po kieliszku wina z pasternaku. Rozmawiali, przynajmniej Catherine wspominała okres życia spędzony w Tunbridge Wells, Ryego, Hastingsa, wycieczki do Eastbourne i Brighton. Potem zamilkła i przymknęła oczy.
- Myślę, że powinnaś już iść spać - odezwał się John.
 - Zanim wyjdę, chciałbym cię zobaczyć w łóżku.
 - Chyba masz rację. To był długi i jakże piękny dzień.
 - Spojrzała na syna, potem na Beatrice. - Naprawdę piękny dzień. - Gdy John pomógł jej wstać i podał laski, dodała: - Teraz mnie zostaw. Sama sobie poradzę. Beatrice zerwała się na nogi.
 - Może ja pani pomogę?
 - O, nie - zaprotestowała Catherine. - Dopiero wtedy, gdy będę potrzebowała kogoś, żeby pomógł mi się rozebrać. Dobranoc, moja droga. Zobaczymy się rano.
 - Dobranoc, pani Falconer. I dziękuję.
 - Nie ma pani za co dziękować. To ja jestem pani wdzięczna. Siadajże tu. - Kiwnęła głową do syna. - Za piętnaście minut będę w łóżku. - Dobrze: piętnaście minut.
- Oboje młodzi stali i patrzyli, jak Catherine utykając wy-

Catherine Cookson

chodzi z pokoju. Po chwili John odwrócił się do Beatrice i wyciągnął do niej rękę.

- Niech pani spocznie.

Nie dotknął jej nawet, ale ona przyglądała mu się przez moment, zanim zajęła miejsce na brzegu kanapy. John usiadł ciężko na drugim końcu mebla i wyciągnął się, prostując nogi.

- Już od wielu lat nie widziałem jej w tak dobrym humorze. Bardzo brakowało jej mojego ojca, a ja nie potrafiłem wypełnić pustki, która powstała po jego odejściu.

- Teraz jest pan całym jej życiem.

Odwrócił się, żeby na nią popatrzeć. Ona również oparła się wygodnie i wydawała się zupełnie odprężona. Jeszcze nigdy nie widział jej takiej spokojnej. W ciągu kilku ostatnich miesięcy poznał ją lepiej, niż mógłby się przedtem spodziewać. Młoda, wyniosła dama, którą pamiętał, przestała istnieć, jakby nigdy jej nie było. Miał jednak świadomość, że stare nawyki na pewno jeszcze w niej drzemiały, tyle że teraz objawiła się tłumiona dotychczas lepsza część jej natury, czyniąc z Beatrice atrakcyjną, pełną wdzięku młodą kobietę. Tak, naprawdę była urocza. Nie miała takiej figury jak jej siostry, bo Helena i Rosie były niczym sylfidy, a jedynie Marion miała krągłe kształty. Ale krągłości Beatrice były niezwykle pełne. W rzeczy samej nigdy by się po sobie nie spodziewał, że mogłaby go zauroczyć, lecz tak się właśnie stało. Była taka życzliwa jego matce, która sama twierdziła, że Beatrice to dziewczyna pierwsza klasa.

- Już chyba nigdy nie przeżyję takich świąt - przerwała milczenie.

- Dlaczego nie?

- Nie wiem. Te święta były z wielu powodów wyjątkowe. Myślałam, że będziemy same z Rosie, ona większość czasu spędzi u sąsiadów, a ja... a ja zostanę sama. Ody byli tu dziadek i babcia, mama i tata, Helena, Marion i Rosie, wtedy

OBSESJA

jakoś nie przeszkadzało mi, gdy spędzałam czas samotnie. W domu zawsze było pełno ludzi. Czasami nawet pragnęłam zostać sama, ale... ale ostatnio już nie. - Wyprostowała się i oparła złączone dłonie na kolanach. Powoli odwróciła do niego głowę i powiedziała cicho: - Czy pan wie, co to znaczy czuć się samotnym? Nie tylko samotnym, ale i opuszczonym, zdanym tylko na siebie, wyrzuconym poza nawias życia? John również wyprostował się.

- Nie znam takiego uczucia - odpowiedział po chwili namysłu. - Ale wie pani co, Beatrice, chyba w każdym z nas tkwi odrobina samotności, coś, co nazywam odosobnieniem. Są w nas puste, czyste miejsca, które czekają, by napełnić je...

- nie potrafił wymówić słowa „miłość” i z wahaniem ciągnął

- by napełnić je jakąś treścią, przyjaźnią, uczuciem. Przykro mi, że przeżyła pani coś takiego. Nigdy nie zdawałem sobie z tego sprawy. Nikt nie zna myśli drugiego człowieka. Ale niechże się pani już nie smuci, bo popsuje pani taki piękny dzień. - Wyciągnął rękę i położył ją na jej dłoni. Natychmiast przypomniał sobie, że już kiedyś zrobił coś takiego i że ona zaczęła wtedy płakać. No i teraz zanosilo się na to samo, bo w jej oczach już błyszczały łzy. - Moja droga Beatrice! Błagam! Jeśli matka zobaczy, że pani płacze, to mnie zabije.

- Nic mi nie jest. To ze szczęścia. Ja... teraz czuję się naprawdę potrzebna. - Zajrzała mu głęboko w oczy. - I wiem, że... mam w panu przyjaciela.

- Tak jest, może pani na mnie polegać.

Wziął w dłonie jej ręce i uściśnął je mocno. I gdy głos w głębi jego duszy mówił mu: „Uważaj! Bądź ostrożny!”, odpowiedział głośno: Dlaczego? Ona opiekuje się mamą. Jest miła i bardzo ją lubię. Tak. Właśnie tak. Nauczyłem się ją lubić. A co jeszcze mi pozostało? Przeszłość to zamknięty rozdział. Prawdę mówiąc nie został nawet otwarty. Po prostu sam czas pokrył kurzem tę księgę mego życia, bo zbyt późno

Catherine Cookson

po nią sięgnąłem. Więc co mi jeszcze pozostało? Z kim się spotykam na kolacjach u starego Cornwallisa? Z jego żonatymi rówieśnikami i ich żonami, z ich zwariowanymi córeczkami, czasami z jakąś stateczną starą panną. I musiał przyznać, że wolał starą pannę od podlotków, zwłaszcza jednego podlotka

- szesnastoletniej dziewczyny, która wymyślała najróżniejsze dolegliwości, żeby mieć pretekst do odwiedzin w jego gabinecie. W końcu stanął przed wyborem: albo powiedzieć dziewczynie, co o niej myśli, albo przekazać jej przypadek Cornwallisowi. Wybrał to drugie rozwiązanie i jej wizyty ustały. Niedługo potem dowiedział się, że dziewczyna obgaduje go: twierdzi, że go nie cierpi, że jest złym lekarzem i pacjenci powinni go, unikać. Takie oto są burzliwe emocje młodego wieku.

Jednak tutaj sytuacja przedstawiała się zupełnie inaczej. Beatrice była niezwykle uroczą młodą kobietą. Co więcej, posiadała ten piękny dom, mimo że był obciążony hipoteką. Oprócz tego była jeszcze ona sama - człowiek. Była opiekuńcza, co udowodniła zajmując się serdecznie-matką Johna. W jej towarzystwie czas mijał bardzo przyjemnie. Była zdumiewająco czytana, co chyba wynikało z jej samotnego trybu życia i poczucia własnej odrębności. Oczywiście, wciąż jeszcze widoczne były pewne cechy, które odziedziczyła po ojcu, zwłaszcza chęć posiadania ziemi, a przede wszystkim - tego domu.

- Widzę że... wprowadziłam pana w zakłopotanie - odezwała się cicho.

Pokręcił głową.

- Zakłopotanie? Proszę nie opowiadać głupstw - zaprotestował gwałtownie. - Chyba raczej odwrotnie... to pani zmusiła mnie, żebym się zastanowił i pomyślał o... o przyszłości. Ale ja... - puścił jej dłoń i wzruszył ramionami - wiem, jaka mnie czeka przyszłość: pewnego dnia zacznę pracować na własną rękę i na tym się skończy moja kariera. Żadnych zaszczytów

OBSESJA

ani sławy, bo te są udziałem takich lekarzy, którzy kroją ludzi, wyjmują z nich chore organy i którym udaje się nie pozostawić w ciele pacjenta żadnych instrumentów.

Roześmiali się oboje, pochylając ku sobie głowy. Lecz następne słowa Beatrice sprawiły, że przestał się uśmiechać.

- Nie robiłoby mi żadnej różnicy, gdybyś nie miał nawet złamanego pensa. Ani teraz, ani nigdy.

Nastąpiła długa cisza.

- Beatrice... - wykrztusił w końcu. Siedziała z opuszczoną głową.

- Ja... nie mogę na to nic poradzić - rzekła. - Po prostu to, co do ciebie czuję... Tak. - Uniosła głowę i z jej oczu popłynęły łzy. Dużo łez. - Młode damy nie zachowują się w taki sposób - powiedziała ciężko - ale... nie mogę na to nic poradzić. I chyba nigdy nie zdobyłabym się na odwagę, gdyby nie... - Uśmiechnęła się krzywo i wskazała kciukiem stół, na którym stały butelki i kieliszki. - Proszę, puść to w niepamięć. Do jutra rana oboje o tym zapomnimy. Po prostu zostań moim... przyjacielem i to... to mi wystarczy.

Położył dłonie na jej ramionach i powiedział cicho:

- Beatrice, spójrz na mnie. - Spojrzała. - Czy wyszłabyś za mnie?

Patrzyła na niego przerażona i znów łzy popłynęły potokiem z jej oczu. Nie potrafiła wydobyć z siebie głosu. Wziął ją w ramiona, a ona przywarła do niego mocno.

- Już dobrze, moja miła. - Gładził jej włosy, gdy nagle poczuł, jak ogarnia go fala emocji. Nie potrafił jej nazwać. To nie była namiętność. A więc miłość? Czuł coś takiego... może współczucie. Tak, chyba to. A nawet więcej. Litość? Nie... Nie była typem człowieka, nad którym można by się litować. Była zbyt silna i... kochała go. To cudowne: być kochanym. Przytulił ją mocniej, a gdy wydała cichy jęk, delikatnie uniół jej głowę ze swojego ramienia i wycisnął na jej ustach gorący pocałunek. Objęła ramionami jego szyję i przywarła do niego

Catherine Cookson

tak mocno, że aż zawstydziło go to. Po chwili stanęli obok siebie i John zaczął ocierać jej łzy.

- Jeśli spowodowała to słabość mojej matki, to wypijmy za chorobę staruszki. Tym razem po kieliszku wina z pasternaku, ono nie jest takie mocne.

Już chciał podejść do stołu, gdy odezwała się:

- Jutro rano możesz tego żałować.

- Nie - pokręcił głową. - Nie jestem pijany. Musiałbym wypić bardzo dużo tego wina, żeby uderzyło mi do głowy. Jestem do niego przyzwyczajony już od dzieciństwa. Przyznaję, że pomaga zapomnieć o troskach codziennego życia, ale tak łatwo nie upija. Jutro rano będę się czuł dokładnie tak samo.

- Och, John. Nawet nie wiesz, co dla mnie zrobiłeś.

- Zdaje się, że będziesz musiała za to zapłacić, moja droga. Mam zły charakter, jestem mrukiem, człowiekiem chwiejnym, przynajmniej czasami, i nie potrafię nigdzie zagrzać miejsca. Jak zawsze mawiała moja matka, nie potrafię usiedzieć w jednym miejscu.

Wytarła twarz chusteczką i uśmiechnęła się.

- Poradzę sobie z tym, mój drogi.

I wiedziała, że tak będzie. Bez względu na to, jakie ma słabości, pogodzi się z nimi, bo on sam będzie należał do niej. Będzie jej mężem, a ona zostanie zameżną kobietą. Żoną. Nagle przypomniała sobie o Helenie i ogarnęła ją fala emocji, nawet strachu, lecz zarazem uniesienia i dumy. Helena miała za męża człowieka dwukrotnie od niej starszego. Beatrice wiedziała od początku, że jej siostra wyszła za Leonarda przede wszystkim po to, żeby wyrwać się z tego domu i uciec od niej. Właśnie od niej, bo między małżonkami nie było miłości. A teraz ona wyjdzie za mąż za kogoś młodszego, przystojnego, eleganckiego, i do tego jeszcze lekarza.

Zaprzagnęła nagle, żeby było już rano, bo jego zachowanie następnego dnia potwierdzi, że to wszystko nie jest snem i że

OBSESJA

nie żałuje swojej decyzji. Na tę myśl zeszywniała. Nie, nie pozwoli mu zapomnieć. Nie wolno mu, przecież dał słowo, obiecał. Przymknęła oczy i zmusiła się do spokoju.

- Za nas.

Otworzyła oczy, przyjęła od niego kieliszek i uśmiechnęła się.

- Za nas - powtórzyła cicho. „Tak! Za nas! Za nas dwoje!” huczało jej w głowie.

Rozdział ósmy

Patrząc wstecz Rosie przypomniła sobie szok, jakiego doznała, gdy w NoWy Rok wróciła do domu i spotkała rozpromienioną Beatrice. Najpierw zdumiało ją radosne oblicze siostry, potem wesoły głos, którym ją powitała. A później, w gabinecie, Beatrice przekazała jej nowinę. Z początku Rosie nic nie odpowiedziała i wtedy Beatrice krzyknęła na nią w swoim starym stylu:

- Co się tak gapisz? Dlaczego nie miałabym się zaręczyć? - prychnęła.

- Ależ... nie ma żadnego powodu. Jestem po prostu zaskoczona.

- Że John... że doktor mógłby mnie kochać?

Ze doktor ją kocha? Rosie przypomniła sobie, że niemal wypowiedziała te słowa na głos, tyle że zmieniłaby wyraz „ją” na „ciebie”.

- Bo... to nieoczekiwana wiadomość - wyjąkała. - To znaczy, nie wiedziałam, że go kochasz.

- Jest jeszcze wiele rzeczy, których o mnie nie wiesz.

- Tak, masz rację - skinęła głową. - Ale cieszę się razem z tobą.

Jeszcze chwilę trwała sztuczna rozmowa, po czym Rosie poszła na górę, żeby się przebrać. Kiedy Beatrice ujrzała ją

OBSESJA

w starym palcie i czapce, co było widowym znakiem, że siostra wybiera się do sąsiadów, powiedziała sucho:

- To, co się stało, nie ma wpływu na moją opinię o naszych sąsiadach i twoich u nich wizytach.
- Na mnie również nie ma to żadnego wpływu, Beatrice
- odparła krótko Rosie.

Robbie i pani Anna powitali ją tak gorąco, że od razu poczuła się naprawdę jak u siebie.

- No, co tam słyhać u Heleny? - spytała pani Anna.
- O Helenie i moim wyjeździe opowiem wam później. Najpierw wiadomość z ostatniej chwili z naszego domu.

Gdy podzieliła się z nimi nowiną, oboje popatrzyli po sobie z niedowierzaniem.

- Doktor i Beatrice?
- To naprawdę sensowny facet - rzekł Robbie. - Kiedy to się stało?
- Z mojej krótkiej rozmowy z Beatrice wynika, że wieczorem w dniu Bożego Narodzenia.
- Chyba musiał być pijany. - Pani Anna pokiwała głową.
- Tak jest. I powiem ci, dziewczyno, że winem domowej roboty łatwiej się upić niż wódką. Wiem coś o tym. - Znowu pokiwała głową, jakby jej słowa kryły jakiś głębszy sens.
- Jedno jest pewne - odezwała się Rosie. - Już nie będzie sama i nie będzie mnie potrzebowała, więc znajdę sobie jakąś pracę. - Pracę? - Robbie odwrócił się w jej stronę. - Jaką pracę mogłabyś wykonywać? Musiałabyś najpierw pójść do jednej z tych szkół dla sekretarek, czy jakiejś innej szkoły, żeby się nauczyć zawodu. - Nie chcę iść do szkoły dla sekretarek. Pójdę pracować na farmie. Przecież tutaj zdobyłam dosyć doświadczenia. - Spojrzała na nich. - Robiłam przy koniach, krowach, świniami i wszelkich innych zwierzętach, prawda? I to od wielu lat. No więc nie sądzicie, że mam wystarczające kwalifikacje, żeby pracować na farmie?

Catherine Cookson

- Tak, masz sporo doświadczenia - rzekł Robbie. - Możesz pracować z dwoma końmi, tyluż krowami i świniami.

- Nie zapominaj o głównych uprawach w swoim gospodarstwie: kapusta, cebula, marchew, pory, wszystko, co tu rośnie, a dodatkowo te pnącza na murze.

W odpowiedzi na jej słowa Robbie i jego matka roześmiali się głośno. Po chwili Rosie przyłączyła się do nich. - Widzę, że mnie rozumiecie - powiedziała.

- Tak, dziewczyno, rozumiem cię. - Pani Anna usiadła przy stole naprzeciwko niej. - Ja niczego tu nie wymyślałam - rzekła spoglądając na syna. - Zgadza się?

- O ile dobrze zgaduję, co chcesz powiedzieć, to nie, niczego nie, wymyślasz.

Pani Anna przeniosła wzrok na Rosie.

- Wczoraj Robbie dowiadywał się na rynku, czy nie znalazłby się ktoś, jakiś młody człowiek, którego mógłby przyjąć na pomocnika, wiesz, takiego jakby ucznia. Zgadza się, Robbie? - spojrzała na syna. Potwierdził ruchem głowy.

- Zgadza się. Naprawdę niczego nie zmyślamy. Prawdę mówiąc dzisiaj ma tu przyjść na rozmowę dwóch chłopaków. Jeśli jeszcze trochę zostaniesz, to ich poznasz. Ale mama usiłuje powiedzieć, że możemy mieć i trójkę chętnych. Kapujesz? Twarz Rosie rozjaśniła się uśmiechem.

- Naprawdę?

- Tak, naprawdę. Ponieważ mam tylko dwa konie, które przez większą część zimy pozostają w zagrodzie, to połowa pola leży odłogiem. Wpadłem na pomysł, żeby ją obsiać. Miasto rozwija się, więc ludzie kupią wszystko, co im zawiozę, i to za moją cenę. Ziemia, na której budują teraz domy, to były kiedyś działki i ogródki warzywne. No i co ty na to?

- Och, byłoby wspaniale! - zawołała Rosie. - Cudownie!

- Wyciągnęła ręce ku pani Annie i chwyciła jej dłonie. - To

OBSESJA

będzie prawdziwa ulga, wyrwać się z domu na cały dzień i wracać tam tylko na noc. A ona z pewnością nie będzie się teraz tak bardzo przeciwstawiać. W każdym razie - wzruszyła ramionami - jest inna. Widać to po jej twarzy. Wiem, że ma dwadzieścia cztery lata, już prawie dwadzieścia pięć, ale dzisiaj wygląda młodziej ode mnie. - Uśmiechnęła się do Robbiego. - I będziesz mi płacił?

Oczywiście, że będziesz, tylko ile?

- Widzisz? - spojrzał na matkę. - Zaczyna się. Pieniądze.

0 to właśnie spytał mnie jeden z tych chłopaków na rynku: „Ile?” No więc, panienko - przeniósł na nią wzrok i przybrał surowy wyraz twarzy - wszystko zależy od twoich umiejętności, panno Steel. Jeśli spełnisz moje oczekiwania, dostaniesz na początek dziesięć szylingów tygodniowo i jedzenie. Założę się, że to dwa razy więcej, niż twoja siostra płaci swojej kucharce.

Rosie nie powiedziała nic dowcipnego, lecz utkwiała spojrzenie w stole i rzekła:

- Wiecie, ja nigdy nie miałam swoich własnych pieniędzy, bo wszystko mi zawsze kupowano.

Czasami dostawałam szylinga, ale to tylko na urodziny, żebym sobie kupiła słodycze. Od czasu, gdy zmarł ojciec, nie miałam nic. Ona... Beatrice niechętnie zapłaciła za mój bilet kolejowy, gdy jechałam do Heleny, a ja nie miałam ani pensa na prezenty świąteczne. Czułam się okropnie, ale Helena była naprawdę życzliwa. Ona już taka jest, zawsze taka była. Jakże pragnęłam tam zostać, i nawet mogłabym, gdyby nie to, że oni wyjeżdżają do Szwajcarii. Leonard źle się czuje i musi tam spędzić parę miesięcy. Był zmuszony zwolnić się z wojska. I wiecie co?

- Uniosła głowę i spojrzała na nich wilgotnymi oczami.

- Przed wyjazdem Helena dała mi pięć funtów, a od nich obojga dostałam mnóstwo prezentów świątecznych.

- Nie płacz, dziewczyno. Nie płacz. Zawsze będziesz miała swoją Helenę. I chociaż my jesteśmy biedni, nas też zawsze będziesz miała.

Catherine Cookson

Rosie zamrugała szybko oczami.

- Tak, mam przecież was. Gdyby nie wy, wcale by mnie tu nie było. Uciekłabym, zrobiłabym coś szalonego. Wiecie, że byłam lekkoduchem, postrzeleńcem, bardziej jak chłopak niż jak dziewczyna. Ale zawsze byłam marzycielką. Teraz już nie jestem. - Opuściła głowę.

- Jeśli masz ochotę pracować, dziewczyno - odezwała się żywo pani Anna - to najlepiej zacznij od razu. Nie będziemy ci płacili za siedzenie, popijanie herbaty i zjadanie moich najlepszych ciasteczek. I tak były przeznaczone na podwieczorek. No, wstawaj. Wyjdziemy na dwór.

i o wszystko wydarzyło się w dniu, kiedy wróciła. A dzisiaj był inny dzień: dzień ślubu Beatrice i Johna. John stał przed doktorem Cornwallisem. Obaj ubrani byli w ciemne garnitury, a w butonierkach mieli czerwone goździki.

- No, nadszedł dzień egzekucji - odezwał się Cornwallis. Postąpił dwa kroki w stronę Johna i położył mu rękę na ramieniu. - Jak się czujesz?

- Dobrze.

- Nie pytam o twoje ciało, lecz o psychikę. Co o tym wszystkim myślisz? Byłem naprawdę zaskoczony, że ją wybrałeś, bo zawsze uważałem ją za wyniosłą damę.

- Każdy medal ma dwie strony.

- I ty ujrzałeś tę jej dobrą stronę?

- O, tak. Ujrzałem ją w całej pełni.

- I cieszysz się z tego, co ma nastąpić?

- Tak, oczywiście - powiedział trochę sztywno.

- Dobrze to wiedzieć. A ty nieźle się ustawiasz. Posiadłość tonie w długach, lecz mimo to dom jest przecież piękny. Warto będzie spłacić za niego ten dług. To najlepszy dom w okolicy, może z wyjątkiem Hallu, tyle że tam jest przytulnie

OBSESJA

jak w piwnicy, gdzie przechowuje się piwo. Ale mam jedno pytanie: dlaczego nie chciałeś ślubu w kościele?

- To ona go nie chciała, proszę pana. Chciała, żeby ceremonia odbyła się bez rozgłosu. - Nie dodał: „I szybko”. Wydawało się, że Beatrice bardzo pragnie mieć to jak najprędzej za sobą. Zastanawiał się, czy wynikało to z tego, że wyczuła w nim rodzące się wątpliwości. Odsunął od siebie tę myśl. Była miłą, dobrą kobietą, a on bardzo, naprawdę bardzo ją lubił. No i przecież musiał się w końcu kiedyś ożenić, bo chciał mieć rodzinę. Tak, rodzinę. A ten dom był stworzony dla rodziny. Już widział, jak biega po nim gromadka dzieci. Beatrice powiedziała to zupełnie otwarcie: bardzo pragnęłaby mieć dzieci, a ich liczba nie sprawia jej żadnej różnicy.

- No, już czas. Chodźmy. - Cornwallis wyciągnął do niego dłoń. - Życzę ci wszystkiego najlepszego na świecie, John. Znamy się już wystarczająco długo, żebym mógł ci coś powiedzieć. Cenię w tobie dwie rzeczy: jesteś prostolinijny i jesteś cholernie dobrym lekarzem. A poza tym - schylił głowę - nie narzekasz, gdy Betsy Ann - wskazał swoją nogę - odmawia posłuszeństwa i domaga się odpoczynku. Dziękuję ci za to.

- Ja... naprawdę jestem tu bardzo szczęśliwy, i mam nadzieję, że tak zostanie i jeszcze długo będę tu pracował razem z panem i Betsy Ann. - Obaj roześmiali się, a Cornwallis klepnął Johna lekko w ramię.

- No, ruszaj, bo przed tobą całe życie niepokoju, frustracji i żalu.

John ruszył pierwszy i w myślach powtórzył te słowa: „Całe życie niepokoju, frustracji i żalu”. Nie! Miał nadzieję, że tak się nie stanie. To będzie szczęśliwy dom, a co więcej, jego matka już osiadła na dobre w nowym miejscu i była szczęśliwa z takiego rozwoju wydarzeń, bo obie z Beatrice bardzo się polubiły. Tak, to był jeden z podstawowych czynników, że obie przypadły sobie do gustu...

Catherine Cookson

Ody Rosie słuchała mężczyzny, który zza biurka wypowiadał słowa potwierdzające małżeństwo jej siostry i Johna Falconera, wciąż nie mogła pojąć, że to jest ślub. Dookoła było tak pusto i skąpo. Poza tym nie było tu Boga. Ta dziwna myśl uderzyła ją nagle: ceremonii, która łączyła tych dwoje ludzi na resztę życia, brakowało elementu religii, świętości. Wszystko trwało tylko kilka minut i już po chwili całowała Beatrice, a potem Johna, który objął ją serdecznie. Pomyślała wtedy, że to taki cudowny mężczyzna. Nie dodała: „Co też on widzi w naszej Beatrice?“, lecz ta myśl krążyła gdzieś w zakamarkach jej umysłu...

Stół był pięknie zastawiony, lecz zasiadło przy nim tylko dziesięć osób. Mimo to słyhać było wesoły gwar rozmów, a najbardziej ^wybijał się głos Cornwallisa. Potem, o trzeciej, przed dom zajechała kareta i wszyscy wylegli na zewnątrz, by pożegnać nowożeńców, którzy udawali się na miodowy miesiąc do St Leonards - dzielnicy Hastings. John znał to miejsce bardzo dobrze, a pomyślał, żeby tam pojechać, wyszedł od matki. Beatrice było wszystko jedno, dokąd pojedą pp ślubie. Powiedziała żartobliwie do matki męża: Nieważne, gdzie spędzimy miodowy miesiąc. Może to być nawet Bog's End, o ile tylko będę tam z Johnem". Na te słowa wybuchnęły śmiechem, gdyż Bog's End było najbiedniejszą dzielnicą Fellburn, w której rządziły bandy miejscowych rzezimieszków.

Rozdział dziewiąty

Było wpół do ósmej wieczorem, gdy John wyszedł z oficyny drzwiami łączącymi ją z główną częścią domu i w hallu natknął się na Beatrice. Jej mina nie wróżyła nic dobrego.

- Dlaczego zawsze musisz tam chodzić, zanim przyjdiesz do domu? - spytała ostro.
- Myślałem, że tu wszędzie jest mój dom - odpowiedział słabym głosem.
- Nie bądź głupi. Wiesz, o czym mówię. Kolacja czeka już od wpół do siódmej.
- Ty również nie bądź głupia, Beatrice - odparł hardo. - Mówiłem ci już wielokrotnie, że nie mogę wyjść z pracy, gdy w poczekalni siedzi tłum pacjentów, a staruszek nie może sam wszystkich przyjąć.
- Masz przecież asystenta.
- On też był zajęty. Poza tym miałem wezwanie do domu.
- Och, te twoje wezwania - powiedziała i ruszyła do jadalni. Nie poszedł za nią, lecz spytał:
- Czy pozwolisz, że najpierw udam się do garderoby? Umył ręce i spojrzał na swoje odbicie w lustrze. Stwierdził,

że w ciągu ostatniego półtora roku jego twarz bardzo się zmieniła. Więc był żonaty dopiero od osiemnastu miesięcy? Wydawało się, że minęło już osiemnaście lat. Przynajmniej

Catherine Cookson

ostatni rok tak strasznie się dłużył. Początkowo był naprawdę zadowolony z życia... no, do pewnego stopnia. Przedtem zdawało mu się, że wie już wszystko - przynajmniej o seksie i małżeństwie.

Codziennie miał do czynienia z ich skutkami, chociaż własnych doświadczeń nie miał wcale. Musiał przyznać, że w ciągu kilku pierwszych miesięcy pochlebiało mu pożądanie, które mu nieustannie okazywała, a które z biegiem czasu stawało się coraz bardziej męczące, w końcu nużące i nudne. Była wprost nienasycona. Teraz już wiedział, że odziedziczyła po ojcu jedną cechę, tę, która doprowadziła do jego śmierci.

- Koniec - uciął gwałtownie. - Już dzisiaj nie mogę. Jestem... zmęczony. Pracuję dwanaście godzin na dobę i po prostu nie daję już rady.

Zobaczył, jak jej twarz czerwienieje niczym burak. Wskoczyła z łóżka i zaczęła szybko chodzić po sypialni. W końcu udało mu się ją uspokoić.

- Spróbuj zrozumieć - mówił błagalnie - we wszystkim trzeba zachować umiar. - Pomyślał, że to straszne: mówić coś takiego kobiecie, która jest jego żoną. Ale ona zjadała go żywcem, a teraz oskarżała go, że to z jego winy nie mają dziecka. Nieraz myślał złośliwie, że jej aktywność w łóżku sama z siebie powinna już dać potomstwo, i to kilka dorodnych sztuk. Nie śmiał jej powiedzieć, że tego wieczoru nie przyszedł do domu prosto po pracy, lecz wstąpił jeszcze do pani Anny, której - podobnie jak jego matce - dokuczał artretyzm, jeszcze o dosyć łagodnym przebiegu. Jednak pani Anna stwierdziła ostatnio, że bardzo boli ją całe lewe ramię, uniemożliwiając wykonywanie ciężkich prac. Na szczęście Rosie okazała się wspaniałym pomocnikiem. Jeszcze nigdy nie widział jej takiej szczęśliwej. No, może niezupełnie szczęśliwej. Ta dziewczyna nie zazna prawdziwego szczęścia, dopóki nie dowie się, co czuje do niej Robbie. Jednak bardzo lubiła przebywać w tym domu. Czasami nie widywał jej przez

OBSESJA

cały tydzień, a nawet dłużej, bo gdy wracała do domu, to zazwyczaj od razu biegła na górę do swojego pokoju, podczas gdy on albo pracował w swoim gabinecie, albo siedział z matką... i z Beatrice. No właśnie: Beatrice prawie nigdy nie pozwalała mu być sam na sam z matką. Martwił się również tym, że matka zaczynała dostrzegać zupełnie inne oblicze synowej. Wczoraj powiedziała mu:

- Nie układa wam się, prawda?

- To zwykłe małżeńskie nieporozumienia - odparł.

- Ona się zmieniła - stwierdziła matka. - Bardzo się zmieniła. Jeszcze nigdy jej takiej nie widziałam.

- Oczywiście, że nie widziałas, bo nie znałaś jej wcześniej. - Mógł jeszcze dodać: „Poznałaś ją w momencie, gdy zastawiała sidła”, ponieważ teraz, poznawszy dobrze Beatrice, już wiedział, że celowo doprowadziła go do takiego stanu, że poprosił ją o rękę. Tak, teraz widział to jak na dłoni. Cóż, stało się. Teraz pozostało mu już tylko pogodzić się z tym i starać się żyć normalnie, bo życie musi toczyć się dalej. W tym momencie zadał sobie pytanie: „Jakże można żyć w ten sposób?” W głębi duszy czuł złość. Byli już w połowie kolacji, gdy spojrzał na Beatrice i powiedział:

- Dlaczego mi nie powiedziałaś, że Helena przeprowadziła się i teraz mieszka niedaleko stąd?

Widział, jak nerwowo przełknęła, nim udzieliła mu odpowiedzi.

- Bo nie sądziłam, że to cię zainteresuje.

- To, że twoja siostra mieszka w pobliżu i mogłaby nas odwiedzić?

- Nie odwiedzi nas.

- To prawda. Nie spotkałoby jej tu miłe przyjęcie.

- A czy mogę spytać, jak się o tym dowiedziałeś? Pewnie byłeś w tych tam chlewikach i rozmawiałeś z Rosie.

- Owszem, byłem odwiedzić moich przyjaciół... Rosie, której nie widziałem już od ponad tygodnia, poinformowała

Catherine Cookson

mnie, że opowiedziała ci o tym, że Sylwia Davison sprzedaje majątek Col Mount, a nabywcami są Helena i Leonard.

- Wobec tego może mi powiesz, dlaczego go kupiła, podczas gdy on został wysłany do Szwajcarii, z czego można wnioskować, że ma gruźlicę. Nasze strony nie szczycą się klimatem, który byłby zdrowy dla gruźlika. Odpowiedz mi: dlaczego go kupiła?

- Spytaj o to, gdy ją spotkasz. A może przynajmniej ja to zrobię.

- O, nie! - Uniosła się z krzesła. - Nie pojedziesz tam do nich.

- Dlaczego? - W rzeczywistości wcale nie miał zamiaru ich odwiedzać, bo spotkanie z Heleną kosztowałoby go zbyt wiele. - To przecież moja szwagierka. A Leonarda zawsze bardzo lubiłem. Powinniśmy ich odwiedzić z czystej grzeczności. Moglibyśmy pojechać razem.

Ze złością rzuciła sztucę na stół.

- Wiesz, co myślę o Helenie - powiedziała przez zaciśnięte zęby. - Nie proponuj mi więc, żebym... żebyśmy ich odwiedzili. Wstał.

- Nie waż się mówić, co mi wolno, a czego nie! - krzyknął poirytowany. - Ja ich odwiedzę, więc pogódź się z tą myślą. I będę odwiedzał kogo, kiedy i gdzie tylko zechcę. Mam już dosyć twojej małostkowości. Myślę, że na razie im mniej się będziemy widywali, tym lepiej. Więc od dzisiaj będę spał w pokoju gościnnym...

Zanim skończył zdanie, obiegła stół i stanęła nad nim.

- Nie! Nie zrobisz tego! Nie będziesz mnie kompromitował w oczach służby. - Nagle zmieniła rozkazujący ton i zaczęła go prosić: - John, proszę cię, nie rób tego. Nie rób mi tego. Obiecuję ci, że... nie będę... - Opuściła głowę. Nie mogła wypowiedzieć słów wyrażających to niemal pożerające ją uczucie, które sprawiało, że pragnęła pojąć go, znaleźć się w jego wnętrzu, mieć go tylko dla siebie. Tak, tylko dla

OBSESJA

siebie. Teraz przeszkadzała jej nawet jego synowska miłość do matki. Spędzał z nią zbyt wiele czasu. Musi nad sobą panować, bo inaczej przestanie lubić swoją teściową. Wyciągnął rękę i dotknął jej ramienia.

- Dobrze. Nie denerwuj się. Jeszcze zobaczymy. Na razie nie mówmy o tym. Ja... pójdę teraz do gabinetu, bo mam jeszcze trochę pracy.

- Proszę cię, skończ najpierw kolację.

- Nie mogę. Nie jestem głodny. Poproś Frances, żeby przyniosła mi filiżankę kawy.

Ponownie opuściła głowę i stanęła nieruchomo, a on przeszedł obok niej i wyszedł z jadalni.

W gabinecie usiadł i gapił się na równo poukładane bloki, kartki, ołówki, pióra, atrament. Wszystko na swoim miejscu... Zamknął oczy i ukrył twarz w dłoniach. Helena była w Col Mount, niecałe dwadzieścia minut drogi stąd.

W pewnej chwili John gwałtownie uniósł głowę. „Co za różnica?” - zadał sobie pytanie. „Ona jest zamężna, ja żonaty, a poza tym jej mąż to cudowny człowiek”. Jeszcze dźwięczały mu w uszach te wypowiedziane przez nią słowa. A z kim on się ożenił? Z jędzą, którą była owładnięta obsesją i która stanowiła zagadkę. Tkwiły w niej dwie lub nawet więcej osobowości. Była panią domu - i wtedy zachowywała się jak wielka dama; czasem była gadatliwą i bardzo miłą kobietą, w której towarzystwie przyjemnie spędzało się czas. Ta cecha charakteru już dawno znikła, a Beatrice stała się wygłodniałym, zapalczywym, a nawet nieprzyzwoitym upiorem.

John pragnął miłości, pragnął cielesnej przyjemności, ale wszystko miało granice. Nie potrafił sobie wyobrazić, że te żądze ogarnęły ją tylko w wyniku zamążpójścia. A jednak przed nim nie miała żadnego mężczyzny. Słyszał już o podobnych kobietach, lecz nigdy nie myślał, że jedna z nich będzie miała na niego tak wielki wpływ. Bardzo chciałby z kimś o tym porozmawiać. Nie widział jednak siebie pytającego o te

Catherine Cookson

sprawy Cornwallisa. To z pewnością była cecha dziedziczna, którą przejęła po ojcu.

Helena wróciła także do jego myśli. Przed oczami miał jej obraz, gdy siedziała razem z nim na szczycie Craig Tor i pokazywała dom swojej przyjaciółki po drugiej stronie doliny. Wtedy oboje zrozumieli ze smutkiem, że spotkali się za późno. Uniósł wzrok na sufit, bo z góry dobiegł go stłumiony odgłos kroków. Była w sypialni. Szybko wstał i wyszedł cicho z gabinetu, po czym ruszył przez hall do oficyny. Matka leżała już w łóżku. Zapukał.

- Wszystko w porządku? - zawołał.

- Tak, w porządku. Wejdz. - Gdy znalazł się w sypialni, spojrzała *na* niego. - Znowu dała ci się we znaki? Przysunął sobie krzesło do jej łóżka.

- Trochę.

Przyjrzała mu się uważnie. Opuścił głowę.

- Chciałbyś o tym porozmawiać? Coś się dzieje, lecz ja nie potrafię do końca zrozumieć co.

Nagle uniósł głowę i spojrzał na nią. Tak, bardzo chciałby o tym porozmawiać. I z nią mógł to zrobić: matka była naprawdę mądrą kobietą.

- Czy słyszałaś... - zaczął cicho - czy miałaś do czynienia z kobietami, które są... niewyżyte seksualnie? Spostrzegł, że matka przymyka oczy.

- A więc miałam rację.

- Jak to?

- Przypuszczałam, że to coś w tym rodzaju. Tak, mój chłopcze, słyszałam o kobietach, które potrafią zjeść męczyznę żywcem. Ale gdy się je obserwuje w ciągu dnia, wydają się takie opanowane, że przypominają sople lodu. O takich rzeczach dowiadujemy się z opowiadań. U mężczyzn to bardziej naturalna cecha, ale u kobiet ma to o wiele gorsze skutki. Możesz mi nie wierzyć, ale szwagierka twojej ciotki

154

OBSESJA

Ady była właśnie taką kobietą. I on musiał od niej odejść. Ale pamiętaj, że to nie ich wina. Takimi stworzyła je natura. Po dłuższej chwili milczenia skinął głową.

- To dziwne - pokręciła głową - ale takimi najczęściej okazują się kobiety spokojne, skromne i nieśmiałe. W innych okolicznościach pewnie wyszłyby na ulice... jako prostytutki.

- Mamo! - Nie oburzaj się tak, synu. To prawda. Pamiętasz, jak wszyscy potępiali farmera Braithwaite'a za to, że odszedł i zostawił na gospodarstwie swoją biedną żonę z trójką dzieci? On też miał ku temu powody i opowiedział o nich twojemu ojcu. Jego praca i życie ucierpiały właśnie dlatego. - Pani Braithwaite? - otworzył szeroko oczy.

- Tak, właśnie ona.

Zamyślił się. To była drobna kobieta, w sposobie wyrażania się i zachowaniu nawet podobna do Beatrice: autokratyczna pani domu. Były rzeczy, o których się wiedziało, były też inne, nieznanne fakty. - Na twoim miejscu przez jakiś czas spałabym w osobnym pokoju.

- Powiedziałem jej to, ale wpadła w szal.

- Może to ją uspokoi. Powinna brać coś na uspokojenie, jakiś mocny środek nasenny.

- Nawet nie potrafię sobie tego wyobrazić.

- Ja również.

- Wiesz, mamo, z początku wydawała mi się wspaniała, przesłoniła mi cały świat. Lecz tak to już jest: człowieka poznaje się dopiero wtedy, gdy się z nim mieszka pod jednym dachem.

Położyła mu rękę na ramieniu.

- Przykro mi, synku.

Wstał i podszedł do okna, za którym gęstniał już mrok.

- Helena zamieszkała w Col Mount, a Beatrice wiedziała o tym i nic mi nie powiedziała.

Dowiedziałem się dopiero od Rosie.

Catherine Cookson

- Ja również.

Odwrócił się do niej gwałtownie.

- Ty wiedziałaś?

- Tak. I wiem także o innych rzeczach. Pomyślałam, że im mniej będziesz wiedział, tym lepiej będzie dla ciebie i dla spokoju twego ducha.

- Mamo! - Znowu usiadł i zaczął coś mrużyć pod nosem.

- Tak, życie nie jest usłane różami, lecz trzeba żyć. Musisz być stanowczy. Przenieś się do innego pokoju.

- Nie - pokręcił głową. - Teraz jeszcze nie mogę tego zrobić. Ona była naprawdę rozjuszona.

- Jak chcesz. Myślę, że teraz najbardziej potrzebujesz snu. Pocałuj mnie na dobranoc i wracaj do siebie.

Pocałował ją i przez chwilę trzymali się w uścisku, po czym John wstał i wrócił do swojego gabinetu. Gdy poszedł na górę, było już po północy. Beatrice leżała po swojej stronie łóżka i wydawało się, że śpi. Kiedy położył się obok niej, nie odwróciła się w jego stronę. Westchnął głęboko. Jednak dopiero po dłuższym czasie zasnął, żeby wypocząć przed kolejnym ciężkim dniem.

Rozdział dziesiąty

Ostatnie dwa dni John spędził w Londynie, gdzie brał udział w specjalnym kursie w jednym ze szpitali. Właśnie opuścił Trafalgar Square i ruszył powoli w kierunku Regent Street, gdy wtem zatrzymała się przed nim jakaś postać, którą widział przed chwilą, jak mknęła między pojazdami na jezdni.

- Myślałem, że to pan, ale nie byłem pewien - wysapał zadyszany mężczyzna.

John ujrzał wysokiego, eleganckiego i opalonego młodzieńca. Przez chwilę nie mógł sobie przypomnieć, kto to taki.

- Daleko pana zaniósł z Fellburn. Nigdy nie przypuszczałem, że spotkam tu kogoś stamtąd... a dzisiaj jestem tu już ostatni dzień. Jutro wyjeżdżam. Czy w Fellburn wszystko w porządku?

John intensywnie myślał, starając się przypomnieć sobie, kim jest ten człowiek. I nagle olśniło go. To był Teddy, narzeczony Rosie; Edward Golding, którego poznał na tamtym pamiętnym przyjęciu w dwudzieste pierwsze urodziny Beatrice. Nie był to jednak ten sam Teddy, który zrujnował Rosie życie. Zmienił się. Tamten był młokosem, wyrostkiem, niemal chłopcem, a teraz miał przed sobą dorosłego mężczyznę. Odpowiedział sztywno:

- Tak. Gdy wyjeżdżałem trzy dni temu, wszystko było tak jak zwykle.

Catherine Cookson

- Jak się ma Rosie? - spytał cicho Teddy. Już się nie uśmiechał.

John pomyślał, że facet jest wyjątkowo bezczelny.

- Ma się bardzo dobrze i bardzo lubi swoją pracę - odparł sucho.

- Rosie pracuje? Więc lepiej się już czuje? John podniósł brwi w wyrazie zdziwienia.

- Lepiej się czuje? Nic mi nie wiadomo, że kiedykolwiek chorowała, jeśli nie liczyć drobnych przeziębień. - Co? Przecież jest pan jej lekarzem.

- Zgadza się.

- I... i mówi pan, że nigdy nie była chora?

- Tak właśnie mówię.

Młodzieniec odwrócił wzrok i przez chwilę patrzył na ulicę, na której panował wyjątkowo duży ruch.

Po chwili wyciągnął rękę, tak jakby chciał się oprzeć na sklepowej wystawie.

- Tu niedaleko jest kawiarnia - powiedział nagle. - Czy moglibyśmy... porozmawiać przez chwilę?

- Do odjazdu pociągu mam jeszcze godzinę - odparł John. - Zgoda.

Żaden z nich nie odezwał się aż do chwili, gdy weszli do kawiarni i zajęli cichy stolik w rogu sali.

Lokal był niemal pusty, tylko przy jednym ze stolików siedziało dwoje innych gości. Obydwaj zamówili kawę. Gdy czekali, aż przyniosą im napój, John ujrzał, jak młodzieniec nerwowo przeczesuje palcami swoje gęste włosy.

- Więc mówi pan, że Rosie nigdy nie chorowała?

- Tak jest, z wyjątkiem...

- Ale - przerwał mu Teddy - gdy byłem tam dwa razy, podobno miała różyczkę. A po śmierci jej ojca spotkaliśmy się i pan... nie pozwolił mi się z nią widzieć.

- Nie pozwoliłem, bo dałem jej wtedy środki uspokajające. Potrzebowała spokoju. Właśnie dowiedziała się prawdy o swo-

OBSESJA

im ojcu. Zostawił ich po uszy w długach, był kobieciarzem i hazardzistą.

- A co z tym... problemem, który odziedziczyła?

- Odziedziczyła? Co odziedziczyła? - John patrzył zdumiony.

- Chodzi o siostrę jej dziadka, tę, która zmarła w domu dla umysłowo chorych. Ja... widziałem ten list i... to było dziedziczne, i ja nie mogłem...

- O czym, na litość boską, pan mówi? - John nachylił się do swego rozmówcy.

Mówienie sprawiało Teddy'emu wyraźną trudność.

- Beatrice... przyjechała do Newcastle i... i pokazała mi ten list. Było tam opisane, jak tamta stara ciotka, siostra dziadka, zmarła w domu wariatów. Był tam też opis jej chorobliwej manii. - Przerwał na chwilę, oblizał wargi i z trudem przełknął ślinę. - Ona miała napady i... o ile się zorientowałem... wpadała w histerię, w wyniku której obnażała się... Przypominam sobie, że takiego właśnie terminu użył prawnik. Stwierdził: obnażała się i... biegała po całym szpitalu. A Beatrice powiedziała, że... - oparł łokcie na stoliku i ujął głowę w dłonie.

- Co powiedziała? - spytał cicho John.

- Że Rosie odziedziczyła... - wyszeptał nie odrywając rąk od twarzy - ...i dlatego nie mogłem się z nią spotkać, gdy wtedy dwukrotnie do niej przyjeżdżałem. Mówiła, że ponieważ i tak wcześniej czy później dowiedziałbym się prawdy, ona poczuła się w obowiązku, żeby mi o tym powiedzieć. Jak to ujęła, byłoby dla nas obojga strasznym przeżyciem, gdyby to się stało w Ameryce. A tutaj, na miejscu, miała zapewnione odpowiednie leczenie i życzliwą opiekę. - Spojrzał na Johna, lecz ten nie potrafił zdobyć się na żaden komentarz. - Pamięta pan, że Rosie była bardzo wesoła i żywa. Gdy ją widziałem po raz pierwszy, siedziała na drzewie. Jakże często tańczyła i śpiewała. - Znowu przymknął oczy. -

Wszystko to pasowało

Catherine Cookson

do opisanego schematu. Byłem... byłem kompletnie rozbity. Bardzo ją wtedy kochałem - powiedział ledwie dosłyszalnie.

- I... nadal ją kocham. Przez te ostatnie lata żyłem z ciężkim sercem. - Pochylił się w stronę Johna. - Dlaczego? - spytał gwałtownie. - Dlaczego ona to zrobiła?

W tym momencie John mógł mu udzielić tylko jednej odpowiedzi.

- Bo jest złą, kłamliwą kobietą. - To co powiedziała temu młodzieńcowi o Rosie było złem, a to, co zrobiła jemu - oszustwem: usidliła go udając dobrą i opiekuńczą, które to cechy były jej zupełnie obce. Zagrała na swojej samotności. Bała się jej i dlatego z taką determinacją rozbiła związek tych dwojga młodych ludzi, żeby zatrzymać Rosie przy sobie.

- Zmusiła mnie - podjął Teddy - żebym jej obiecał, że nigdy nie powiem Rosie o przyczynie zerwania zaręczyn, bo to jedynie pogłębiłoby jej chorobę. Nagle John wyciągnął rękę i chwycił go za nadgarstek. - Niech pan wraca razem ze mną. Rosie wciąż tam mieszka. Jestem pewien, że nigdy o panu nie zapomniła.. To, co pan zrobił, było nikczemne, ale teraz widzę, że to nie pańska wina. Edward Golding ponownie spuścił głowę.

- Nie mogę... Jestem żonaty... Miesiąc temu urodziła mi się córeczka.

John rozluźnił chwyt i opadł ciężko na krzesło. Patrzył na opuszczoną głowę swojego rozmówcy. „Żonaty”, powtarzał w myślach. „J ma córeczkę”. Cóż, to nic dziwnego, że człowiek szuka pociechy u boku kogoś innego.

- Co to za kobieta! - Teddy wyprostował się i usiadł sztywno. - Miałbym ochotę pojechać tam do niej i udusić ją. Dlaczego? Dlaczego to zrobiła?

- Po prostu dlatego, że nie mogła znieść myśli, że zostanie sama. Gdybyście się pobrali i zamieszkali w Newcastle, na pewno nic takiego by pan nie usłyszał. Ale myśl, że Rosie wyjedzie tak daleko, a z dwiema pozostałymi siostrami już dawno zerwała

OBSESJA

kontakty, sprawiła, że Beatrice nie mogła się z tym pogodzić. Lecz to nie jest dla niej żadne usprawiedliwienie. To, co zrobiła, było podłe. Na Boga! To był naprawdę wstrętny postępek.

Tym razem Edward pochylił się do niego i natarczywym szeptem poprosił:

- Czy powie pan o wszystkim Rosie? Wyjaśni jej pan, co się stało? Niech pan jej powie, że ja...

każdego dnia myślałem o niej i było mi jej strasznie żal z powodu tej... - pokręcił głową, jakby chciał wytrząsnąć z siebie kolejne słowo - choroby. Czasami było mi bardzo ciężko o tym myśleć. Była taka piękna, taka... radosna i beztroska. Tak jest - kiwnął głową. - To właśnie podkreślała Beatrice: że beztroska to był jeden z objawów choroby tamtej biednej, starej kobiety.

- Czy pan faktycznie przeczytał ten list?

- Ależ tak, oczywiście. Wręczyła mi go, zanim jeszcze zaczęliśmy rozmowę. Mówię panu, że niemal oszalałem z rozpaczy. Ale teraz widzę, że ona to wszystko ukartowała. Nie chciała, żebym widywał się z Rosie. W swoim planie uwzględniła również fakt, że musiałbym uzyskać pozwolenie na zawarcie związku małżeńskiego i zabranie żony na placówkę zagraniczną. Było coś jeszcze: ponieważ Rosie wydawała się taka nieszczęśliwa, Beatrice sugerowała, że... ona wie o swojej chorobie i właśnie dlatego pragnęła opuścić swój rodzinny dom w przeświadczeniu, że małżeństwo ją uleczy. Tamta starsza pani nigdy nie wyszła za mąż. Wmawiała mi nawet... że sam jej dziadek był trochę nie zrównoważony i tym należy tłumaczyć fakt, że podarował ziemię swojemu ordynansowi, czy też sierżantowi. Wie pan, chodzi mi o tego sąsiada, którego syn jest teraz właścicielem gospodarstwa. John zamknął oczy i przez moment skoncentrował myśli na swojej własnej sytuacji. Beatrice była jego żoną i nigdy nie pozwoli mu odejść, chyba żeby się z nią rozwiódł. Tylko na jakiej podstawie miałby nastąpić rozwód? Że jego żona była złą kobietą, intrygantką?

Catherine Cookson

- Czy zrobiłby pan coś dla mnie?

- Tak, jeśli tylko będę mógł.

- Czy powie pan o wszystkim Rosie? Wyjaśni jej pan? To zdjęłoby ze mnie ten ogromny ciężar poczucia winy, gdyby poznała prawdę. Muszę panu powiedzieć, że czułem się podle, jak najbardziej parszywy kundel. - Nastąpiło krótkie milczenie.

- Czy Beatrice wciąż jeszcze mieszka w tym domu? Pamiętam, że nie miała pieniędzy.

Na te słowa John zapiął pod szyją guziki swego płaszcza i sięgnął po kapelusz i teczkę.

- Tak, wciąż jeszcze tam mieszka - powiedział wstając.

- Ożeniłem się z nią półtora roku temu. To wynik jej kolejnego podstępu.

- O Boże! - Edward również wstał i wyjąkał: - Ja... bardzo... bardzo przepraszam, ale... nic nie wiedziałem.

- Bardzo proszę, niech pan się tym nie trapi. Ma pan dość własnych zgryzot. Chodźmy już stąd. -

Wyjął z kieszeni trochę drobnych i zostawił je na rogu stolika. Wyszli na ulicę, gdzie znowu stanęli naprzeciwko siebie. W końcu John spytał cicho: - Czy jest pan szczęśliwy w małżeństwie?

- Tak - odparł po chwili Edward Golding. - Jestem szczęśliwy, na swój sposób. Ona jest... to cudowna dziewczyna.

Cudowna dziewczyna... cudowny mężczyzna. Słyszał wypowiedane przez Helenę słowa: „To cudowny mężczyzna”. Co to naprawdę oznaczało?

Wyciągnął do niego rękę, a gdy Teddy uściśnął ją, powiedział:

- Ma pan przed sobą całe życie. Niech pan zapomni o tym, co było. Myślę, że Rosie w końcu znajdzie szczęście u boku Robbiego... Robbiego MacIntosha. To ten sąsiad. Przez wiele lat patrzyła na niego jak na starszego brata, lecz on odnosi się do niej inaczej. Już od pewnego czasu pracują razem, spędzają ze sobą mnóstwo czasu. Niech się pan o nią nie martwi i żyje

OBSESJA

swoim własnym życiem. Jest pan to winien swojej żonie i dziecku.

Młodzieniec przez chwilę nie mógł wykrztusić ani słowa. W końcu powiedział z wahaniem:

- W pewnym sensie cieszę się, że wpadliśmy na siebie. Lecz z drugiej strony martwię się, że teraz cały ciężar spoczywa na panu. Ja przecież... o niczym nie wiedziałem.

- Niechże pan da spokój. Proszę już o tym nie myśleć. Ja przywykłem do rozwiązywania różnych problemów, więc rozwiążę i ten. - Gdy skończył zdanie, usłyszał głośny krzyk dobiegający z głębin jego duszy: „Tak zrobię!” Wzbierała w nim złość, lecz prawdziwy jej wybuch miał dopiero nastąpić.

Rozdział jedenasty

John przyjechał do domu wczesnym wieczorem i alejką dojazdową skierował się do oficyny.

Matka siedziała w salonie i czytała. Gdy ujrzała syna, odłożyła książkę na bok.

- Jak się masz, kochanie. - Jednak po chwili ton jej głosu uległ zmianie. - Co się stało?

Nerwowo nabrał powietrza i stanął przy niej.

- Dużo się stało. Przede wszystkim zamierzam zamknąć od środka drzwi łączące oficynę z główną częścią domu. Nie chcę, żeby ona przychodziła tu do ciebie. Ty też nie będziesz tego chciała, kiedy usłyszysz, co ci powiem.

- Mocny Boże! Usiądź, synku. Usiądź. Co się stało?

W skrócie opowiedział jej o swoim spotkaniu z Teddym Goldingiem. Gdy skończył, matka siedziała nieruchomo, zakrywszy dłonią usta.

- O, nie! To niemożliwe! Ona by tego nie zrobiła! - powiedziała cicho.

- Zrobiła to! Teraz posłuchaj mnie: zostań tutaj i postaraj się zachować spokój.

- Ona... mówiłam ci, że ostatnio była jakaś inna.

- Zawsze była inna, matko. Zaplanowała przyszłość Rosie tak samo jak moją. Mówiłem to już nieraz.

Ale wszystko ma swoje granice.

170

OBSESJA

- John! - Zawołała za nim, gdy ruszył w kierunku drzwi. Zatrzymał się i spojrzał na nią. - Proszę cię! Uważaj, nie zrób jej czegoś. Pamiętaj, że ja tu jestem i... bardzo cię potrzebuję.

Nie odezwał się, lecz wyszedł na dwór i głównym wejściem dostał się do domu. W hallu spostrzegł Frances, która kierowała się do kuchni.

- Gdzie jest pani? - zawołał do niej.

- Ach, to pan. Już pan wrócił? Pani poszła na pole. Była bardzo zła, bo na terenie majątku znowu pojawili się Cyganie. Pani już przedtem wychodziła, żeby ich ostrzec, lecz mimo to oni weszli na pole...

Urwała, lecz on nie czekał, aż dokończy zdanie, i pobiegł do gabinetu Beatrice. Po kolei otwierał szuflady biurka i przerzucał poukładane w nich papiery. Nie znalazł listu i już miał wyjść z gabinetu, gdy nagle jego wzrok padł na kasetę, leżącą na górnej półce w niszy obok kominka. Wrócił do biurka i otworzył tym razem środkową szufladę. Wiedział, że tam chowała klucze. Po kilku chwilach kasetka leżała na biurku, a on wyjmował z niej dokumenty, aż w końcu natknął się na podłużną białą kopertę. Nagłówek listu podpowiedział mu, że właśnie znalazł to, czego szukał. Przeczytał go i już wiedział, dlaczego z taką łatwością Beatrice zrujnowała życie swojej siostry.

Włożył list do koperty, którą następnie schował do kieszeni, a resztę dokumentów ułożył w kasecie i umieścił ją tam, gdzie leżała poprzednio.

Gdy wrócił do hallu, ujrzał, że Frances wciąż tam jeszcze jest. Szybko podbiegła do Johna.

- Panie doktorze... proszę pana, ja nie powiedziałam... że pani zabrała ze sobą karabin.

- Co??? - Odwrócił do niej głowę, jakby dopiero teraz ją zauważył,

- Pani była bardzo zła i zabrała karabin.

Zostawił ją i bez namysłu wybiegł na zewnątrz. Popędził

Catherine Cookson

trawnikiem, potem dalej przez ogród i las aż do pola, którego dolną granicę stanowiła rzeka. Jeszcze zanim tam dobiegł, już z daleka słyszał wrzaski.

Zobaczył żółty wóz ciągniony przez konia. Drugi koń był przywiązany z tyłu wozu. Obok szedł stary mężczyzna i kobieta, a także dwójka podrostków i kilkoro małych dzieci. Wszyscy pospiesznie kierowali się do bramy i krzyczeli na osobę, która stała obok drzewa i mierzyła do nich z karabinu. Podbiegł do niej od tyłu tak szybko, że udało mu się podbić jej broń, zanim jeszcze zdała sobie sprawę z jego obecności. Przez chwilę mocowali się, po czym bez skrupułów uderzył ją pięścią, aż zatoczyła się na drzewo. Stała oszołomiona z wybałuszonymi oczami, z poczerwieniałą twarzą.

Teraz oh miał w ręku karabin.

- Hej, stójcie! - krzyknął do Cyganów. - Wracajcie! Możecie tu zostać, jak długo chcecie. Nikt już nie będzie was niepokoił.

Patrzyli na niego w milczeniu.

- Dziękujemy ci, panie. Dziękujemy! - zawołał starzec. - Zostaniemy tylko dzień albo dwa. Niech Bóg pana błogosławi. - Jeden z młodzieńców zawrócił wóz, po czym wszyscy z powrotem weszli na pole. Stał i patrzył, aż doszli do miejsca, gdzie woda z podziemnego źródła wypływała na powierzchnię i wylewała się do rynny, która prowadziła prosto do rzeki. Już kiedyś słyszał od Robbiego, że do śmierci dziadka ta sama rodzina Cyganów przybywała tu co roku i że niektóre z tamtych dzieciaków rosły niemal na jego oczach. O ile dobrze pamiętał, ten stary mężczyzna miał sześciu synów i trzy wozy, a teraz został już tylko jeden. Dwie małe przyczepki służyły chyba tylko do spania. Kobieta była wróżką. Żyli z wyrobu wieszaków do ubrań i koszyków, które dzieci sprzedawały po domach. Odwrócił się do Beatrice. Stała kilka kroków od drzewa, trzymając się za tył głowy.

166

OBSESJA

- Jak śmiesz! - krzyknęła na niego. - Jak śmiesz!

- Jazda do domu!

Otworzyła szeroko oczy i jeszcze bardziej poczerwieniała.

- Coś ty powiedział?

- Powiedziałem: jazda do domu! A jeśli tego nie zrobisz, to zdziękuję cię tym po plecach. Bóg mi świadkiem, zrobię to, o ile cię wcześniej nie uduszę.

Cofnęła się, bo wyglądał jak obłąkany. Nagle się go przestraszyła. Zrobił krok w jej kierunku. Już zamierzała uciec w stronę lasu, gdy chwycił ją za ramię i bezceremonialnie pociągnął wzdłuż ogrodzenia, aż do przejścia na następne pole przylegające do rzeki. Trzymając ją mocno ruszył ku wodzie. - Ty oszalałeś! - krzyknęła. - Szaleniec!

Nie puścił jej. Doszli do brzegu, gdzie złapał karabin za koniec lufy, zamachnął się i cisnął broń do wody. Chyba mniej by się zdziwiła, gdyby próbował ją utopić.

- To... to był karabin ojca.

- Zamknij się! A teraz jazda do domu.

- Co? - Cofała się przed nim powoli, krok po kroku, jakby szukała okazji, by odwrócić się i uciec. I w końcu uciekła. Pobiegnęła przez pole do lasu, a on ruszył za nią, nie tracąc jej z oczu ani na chwilę. Kiedy wszedł do hallu, dwie służące - Frances i Janie - odwróciły się gwałtownie na jego widok i również cofnęły się przerażone. Patrzyły ze strachem, jak wbiega na górę. Gdy rozległ się odgłos trzaskających drzwi, spojrzały po sobie, podeszły do schodów i nadstawiły uszu.

- Ty podła, złośliwa kreaturo! - krzyczał John. - Jeśli szaleństwo siostry twojego dziada zostało przez kogoś odziedziczone, to tylko przez ciebie! Beatrice stała przy wezglowiu łóżka, trzymając się za szyję i nagle jej oczy rozszerzyły się, usta otworzyły szeroko, bo zrozumiała: był inny powód jego wściekłości niż jej agresja wobec Cyganów... O Boże! Pokręciła głową w rozpacz.

Catherine Cookson

- Możesz sobie kręcić głową. W tej chwili ja sam chętnie bym ci ją urwał. Jesteś złą, perfidną kobietą. Zrujnowałaś życie swojej siostrze. Tak, otwórz usta jeszcze szerzej. Masz pecha, bo w Londynie przypadkowo natknąłem się na Teddy'ego Goldinga. Pierwsze, o co mnie spytał, to zdrowie Rosie. Czy jest w domu, czy też w wariatkowie? Bo ty mu to zasugerowałaś powołując się na historię tamtej kobiety. - Wyjął z kieszeni kopertę. - Słusznie, usiądź sobie na łóżku, bo zaraz się przewrócisz. Dlaczego nie spaliłaś tego dowodu, tego listu, który dostałaś od adwokata? Zabrałaś go, żeby udowodnić Teddy'emu, że twoje kłamstwa, że cały ten twój parszywy plan ma swoje uzasadnienie. - Nagle przestał krzyczeć. Po twarzy spływał mu pot. Patrzyła na niego tak szeroko otwartymi oczami, że niemal wyskakiwały jej z orbit. - Marion wydostała się już spod twojej kurateli. Tak samo Helena. Rosie chciała pójść ich śladem, żeby uciec od ciebie. Wszystkie one dobrze się na tobie poznały, córeczko swojego ojca. Bo ty jesteś taka jak on, prawda? Jeśli jakaś kobieta odziedziczyła kurewskie instynkty, to właśnie ty. Powinnaś iść na ulicę, gdzie mogłabyś zjadać mężczyzn żywcem, tak jak to próbowałaś robić ze mną. Podstępnie zwabiłaś mnie, żebym się z tobą ożenił. Widzę to teraz jak na dłoni, podobnie jak twoją intrygę związaną z Rosie, którą chciałaś zatrzymać przy sobie, bo bałaś się zostać sama w tym mauzoleum, w tym domu, na którego punkcie masz obsesję. Może zastanawiałaś się już, czy nie urządzić tu burdelu? Sama mogłabyś zostać burdelmama. Powiem ci coś: te twoje zapędy musiały już w tobie dojrzeć, zanim jeszcze pochwyliłaś mnie w swoje sidła. Aż dziw, że nie korzystałaś z okazji, by pofiglować na strychu z Needlerem czy Oldhamem. Teraz zadaję sobie pytanie, dlaczego młody Artur Winter tak nagle zwolnił się z pracy. Przypominam sobie, że pewnego razu widziałem cię z nim w zaprzęgami. Kiedy otworzyłem drzwi, tamten facet był nie tylko zażenowany, ale i przerażony.

168

OBSESJA

Wtedy nie zastanawiałem się nad tym, ale później to i owo przyszło mi do głowy. Teraz posłuchaj: będziesz sobie musiała znaleźć kogoś innego, z kim będziesz mogła zaspokajać swoje prymitywne instynkty, bo ja nie tknę cię więcej palcem, nawet jeśli będziesz umierająca. Jesteś szmatą, ściierwem. Gdyby nie to, że moja matka tak źle się czuje i że przekabaciłaś ją na swoją stronę... tak, właśnie tak. Nic o tym nie wiedziałem, bo położyłbym temu kres, zapłacił z góry za pięć lat wynajmu oficyny i natychmiast opuściłbym ten dom. Od jutra będę mieszkał w oficynie i nie radzę ci zbliżać się tam, bo nie ręczę za siebie. Aż mnie świerzbi, żeby walnąć cię pięścią między oczy, podła intrygantko. Nabrał głęboko powietrza, odwrócił się i wszedł do garderoby. Otwierał po kolei szuflady i wyciągał z nich swoje ubrania, które kładł gdzie popadło, na kanapie, na fotelu. Potem podszedł do szafy, z której wyjął garnitury, a następnie otworzył drzwi na korytarz.

- Frances! Janie! Chodźcie tutaj! - krzyknął, zupełnie jakby wiedział, że obie stoją u podnóża schodów. Przybiegły szybko, pobladłe. - Weźcie tyle z tych ubrań, ile możecie, i połóżcie je koło wewnętrznych drzwi do oficyny.

Dziewczęta drżącymi rękami zbierały ubrania, a John tymczasem wyjął stojące w szafie dwie walizy i zaczął upychać w nich pozostałe rzeczy, koszule i bieliznę.

Służące wróciły po kilku minutach. Spostrzegł, że się trzęsą.

- Proszę was - powiedział cicho - weźcie te walizki i postawcie je obok pozostałych rzeczy. Ja idę do gościnnego pokoju, żeby zabrać trochę książek. Teraz zabieram tylko najpotrzebniejsze rzeczy, po resztę przyjdę kiedy indziej.

Żadna się nie odezwała, nawet nie poruszyła głową. Minął je i poszedł korytarzem do pokoju gościnnego, gdzie stały na półkach jego książki. Były to głównie książki medyczne, a nie umieszczono ich w bibliotece na dole dlatego, że tam większość regałów zapełniały woluminy oprawione w skórę. Szybko

Catherine Cookson

odkrył, że Beatrice chciała, by biblioteka wyglądała jak najbardziej reprezentacyjnie. Dlatego też spoza szybek regałów widać było pierwsze wydania wielu cennych książek. Wyglądało na to, że stary pułkownik był kolekcjonerem, a nie czytelnikiem. Tak więc obszarpane książki Johna zostały zdegradowane do poziomu półek w nie używanym na co dzień pokoju. Teraz zdejmował je na chybił trafił, aż zebrał całe naręczce, po czym zszedł na dół.

W domu panowała cisza tak głęboka, jakby właśnie zajrzała tam śmierć. I poniekąd tak właśnie było, gdyż ich małżeństwo z całą pewnością już umarło. Poza tym czyn Beatrice mógł zabić Rosie. Mimo że minęło już dużo czasu, w oczach dziewczyny wciąż pojawiała się nieufność i lęk wywołane zerwaniem zaręczyn. Nawet wtedy, gdy się śmiała. Kiedy już przeniesie swoje rzeczy do oficyny, porozmawia z Rosie i wyleczy ją z tego smutku...

Nie minęło dwadzieścia minut, gdy biegnąc drogą w kierunku domu Robbiego ujrzał zbliżającą się Rosie. Podeszła do niego uśmiechnięta.

- A więc już jesteś. Myślałam, że wrócisz później. Idę spakować walizkę. Dzisiaj dostałam list od Heleny, w którym pisze, że wieczorem wracają z Londynu i że zaprasza mnie do siebie na jakiś czas. Bardzo się martwi Leonardem, bo wcale nie wydobrażał. - Urwała na chwilę. - Czy coś się stało?

Nie od razu odpowiedział na jej pytanie.

- Leonard? Co z nim?

- No, wiesz, chorował na gruźlicę. Dlatego pojechali do Szwajcarii. Ale... co się stało? Dlaczego tak na mnie patrzysz? Czy coś się stało?

Wziął ją za ramię, delikatnie odwrócił i poprowadził z powrotem w kierunku domu Robbiego.

- Tak, coś się stało w Londynie i... i dotyczy to ciebie.

- Mnie?

- Tak. Tak właśnie powiedziałem.

170

OBSESJA

- Jak to?

- Zaczekaj, aż wejdziemy do środka. Myślę, że Robbie także chciałby to usłyszeć.

Nie odezwała się, lecz przyspieszyła, żeby dotrzymać mu kroku. Po chwili John bez pukania otworzył drzwi do kuchni i popchnął Rosie przed sobą. Towarzyszyły im zdumione spojrzenia Robbiego i jego matki.

Pani Anna przyjrzała się Johnowi i powtórzyła słowa Rosie sprzed kilku minut:

- Czy coś się stało?

- Tak, pani Anno, można powiedzieć, że coś się stało. Może usiadźmy wszyscy.

Robbie przysunął krzesło dla Rosie i sam usiadł obok mej. Sam o nic nie pytał, tylko patrzył badawczo na Johna, który pochylił się nad stołem i chwycił Rosie za rękę.

- Możesz już wyrzucić ten smutek ze swoich oczu i z serca: Teddy nigdy cię nie odtrącił.

- Co? - jęknęła szeptem.

- Słyszałaś, co powiedziałem. Twój Teddy nigdy cię nie odtrącił. Prawda jest taka, że odstraszyła go od ciebie twoja siostra. I to niby dla jego własnego dobra, żeby nie został usidlony przez kobietę, którą w końcu ogarnie obłęd, tak jak to było z siostrą twojego dziadka.

Rosie wyrwała rękę z jego dłoni i chwyciła się za gardło.

- To niemożliwe - wyszeptała. - Nie, ona by tego nie zrobiła.

- Zrobiła to, obmyśliła wszystko w najdrobniejszych szczegółach.

John opowiedział im o spotkaniu z Edwardem Goldingiem i jak cała prawda wyszła na jaw.

Gdy skończył, przy stole zapadła cisza. Nawet pani Anna nie odezwała się ani słowem.

- Gdzie on teraz jest? - spytała cicho Rosie.

- W Londynie, ale jutro wraca do Ameryki. - Urwał na moment. - Ma żonę i malutkie dziecko.

Catherine Cookson

Patrzył, jak Rosie pokonuje wstrząs, a po chwili przenosi spojrzenie na stół, na którym spoczywały jej splecione dłonie.

- To nie ma już znaczenia - powiedziała spokojnie. Nagle położyła rękę na dłoni Robbiego, która zaciskała się na krawędzi stołu. Odwzajemnił jej uścisk, lecz nic nie powiedział, tylko patrzył na nią, starając się wyrazić spojrzeniem swoje myśli. Potem skierował wzrok na matkę, która szeptała coś niezrozumiale.

Nagle wszyscy troje aż podskoczyli, gdy Rosie niespodziewanie wstała.

- W pewien sposób nawet wyszło mi to na dobre, ale nigdy jej nie wybaczę tego, przez co musiałam wtedy przejść. O, nie, nie wybaczę. Ona jest zła! Potwornie zła! Zawsze taka była. Wiem o tym i dlatego chciałam się stąd wyrwać. Zawsze było w niej coś takiego... Jeśli ktoś tu odziedziczył jakieś cechy po ciotce Ally, to właśnie ona. - Skinęła głową Johnowi. - Tak, masz chyba rację. Nawet jestem tego pewna. - Myślała przez chwilę i nagle zdała sobie z czegoś sprawę. - John, przecież ona jest twoją żoną.

- Zgadza się, ale pozwól, że sam się tym zajmę. Zamieszkam w oficynie razem z matką do czasu, aż znajdę jakieś odpowiednie miejsce, chociaż, jak wiesz, Beatrice nakłoniła ją, żeby podpisała umowę najmu na pięć lat. Oczywiście, płatne z góry. Podła intrygantka, nie przepuści żadnej okazji.

Rosie zwróciła się teraz do pani Anny.

- Właśnie miałam iść do domu, żeby spakować się na wyjazd do Heleny. Jeśli nie miałaby pani nic przeciwko temu, to przyniosłabym resztę moich rzeczy tutaj, bo nie chcę mieszkać z nią pod jednym dachem. Ja... przez jakiś czas pomieszkam u Heleny, a...

- Dziewczyno, dlaczego w ogóle pytasz? Twój prawdziwy dom jest tutaj, zawsze był. Przynieś tu swoje rzeczy. Robbie pójdzie z tobą.

- Nie. Pójdę sama.

OBSESJA

W odpowiedzi Robbie podszedł do drzwi, zdjął swoje palto i czapkę i po raz pierwszy odezwał się:

- Nie będę wchodził do środka. Nie mam nawet ochoty wchodzić do tego domu, ale będę tam, żeby pomóc ci przenieść twoje rzeczy.

Rosie patrzyła na niego, a po chwili przeniosła wzrok na Johna.

- Teraz najbardziej żal mi ciebie... - powiedziała cicho. - Ja czuję się wolna. To tak, jakbym dotychczas żyła odtrącona, z poczuciem własnej niższości. Nie wiedziałam, dlaczego tak jest, po prostu czułam się gorsza od innych. Ale ty... ty jesteś z nią formalnie związany.

- Nie martw się tym. Po prostu wyprowadź się z domu, zamknij tę sprawę i zacznij nowe życie. -

Patrzył to na Rosie, to na Robbiego.

- Tak, John - odparł Robbie - zaczniemy nowe życie, gdy nadejdzie właściwa pora. Lecz przed nami będą jeszcze całe lata i postaramy się wynagrodzić sobie stracony czas. - Ujął Rosie za ramię. - Ona już wie, co do niej czuję... nareszcie.

Kiedy wyszli, pani Anna uścisnęła dłoń Johna.

- Mogę powiedzieć z absolutną szczerością, że to najszczęśliwszy dzień mojego życia. W końcu mój syn poszedł po rozum do głowy i zdobył się na to, na co przez tyle lat pracował i czekał.

Przed drzwiami do domu Robbie powiedział cicho:

- Staraj się zachować spokój. Im mniej słów, tym mniej nerwów, a to może być ostatni raz, kiedy się z nią widzisz.

Rosie skinęła lekko głową i weszła do środka. W hallu ujrzała Frances, która właśnie schodziła po schodach. Kiedy służąca znalazła się na dole, Rosie spytała:

- Gdzie pani Beatrice?

- Ona... - zaczęła się jąkać Frances - ona jest w ga... gabinecie i płacze.

- Czy pójdziesz ze mną i pomożesz mi się pakować?

Catherine Cookson

- Pakować?

- Tak, Frances. Odchodzę z domu - rozejrzała się dookoła. - Odchodzę z tego domu na zawsze.

- Panienko! Panienska tego nie zrobi!

- Niestety, tak się stanie, Frances. A więc pomożesz mi?

- Tak, panienko. Pomogę. - Poszła za Rosie na górę, gdzie, tak jak nieco wcześniej, otwarto szuflady i ułożono ubrania w walizkach. Gdy trzy walizy były już pełne, Frances wzięła dwie z nich, a Rosie ostatnią. Przez wolne ramię miała przewieszona luzem okrycia. Nie oglądając się za siebie wyszła z pokoju, w którym mieszkała od czasu, gdy miała dziesięć lat. Frances postawiła walizki przed wysokim mężczyzną, który mieszkał w sąsiednim domu. Wróciła do hallu, żeby wynieść trzecią walizkę i niesione przez Rosie okrycia, gdy w korytarzu pojawiła się jej pani. Beatrice miała rozczochrane włosy, w jej oczach malowała się jakaś dzikość. Na widok Rosie skoczyła ku niej z krzykiem: - Co ty tu wyrabiasz? Odepchnęła Frances na bok i obrzuciła spojrzeniem mężczyznę stojącego na zewnątrz, trzy walizki u jego stóp, po czym trzasnęła drzwiami i oparła się o nie plecami.

- No więc? Co tu wyrabiasz?

- Widzisz, co robię. Opuszczam ten dom.

- O, nie. Nie ma mowy. Zbyt wiele dla ciebie zrobiłam, żebym...

- Zamknij się! Próbowalaś zniszczyć moje życie swoimi kłamstwami i intrygami. Jesteś zła. Zawsze byłaś zła. Nagle Beatrice odwróciła się i ryknęła na Frances:

- Jazda stąd! Już cię tu nie ma!

Przerażona dziewczyna uciekła przez hall i zniknęła za drzwiami prowadzącymi do kuchni. Nie zamknęła ich jednak i słyszała, jak jej pani wrzeszczy:

- Ten mój mąż to kłamca! Powiedział ci tylko część prawdy. To, co zrobiłam, zrobiłam dla ciebie, ponieważ...

180

OBSESJA

- Nie zrobiłaś tego dla mnie. Zrobiłaś to, bo nie mogłaś znieść myśli, że zostaniesz sama w tym upiornym domu. Wtedy nie byłaś jeszcze mężatką i nie miałaś nadziei, że ktokolwiek ożeni się z tobą. Sama się zastanawiałam, dlaczego John poleciał na ciebie. Teraz wiem, że postąpił tak, bo było mu ciebie żal. Ale ja wcale ciebie teraz nie żałuję, a być może powinnam ci nawet podziękować. Przedtem ciągle czułam się odrażona, lecz teraz już wiem, kogo naprawdę kocham. Zawsze kochałam Robbiego MacIntosha, a co więcej, wyjdę za niego - krzyczała głośno - i zamieszkam w sąsiednim domu! Słyszysz, co mówię?

Beatrice wrzasnęła jak dzika bestia i skoczyła na siostrę, niemal zwalając ją z nóg.

- Nigdy! Nigdy! Pierwej umrzesz! Wyjść za tego prostaka, nieokrzesanego...

- Puść mnie!

- Nie puszczę! Nigdzie nie pójdziesz. Najpierw umrzesz. Rosie uderzyła ją pięścią w usta i Beatrice, która trzymała

ją mocno za ramiona, natychmiast puściła siostrę. Nie upadła jednak, lecz zachwiała się i przyłożyła rękę do twarzy. Gdy po chwili spojrzała na swoją dłoń i ujrzała krew, aż dech jej zapało ze zdumienia. Po chwili bez opamiętania rzuciła się na Rosie i zdawało się, że powyrywa jej z głowy wszystkie włosy, gdy wtem otworzyły się drzwi frontowe, a także drzwi do kuchni. Frances i Janie Bluett dołączyły do Robbiego, który usiłował odsunąć Rosie poza zasięg rąk szalejącej Beatrice.

- Proszę pani! - wołały dziewczęta trzymając Beatrice. - Proszę pani! Niech pani przestanie! Niech pani przestanie!

Z rozciętych warg Beatrice płynęła krew i skapywała na ręce służących, które wciąż usiłowały ją przytrzymać. Szaląca, a widok Robbiego wywołał w niej jeszcze większą złość.

- Wynoś się! - wrzeszczała. - Wynoś się! Won z mojego domu!

Catherine Cookson

Lecz on wziął walizkę, objął Rosie, a na ramieniu powiesił sobie jej płaszcz. Potem rzucił Beatrice miażdżące spojrzenie.

- Tak, wyniosę się, a ze mną twoja siostra. I to na zawsze. I powiem ci coś jeszcze: jeśli ktoś w waszej rodzinie odziedziczył chorobę umysłową, to właśnie ty!

Można by oczekiwać, że na te słowa Beatrice wyrwie się trzymającym ją służącym, jednak zareagowała zupełnie odwrotnie, bo jakby zupełnie opadła z sił i zaczęła się trząść niczym w febrze. Na podjeździe zjawił się Tom Needler.

- Czy mógłbyś przenieść resztę jej rzeczy, Tom? - zawołał do niego Robbie.

Tom podbiegł do nich zdumiony.

- Jasne. Nie martw się, chłopcze. Przyniosę wszystko do bramy.

Z prawego policzka Rosie sączyła się krew. To Beatrice podrapała ją w czasie szamotaniny. Jej ciałem wstrząsał dreszcz wywołany spazmatycznym płaczem.

Gdy doszli do bramy, Robbie zawołał:

- Tom, zostaw walizki przy bramie! Wróć po nie.

- Ona raczej nie będzie sprawdzać, co robię! - odkrzyknął Tom - więc mam trochę wolnego czasu.

Zostaw wszystko, a ja przyniosę rzeczy do waszego domu.

Rosie już nie spała, ale nie otworzyła jeszcze oczu. Wiedziała, że leży w łóżku Robbiego, i rozumiała doskonale, co wydarzyło się poprzedniego dnia. Pamiętała, że bardzo długo nie mogła przestać płakać. Paru Anna i Robbie tulili ją, a ona wciąż płakała. A potem przyszedł John i opatrzył zadrapania na jej twarzy. Mówił do niej uspokajająco o przyszłości, o czekającym ją szczęśliwym życiu, jednak ona nie była w stanie się opanować. Dał jej więc coś do picia, a wtedy musiała chyba zasnąć. Poczuli, że ktoś podnosi jej dłoń

OBSESJA

z kołdry, otworzyła oczy i ujrzała Robbiego. Uśmiechnął się do niej łagodnie.

- Pospałaś sobie. Czy teraz lepiej się czujesz?

Przez chwilę nie odzywała się. Nie była pewna, czy faktycznie czuje się lepiej. Bolała ją twarz; dotknęła jej wolną ręką. - Mocno mnie zadrapała? - spytała cicho.

- Dosyć mocno - odpowiedział. - Ale John mówi, że rana nie jest głęboka. Wkrótce się zagoi.

Z trudem odwróciła głowę, żeby go lepiej widzieć.

- Już po wszystkim - rzekła słabo.

- Tak, kochanie, już po wszystkim.

Widziała, jak na chwilę pochyła głowę, po czym znów patrzy jej prosto w oczy.

- Słyszałem wszystko, gdy stałem na zewnątrz. Czy to, co mówiłaś, było prawdą?

Wyzbywszy się nieśmiałości odpowiedziała wprost:

- Tak, Robbie. To wszystko prawda.

- I nie jak brata, ani...?

- Nie, nie jak brata ani nikogo takiego. Tak jak powinnam cię kochać już od dawna, gdybym... gdybym miała choć trochę rozumu. Przyłożył jej dłoń do swojej piersi.

- Od kiedy to czujesz... od kiedy to do mnie czujesz?

- Od dawna. Ale chyba... nigdy bym ci tego nie powiedziała, bo cały czas żyłam ze świadomością, że zostałam odtrącona. - Moja kochana. Na pewno wiedziałaś, że ja bym cię nie odtrącił, bo kochałem cię całe życie. Kochałem cię, gdy byłaś dzieckiem, a potem młodą dziewczyną. Wiedziałem, jak mnie postrzegałaś, i było to dla mnie źródło męki. Jednak najgorzej było, gdy stałaś się młodą kobietą i miałaś wyjść za męża. - Och, Robbie. - Uniosła się na poduszkach i zbliżyła twarz do jego twarzy. -

Wiesz co? Nigdy jeszcze mnie nie pocałowałeś. Pieściłeś mnie, przytulałeś, ale nigdy mnie nie pocałowałeś.

Catherine Cooksón

- Moja Rosie. - Niemal chciał się roześmiać, lecz po chwili jego wargi łagodnie opadły na jej usta. Przez chwilę trwali w pocałunku, po czym Robbie odsunął ją delikatnie.

- To dopiero wstęp. Kiedy zagoi się twój policzek, zrobię to jak należy.

Spróbowała się uśmiechnąć.

- Wiesz, Robbie, kocham cię, naprawdę cię kocham. Nigdy nie czułam tego wobec... no, mogę chyba powiedzieć: z Teddym. Tamto wydaje mi się już tylko młodzieńczym marzeniem, czymś, przez co każda dorastająca dziewczyna musi przejść. Czy... czy wierzysz mi?

- Wierzę ci, kochanie. Naprawdę ci wierzę. A teraz chcę wiedzieć tylko jedno: kiedy będziemy mogli się pobrać?

Jej odpowiedź wzbudziła w nim niepohamowany, radosny śmiech:

- Załatw wszystko na jutro, a najpóźniej za tydzień. W każdym razie jak najszybciej. Aleja chcę, żeby to było w kościele.

- Ja też, najdroższa, chociaż ta dama na dole - zaśmiał się

- nazwie mnie hipokrytą. Ale masz rację: im szybciej to zrobimy, tym szybciej będziemy mogli się kochać.

Łóżko aż zatrzęsło się od ich śmiechu. Pani Anna, która właśnie miała zamiar wejść do pokoju, zatrzymała się z ręką na kłamce. Po chwili wahania odwróciła się i zeszła na dół. Tam uniosła oczy ku sufitowi i powiedziała do siebie:

- Nareszcie. Bogu niech będą dzięki. Lecz dopiero, gdy nadeszła właściwa pora.

Rozdział dwunasty

Kiedy John zobaczył ten dom po raz pierwszy z alei dojazdowej, zadał sobie pytanie, dlaczego zaproponował, że ich przywiezie dwukółką. Przecież Robbie mógł przywieźć Rosie wozem. Jej i tak byłoby wszystko jedno, byle była razem z nim.

- Wspaniały dom - powiedział cicho Robbie. - Cudowny.

- W środku jest jeszcze ładniejszy - odezwała się Rosie, a on uśmiechnął się do niej w milczeniu.

John zatrzymał dwukółkę przed schodami złożonymi z czterech szerokich stopni. Zanim jednak zsiadł z powozu, spojrzął na miejsce, gdzie czekała Helena. Stała na najwyższym stopniu, a ich oczy znajdowały się na tej samej wysokości. Serce zaczęło mu bić jak oszalałe, poczuł ból, który znał już z przeszłości - ból nie zabliźnionej rany w sercu.

Helena zbiegła po schodkach i objęła serdecznie Rosie, po czym odwróciła się do Robbiego.

- Jakże się cieszę, że cię widzę, Robbie.

John w dalszym ciągu siedział na koźle. Spojrzała na niego.

- Witaj, John - powiedziała zmienionym głosem.

- Witaj, Heleno - zmusił się do uśmiechu i wskazał koma. - Gdzie mam go zostawić?

- Henry się tym zajmie. O, właśnie nadchodzi. Zbliżył się niski, otyły mężczyzna.

Catherine Cookson

- Henry, bądź tak miły i zaprowadź konia do stajni - poprosiła Helena.

- Tak, psze pani. - Uśmiechnął się szeroko. Nagle odwrócił głowę, gdy John schodząc z kozła powiedział:

- Nie zostanę długo. Zaprowadź go pod jakiś daszek, bo... - spojrzał na niebo - chyba zanoszą się na deszcz albo na burzę.

- Tak jest, psze pana - odparł Henry i powoli odprowadził zaprzęg.

John u boku Robbiego ruszył za dwiema siostrami i po raz pierwszy znalazł się we wnętrzu Col Mount.

Przypomniał sobie dzień, kiedy Helena pokazywała mu ten dom z wierzchołka Craig's Tor, i przyszło mu do głowy, że ta nazwa w ogóle nie pasuje do miejsca. „Col Mount” brzmiało jakoś tak szorstko, nieprzyjemnie. A przecież ten dwór - z różowymi tapetami na ścianach, obrazami w pozłacanych ramach, wypolerowanymi podłogami, rozrzuconymi tu i tam dywanami, jasnoróżowymi zasłonami i obiciami foteli - był wyrazem kobiecej delikatności, a nie męskiej siły. Do domu o takiej nazwie bardziej nadawałaby się boazeria i schody z dębowych desek.

Przeszli do salonu, w którym jeszcze bardziej czuć było kobiecą rękę. Lecz w tej chwili nie zrobiło to na nim wrażenia, gdyż jego wzrok przykuł mężczyzna, który właśnie wstał z fotela i teraz witał się uściskiem dłoni z Robbiem. Nie mógł uwierzyć, że to ten sam człowiek, któremu zazdrościł od wielu lat, którego pamiętał jako wysokiego, postawnego mężczyznę, żołnierza. Wciąż był wysoki, lecz strasznie wymizerowany.

- Witam, doktorze. Jakże mi miło. Dawnośmy się nie widzieli.

- Tak jest. Bardzo dawno - odparł John. Powstrzymał się od pytania: „Jak zdrowie?”

- No, nie stójmy jak kołki, jakby to określiła kucharka. Siadajcie... Jak się masz, kochanie? - odwrócił się do Rosie, lecz nie pocałował jej ani nie objął, tylko dotknął jej policzka.

180

OBSESJA

John wciąż jeszcze stał, więc Helena powtórzyła słowa męża:

- Siadaj, John.

Zastanawiał się, dlaczego stoi jak słup. Doszedł do wniosku, że to z powodu zmiany* jaka zaszła w wyglądzie niegdysiejszego żołnierza. Potrafił rozpoznać zbliżającą się śmierć. Usiadł.

- Zadzwoń, żeby podano herbatę - odezwała się Helena. Zdał sobie sprawę, że czuje się skrepowana.

Ona także

się zmieniała: wyglądała poważniej, lecz była jeszcze piękniejsza.

Potem sam już nie pamiętał, co jadł na podwieczorek. Pamiętał tylko, że Leonard żartował z dwiema pokojówkami, które przyniosły herbatę i poczęstunek; jedna miała na imię Hanna, a druga Betty.

Obydwie miały zaróżowione policzki i jasne oczy, były w średnim wieku. Gdy uprzątnęły nakrycia w salonie, nastąpiła cisza, którą przerwała Rosie.

- Ja... my chcemy się pobrać, ja i Robbie - powiedziała radośnie. - Ale to wszystko wydarzyło się tak nagle... Więc niech John wam opowie. - Zwróciła się do niego. - John, proszę cię, powiedz im...

powiedz im wszystko, każde słowo.

Poczuł, jak oblewa go rumieniec. Nie spodziewał się tego. Myślał, że sama opowie im całą tę historię.

- Chyba raczej ty powinnaś to zrobić, Rosie.

- Nie, proszę cię. Ja bym nie mogła. To znaczy... - Opuściła głowę.

John popatrzył na Helenę, na Leonarda i po chwili zaczął:

- To było tak. Wyjechałem na cztery dni do Londynu, żeby uczestniczyć w dwudniowym kursie, no i przypadkowo spotkaliśmy się na ulicy. - Przerwał na chwilę. - Mam na myśli Teddy'ego Goldinga...

- Teddy Golding? - powiedziała zdumiona Helena. Mąż uspokajająco dotknął jej kolana.

- Ciii. Lepiej posłuchaj, kochanie.

Catherine Cookson

John opowiadał dalej, a ona siedziała i słuchała. Od czasu do czasu spoglądała na Rosie, jakby chciała powiedzieć: „Nie mogę w to uwierzyć”.

Kiedy John zbliżał się do końca opowieści, pominął scenę swojej rozmowy z Beatrice. Powiedział tylko:

- Wiem, że mogłem zachować to wszystko dla siebie, ale wiedziałem również, co czuje Rosie. Sama mówiła, że czasami nie mogła znieść świadomości odtrącenia, bo przecież nie знаła motywów postępków Teddy'ego. Wydawało się, że zrobił to lekką ręką. A ona pamiętała, co było między nimi, i nie potrafiła się pogodzić z nową sytuacją. Utraciła wiarę w mężczyzn. Poza tym uważałem, że powinna o tym wiedzieć, bo gdyby kiedykolwiek wyszła za męża, tamto przykre wspomnienie wciąż by w niej tkwiło. - Spojrzał na Rosie, która wpatrywała się w niego wilgotnymi oczami. - I dlatego skrywała uczucia, które żywiła do Robbiego. - Zaczerpnął powietrza. - Resztę może wam powiedzieć sama. Ale chyba wyraz jej twarzy jest wystarczająco wymowny.

Helena podeszła do siostry i mocno przytuliła ją do siebie. Nie potrafiła wydobyć z siebie słowa.

- Już dobrze, Heleno - powiedziała Rosie. - Już nic mi nie jest. Od chwili, gdy John powiedział mi prawdę, pozbyłam się tego piętna, przestałam się czuć oszukana i niechciana. Ale to wszystko stało się kosztem Johna, to zburzyło mu życie.

- Nie martw się tym - rzekł John. - I tak było już zburzone.

- Co teraz zrobisz? - spytała Helena.

Nie od razu odpowiedział. Gdy po chwili się odezwał, patrzył gdzieś w bok.

- Odejdę od niej. W zasadzie już odszedłem. Przeprowadziłem się do oficyny, gdzie mieszka moja matka. Poza tym... - zrobił dłuższą przerwę - złożę pozew o orzeczenie separacji.

Zapadło żenujące milczenie. Dopiero po chwili Leonard zmienił temat.

- No więc kiedy ślub? - spytał patrząc na Rosie i Robbiego.

OBSESJA

- *Cóż* - Robbie uniósł głowę - jeśli chodzi o mnie, to mógłby być w przyszłym tygodniu. Ale ta kobieta
 - spojrzał na Rosie - chce mieć ślub kościelny.
 - W niedzielę będą zapowiedzi - powiedziała uśmiechnięta Rosie.
 - Dobrze. Świetnie. Cieszę się razem z wami. I Helena również, prawda?
 - Oczywiście - odparła żywo. - Bardzo się cieszę. Ale to powinno nastąpić już dawno temu. Ty jesteś bardzo dumnym Szkotem - wytknęła Robbiemu. - Powinieneś wyjawiać swoje uczucia o wiele wcześniej.
 - Heleno! Moja droga! - Leonard chwycił rąbek jej spódnicy i łagodnie przyciągnął do siebie. - Każdy mężczyzna ma swoje powody i Robbie także je miał. Nie wszyscy są tacy jak ja, który biegałem do siedliska diabła.
- John nie czuł zazdrości, jedynie niewielki ból w pewnym miejscu pod żebrami, gdy zobaczył, jak wymienili między sobą spojrzenia. Po chwili Leonard znowu zmienił temat.
- Grasz w brydża? - spytał patrząc na Johna.
 - Już dawno nie grałem - pokręcił głową. - Chyba od studiów.
 - A w wista?
 - O, tak. Wymyśliłem wersję na dwie osoby, żeby grać z moją matką. Reguły są trochę skomplikowane. Trzeba myśleć tak intensywnie jak przy szachach.
 - Grasz w szachy?
 - Tak. Lubię i gram, kiedy tylko mam sposobność. Niestety, jestem bardzo zapracowany. Chciał mówić dalej, lecz w tej właśnie chwili Helena wstała.
 - Chodź, Rosie - powiedziała. - Pokażemy Robbiemu, jak należy uprawiać warzywa. Wiesz, mamy tu niezły ogródek warzywny. Robbie uśmiechnął się.
 - Już biegnę na lekcję, panno Heleno. - Spojrzał szybko na

Catherine Cookson

Leonarda i przeprosił: - Bardzo przepraszam. To... stare przyzwyczajenie. Chciałem powiedzieć...

- Nieważne, co chciałeś powiedzieć - wtrąciła Helena.

- Po prostu wyrzucić słowo „panna”. Przecież już niedługo będziesz moim szwagrem. - Uśmiechnęła się do niego szeroko. - I bardzo mnie to ucieszy - dodała po chwili. - No, chodźcie już, bo zaraz zaczną padać.

Pozostali w salonie mężczyźni patrzyli na siebie, jakby czekali, aż ten drugi nawiąże rozmowę.

- Parszywa choroba, prawda? - przerwał milczenie Leonard. W jego głosie brzmiała gorycz.

John spuścił wzrok.

- O ile wiem, prowadzi się intensywne badania nad skutecznym lekiem.

- Tak słyszałem. A tymczasem wysyła się ludzi na południowe wybrzeże albo do Szwajcarii. I co to daje? Tylko przedłuża agonię. Znasz doktora Petersa? - spytał zmieniający ton.

- Tak, spotkaliśmy się kilkakrotnie. - Uśmiechnął się.

- Tak, on ma swoją grządkę, a doktor Cornwallis naszą.

- Dużo masz pacjentów z gruźlicą?

- Kilku. To rodzinna choroba.

- A czy oni są izolowani, wyobcowani? John uniósł brwi.

- Izolowani? - zastanowił się chwilę. - Chyba tak, do pewnego stopnia. Ale to nie jest umyślne, to po prostu ze strachu.

- Tak, strach. - Leonard skinął głową. - Doświadczyliśmy już tego. Nie chodzi zresztą o mnie, ale... o Helenę. - Przesunął się w fotelu i odwrócił głowę w stronę okna. - Kiedy po ślubie przyjeżdżaliśmy tutaj, żeby odwiedzić przyjaciół Heleny

- zaczął cicho - zawsze było tu pełno gości, a wszyscy prześcigali się, żeby umilić nam czas. Tak samo było, gdy mieszkaliśmy w mieście, zwłaszcza po tym, jak w wyniku

OBSESJA

nieszczęścia odziedziczyłem tytuł. Ale gdy zachorowałem

- uderzył się lekko w pierś - z wyjątkiem kilku osób wszyscy pozostali zniknęli jak śnieg na wiosnę. Szczególnie ci, którzy mieli małe dzieci. - Uśmiechnął się blado. - Ale to chyba naturalne. Zadawałem sobie pytanie: czyja sam nie zachowałbym się podobnie? - Odwrócił się od okna i spojrzał na Johna. - Nie chodzi o towarzystwo dla mnie, lecz dla Heleny. Skrywa to, ale czuje się odsunięta od swoich znajomych i przyjaciół. Maldonowie, Oswaldowie, Fenwickowie, wszyscy znali ją od lat, jeszcze zanim ja pojawiłem się w jej życiu. O ile wiem, starsi członkowie tych rodzin często odwiedzali jej rodzinny dom. A teraz ona widuje się tylko z Conisbeesami i Maguire'ami oraz, oczywiście, ze Żwawą Daisy. Bez niej nie mogłaby żyć. Musisz ją koniecznie poznać. - Zaśmiał się smutno. - Lena Conisbee jest głucha jak pień, a głos ma niczym ryczący byk. Z niecierpliwością czekam na ich wizyty, bo po prostu nie można się z nich nie śmiać, zwłaszcza gdy ona odpowiada na pytania, których on w ogóle nie zadał. Ryczą wtedy na siebie, a w końcu ona stwierdza: „Nie jestem taka głucha”. Maguire'owie są inni: spokojni, nawet za bardzo współczujący. Ale nawet oni nie przyprowadzają ze sobą synów. Ja potrafię to wszystko zrozumieć, lecz gdy pomyślę, że przeze mnie Helena musi znosić...

- Nie powinieneś myśleć o tym w ten sposób - przerwał mu John. - Jestem pewien, że Helena wcale tak nie uważa. Ona bardzo martwi się o ciebie, to wszystko. Wcale nie myśli o sobie. Jestem pewien, że pragnie tylko twojego towarzystwa.

Leonard przyglądał mu się przez chwilę.

- Czy zechciałbyś przyjść tutaj od czasu do czasu na partyjkę wista albo szachów?

- Oczywiście, ale wszystko zależy od mojego rozkładu dnia. Większość wieczorów mam zajęte, bo przyjmuję pacjentów. Mam w tygodniu jeden dzień wolny i cały weekend raz w miesiącu. Najczęściej jestem wolny po południu, między wpół do trzeciej i piątą.

Catherine Cookson

- Świetnie. Tak, a co robisz po pracy? Ach, zapomniałem. Przepraszam, robi się ze mnie egoista. Przecież masz matkę, która, o ile wiem, nie najlepiej się czuje.

- No, nie jest obłożnie chora, ale dokuczają jej bardzo artretyzm. Bołą ją nogi i z trudnością chodzi.

- Czy zgodziłaby się spotkać ze mną?

- Czy zgodziłaby się... spotkać z tobą? - Powtórzył wymawiając oddzielnie każdy wyraz. - Czy zgodziłaby się? - powiedział szybko. - Moja matka? Byłaby wniebowzięta. Niestety nie mógłbym wsadzić jej na moją dwukółkę. Jest za wysoka.

- A czy wsiadłaby do powozu? Mam na myśli nasz powóz. Ma dwa doczepiane schodki. Czy mama jest ciężka?

- Przeciwnie.

- Wobec tego można ją podnieść, żeby bez trudności zajęła miejsce w powozie. To bardzo wygodny pojazd.

John zastanowił się, po czym jego twarz rozjaśnił uśmiech.

- To by się jej spodobało. Ona nigdy nie wychodzi z domu. Tak, na pewno byłaby tym zachwycona.

- Wobec tego może zrobisz coś w tej sprawie? - Leonard odpowiedział mu uśmiechem. Patrząc na jego wychudłą twarz John przez chwilę widział człowieka, którego poznał przed laty.

- Dziękuję ci - rzekł po prostu.

- Cieszę się, że przyjechałeś - odparł Leonard. - Mam przecucie, że teraz coś tu się zmieni.

John nie bardzo rozumiał, w jaki sposób jego wizyty mogą tu wprowadzić jakieś zmiany. Wtedy nie wiedział jeszcze, że Leonard pragnął wpłynąć na jego życie w taki sam sposób, w jaki wpłynęło na niego wynajęcie oficyny, lecz skutki miały się okazać jeszcze straszniejsze.

Rozdział trzynasty

Więc wreszcie wróciłaś, panno Simmons?

- Przecie dzisiaj mam pół dnia wolnego - odparła pomocnica patrząc na kucharkę. - A poza tym zostałam... - uśmiechnęła się szeroko - zatrzymana siłą.

- Zatrzymana siłą? - spytała Frances, która siedziała przy końcu kuchennego stołu popijając herbatę. Odwróciła głowę w stronę siedzącej naprzeciwko niej Janie Bluett. - Zatrzymana siłą? - powtórzyła. - Ona została zatrzymana. - Przeniosła wzrok na młodziutką dziewczynę. - A któż to cię zatrzymał? Mary powoli zdjęła zakiet i słomiany kapelusz.

- Panna młoda - rzekła radośnie. Nie mówiła nic więcej, lecz odwróciła się, żeby powiesić okrycie na drzwiach.

Kucharka zamaszyście wysunęła krzesło.

- Usiądź tu, panienko.

A gdy Mary spokojnie usiadła, obydwie służące wybuchnęły śmiechem, zaś kucharka spojrzała na nią groźnie z góry.

- Czekasz, żebym cię trzepnęła w ucho? No, gadaj. Mary nadal milczała. Frances nachyliła się ku niej przez stół.

- Opowiedz nam o ślubie. Jak ona wyglądała?

Mary natychmiast odrzuciła maskę przekory i tak samo jak Frances pochyliła się do przodu splatając dłonie, jakby chciała nadać wagę swoim słowom.

Catherine Cookson

- Wyglądała cudownie. Po prostu pięknie. On także prezentował się niezwykle elegancko. To było wspaniałe. Jej suknia nie była zupełnie biała, wiesz, raczej kremowa, miała trzy falbany i plisowany stanik, a rękawki tylko do łokci, zaś falbanki udekorowane małymi różowymi różyczkami. Tak samo miała ozdobiony dekolt sukni. Wyglądała naprawdę prześlicznie.

- Czy kościół był pełen ludzi? - spytała kucharka siadając.

- Nie. A ci, którzy przyszli, to głównie znajomi Robbiego MacIntosha. Dużo ich było. Ze strony pani Rosie pojawili się tylko doktor i pani Helena. To on wprowadził ją do kościoła. Pięknie wyglądał. Tak samo pani Helena. Ojej - zakryła ręką usta. - Ciagle nazywam ją panią Heleną. Jakoś nie dociera do mnie, że jest teraz lady Spears. Wszystko jedno, wyglądała ślicznie. Zawsze tak było, prawda? Zabrzmiały organy i gdy pani Rosie szła do ołtarza pod rękę z Robbiem MacIntoshem, to myślałam, że się popłaczę. Na zewnątrz stał tłum ludzi i wszyscy poszli za nimi na drugą stronę ulicy do gospody „George and Crown”, gdzie odbyło się przyjęcie. - Popatrzyła na nie. - Zapomniałam wam powiedzieć, że ona przyjechała powozem razem z panną Heleną i doktorem. Jej mąż, to znaczy mąż panny Heleny, nie przyjechał. Podobno bardzo z nim źle.

- No dobrze - wtrąciła się kucharka. - A jak to się stało, że ty zostałam tam zatrzymana siłą?

- To było tak, proszę pani: Razem ze wszystkimi poszłam ku gospodzie i po drodze niemal się przewróciłam, bo wszędzie leżało mnóstwo rozrzuconego ryżu. W każdym razie po pewnym czasie goście zaczęli się rozchodzić, bo i tak nic nie widzieli, no i zostałam tam sama. I wtedy podszedł do mnie ten człowiek. Okropnie mnie przestraszył. Złapał mnie za rękę i powiedział: „Chodź do środka, panna młoda chce cię zobaczyć”. A ja na to: „Nie mogę tam wejść. Nie jestem odpowiednio ubrana”. To on mówi: „Ona chce z tobą zamienić

OBSESJA

słówko. Chodź! No i po prostu pociągnął mnie za sobą do sali, w której tłoczyli się goście. Utorował drogę do miejsca, gdzie stała panienka Rosie, a ona wzięła mnie za rękę i wiecie, co powiedziała? Patrzyły na nią wyczekująco.

- Powiedziała: „Bardzo się cieszę, że cię widzę, Mary. Powiedz kucharce i dziewczętom, że bardzo bym chciała, żeby i one tu były”. Tak właśnie powiedziała.

Przy stole zapadło milczenie. Kucharka szybko poruszając czubkami palców dotykała swoich ust. Natomiast Frances i Janie wyciągnęły spod fartuszków chusteczki i otarły sobie oczy.

Minęła jeszcze minuta, nim Mary podjęła opowiadanie:

- A potem panienka Rosie powiedziała: „Musisz koniecznie zostać i coś zjeść”. Dookoła wszyscy rozmawiali, śmiali się, przepychali, po sali krążyli kelnerzy noszący tace z kieliszkami pełnymi wina, a Robbie Macintosh wziął jeden kieliszek i podał go mnie. Ręka tak mi się trzęsła, że niemal rozlałam wino, i Robbie nachylił się do mnie, i powiedział: „Nie marnuj tego trunku, Mary. Kosztował mnóstwo pieniędzy”. Na te słowa panienka Rosie roześmiała się i popchnęła go tak mocno, że oboje prawie rozlali swoje wino. I wtedy wszyscy wybuchnęliśmy śmiechem, mówię wam, nie mogłam w to uwierzyć. Wtedy podeszła jego matka i zaczęła ze mną rozmawiać i śmiać się, i wszyscy inni też zaczęli się śmiać, chociaż większość nie wiedziała, z czego. Mówię wam. Było wspaniale. A potem do Rosie podszedł doktor i powiedział jej, że wszyscy czekają, żeby zajęła miejsce. Stoły były ustawione na kształt podkowy. Ruszyłam w stronę drzwi, gdy dopadł mnie doktor i powiedział: „Dokąd idziesz, Mary?” I nie czekając na odpowiedź chwycił mnie za rękę i pociągnął między kłębiącymi się gośćmi do stołu. Przysunął mi krzesło spod ściany i powiedział: „Siadaj tutaj i baw się dobrze. Dzisiaj jest święto panienki Rosie. Rozumiesz?” Przez chwilę

Catherine Cookson

wyglądał bardzo poważnie, a ja rzekłam: „Rozumiem, panie doktorze”. Roześmiał się jeszcze raz i powtórzył: „baw się dobrze”. Wrócił na swoje miejsce, no i zaczęło się przyjęcie. Było bardzo przyjemnie, naprawdę bardzo. Ale pomyślałam sobie, że pani na pewno przygotowałyby lepsze przyjęcie.

- Taktownie skłoniła się kucharcze. - Potem były przemowy i mnóstwo śmiechu. Nie słyszałam, z czego się śmiali, bo byłam zbyt daleko. Robbie Macintosh nie mówił dużo, był jakiś taki poważny do momentu, aż zaczął mówić po szkocku. Ale wtedy było śmiechu. A potem - zwolniła trochę - pokroili weselny tort. On trzymał rękę na jej dłoni, no i wtedy już nie wytrzymałam i rozryczałam się. - Zamrugła szybko, popatrzyła na nie i opuściwszy głowę na oparte na stole ręce, zaczęła płakać. Dziewczęta poderwały się i zaczęły ją pocieszać, a kucharka odezwała się:

- No, uspokój się. Idź teraz do swojego pokoju, umyj się i doprowadź do porządku, a potem zejdziesz tu na herbatę...

Przez chwilę siedziały w milczeniu, które przerwała kucharka:

- Cały dzień o niej myślałam - rzekła cicho. - Na pewno przeszła dzisiaj piekło.

- Sama widziałam, że zjadła dwa pudełka czekoladek

- powiedziała Janie. - Wydaje na nie fortunę. Ale za to oszczędza na spiżarni i na nas.

- Mnie też jest jej żal - wtrąciła się Frances. - Ale sama jest sobie winna. Kiedy jeszcze chodziła do oficyny, była zupełnie inną kobietą. I tak bardzo przyjaźniła się z panią Falconer. I przecież przychodziła do pani, żeby przyrządzała pani dla matki doktora różne specjalne dania.

- Tak, wszystkie o tym wiemy - powiedziała Janie. - Ale jeśli chcecie znać moje zdanie, to miała nieczyste intencje, bo chciała złapać w sidła doktora. To dla niego przybierała inną maskę niż ta, którą pokazywała panience Rosie. Kiedy on był w pobliżu, stawiała się chodzącą słodyczą. - Pochyliła się nad

190

OBSESJA

stołem w kierunku kucharki. - A znając ją przypuszczam, że jest jedną z tych kobiet, które żywcem zjadają mężczyzn.

- Bądźże cicho, Janie Bluett! - krzyknęła na nią Frances. - Co też ty wygadujesz?

- Co wygaduję? A co ty wygadujesz cały czas? Ja już podjęłam decyzję. Odchodzę. Jeśli masz choć trochę rozumu, zrobisz to samo, bo według mnie ona ma bzika. Powiem wam coś, o czym nie wiecie. Kiedyś porządkowałam jej bieliznę w górnej szufladzie i wyczułam tam coś twardego. Wyciągnęłam to. To był jeden z szalików doktora, na którym były związane jeden przy drugim mocno zaciśnięte węzły.

- Niemożliwe! - kucharka przygryzła dolną wargę. Janie odwróciła się do niej.

- Tak było. Mocno zaciśnięte węzły. Ona na pewno chce mu wyrządzić krzywdę. A ja nie chcę tu być, gdy to się stanie.

Wtem odezwał się głośno dzwonek przymocowany do deski na ścianie. Wzdychając ciężko, Frances podniosła się z krzesła.

- Znowu. Czegóż ona chce?

Czesc trzecia

Helena

Rozdział pierwszy

Powinienem był tam pojechać - mówił Leonard. - Przecież dobrze się czułem... Helena pochyliła się nad nim i pocałowała go lekko w czoło.

- Sam wiesz, że nie czułeś się dobrze. Nie bądź głuptasem.

- Jeżeli ktoś tutaj jest głuptasem, to na pewno nie ja. Dałbym radę, prawda, John?

- Nie dałbyś.

- Proszę, proszę. - Leonard przyłożył dłoń do swojej wymizerowanej twarzy i pokręcił głową. - Nie mam już przyjaciela na tym świecie.

- Biedaczysko! - Gdy Helena ponownie pocałowała go w czoło, chwycił ją za rękę.

- Kiedy tu weszli, wyglądali na bardzo szczęśliwych, prawda? - powiedział. - Uosobienie radości.

- Tak, kochanie. Uosobienie radości. - Helena przygryzła wargę. Jej oczy zaszyły łzami, gdy wydała z siebie zduszony śmiech. - Czy uwierzysz, że oni znowu oglądają ogródek przy kuchni? Rosie robi wielkie plany na przyszłość. A ja myślę, że uda im się utrzymać z pracy na własnym kawałku ziemi. To dziwne - wyprostowała się i spojrzała na Johna. - Była szczęśliwa tylko wtedy, gdy przebywała w ich domu. Uwielbiała i dom, i matkę Robbiego.

Catherine Cookson

- Mówisz, że jego matka wydaje dziś małe „ceilidh”? - spytał Leonard.

- Tak, zaprosiła wszystkich swoich przyjaciół. Jej kuzyn z żoną zostaną tam przez cztery dni. To także Szkoci. - Zawsze myślałem, że takie przyjęcia to irlandzka tradycja.

- Nie. „Ceilidh” to celtycki wyraz oznaczający przyjęcie, spotkanie połączone z zabawą. Jeśli chodzi o Szkotów i Irlandczyków, to nie założylabym się o to, którzy bardziej hałasują, piją więcej whisky, albo też kończą zabawę bez bijatyki. Wątpię jednak, żeby w obecności matki Robbiego doszło do jakiejś bójki...

- Chyba jeszcze nie wychodzisz? - Gdy John wstał, Leonard uniósł się lekko w swoim fotelu.

- Wychodzę, bo jeśli posiedzę jeszcze pięć minut dłużej, to zostanę zaproszony na kolację.

- Przecież mówiłeś, że dzisiaj nie przyjmujesz pacjentów.

- Tak, ale nie zapominaj, że mam matkę. W ciągu ostatnich tygodni bardzo często wracałem późno do domu. Wciągnął mnie ten twój hazard.

Leonard ułożył się znowu w fotelu i uśmiechnął szeroko.

- Tak jest. Podliczyłem wczoraj, że przegrałeś z piętnaście szylingów. Ty jednak nie powinieneś zapominać, że za te pieniądze dostałeś lekcje gry.

Helena nie odzywała się, bo nawykła już do takich żartobliwych rozmów. Kierując się do drzwi powiedziała: - Zawołam tamtych dwoje, żeby przyszli się pożegnać. I tak już zapada zmrok, chyba nie będą oglądać warzyw w ciemnościach.

Gdy zostali sami, Leonard wyciągnął rękę i gestem przywołał Johna bliżej. Ten podszedł i nachylił się.

- Chciałbym z tobą porozmawiać na osobności - powiedział Leonard.

- Na osobności?

- Tak. Helena zabiera ich w poniedziałek do teatru. Sam

OBSESJA

zmusiłem ją do tego. Wyjadą stąd po piątej. Czy będziesz mógł przyjść?

- Tak, oczywiście.

Przez moment patrzyli na siebie, po czym Leonard przymknął oczy.

- Będę ci wdzięczny.

John milczał, lecz gdyby miał powiedzieć, co myśli, rzekłby: „To ja powinienem być wdzięczny.

Wizyty w tym domu to jedyna radość mego życia". Mógłby jeszcze z całą szczerością dodać: „Bo spotykam się nie tylko z Heleną, lecz także z tobą, a ty stałeś się dla mnie prawdziwym przyjacielem".

Był okres, kiedy w zaślepieniu życzył temu człowiekowi śmierci. Lecz teraz już nie. Myśl o tym, że Leonard wkrótce umrze, sprawiała mu ból. Odkrył, że to nie tylko człowiek pełen dobroci, lecz również najprawdziwszy dżentelmen. Wyprostował się i przybierając pozę lekarza powiedział:

- A teraz bądź grzeczny. Rób to, co ci mówią, i nie próbuj wychodzić z domu, nim słońce zacznie mocniej przygrzewać. - Spojrzał surowo na Leonarda. Nie doczekawszy się odpowiedzi odwrócił się gwałtownie i wyszedł z salonu. W hallu stała Helena, która trzymała jego palto i w milczeniu pomogła mu je włożyć. Podając mu rękawiczki odezwała się:

- W poniedziałek idę z Rosie i Robbiem do teatru. On... on nie chciał, żebym wtedy była w domu. - Jej głos załamał się lekko. - Podejrzewam, że zaprosił cię, żeby porozmawiać z tobą na osobności?

- No... tak.

Zebrała ręką suknię, jakby było jej zimno, po czym odwróciła się i patrzyła na niego w gęstniejącym mroku.

- Nie wiem, co zrobię, kiedy on umrze. Jest całym moim życiem. I to od dawna. Rozumiesz mnie?

- Tak. Rozumiem.

- Z początku wcale tak nie było. - Westchnęła ciężko.

- Najpierw go lubiłam, podziwiałam, dzięki niemu mogłam

Catherine Cookson

uciec z domu. Ale... ale to się potem szybko zmieniło. To wspaniały człowiek.

- Zgadzasz się z tobą. Odwróciła się do okna.

- Dlaczego? Dlaczego tak musi być? - spytała szeptem.

- W tej sytuacji to najtrudniejsze pytanie, jakie można zadać - odparł cicho.

- Jak myślisz: ile mu jeszcze zostało? - wydusiła z siebie. Milczał chwilę.

- Jego... wasz lekarz na pewno wspomniał coś o tym.

- Nie. On nie chce sprawiać mi bólu. Ale ja mam przecież oczy. Sam wiesz, że tutaj jest dla niego najgorszy klimat, jednak on nie chce się nigdzie przenieść. Mówi, że chce, bym tutaj... osiadła na dobre. - Odchyliła głowę do tyłu. - Kiedy on odejdzie, odejdę i ja, daleko, za ocean... - głos się jej załamał.

- Nie płacz! Nie gryź się tym. On to natychmiast zauważy i jeszcze bardziej się zmartwi. Do tej pory umiałaś zachować zimną krew, więc nie zmieniaj tego. I zapewniam cię, Heleno, że nie ma drugiej takiej osoby, która miałaby nadzieję, która modliłaby się o jego przeżycie bardziej żarliwie niż ja. W tym momencie jego wzrok padł na korytarz, gdzie kręcił się Bertram Johnson, służący i pielęgniarz Leonarda. To dziwne, pomyślał John, że on zawsze kręcił się w jego pobliżu. Jakoś nie zdołał go polubić, sam nie wiedział dlaczego, bo tamten dobrze spełniał swoje obowiązki i jego pomoc była wprost niezbędna.

- Muszę już iść - powiedział i wykonał ruch, by ująć jej dłoń, jednak zrezygnował. Wyszedł w mrok i skierował się ku stajniom, gdzie Henry już na pewno przygotował dla niego konia i dwukólkę. Jedną rzecz, jaką John zapamiętał z dnia zaślubin Rosie, nie miała nic wspólnego ani ze szczęśliwą panną młodą, ani

OBSESJA

oblubieńcem, lecz z tym, co jego matka powiedziała mu poprzedniego wieczora.

Zarówno ona, jak i pani Atkinson były trochę zdziwione, że wrócił z przyjęcia tak wcześnie. A gdy powiedział pani Atkinson, że już nie będzie wychodził z domu i że zwalnia ją wcześniej, ona przyjęła to z wdzięcznością i opuściła ich.

Matka nie leżała jeszcze w łóżku. Jak to sama określiła, jej chore nogi wyjechały sobie na wakacje i zostawiły zastępczynię, dzięki którym przez większą część dnia mogła chodzić. Powiedziała, że nie położy się spać, dopóki nie usłyszy opowiadania. Usiedli w salonie.

- Byłam zła, bo wiedziałam, że mogłam tam pójść. Cały dzień jestem na nogach. Jak sądzisz, czemu należy zawdzięczać tę poprawę?

- Mamo, nie bądź niemądra. - Niecierpliwie poruszył głową. - Wiesz przecież, że czasami masz lepsze dni, a po nich następują dni gorsze.

Uśmiechnęła się.

- Powtórz to. Nie całkiem cię zrozumiałam.

Na chwilę pi[^]ymknął oczy uśmiechając się przy tym szeroko.

- No, opowiadaj - zażądała. - Od momentu, gdy ruszyli do ołtarza.

- Przecież mówiłem ci o tym, gdy wpadłem na chwilę przed przyjęciem.

- No dobrze. Więc zacznij od przyjęcia.

Tak więc zaczął od przyjęcia, wspominając nawet o pojawieniu się Mary, co sprawiło Rosie wielką radość. Skończył zaś na salwie śmiechu, gdy młoda para jeszcze raz wyszła do ogrodu przy kuchni, żeby obejrzeć warzywa w zapadającym zmroku.

- A więc to był dobry dzień dla wszystkich? - spytała i nie czekając na odpowiedź dodała: - Nie, to niewłaściwa konkluzja. - Wskazała kciukiem ścianę. - Wściekała się. Dwa razy słyszałam, jak wrzeszczy na dziewczęta. Wtedy pani Atkinson

Catherine Cookson

poszła na słówko do Toma Needlera. Powiedział, że pani kazała Jimmy'emu Oldhamowi... to parobek, prawda?... że kazała mu wyczyścić powóz i przygotować go do jazdy. A wiesz przecież, że powozem zawsze zajmował się Tom. W każdym razie, on mówi, że powóz dość długo nie był używany, a jakież jest pożytek z powozu bez konia. - Urwała i patrzyła na niego przez moment.

- Kiedyś mieszkanie tutaj sprawiało mi wielką przyjemność. Ale teraz żałuję, że tu przyjechałam. Poza tym, gdybym tego nie zrobiła, nie byłbyś teraz w tak parszywej sytuacji.

Gwałtownie wstał z miejsca.

- Rozmawialiśmy już o tym. Chodź, czas do łóżka. Nie ruszyła się.

- W jakim stanie jest twój pacjent?

- Leonard?

- Tak, Leonard.

- Nie jest moim pacjentem.

- Wiem o tym, ale chodzisz tam tak często, jakby nim był. Spojrzał na nią z góry.

- Mamo, on po prostu lubi towarzystwo. Poza tym dobrze wiesz, że ich tak zwani przyjaciele znikli gdzieś nagle, tak jak śnieg znika w promieniach wiosennego słońca. Zostało im tylko kilka osób, chyba dwie zaprzyjaźnione rodziny. Dla niego tylko jedna z tych rodzin to wesołe towarzystwo, ale nikt z nich nie gra w karty.

- Ja... wcale cię nie przesłuchuję ani o nic cię nie obwiniam. Po prostu... boję się o ciebie. Kiedy go zobaczyłam, zrozumiałam, że niewiele życia mu zostało. Kiedy on odejdzie, w życiu tej dziewczyny pozostanie wielka pustka. Nie ucieszy cię to, co teraz powiem, jednak powiem ci to: to nie ten typ kobiety, która skoczy w ramiona innego mężczyzny w chwili, gdy zabraknie jej męża.

- Matko! - Odsunął się od niej gwałtownie. - Naprawdę!

- To słowo miało ją powstrzymać, lecz ona patrzyła na niego odważnie.

206

OBSESJA

- Nie jestem ślepa i jestem twoją matką - powiedziała spokojnie. - Pamiętam, jak opowiadałeś mi o tamtym przyjęciu w ogrodzie, a mogłeś o tym opowiadać bez przerwy, i o jej zamiarze poślubienia mężczyzny tak starego, że mógłby być jej ojcem. Tak przynajmniej myślałeś. Potem celowo nie poszedłeś na jej ślub i przez wiele tygodni chodziłeś jak struty. Tak właśnie było. - Uniosła rękę. - Przypomnij sobie, jak musiałam znosić twoje humory, gdy byłeś chłopcem, twoje skryte milczenie, gdy coś nie dawało ci spokoju. No właśnie: nigdy o niej nie mówisz. A teraz wydaje się, że one obydwie zaprzatają twoje myśli. - Wskazała kciukiem ścianę.

- To nieprawda, mamó. Kiedy Leonard umrze, nikt nie będzie bardziej zmartwiony niż ja. On stał się moim prawdziwym przyjacielem. Lubię go, nawet bardziej niż lubię.

- Nie wątpię. Cieszę się, lecz to niczego nie zmienia. Wciąż pozostaje pytanie: co ona zrobi, kiedy jego zabraknie?

- Sama mi powiedziała, że kiedy on umrze, ona wyjedzie w podróż, gdzieś daleko.

- A! Chociaż pewnie nie zgodzisz się ze mną, powiem: Bogu dzięki. Ty wciąż jeszcze jesteś żonaty, a ona jest siostrą twojej żony. Co więcej, możesz sobie na mnie patrzeć z oburzeniem, ale ja tylko wyciągam na światło dzienne to, co cię gryzie. Sam mówiłeś, że on chce z tobą porozmawiać na osobności. Ciekawe o czym?

- Cokolwiek to będzie, ty się i tak nie dowiesz.

- Nie? Jak sobie życzysz. Ale przypomnij sobie starą maksymę: Czyny mówią głośniej niż słowa. A teraz, synu, jeśli nie brzydzisz się mnie dotknąć, to pomóż mi wstać z tego fotela i zostaw mnie. Dam sobie radę sama.

Podniósł ją z fotela, a po chwili, gdy wysunęła ramię z jego ręki, powiedziała jeszcze:

- Poradzę sobie. A teraz daj mi piętnaście minut... to znaczy, jeśli masz ochotę przyjść i powiedzieć mi „dobranoc”. Podpierając się na laskach pokuśtykała przez salon do

Catherine Cookson

drzwi, a on się nie ruszył. Patrzył, jak otwiera sobie drzwi, z trudem manipulując laskami. Już miała wyjść, gdy spojrzała na niego przez ramię.

- Bardzo ci dziękuję, panie doktorze, za pomoc. - Uśmiechnęła się. - A skoro lekarstwa są głównym tematem każdego twojego dnia, teraz radziłabym ci wypić podwójną porcję czystej whisky.

Stał z opuszczoną głową, a po chwili odwrócił się i opadł na fotel, z którego niedawno wstał.

Odchylając do tyłu głowę zamknął oczy i usłyszał jej głos: „Kiedy on odejdzie, odejdę i ja, daleko, za ocean...” Wiedział, że postąpi dokładnie tak, jak mówiła.

szał, jak kiedyś śmiali się ze Żwawej Daisy. Była jednym z niewielu gości, którzy nie bali się odwiedzać chorego na gruźlicę. Była wdową po komisarzu dystryktu w Afryce, na którego podobno sprowadziła więcej kłopotów niż jakikolwiek zbuntowany wódz plemienny albo czarownik-znachor. John nigdy jej jeszcze nie widział, ale teraz właśnie oczekiwał go ten pierwszy raz. Dowiedział się od Johnsona, że lady Helena i państwo młodzi wyjechali o szóstej i że przyszła pani Freeman Wheatland, która przebywała razem z sir Leonardem w salonie.

Tam też siedząca przy bambusowym szezlongu kobieta odwróciła się do niego, gdy Leonard powiedział:

- Jak się masz, John. To jest pani Freeman Wheatland. Zanim John zdążył wykonać jakikolwiek gest, kobieta

wrzasnęła głośno chrapliwym głosem:

- Nie bądź dwulicowy, Leonardzie. Powiedz mu, jak mnie zwykle nazywasz, oczywiście za moimi plecami. Żwawa Daisy May, tak właśnie mnie nazywa. Byłam na tyle głupia, że powiedziałam mu, jak wołał na mnie Tommy. On... był moim mężem. Siadaj, młody człowieku! - rzuciła rozkazująco.

John spojrzał na Leonarda, który zanosił się śmiechem.

200

OBSESJA

Wiedział, że na jego własnej twarzy maluje się bezbrzeżne zdumienie. Usiadł i przyjrzał się gościowi... Żwawa Daisy. Tak, to przezwisko dobrze do niej pasowało. Już wyobrażał sobie, jak siedzi na koniu i gna z wielką szybkością po wzgórzach. Miała około sześćdziesięciu lat, była potężnie zbudowana, a zarazem koścista; jak powiedziałaaby jego matka: gnat na gnacie, ani grama mięsa. Jej pozbawiona ciała twarz przypominała nieco twarz baśniowej wróżki. To dosyć dziwne określenie jej wyglądu, gdyż była po prostu brzydka. Miała bardzo długie, kościste palce, no a jej ciało... Ramiona wydawały się bardzo szerokie. John pomyślał, że prawdopodobnie jest wysoka, bo spod spódnicy wystawały długie łydki i wielkie stopy w solidnych butach z niewyprawnej skóry.

- Słyszałam o tobie niejedno - powiedziała niespodziewanie tak głośno, że aż podskoczył. - I to nie tylko od niego - kiwnęła głową w kierunku Leonarda - lecz także w mieście. Są tam niezli plotkarze. Ale więcej mówią o tobie dobrego niż złego. Jak sobie radzisz z Cornwallisem? To stary kanciarz, największy ze wszystkich. Ubezpieczył swoją chorą nogę na wszelki wypadek, żeby nie wyzdrowiała.

- Daisy!

- Tak, mój drogi Leonardzie?

- Dajże mu spokój.

Odchyliwszy do tyłu głowę zarechotała z otwartymi szeroko ustami. John spostrzegł, że wciąż jeszcze miała wszystkie zęby, chociaż niektóre straciły naturalny kolor. Odwróciła do niego swoje okrągłe, brązowe oczy.

- Kiedy nie chciałam jeść owsianki, moja niania mawiała do mnie: „Czy chcesz, czy nie, to już twoja sprawa. Zgłodniejesz, to sama przyjdiesz i poprosisz o jedzenie”. Popatrzył na nią z uśmiechem. Czy chcesz, czy nie, musisz się z tym pogodzić. Jasna sprawa. Przeniósł wzrok na Leonarda, który oparł głowę na poduszce leżanki. Miał zamknięte oczy i przygryzał dolną wargę.

- Byłeś no kiedy w Afryce?

Catherine Cookson

- Co, proszę? - John poruszył się gwałtownie na krześle. - W Afryce? Nie, nigdy tam nie byłem.

- Według mnie niewiele straciłeś. Ja zostawiłam tam całe moje ciało. Kiedyś byłam okrągłutkim grubaskiem. Nie uwierzyłbyś, prawda? Nie wiedział, co odpowiedzieć.

Z niezręcznej sytuacji uratował go Leonard.

- Daisy, opowiedz mu o kąpieli w płynie dezynfekującym.

- A idźże ty! Dlaczego mam zabawiać twojego gościa, a do tego lekarza? - Rzuciła spojrzenie Johnowi. - Nigdy nie ufałam lekarzom. Znachorzy biją ich na głowę.

- Nie wątpię.

- Daisy, powiedz mu o tej kąpieli - powtórzył Leonard.

- Po co? Przecież słyszałeś już tę historię.

- Chcę ją usłyszeć jeszcze raz.

John patrzył na jej twarz. Oczy miała zwrócone na Leonarda i nagle ujrzał łagodność, która spłynęła na jej poraną zmarszczkami twarz. Po chwili zamrugła i... znowu wyglądała tak jak dawniej.

- No, dobrze. Sam tego chciałeś. - Na powrót odwróciła się do Johna. - Nie wiem, czy chcesz tego słuchać. Otóż kiedyś byłam wystrzałową dziewczyną. Tak mnie tu nazywali: wystrzałowa dziewczyna. Dasz wiarę?

- O, tak - odparł bez wahania. - Naturalnie, że mogę sobie panią wyobrazić jako wystrzałową dziewczynę. Spojrzała na niego cynicznie.

- Ha! Urząd Kolonialny nie był osamotniony w produkowaniu dyplomatów. W każdym razie żyłam sobie bardzo szczęśliwie jako szósta córka, nie licząc czterech starszych braci. Wszyscy oni mieli już mężów i żony, a ja nie. Ja kochałam konia, więc to się nie liczyło...

Kiedy Leonard zakasłał, przerwała na chwilę i spojrzała w jego kierunku, po czym podjęła opowieść.

- A potem - ku strapieniu mojej matki, zaś ku radości ojca

OBSESJA

- w moje życie wdarł się Thomas Freeman Wheatland, który przyjechał na urlop z Afryki. Jak się okazało, wyjechał tam jako młodszy komisarz, a kiedy jego przełożony przeszedł na emeryturę, sam przejął jego stanowisko. Był już w średnim wieku, ale to nie miało znaczenia, bo lubił konie i zaprosił mnie, żebym pojechała z nim do Afryki. Rzucałam monetą, czy wybrać jego, czy też Brutusa, mojego konia, którego wychowywałam od źrebięcia. O Afryce wiedziałam tylko tyle, że jest gdzieś tam na mapie i strasznie tam gorąco, że mnóstwo tam piasku, wielbłądów, szejków, łajna, much i innych takich rzeczy. No i wyszłam za męża, a z dnia mojego ślubu pamiętam tylko to, że ojciec upił się do nieprzytomności jeszcze przed ceremonią, a to z radości, że się mnie pozbywa. Kiedy obudziłam się następnego ranka, okazało się, że jestem na statku na środku jakiegoś oceanu. Wtedy zrozumiałam, że małżeństwo wcale mi nie leży, a co gorsza bardzo cierpiałam na chorobę morską.

Kiedy John spostrzegł, że Leonard zasłania ręką usta, chciał zrobić to samo. Miał wilgotne oczy i mocno zaciśnięte wargi, do chwili, aż Daisy powiedziała:

- Na pewno miałeś do czynienia z pijakami, doktorze, łącznie z talami, którzy brali udział w bijatykach. Na pewno określenie „wyprać komuś flaki” nie jest ci obce. To właśnie zrobiła ze mną Afryka i to zanim zdołałam coś na to zaradzić.

Nie widział, jak kobieta kładzie sobie rękę na brzuchu, bo właśnie ocierał oczy chusteczką.

- Pani Wheatland... - wymamrotał.

- Mów mi Daisy. Tak bardziej lubię - odparła.

Nie powiedział do niej „Jaisy”, ponieważ w tym momencie odezwał się Leonard.

- Mów dalej, Daisy. Ponownie spojrzała na Johna.

- Wyobrażasz sobie - rzekła poważnie - jak to jest, gdy nagle lądujesz w samym środku dżungli?

Żadnej ścieżki, zupełnie nic. Co prawda dom był wygodny, a na polanie

Catherine Cookson

krzyżowały się szlaki wiodące do różnych szczepów. Jednak dla mnie zawsze był to las i czasami strasznie się bałam, zwłaszcza gdy Tommy wyjeżdżał i musiałam zostawać sama. Owszem, było mnóstwo służących, ale tylko jeden potrafił trochę dukać po angielsku. Czasami mieliśmy gości, lecz co oni robili? Siadali na werandzie i pili, gadali o którymś tam wodzu, czy jakimś czarowniku-znachorze. Tak było, kiedy siedziałam razem z nimi. Mam jednak dobry słuch i kiedy myśleli, że nie ma mnie w pobliżu, wychodziły na jaw różne skandale. Tu któraś kobieta porzuciła męża, inną odwiedzał jakiś tam pan. Wtedy jeszcze nie wiedziałam, że ta odwiedzana dama była kobietą, którą chciał niegdyś poślubić mój mąż. Ona jednak dała mu kosza, więc żeby utulić zranioną dumę, wziął urlop i przyjechał do Anglii, gdzie na samym dnie znalazł prostą dziewczynę, której nie chciał nikt inny.

- O, nie! - zawołał Leonard unosząc się lekko. - Tak nie wolno. Nigdy nie mów tak o sobie, Daisy. To nie w twoim stylu.

- Nic o tym nie wiesz, Leonardzie. Nigdy nie byłeś zdesperowany, nie byłeś dziesiątym w kole, którego nikt nie chciał. - Z powrotem odwróciła się do Johna. - Każdy musi przejść swoją szkołę życia. Te pierwsze miesiące były właśnie moją szkołą. I wtedy poznałam owego człowieka z kolonii trędowatych. - Pokiwała głową. - Trąd. Nigdy nie słyszałam o tej chorobie. Bo niby skąd? Czy mogłam usłyszeć o tym od tych niewielu ludzi, z którymi rozmawiałam? Ten temat był tabu. Wyszłam kiedyś, żeby się przejść. Było tam coś w rodzaju takiej głównej drogi. I nagle zobaczyłam tego człowieka. Wyglądał zupełnie jak ksiądz: ubrany był w płaski kapelusz i długą czarną szatę. Nie chcę, żeby to zabrzmiało sentymentalnie albo śmiesznie, ale miał twarz anioła. I doprawdy był aniołem. Przedstawił mi się jako doktor Frank La-Mode i przeciągnąwszy dłonią po szacie powiedział ze śmiechem, że to odzienie niezbyt dobrze pasuje do jego nazwiska. To było nasze pierwsze spotkanie. Zdawało mi się, że on wie, kim

OBSESJA

jestem. W ciągu kilku następnych tygodni spotkałam go na tej drodze trzy razy. Zawsze było z nim dwóch tragarzy, którzy szli obładowani różnymi paczkami i skrzyniami. Pewnego wieczoru powiedziałam do Tommy'ego: „Czy znasz doktora Franka La-Mode?” Na dźwięk tego nazwiska aż wyprostował się w fotelu i spytał: „Co o nim wiesz?” To ja mówię: „Nic. Spotkałam go dwa, może trzy razy”. Usłyszawszy to, mój mąż skoczył na nogi i spytał ostro: „Chyba tam nie poszłaś?” Pytam: „Dokąd?”, „Do kolonii trędowatych, a gdzieżby indziej” - odparł.

John patrzył, jak Daisy opiera się wygodnie w fotelu. Wykorzystał chwilę milczenia i powiedział:

- Do kolonii trędowatych?

- Tak jest - skinęła głową. - Mój mąż był strasznym flegmatykiem. Być może ta właśnie niechęć do wyrażania uczuć i emocji sprawiła, że stracił swoją prawdziwą miłość. Lecz wtedy miałam do czynienia z innym Tommym, który krzyczał, że nie wolno mi zbliżać się do tamtego człowieka i do kolonii trędowatych. Pamiętam, że zastanawiałam się, gdzie jest ta kolonia. On naskoczył na mnie tak gwałtownie, tak bardzo się wtedy zmienił, że zrozumiałam: on po prostu bał się tego miejsca. Bał się trądu. I wtedy coś się we mnie przełamało. Pomyślałam, że ja wcale nie boję się ani kolonii trędowatych, ani samej choroby. - Zesznurowała usta i uśmiechnęła się smutno. - Nic nie wiedziałam o trędowatych z wyjątkiem tego, że nie można ich dotykać i że ta choroba oznacza wyrok śmierci, a człowieka izoluje się w jakimś ustronnym miejscu. Był jednak ten Frank La-Mode, taki poważny i spokojny. Właśnie: był spokojny. A człowiek, z którym musiałam żyć, nigdy nie wyglądał tak spokojnie, tak samo jak żaden z jego kompanów. Za dużo pili. Krzyczał: „Słyszysz, co mówię? Nie rozmawiaj więcej z tym człowiekiem i w żadnym wypadku nie idź do kolonii. Słyszysz?...” -

Przeniosła wzrok na Leonarda. - Wiesz, Leonardzie, ciągle słyszę, jak na mnie krzyczy, zawsze gdy opowiadam tę historię.

Catherine Cookson

A im bardziej on krzyczał, tym większy narastał we mnie bunt.

- Odchyliła głowę opierając ją na fotelu i zapatrzyła się w sufit.

- Dwa tygodnie później znowu spotkałam Franka i powiedziałam do niego wprost: „Chciałabym odwiedzić tę pańską kolonię”. On zaś odpowiedział: „A czy ma pani pozwolenie swojego męża?” „Nie, ale chcę tam pójść i sama wszystko zobaczyć, bez względu na jego przyzwolenie”, odparłam. Po chwili rzekł: „Dobrze. Czy może pani pójść teraz?” Powiedziałam, że tak, że nie mam nic innego do roboty. - Wyprostowała się i spojrzała na Johna. - To była bardzo dziwna wycieczka. Droga ginęła gdzieś w lesie, a my szliśmy i szliśmy. Ścieżka zrobiła się tak wąska, że dwie osoby nie mogły nią iść obok siebie. I nagle wyrosła przed nami drewniana palisada. Tak właśnie wyobrażałam sobie forty w Ameryce, zabezpieczone przed napadem Indian. Po raz pierwszy zobaczyłam trąd, gdy bramę w ogrodzeniu otworzył mężczyzna, który miał tylko jeden cały palec, zaś reszta wyglądała jak sterczące z dłoni węzełki. Szliśmy między grupkami ludzi, a każdy, kto miał jeszcze ręce, był zajęty jakąś pracą. Do Franka zbliżali się powłóczący nogami chorzy, których powykrzywiane twarze promieniały miłością. Dom Franka był wykonany z bambusu, zaś w środku znajdowało się kilka pomieszczeń, a wśród nich gabinet. W gabinecie spotkałam dwie kobiety, Angielki. Nie mogłam w to uwierzyć. Jedna była potężnie zbudowana, a druga miała na rękach liczne ślady. Jednak wyraz ich twarzy odzwierciedlał dokładnie wyraz twarzy Franka. Nie będę się wdawała w opisy. Powiem tyle: zostałam tam tak długo, aż moje emocje podpowiedziały mi, że muszę wracać, jeśli nie chcę splamić swojego honoru. Frank osobiście odprowadził mnie na główną drogę, a tam już czekało trzech moich służących. Żaden z nich nie ośmielił się zbliżyć do mnie. Wszyscy uciekli, żeby poinformować swojego pana, że oto nadchodzi trędowata, bo tak mnie potraktowali. Tommy czekał już na mnie na środku podwórka. Był tak wściekły, że aż zachłystywał się ze złości. Kazał mi iść do łaźni, więc spytałam,

206

OBSESJA

dlaczego właśnie tam. Był tak rozgniewany, że zapomniał się i wykrzyknął w miejscowym języku: „Wchodź tam i zrzucaj całe ubranie!” Nie powiedział „rozbierz się”, ale „zrzucaj całe ubranie”. - Roześmiała się zakrywając dłońmi usta. - Spytałam go: „Dlaczego?”, a on odpowiedział: „Bo musisz się wykapać”. No więc poszłam do łaźni i zrzuciłam całe ubranie. Kiedy włożyłam rękę do wanny, odczułam pieczenie - nie wiem, co to było, ale na pewno karbol i coś jeszcze. Wtedy on stanął w drzwiach i na sam mój widok zamknął oczy. Tak jest. Tak właśnie było. - Pokiwała głową. - No i kazał mi wejść do wanny. „J»Jigdy w życiu”, mówię. „Tu jest coś jeszcze oprócz karbolu. Nie wiem, coś tu wlał, ale ja nie zamierzam się w tym zanurzyć”. Chciałam zabrać moje ubrania, lecz on mnie ubiegł. Nie dotknął ich, lecz za pomocą trzymanej w ręku laski odsunął je na bok. I zaczął mnie poszturchiwać tą laską. - Urwała na chwilę, zakrywając ręką twarz. - Nawet jeszcze teraz potrafię się z tego śmiać: ten szacowny, pompatyczny mężczyzna poszturchiwał mnie laską. I zrobił to skutecznie, bo pchnął mnie w pewne miejsce, a ja straciłam równowagę i z głośnym wrzaskiem wylądowałam w wannie. Nie zanurzyłam się jednak cała, lecz tylko do pasa, a on już stał nade mną i krzyczał: „Zanurz głowę! Zanurz głowę!” Nie zrobiłam tego i nie zamierzałam zrobić. Za to wyrzuciłam przed siebie ramiona, a sam widzisz, że są całkiem duże i zawsze były silne. Jazda konna wzmacnia nie tylko pośladki, lecz także ręce, więc gdy chwyciłam go za brzeg spodni i pociągnęłam, co musiało być bolesne dla niektórych organów jego ciała, on także stracił równowagę i po sekundzie wpadł twarzą do wanny. - Otworzyła szeroko usta i głęboko zaczerpnęła powietrza. - Ten płyn... parzył i szczypał na całym ciele. Zaczęłam się śmiać i gdy wydostałam się spod niego, on chwilę szamotał się w oleistej cieczy i ponownie się przewrócił. Wyszłam z wanny, a po kilku sekundach on również się z niej wydostał. - Znowu odchyliła głowę do tyłu i powiedziała przyskajac śliną: - Żaden pan młody nie zerwał z siebie szybciej

Catherine Cookson

ubrania, by dostać się do swojej żonki, niż owego wieczoru zrobił to Thomas Freeman Wheatland. John ryknął śmiechem, a Leonard trzymał się za żebra, podczas gdy łzy spływały mu po policzkach.

- Proszę cię, Daisy! - powiedział błagalnie.

- Przepraszam, Leonardzie.

John wstał. Jego twarz była mokra od łez. Pochylił się nad Leonardem.

- Dobrze się czujesz?

- Tak - sapnął Leonard. - Daj mi tylko tabletkę. - Wskazał w kierunku bocznego stolika. Po chwili dostrzegł troskę na twarzy Daisy. - W porządku, Daisy. Jesteś... jesteś prawdziwym skarbem. A teraz powiedz Johnowi resztę. To nas uspokoi.

- Na pewno nic ci nie jest? - spytał John. - Może zawołam Johnsona?

- Nie, nie trzeba. Śmiech to najlepsze lekarstwo na świecie. Powinieneś to wiedzieć, panie doktorze. -

Przeniósł wzrok na dużą, wychudłą twarz i powtórzył: - Mów dalej, Daisy. Dokończ opowiadanie.

Oparła się w fotelu, położyła ramię poniżej swoich zwiotczonych piersi i lekko je uniosła, po czym spojrzawszy na Johna powiedziała:

- Następnego dnia na tacy ze śniadaniem znalazłam Ust. Napisał w nim, że jeśli chcę pozostać jego żoną, a nie zostać odesłana do domu w hańbie, czy coś w tym rodzaju, to muszę mu obiecać bezwzględne posłuszeństwo, tak właśnie, użył słowa „bezwzględne”. Ale przede wszystkim nie wolno mi było zbliżać się do tej kolonii trędowatych i rozmawiać z Frankiem La-Mode. List kończył się informacją, że wyjechał na cztery dni w teren i po powrocie oczekuje mojej odpowiedzi. - Zrobiła krótką przerwę i podjęła opowieść. - No więc napisałam mu odpowiedź, że jeszcze przed tą wycieczką do kolonii zamierzałam wrócić do Anglii i pragnęłam się z nim rozwieść, bo wiedziałam, że nasze małżeństwo było wielkim

OBSESJA

nieporozumieniem. Lecz od czasu kąpieli w tym kwasie...

- kiwnęła głową Johnowi - a właśnie, czułam się po tym jak obdarta ze skóry i przez wiele tygodni wyglądałam jak ugotowana na miękko, a gdy skóra zaczęła się złuszczać, bardzo cierpiałam. W każdym razie oznajmiłam mu, że wszystko mi jedno, czy wrócę do Anglii, czy też pójdę pracować w kolonii trędowatych, lecz po zastanowieniu się wybrałam to drugie. List zakończyłam słowami: „Niektórzy ludzie boją się śmierci, której sami nigdy nie doświadczą, lecz i tak pewnego dnia umrą”. Przez siedem lat pracowałam w kolonii jako pomocnik.

- Niemożliwe! - John pokręcił głową.

Na twarzach wszystkich trojga malował się smutek.

- To prawda - rzekła Daisy. - i mogę szczerze powiedzieć, że były to najbardziej przygnębiające, a zarazem najszczęśliwsze dni mojego życia. W drugim roku zaczęłam dostawać paczki z lekarstwami i materiałami opatrunkowymi od ludzi z innych części kraju, ludzi, o których nigdy dotąd nie słyszałam.

- Dlaczego wyjechała pani po siedmiu latach? - spytał cicho John.

- Frank na to nalegał, bo, dosłownie, ciało zaczęło ze mnie odpadać. Kiedyś byłam dość pulchna, a została ze mnie skóra i kości. Sam zresztą widzisz. - Wyciągnęła rękę. - Jednak nigdy nie zaraziłam się chorobą. To było dziwne. - Co na to wszystko pani mąż?

- A cóż on mógł zrobić? - odpowiedziała po chwili.

- Stracił twarz, co dla niego było okropne. Żał mi go było, bo miejscowi o tym gadali. Nie został usunięty z zajmowanego stanowiska, co mnie ucieszyło, lecz zmarł na malarię w rok po tym, jak wróciłam do Anglii. Tak przynajmniej mówili. On nigdy nie żył w przyjaźni z jednym z tych plemion i zrobił sobie wroga z tamtejszego znachora. Służący mówili, że znachor rzucił na niego urok, przepowiedział mu śmierć na konkretny dzień i powiadomił go o tym. No i zmarł dokładnie

Catherine Cookson

tego dnia. Jego zastępca opowiedział tę historię, a ja nie uważam, że to wszystko było zmyślane. Teraz zdaję sobie sprawę, że Tommy bardzo bał się śmierci i zawsze miałam sobie za złe, że napisałam tamte słowa na zakończenie listu. Jednak wtedy potwornie cierpiałam po owej słynnej kąpiel. Pewnie nie był to kwas, bo teraz by mnie tu nie było. Ale nawet Frank, który przecież był lekarzem, nie potrafił powiedzieć, co zostało zmieszane z karbolem. Karbol sam w sobie jest wystarczająco żrący, lecz to chyba ta nieznana substancja spowodowała moje i jego dolegliwości. Najbardziej ucierpiała jego twarz i dłonie. Na szczęście szybko zdjął ubranie, co oszczędziło mu poważniejszych obrażeń.

- Jesteś prawdziwą damą, Daisy.

- Nie próbuj mi się podlizywać, sir Leonardzie Mortonie Spears. - Odwróciła się do Johna i wyszeptała: - Wiesz co? W tym domu nigdy cię nie uraczą drinkiem, a jedynie pochlebstwami. Na te słowa Leonard roześmiał się i potrząsnął małym dzwonkiem, który wziął z bocznego stolika. Do salonu wszedł Johnson.

- Znasz gust naszych przyjaciół, prawda, Johnson? - powiedział Leonard.

Mężczyzna popatrzył po kolei na gości i uśmiechnął się sztywno.

- Dla pani porto, a dla doktora czysta whisky.

- A dla mnie? Johnson pokręcił głową.

- Dla pana do wyboru: sok pomarańczowy, jabłkowy lub syrop z czarnej porzeczki.

- Tak, nie musisz ich wszystkich wymieniać. Biorę to ostatnie. Ma ładny kolor, który pobudza wyobraźnię.

Kiedy służący wyszedł, John zwrócił się do Daisy:

- Jeździ pani konno?

- Tak, oczywiście. Mam piękną klacz. Nazywa się Fanny, żeby było krócej. Dziewięciolatka.

OBSESJA

- Jeśli „Fanny” to skrót - rzekł John - jak wobec tego brzmi jej pełne imię?

- Fanackapan.

- Co?

- Fanackapan. Fanny, Fan...ack...a...pan.

- To bardzo dziwne imię jak dla konia - roześmiał się John.

- Tak. W dniu, kiedy ją kupiłam, wśród sprzedających było wiele kobiet i jedna z nich, patrząc na moją klacz prowadzoną po padoku, powiedziała: „O, to jest Fanny Fanackapan”. Nigdy przedtem ani potem nie słyszałam tego wyrażenia, więc ją kupiłam. Miała wtedy rok i... ach, jakże było nam razem dobrze. Przez bramę skacze niczym baletnica.

Zanim jeszcze przyniesiono napoje, Daisy spojrzała na Leonarda i wstała.

- Wiesz, co zrobię? Wychylę to porto jednym łykiem i będę się zbierać. Właśnie sobie przypomniałam, że zostawiłam ją na tym zimnym wietrze. Dlaczego nie każesz zrobić stajni jak należy, z czterema ścianami i porządnymi drzwiami, zamiast tego daszku na słupkach?

Leonard otworzył oczy i uśmiechnął się. - Przeproś Fanny ode mnie. Następnym razem, gdy się tu zjawi, uciszę wiatr specjalnie dla niej. Do salonu wszedł Johnson niosąc napoje. Tak jak zapowiedziała, Daisy jednym łykiem wypła porto, podeszła do leżanki i nachyliła się nad Leonardem.

- Poczuj mój oddech, dobrze ci to zrobi. Trzymaj się - dodała cicho.

- Proszę, odwiedź mnie niezadługo - wyszeptał do niej.

- Odwiedzę. A teraz dobranoc i niech bogowie czuwają nad tobą. - Odwróciła się do Johna. -

Dobranoc, doktorze.

- Dobranoc, pani Daisy. To była prawdziwa przyjemność. W milczeniu wyszła z salonu, a za nią Johnson. John już

miał usiąść, gdy Leonard powstrzymał go słowami:

Catherine Caokson

- Przysuń fotel bliżej mnie - wskazał miejsce obok leżanki. John usłuchał. - Wspaniała kobieta.

- Tak, zupełnie wyjątkowa. I do tego potrafi się śmiać z samej siebie.

- Wszystko, co mówiła, to szczerą prawdą, chociaż nie wdawała się w jeszcze bardziej zdumiewające szczegóły. Przeszła przez piekło i mówię ci: życie nie obchodziło się z nią łagodnie. A dla nas zawsze była bliską przyjaciółką.

- Tak właśnie myślałem.

- Ale teraz... Jak mam wyrazić to, co chcę ci powiedzieć? Zabrzmi banalnie, ale muszę to zrobić. I nie zostało mi zbyt wiele czasu, prawda?

John nie odpowiadał przez kilka chwil.

- To zależy od ciebie - rzekł cicho. - Wola człowieka to machina o wielkiej mocy. Jeśli masz jakiś cel, który starasz się osiągnąć za wszelką cenę, silna wola dopomoże ci w realizacji twoich planów.

Leonard odwrócił głowę w bok.

- Jak ci się wydaje - zaczął cicho - jakież to cel kierował moim postępowaniem? Za każdym razem, gdy na nią patrzę, myślę o tym celu, bo wiem, co się z nią stanie, gdy nadejdzie mój czas. Jednego jestem pewien: nasi tak zwani przyjaciele stopniowo zaczną ponownie odwiedzać ten dom. Oni boją się tak samo, jak bał się mąż Daisy. Właśnie ona i ty pozostaniecie dla niej jedynymi prawdziwymi przyjaciółmi. Właśnie o tym chciałem z tobą pomówić. Rosie ma teraz męża, teściową i dochodowe gospodarstwo, którym bardzo się interesuje. No i jest kobietą. Lecz Helena... Helena potrzebuje mężczyzny.

John zdumiał się, co wyraźnie odmalowało się na jego twarzy. Leonard uśmiechnął się.

- Jesteś zaskoczony? Z pewnością wiesz, że są takie kobiety, które potrzebują towarzystwa mężczyzn, tak samo jak mężczyźni, którzy potrzebują towarzystwa kobiet. Nie chodzi o to, że kobiety te potrzebują mężczyzn, że tak powiem,

OBSESJA

w liczbie mnogiej, lecz jednego. Mówię zbyt technicznie i niejasno, więc lepiej powiem prosto z mostu: czy pozostaniesz jej przyjacielem? Będzie wdową, a ponieważ nie jesteś jej lekarzem, twoje wizyty mogą sprowokować różne plotki. Czy mimo to zaryzykujesz i pozostaniesz jej przyjacielem, a nawet kimś więcej? Proszę cię! - Zacisnął powieki i wyciągnął, rękę gestem powstrzymując Johna. - Nie protestuj. Ja to wiem i ty to wiesz: gdybym nie pojawił się w jej życiu w tamtym momencie, nigdy bym jej nie miał. Gdybyście wy poznali się wcześniej, byłoby po wszystkim. Wiedziałem o tym. John, proszę cię, nie rób takiej miny, jakbyś był tym zażenowany. Wiedziałem o tym cały czas. Po waszym spotkaniu na wzgórzu wciąż o tobie mówiła, a potem ty nie zjawiałeś się na naszym ślubie, zaś ona już nigdy nie wspomniała twojego imienia. Przyszedł czas, gdy nauczyła się mnie kochać. Tak właśnie było, miłość powoli dojrzewała w niej i w końcu pokochała mnie. Nie tak bardzo, jak ja ją kochałem, lecz była to miłość. I wtedy znowu zaczęła mówić o tobie, chociaż dość niechętnie. Ale gdy ożeniłeś się z Beatrice, to był już koniec. Nie mogła w to uwierzyć i całkowicie wymazała cię ze swojego życia, a ja byłem bardzo, bardzo szczęśliwy. Życie płata nam jednak różne figle. Proszę cię o coś, co będzie dla ciebie trudne, bo wciąż jeszcze jesteś mężem Beatrice i odwiedzanie jej siostry zwróci uwagę. Ludzie zaczną plotkować. Proszę cię o to z bardzo egoistycznych pobudek: znam mężczyznę, który tylko czeka, żebym się usunął z drogi, by on mógł ruszyć w konkury. Nie chodzi o to, że w normalnych okolicznościach ona w ogóle zastanawiałaby się nad tym. Ale samotność to bardzo dziwna rzecz. Sam tego doświadczyłem, więc wiem, co mówię. Być może i ty czekałeś na swój skarb, a on przeszedł ci koło nosa, więc żeby się pocieszyć, wzięłeś to, co było pod ręką. Nauczyłem się, że nie można winić ludzi za ich czyny, gdy poniosą wielką stratę. Wiem, że Helena ma silny charakter i niełatwo na nią wpłynąć, chcę jednak, żeby miała

Catherine Cookson

odpowiednie towarzystwo. Gdybyś ciągle jeszcze żył z Beatrice, nie rozmawialibyśmy o tym. Czy fakt, że cię o to proszę, wydaje ci się dziwny? John zastanowił się przez chwilę.

- Tak, jestem zdziwiony. Domyślam się, jak wyglądałem ja i moje zachowanie z twojego punktu widzenia. Jednak ty jesteś naprawdę wielki w porównaniu ze mną, bo ja nie zniósłbym myśli, że Helena mogłaby znaleźć pociechę w towarzystwie innego mężczyzny. Powiem ci coś: byłem o ciebie zazdrosny. Nawet bardzo i to przez długi okres. Ale gdy się poznaliśmy, zrozumiałem, że Helena dokonała mądrego wyboru. Ja nawet nie miałem nadziei, że potrafiłbym żyć według tak szczytnych zasad. Znam siebie dosyć dobrze. W czasie tych tygodni, gdy narodziła się i rozwijała nasza przyjaźń, rósł także mój podziw dla ciebie. I powtórzę to jeszcze raz: nie byłbym zdolny, żeby osiągnąć twoją wielkość i zachować się tak jak ty teraz.

- Masz o sobie bardzo niepochlebną opinię, John. A inni oceniają cię zupełnie inaczej. Niewielu ludzi zgodziłoby się poświęcić własne małżeństwo, tak jak ty to zrobiłeś, żeby pomóc Rosie.

- Ależ nie! - John gwałtownie pokręcił głową. - Moje małżeństwo już przedtem okazało się nieudane. Masz jednak rację: nigdy nie wiemy, co myślą inni, zwłaszcza samotni ludzie, i jakie mogą być skutki tej samotności. Małżeństwo z Beatrice było dla mnie dobrą lekcją. Jeśli ktoś na świecie ma podwójną osobowość, to właśnie ona. Nie chcę się w to wgłębiać, ale nasze małżeństwo było skończone wcześniej, zanim wynikła ta sprawa z Rosie. Już zastanawiałem się nad uzyskaniem legalnej separacji.

Zaległo milczenie. Po pewnym czasie Leonard zmienił temat, jakby chciał zakończyć poprzednią rozmowę.

- Wiesz, te pastylki są doskonałe - skinął głową w kierunku stołu. - Czuję po nich przyływ nowych sił. - Uśmiechnął się. - Wracając do poprzedniego tematu: czy przyszłoby ci do

OBSESJA

głowy, że Daisy także należy do kobiet, które potrzebują towarzystwa mężczyzny? Tak jednak jest. Patrząc na nią, można by pomyśleć, że nie ma już na to szans. Ale nawet mając swoje lata, mogłaby mieć kilku mężczyzn, choćby jutro. W życiu miała ich na stałe trzech. Na twarzy Johna odmalowało się zdumienie.

- Tak jest - potwierdził Leonard. - Możesz się dziwić. Poza tym przeżyła prawdziwą, namiętną miłość. Powiedziała, że to było tylko raz, ale to odczucie pozostanie w niej na zawsze.

- Muszę przyznać, Leonardzie, że naprawdę jestem zaskoczony. Przecież ona wydaje się osobą, której nie można by podejrzewać o...

- Dajże spokój, John! - odezwał się żywo Leonard. - Ty, lekarz, przyznajesz, że coś niezwykłego w opowieści o życiu innego człowieka zaskakuje cię? Akurat! Mimo to rozumiem, co masz na myśli: pierwsze spotkanie z Daisy może wywołać konsternację. Tommy rozwiódł się z nią, podając za powód jej zniknięcie, podczas gdy ona wciąż była w kolonii trędowatych. Nie miała żadnego materialnego wsparcia i gdy wróciła do Anglii, była niemal bez grosza. Znalazła się w szpitalu i tam poznała swego ukochanego Stephena, Stephena Kinga. Zresztą ona wcale nie wierzy, że to jego prawdziwe nazwisko. Jak się okazało, Stephen odwiedzał starszych samotnych ludzi, którzy nie mieli żadnych przyjaciół, więc kiedy się poznali, wiadomo już było, jak to się skończy. Z jej opowieści wynika, że on odczuwał to podobnie.

- A jej rodzina? Mówiła, że była dziesiątym dzieckiem w rodzinie.

- Zgadza się, lecz jej bracia i siostry założyli własne rodziny, mieli dzieci. Nie uśmiechały się im kontakty z tą dziwną ciocią Daisy, która spędziła siedem lat w kolonii trędowatych i pewnie była zarażona. Wszyscy członkowie jej rodziny byli tego samego zdania co Tommy. To dziwne - uśmiechnął się - ale zawsze myślę o nim jako o Tommym,

Catherine Cookson

a nie Freemanie Wheatlandzie. To nazwisko brzmi zbyt szumnie jak na niego, bo dla mnie był tylko tchórzem. Daisy nigdy nie opowiadała o tym etapie swego życia zbyt dużo, nawet gdy starała się mnie zabawić, bo przecież po to tu przychodzi. Wiem tylko, że pracowali i żyli ze sobą przez cztery lata. Spytałem ją, dlaczego się nie pobrali, a ona odparła po prostu: „On mi się nigdy nie oświadczył”. Spytałem, z czego żyli, bo przecież całe dni spędzali pomagając innym. Według niej Stephen starał się odpokutować coś, co zrobił, gdy był jeszcze młody. Twierdziła, że być może nawet siedział w więzieniu. Nie starała się dowiedzieć, o co chodziło, po prostu kochała go. Wydaje się, że miał dość pieniędzy, aby zapewnić im normalne warunki życia, i co jakiś czas dawał jej pewną sumę na bieżące wydatki. Nie wiedziała, skąd pochodzą te pieniądze. Jego życie pozostało dla niej tajemnicą, ale to nie miało żadnego znaczenia. Ważne było tylko to, że miała go przez cztery długie, szczęśliwe lata. I wtedy - Leonard strzelił palcami - on odchodzi, tak po prostu. Jednego dnia jest, nazajutrz go nie ma. Zostawił dość pieniędzy, żeby wystarczyło jej na pół roku, a także list, w którym napisał, że zawsze będzie ją kochał.

- Boże drogi!

- Dokładnie to samo powiedziałem. Boże drogi! Spytałem ją, czy od tamtego czasu miała od mego jakieś wiadomości, ale zaprzeczyła. Powiedziała jednak, że być może wrócił do swojej żony i rodziny, chyba w Irlandii. Być może przyczyną była jego kryminalna przeszłość, nad którą zastanawiała się już wcześniej. Żył ze zdobytych nieuczciwie pieniędzy, a jednocześnie odpokutowywał za swoje złe uczynki.

- I nigdy nie miała od niego żadnych wiadomości? Żadnej fotografii, zupełnie nic?

- Nigdy. I, według mnie, bardzo dobrze, że tak się stało, bo gdyby on z nią został, dzisiaj nie wiodłaby tak dostatniego życia. A to dlatego, że nie spotkałaby swojego pana Anasby...

OBSESJA

Jamesa Anasby. Jak już ci mówiłem, John, jej życie wypełniłoby księgę, i to niejedną. Ten ostatni epizod to zupełnie fantastyczna historia. Udało się jej dostać pracę jako pomocnica pielęgniarek. No cóż, nie miała odpowiedniego przeszkolenia, chociaż opiekowała się chorymi w kolonii trędowatych. Owego dnia spóźniła się do pracy i wbiegała przez boczne wejście dla personelu, gdy drzwi przycięły jej mały palec i zatrzymały ją gwałtownie w miejscu. Stała trzymając bolący palec i wrzeszcząc coś, co po angielsku oznaczało „cholera by to wzięła!” Krzyknęła to w afrykańskim dialekcie plemiennym i zdumiała się, gdy niemal natychmiast usłyszała odpowiedź dokładnie w tym samym języku. Ujrzała mężczyznę na wózku inwalidzkim. Towarzyszyły mu dwie pielęgniarki oraz inny mężczyzna w zielonej liberii, który pchał wózek. Przez chwilę gapiała się na niego, a potem znowu powiedziała coś w tym samym języku. A on spytał ją, jak się nazywa. Podała mu swoje nazwisko i dodała, że pracuje jako pomocnica pielęgniarek, co wprawilo go w zdumienie. Powiedział oburzony: „Co też wyprawia nasz Urząd Kolonialny? Przecież powinni panią zatrudnić. Jak długo pani tam była?” „Kilka lat”, odrzekła. Służący podał jej wizytówkę swojego pana, lecz ona nadal przyglądała się mężczyźnie w wózku. Odniosła wrażenie, że ma już dobrze po sześćdziesiątce i że jest kimś ważnym. „Czy odwiedzi mnie pani?” - spytał ją. Zerknęła na wizytówkę, lecz nie przeczytała dokładnie tego, co było na niej napisane. Odpowiedziała jednak: „Tak, proszę pana. Z największą przyjemnością”. To jeszcze jedna długa, bardzo długa i niewiarygodna historia, ale już po miesiącu zamieszkała w jego olbrzymim domu jako pielęgniarka i towarzyszką. Większą część życia spędził on w tej części Afryki, którą Daisy znała bardzo dobrze. Dwukrotnie był żonaty i dwukrotnie owdowiał. Nie miał żadnej bliskiej rodziny. Spędziła z nim siedem lat i stopniowo zapoznała się z prowadzonymi przez niego interesami i transakcjami finansowymi, a on bardzo sobie cenił jej zdanie

Catherine Cookson

w tych sprawach. Gdy zmarł, miała dopiero czterdzieści cztery lata. Pozostawił jej połowę majątku.

- Niesamowita historia - pokręcił głową John.

- W swoim zawodzie powinieneś być przyzwyczajony do niesamowitych opowieści.

- Zapewniam cię, że tak nie jest. Chociaż tu i tam słyszy się różne niezwykle rzeczy. Jesteś zmęczony, Leonardzie. Zbyt długo mówiłeś.

- Tak, czuję się trochę osłabiony. Ale cieszę się, że doszliśmy do porozumienia. Przynajmniej taką mam nadzieję. - Patrzył na Johna, lecz nie uzyskawszy odpowiedzi dodał cicho: - Chyba nie żądałem od ciebie zbyt wiele?

- Nie. Naprawdę nie. - Uniósł dłoń. - Nie zaczynaj znowu. Zadzwoń po Johnsona. Chyba lepiej będzie, jeśli położysz się dziś trochę wcześniej, bo wielbiciele teatru na pewno nie wrócą przed jedenastą.

- Nie miałem zamiaru na nich czekać. - Patrzył, jak John wstaje i dzwoni po służącego. Wyciągnął dłoń, a gdy John ją uścisnął, powiedział po prostu: - Dziękuję cw

Po chwili w salonie zjawił się Johnson.

- Widzisz, Johnson, rozkazują mi w moim własnym domu. Nie mogę już tego wytrzymać, więc bądź tak dobry i odprowadź doktora do wyjścia.

Obydwaj mężczyźni wymienili uśmiechy i wyszli. Jednak nie odzywali się do siebie, nawet w hallu, gdy Johnson pomógł Johnowi włożyć okrycie i otworzył przed nim drzwi. Nie odpowiedział nawet na jego pożegnanie. „Wyniosły typ”, pomyślał John. „Dla niego jestem zupełnie bezużyteczny. To oczywiste. No cóż, mogę mu odpowiedzieć tym samym”.

Rozdział drugi

Jak w każdy piątek Beatrice pojechała do miasta. Był piękny dzień, świeciło słońce, a na głównej ulicy roiło się od ludzi robiących zakupy.

Starła się nie kupować czekoladek zawsze w tym samym sklepie. Ludzie już plotkowali. Wiedziała, że gadają o niej zarówno w jej własnym domu, jak i w mieście. Tak więc czasami szła aż na peryferie do małej cukierni, aby kupić sobie tę ostatnią pociechę, jaka jej pozostała. Doszła do wniosku, że czekoladki dobrze jej robią, bo wcale nie przybierała na wadze.

W torbie niosła dwa półkilogramowe i jedno ćwierćkilo-gramowe pudełko czekoladek. Był czas, kiedy zamawiając dostawę artykułów spożywczych do domu, umieszczała na liście półkilogramowe pudełko, lecz zaprzestała tego od czasu, gdy poczyniła cięcia w wydatkach na żywność. W kuchni pracowały aż cztery osoby, obżerały się na całego, a te niewielkie kwoty, które dostawała od Johna, ledwo wystarczały na zapłacenie im pensji. Z tym też będzie musiała coś zrobić. Jeszcze dwóch ogrodników i Needler szwendający się po terenie. Co robili większość czasu? Siedzieli w cieplarni i popijali herbatkę. Dobrze wiedziała, co się dzieje; nie miała nic do roboty, więc obserwowała ich z okien.

Catherine Cookson

Dzisiaj zawędrowała aż do Brampton Hill, niemal na obrzeżach miasta i w tamtejszym sklepiku nabyła tylko ćwierćkilogramowe pudełko czekoladek. Jak poinformował ją właściciel sklepu, klienci pytali o większe pudełka tylko w okresie świąt Bożego Narodzenia.

Ujrawszy pocztę przypomniała sobie, że skończyły się jej znaczki, a musiała jeszcze napisać list do tego prawnika. Tak, zdecydowanie powinna do niego napisać.

Nigdy jeszcze nie była w tym urzędzie pocztowym. Wszedłszy do środka zirytowała się, bo przed okienkami było tłoczno. Stała na końcu kolejki do okienka ze znaczkami. Przed nią znajdowały się jeszcze trzy osoby. Niecierpliwie przestępowała z nogi na nogę, bo nie była przyzwyczajona czekać na obsługę.

Poruszając się nerwowo, potrąciła torbą kobietę, która stała przed nią. Tamta odwróciła się i zmierzyła ją wzrokiem. Nie od razu się rozpoznały, zwłaszcza Beatrice nie przypomniała sobie tej twarzy.

Cofnęła się przed nią i wymownym ruchem przyglądała sobie suknię, żeby nie stykała się z ubraniami tamtej. W tej samej chwili usłyszała za sobą oburzony kobiecy głos:

- Co pani wyrabia? Tu jest małe dziecko!

Kobieta stojąca przed Beatrice mruknęła coś jeszcze, zabrała dwa jednopensowe znaczki i odeszła.

Beatrice odczekała sekundę i stanęła przed okienkiem. Wyniosłym tonem poprosiła o sześć znaczków po pensie, które starannie umieściła w torbie razem z wydaną resztą.

Wyszła na ulicę i ujrzała tamtą kobietę, która stała tam, jakby na nią czekała. Beatrice chciała przejść obok niej, ale tamta chwyciła ją za ramię i osadziła w miejscu. Beatrice odwróciła się gwałtownie.

- Jak śmiesz! - wrzasnęła na nią. - Puszczaj natychmiast!

- Puszczę - warknęła Mollie Wallace - ale najpierw ci powiem. Co ty sobie wyobrażasz? Kim ty właściwie jesteś?

OBSESJA

Poniżasz mnie, otrzepujesz suknię, jakbym miała parchy. Ty! Wielka pani! Córka lubieżnego starucha, który nawet nie miał pieniędzy, żeby zapłacić za cielesne przyjemności. Powiem ci więcej: to przez twojego męża zostałam wyrzucona na bruk. Tak, bo to on przyprowadził wtedy Jackiego do domu. Ale ja mu jeszcze pokażę, zaczekaj tylko. Wszystkim wam odpłacę. Banda zubożałych skurwieli. - Puszczając jej ramię pchnęła ją tak mocno, że Beatrice aż zatoczyła się na ścianę poczty. Wydawało się, że ta gwałtowna napaść odebrała jej mowę. Lecz ona bała się jedynie sceny, ulicznej sceny. Inaczej już dawno uderzyłaby tę wulgarną dziwkę w twarz. Jednak postanowiła, że ostatnie słowo będzie należało do niej.

- Ścierwo! - powiedziała i odwróciła się, by odejść. Lecz Mollie Wallace nie pozostała jej dłużna.

- Na twoim miejscu, paniusiu, poszukałabym sobie swojego chłopca - zawołała. Beatrice zatrzymała się. - Tak jest. Właśnie to bym zrobiła: poszukała sobie chłopca.

To powiedziawszy odwróciła się i pomaszerowała przed siebie, zostawiając Beatrice trzymającą się ręką za gardło.

W przeszłości odczuwała już złość, lecz ta kreatura wywołała u niej prawdziwą wściekłość. Ci wszyscy ludzie! Ta kobieta! Skąd wiedziała, co się działo w jej domu? Boże! Dlaczego była taka głupia? Oczywiście, przecież służba wszystko wygadała. Wystarczyło, żeby tylko coś napomknęli. Wyrzuci ich! Wszystkich! Tak, wszystkich! Odwróciła się, żeby odejść, lecz nogi odmówiły jej posłuszeństwa, były słabe i trzęsły się, tak jak całe ciało. Myślała o służbie i narastał w niej jeszcze większy gniew. Nie potrzebowała ich wszystkich: dwoje w kuchni i dwoje w domu, a mieszkała tam przecież zupełnie sama. I jeszcze trzech pracujących na terenie! Pozbędzie się Williama Connora. Chociaż nie, bo tylko on potrafi zajmować się cieplarnią. Poza tym trzeba przycinać żywopłot, żeby ogród nie wyglądał na zaniedbany. Przecież nie można utrzymać wysokiego prestiżu, gdy ma się zaniedbany ogród... albo dom.

Catherine Cookson

Znowu zaczęło się jej kręcić w głowie. Poczowała się okropnie i nagle zapragnęła się położyć. Ona, która do niedawna nigdy nie odpoczywała w środku dnia. Zaś kiedy już się kładła, myśli zawsze krążyły wokół domu i męża. Prawnik powiedział: separacja. Nic więcej nie osiągnie. Nie ma mowy. Był jej mężem i pozostanie nim aż do śmierci. Ale co tamta kobieta miała na myśli? Nie ma dymu bez ognia. Przecież nie mógł tam nic zdziałać, bo Helena była zamężna. No tak, ale jej mąż miał gruźlicę, a z gruźlicy nie można się wyleczyć, prawda? Czyżby jej ukochany John czekał, aż tamten umrze? No, tak, to było zupełnie możliwe. Te wyjazdy powozem... Sama widziała jego matkę, jak wsiadała do powozu Heleny. Nie ma dymu bez ognia. Tamta kobieta musiała coś wiedzieć, a jeśli ona coś wiedziała - wiedzieli i inni.

Jak bardzo chciałyby być teraz w domu. Musiała się położyć. Weźmie dorożkę. O, właśnie, dorożkę. Pojechała więc dorożką, a gdy dotarła do domu, od razu poszła na górę zabierając ze sobą torbę. Zdjęła płaszcz, kapelusz i pantofle, po czym położyła się na łóżku, lecz wcześniej jeszcze zjadła z pół tuzina czekoladek, które wkładała sobie do ust jedną po drugiej. W końcu zeszywniała i przez dłuższą chwilę w ogóle nie była w stanie się poruszyć. Jednak cały czas myślała intensywnie o różnych okolicznościach swojego życia, aż wreszcie napięcie jej ciała osłabło, do oczu napłynęły łzy. Usnęła. Kiedy Frances zapukała delikatnie do drzwi sypialni i otworzyła je, żeby spytać, czy jej pani chciałaby napić się herbaty, zobaczyła Beatrice śpiącą z otwartymi ustami, na których widniały ślady po czekoladzie - dowód łakomstwa i słabości. Zamknęła cicho drzwi. „Więcej zapomnienia znalazłaby chyba w alkoholu”, pomyślała kręcąc głową.

Rozdział trzeci

Znowu idziesz dziś na brydża?

John odwrócił się do swojego partnera i milczał przez chwilę.

- Dlaczego mówi pan „znowu”?

- Przecież często tam chodzisz, żeby pograć, prawda?

- Jeśli raz w tygodniu oznacza często, to owszem, często tam chodzę.

- A! Raz na tydzień.

- Tak jest. Mogę wiedzieć, do czego pan zmierza?

- Drogi chłopcze, nie mów do mnie takim tonem. Tak się składa, że znam doktora Petersa, który opiekuje się sir Leonardem Spensem.

- Zgadza się. Tak się składa, że ja również znam doktora Petersa, a on dobrze wie o moich wizytach i o tym, że jestem przyjacielem rodziny. Lady Helena jest moją szwagierką.

- W porządku. Ja po prostu pytałem, czy wybierasz się tam dzisiaj.

- A dlaczego? Znowu boli pana noga?

Doktor Cornwallis odwrócił się do swojego partnera. Miał czerwoną twarz, a jego mina nie wróżyła nic dobrego.

- Nie, nie boli mnie noga - odparł krótko. - Nie mam również żądła na końcu języka.

231

Catherine Cookson

- To dziwne.

Ta natychmiastowa, pozbawiona należnego szacunku riposta odniosła taki skutek, że krzaczaste brwi Cornwallisa powędrowały wysoko w górę. Stary lekarz nie umiał jednak znaleźć stosownej odpowiedzi. Głośno wydmuchał nos, odwrócił się w swoim obrotowym fotelu i zajął się papierami na biurku. John uśmiechnął się krzywo.

- Dobranoc, doktorze - rzekł i przeszedł do sąsiedniego pomieszczenia, w którym młody doktor Rees czekał na pierwszego pacjenta. John pochylił się nad nim. - Znosi się na burzę - powiedział cicho. Tamten uśmiechnął się.

- Aż tak źle?

- Niestety.

- To nic nowego.

- Zgadza się, ale dzisiaj burza może być wyjątkowo silna.

- Mam włożyć płaszcz nieprzemakalny?

John zaśmiał się cicho i wyszedł, lecz gdy znalazł się na ulicy, uśmiech zniknął z jego twarzy, bo rozsadzała go złość. Słowa Cornwallisa niosły w sobie więcej treści, niż to się z pozoru wydawało. Może doktor Peters rzucił jakąś niewinną uwagę, bo przecież nie był plotkarzem, zwykle zachowywał się raczej z rezerwą. Lecz ten stary diabeł zawsze wszystko wyolbrzymiał. Uwielbiał ploteczki pachnące skandalem. Zawsze ubarwiał je na swój sposób i już był pikantny temat do rozmowy. Niestety, w wielu wypadkach wcale się nie mylił. Co oznaczało, że czegoś się domyślał. Czy to możliwe? Nie! Absolutnie nie! Gdyby Helena nie była żoną Leonarda, John i tak chętnie przebywałby w jego towarzystwie, wręcz narzucał się. I to nie tylko ze względu na dobro pacjenta, lecz na swoje własne. W charakterze Leonarda Spearsa było coś takiego, co uspokajało. Miał bardzo szerokie horyzonty, dobrze rozumiał ludzką naturę, był tolerancyjny. Do diabła z Cornwallisem!

OBSESJA

Może zostaniesz i zjesz? - spytała matka. - Pani Atkinson ugotowała coś bardzo dobrego. Pochylił się nad nią.

- Jeśli zostanę na kolację, to minie jeszcze co najmniej godzina, zanim wyjdę. Leonard musi wcześniej się kłaść do łóżka, a naprawdę bardzo lubi grać. Nie spóźnię się. Wrócę około dziewiątej.

- Nie spiesz się: pani Atkinson zostanie do dziesiątej, a jeśli trzeba, to chętnie i dłużej.

- Nie będzie takiej potrzeby. Wrócę. - Wyprostował się i spojrzał na nią twardo. - Czujesz się samotna? To znaczy...

- Wiem, co masz na myśli. Nie, teraz już nie czuję się samotna. Jesteś tu nocą, w porze kolacji, podwieczorku, więc dlaczego miałabym się czuć samotna? No, leć już. Chcę, żebyś się trochę odprężył.

Skinał głową.

- Porozmawiamy, kiedy wrócę - powiedział cicho. - Zastanawiam się, czy powinniśmy tu zostać.

Może trzeba rozejrzeć się za jakimś innym miejscem, bo...

- Nie będziesz się za niczym rozglądał. Zapłaciłam za pięć lat i podoba mi się tutaj. A jeśli ty nie masz nic przeciwko temu, by tu zostać... Zresztą - wyciągnęła do niego ręce - gdybyśmy się wyprowadzili, ona strasznie by to przeżyła. Tak długo jak ty mieszkasz w tym domu, a przynajmniej w jego części, ona może udawać, że wszystko jest w porządku. Jeśli się wyniesiemy, poczuje się zupełnie osamotniona. Rozumiesz?

- Rozumiem. - Kiwnął głową. - Dobrze. Po prostu myślałem...

- Nie myśl za mnie, lecz tylko za siebie, a będziesz miał wystarczająco dużo do roboty, mój chłopcze.

- Chciała go odepchnąć, ale on nachylił się, pocałował ją i dopiero wtedy wyszedł...

Catherine Cookson

Hanna Worth otworzyła mu drzwi.

- Dobry wieczór, doktorze.

- Dobry wieczór, Hanno - odpowiedział i natychmiast jego wzrok powędrował w kierunku drzwi do salonu.

- Bardzo dużo dzisiaj kaszlał, panie doktorze - powiedziała ze smutkiem. - A pani nie potrafi go namówić, żeby się położył do łóżka. Gdy tylko wszedł do salonu, od razu zorientował się, że tego wieczoru nie będzie żadnego brydża. Stan Leonarda wyraźnie się pogorszył.

- Dobry wieczór! - zawołał od progu. - Co porabiasz?

- Ogamiam się od kobiet - cicho odpowiedział Leonard zachrypłym głosem, patrząc na Helenę i Daisy.

- Tym dwóm damom tylko łóżko w głowie... Myślałem, że już wychodzisz

- zwrócił się cierpko do Daisy.

- Wychodzę - odparła podobnym tonem - i poważnie się zastanowię, zanim tu wrócę.

- No dobrze, ale zanim pójdziesz, opowiedz Johnowi o swoim jublu u Oswaldów.

- Ani mi się śni. Idę. Nie rób sobie kłopotu, Heleno, sama znajdę drogę do wyjścia. Zobaczymy się rano... Witam, doktorze! A jednocześnie dobranoc.

- Dobranoc, pani Daisy - odrzekł, a ona zachichotała i opuściła salon.

- Siadaj, John - powiedziała Helena i przysunęła krzesło bliżej Leonarda.

John usiadł i spytał cicho: - Co się dzieje? Próbowalesz spacerować?

- No pewnie. A czego się spodziewalesz? - Spojrzał na Helenę. - Opowiedz Johnowi przygodę Daisy z zupą... Ta kobieta naprawdę działa na mnie fantastycznie.

- Nie potrafię opowiedzieć tego w taki sam sposób jak ona

- zaczęła Helena. - W skrócie ta zabawna historia przedstawia się tak: Starsze małżeństwo, państwo Pratt z Midlands, prze-

OBSESJA

proceedziłi się do domu starego Swifta nad rzeką. To przepiękne miejsce. No i, oczywiście, Gladys Oswald natychmiast dobrała się do nich i zaprosiła ich na kolację. Jednak ku swojemu przerażeniu stwierdziła, że starszy pan potwornie siorbie. Zdaje się, że źle trzymał łyżkę. W dodatku opowiedział bardzo ryzykowną historyjkę o jednej ze swoich dziewczynek z młyna, na co Ralph Bannister aż zachłysnął się i wypluł jedzenie, które akurat miał w ustach. Nic się nie udawało. Gladys popełniła jednak błąd, bo uprzedziła Daisy, że powie

O tym zdarzeniu również swoim przyjaciółom. Tak się jednak złożyło, że Daisy już wcześniej poznała starszych państwa i polubiła ich, o czym poinformowała Gladys. Jednak w końcu popełniła gafę.

Wypowiedziała to straszne, zakazane słowo pytając Gladys, jak, według niej, trędowaty ma jeść zupełnie.

- Helena pomachała sugestywnie rękami. - To wcale nie brzmi śmiesznie, prawda, Leonardzie? Ale gdy opowiadała to Daisy, wszyscy rycieli ze śmiechu.

- W tej części kraju raczej nie spotyka się takich snobów

- odezwał się John. - Ludzie wydają się tacy otwarci i wolni.

- Nie masz o tym pojęcia, John - przerwała mu Helena.

- Na przykład mój ojciec poza wszystkim innym był potwornym snobem.

Johnowi cisnęło się na usta: „A jego najstarsza córka jest dokładnie taka jak ojciec”. Przez chwilę panowało milczenie, które przerwał Leonard.

- Rozmawiamy o niedobrych ludziach, podczas gdy powinniśmy mówić o tych najlepszych. Heleno, opowiedz mu o prezencie ślubnym.

- A, tak. - Helena podeszła do wezglowia leżanki, ujęła dłoń Leonarda i przytuliła ją do piersi. - Rosie i Robbie na pewno byli zdziwieni, że nie dostali od nas żadnego prezentu. Po prostu dwukółka nie była jeszcze gotowa. Leonard wymyślił, żeby dać im w prezencie ślubnym kucyka i dwukółkę. Pan Wilson, który ją budował - naprawdę doskonały rzemieślnik

Catherine Cookson

i kołodziej z dziada pradziada - został przykuty do łóżka przez ciężkie zapalenie oskrzeli. Nie pozwolił jednak, żeby jego syn albo dwaj czeladnicy dokończyli pracę. W każdym razie dzisiaj dwukółka zajechała przed nasze drzwi; ciągnął ją piękny srokaty konik, a na górze siedziała rozpromieniona para... Szkoda, że nie widziałeś ich twarzy. Rosie miała łzy w oczach, a jej prosty i uroczy Szkot również nie potrafił opanować wzruszenia.

- Muszę tam pójść jutro z samego rana - powiedział John. - Ale teraz ty, lordzie Leonardzie, musisz się położyć do łóżka.

Tym razem Leonard wcale nie protestował.

- Wpadniesz jutro? - spytał tylko. John wstał.

- Tak, ale nie wiem, o której skończę pracę.

- Dziękuję.

Mężczyźni popatrzyli sobie w oczy. Po chwili John wyciągnął rękę do Heleny.

- Nie ruszaj się. Znam drogę do wyjścia... Dobranoc.

Był szczęśliwy, że wyszedł już z tego domu, bo coś ścisnęło go mocno za gardło. Pod stajenną wiatą Henry spytał: - Zaraz go zaprzęgnę, proszę pana.

- Dziękuję ci, Henry.

- Jak się czuje pan, doktorze? Od doktora Petersa nigdy nie można dowiedzieć się prawdy. Zawsze mówi: „Jest w takim stanie, jak należałoby oczekiwać”. A Johnson w ogóle nabiera wody w usta.

- Źle z nim, Henry.

- Tak myślałem. Będzie mi go bardzo brakowało. Bardzo. Wie pan, wiele lat pracowałem dla jego kuzyna, sir Fredericka. Dobry był z niego pan, ale nie równał się z panem Leonardem. On traktuje całą służbę jak rodzinę. Bardzo mi go będzie brakowało.

Później, gdy John szedł do oficyny, przypomniał sobie

OBSESJA

słowa Henry'ego, uczucia, jakie ten żywił do swojego chlebodawcy. Jeśli pod koniec swojego życia jego własny służący mógłby mu dać taką rekomendację, wtedy miałby świadomość, że godnie przeżył całe swoje życie. Wątpił jednak, czy tak się stanie. Był z innej gliny niż Leonard. Z dnia na dzień coraz lepiej rozumiał, dlaczego Helena tak mocno pokochała tego człowieka. Na pewno będzie zrozpaczona. Jakąż więc może mieć nadzieję, że będzie z Heleną, nawet jeśli uwolni się od Beatrice? Gdyby miał dość odwagi, żeby uświadomić sobie prawdę, musiałby odpowiedzieć na to pytanie: nadzieja jest nikła.

Matka przywitała go słowami:

- O! Coś wcześniej dziś wróciłeś. Jak on się czuje?
- Bardzo źle. Jego stan szybko się pogarsza.
- Jak myślisz, ile mu jeszcze zostało? John milczał kilka sekund.
- Parę dni.
- Biedactwo - rzekła matka. - Biedactwo.

Rozdział czwarty

Leonard umarł w sobotę o wpół do czwartej w nocy. John widział się z nim jeszcze poprzedniego wieczora, lecz wpadł tylko na moment, bo u chorego był doktor Peters i Johnson. Stanął przy łóżku i nie mogąc wydobyć z siebie głosu, ujął długą bladą dłoń i przytrzymał ją przez chwilę. Właśnie wtedy oddychający ciężko Leonard wysapał:

- Zobaczymy się... jutro, John.

- Tak, Leonardzie. Przyjdę jutro.

Gdy puszczał jego rękę i zamierzał odsunąć się od łóżka, Leonard powiedział jeszcze:

- Dziękuję ci, John. Dziękuję ci.

John wiedział, że nie było to podziękowanie za obiecaną wizytę następnego dnia, lecz ostatnie już pożegnanie.

W hallu napotkał Helenę, lecz nie umiał znaleźć właściwych słów. Ona także się nie odzywała.

Wymienili krótkie spojrzenie i John opuścił ich dom...

Lecz teraz był tu ponownie. Stał w hallu i patrzył na Rosie.

- Umarł o wpół do czwartej - powiedziała.

- Jak ona się czuje? - spytał. Rosie znowu otarła twarz chusteczką.

- Jest dziwnie spokojna. Od momentu jego śmierci siedzi

OBSESJA

przy nim. Przecież to niemądre. Ale nie uroniła nawet jednej łzy.

Nie będzie płakała. Są cierpienia, którym nie można ulżyć łzami.

- Powiedz jej, że przyjdę później...

Przyszedł nazajutrz i następnego dnia, i następnego, i za każdym razem czuł się skonsternowany jej postawą, bo cały czas potrafiła kontrolować swoje zachowanie. Któregoś dnia Rosie powiedziała mu:

- Ona zachowuje się tak, jakby te dni były zupełnie normalne: wydaje polecenia służbie, rozmawia z właścicielami firmy pogrzebowej i tak dalej. To nienormalne. Adwokat zaproponował, że zajmie się wszystkim, lecz ona podziękowała mu i powiedziała, że sama sobie poradzi...

Leonard został pochowany dwa dni później i Helena złamała stary obyczaj, że wdowie nie wypada uczestniczyć w pogrzebie męża. Co więcej, została przy otwartym grobie, gdy wszyscy inni już odeszli. Jednak wciąż jeszcze nie uroniła ani jednej łzy, co oczywiście dostrzegli żałobnicy.

W ceremonii pogrzebowej wzięło udział mnóstwo ludzi i wielu z nich poszło następnie do domu Heleny. O paru osobach Daisy powiedziała:

- Już ja się z nimi rozprawię. Trochę się spóźnili ze swoimi odwiedzinami.

I właśnie ona miała odwagę stanąć w hallu i grzecznie mówić niektórym gościom, którzy wcześniej bali się przestąpić progi tego domu, że „lady Spears dziękuje im za przybycie”. Jednak na pewno rozumieli, że Helena pragnie teraz zostać sama. Tylko jedna dama śmiała wyrazić zdanie, że pragnie skorzystać ze swojego prawa, żeby zobaczyć się z pogrążoną w smutku wdową. Do niej Daisy zwróciła się bez ogródek. Zdecydowanie odprowadziła ją do wyjścia i gdy już wypchnęła za drzwi, powiedziała:

Catherine Cookson

- Claire, przyszedł o wiele lat za późno. Ona nie chce cię widzieć ani teraz, ani nigdy. Czy wyraziłam się jasno?

- Tylko takich manier można się spodziewać po kimś, kto zajmował się trędowatymi - odparła tamta zadowolona, że to do niej należało ostatnie słowo, i pomaszerowała do swojego powozu.

Dwa dni po pogrzebie Rosie wróciła do domu. Była dość zdziwiona reakcją siostry na śmierć jej męża i podzieliła się tą obserwacją z Johnem. Powiedziała także, że Helena wydaje się dobrze czuć w towarzystwie pani Wheatland i spytała go, czy nie uważa pani Wheatland za dziwną kobietę, bo czasami mówiła bez przerwy jak nakręcona, a niekiedy siadała i nie odzywała się ani słowem. Jednak Helenie to wcale nie przeszkadzało.

John pojął, że Rosie była trochę zła, bo w tych trudnych chwilach Helena wolała towarzystwo tamtej dziwnej kobiety. Rozumiał obie siostry: Helena chętniej widziała przy sobie Daisy, z której emanowało życie, choć sama doświadczyła wielu bolesnych chwil. Natomiast Rosie odzyskała już radość i pogodę ducha, których nie dało się ukryć pod łzami, słowami pociechy czy nienaturalnym dla niej poważnym wyrazem twarzy.

W hallu ujrzał Johnsona.

- Lady jest w salonie, proszę pana.

- Dziękuję, Johnson. Co zamierzasz teraz robić? - spytał po chwili. - Czy będziesz szukał podobnego zajęcia u innego pracodawcy?

- Wszystko zostało już ustalone, proszę pana. Pani poprosiła mnie, żebym został i doglądał majątku pod jej nieobecność. Poinformuję ją o pańskim przybyciu.

Aha, poinformuje panią o jego przybyciu. Więc po raz pierwszy jego przyjazd miał być anonsowany przez służbę. Oczywiście, przedtem drzwi otwierała mu zwykle jedna z dziewcząt. Zdał sobie sprawę, że nie lubi tego mężczyzny,

OBSESJA

że było w nim coś, czego nie mógł znieść. Lecz najwidoczniej Helena podjęła już decyzje i wszystko zostało ustalone, przynajmniej jeśli chodzi o zajmowanie się majątkiem. Poczul irytację, podobnie jak wcześniej Rosie.

Gdy Johnson powiedział: „Milady, przybył doktor Falconer”, miał ochotę odepchnąć go na bok. Helena siedziała na kanapie. Powoli zbliżył się do niej i zobaczył, że zamierza się podnieść.

- Nie wstawaj - zatrzymał ją. Nie usiadł od razu obok niej, najpierw położył na krześle płaszcz i kapelusz. - Twojemu lokajowi przydałoby się przeszkolenie, madam - powiedział ironicznie. - Zapomniał zdjąć ze mnie wierzchnie okrycie.

Poruszyła lekko głowę.

- To nie jest mój lokaj, John. - Uśmiechnęła się do niego lekko. - Szczerze mówiąc nie wiem, jak się do niego zwracać.

- Nie wiesz? No cóż, nim jeszcze przekroczyłem próg tego domu, poinformował mnie, że zdecydowałaś, aby powierzyć mu zarządzanie majątkiem pod twoją nieobecność... Więc to już zdecydowane? Wyjeżdżasz?

- Usiądź, John. - Wskazała mu fotel naprzeciwko siebie. Zajął miejsce. - Wszystko odbyło się w takim pośpiechu. Wczoraj dostałam list z Paryża od kuzynki Leonarda. To starsza kobieta. Zdaje się, że Leonard kiedyś wspomniał ci o niej. To ta, która w życiu sama nigdy nie kiwnęła nawet małym palcem. W liście przeprosza mnie, że nie mogła przyjechać na pogrzeb, bo ma prawie osiemdziesiąt lat, ale jednocześnie wyraża szczerą pragnienie, żebym ją odwiedziła. To bardzo piękny list, bardzo wzruszający. Odpisałam jej natychmiast, że przyjmuję zaproszenie, ponieważ... - pochyliła się do przodu i gestem starała się nadać swoim słowom więcej treści - John, ja muszę wyjechać. Ja... zupełnie się załamie, jeśli zostanę w tym domu. Niedługo wrócę.

- Co to znaczy „niedługo”? Przymknęła oczy.

Catherine Cookson

- Nie wiem. Za kilka miesięcy. Ja... nie pogodzę się z jego utratą, jeśli będę tu mieszkać.

- Więc wyjeżdżasz po to, żeby się go pozbyć, żeby wyrzucić go ze swojej pamięci, ze swoich myśli, jakby nigdy nie istniał?

Oczekiwał, że Helena gwałtownie zaprotestuje, lecz jej odpowiedź wprawiła go w osłupienie.

- Tak, chyba tak, bo nie potrafię sobie dać rady z tym bólem. Wiedziałam, że ciężko to przeżyję. Od dawna byłam przygotowana na ten cios, przynajmniej tak mi się wydawało. Ale teraz jest pustka, nicość... Nie ma niczego ani nikogo, na kim mogłabym się oprzeć.

- Nikogo? - powtórzył z głębokim smutkiem. Odwróciła głowę i przygryzła mocno dolną wargę.

- Myślałam... myślałam, że mnie zrozumiesz.

- Tak, rozumiem cię - powiedział zmienionym tonem.

- Rozumiem, moje biedactwo. Tak, ja też boleśnie odczuwam jego stratę, lecz mojego bólu nie można przecież porównać z twoim. Tak, naprawdę cię rozumiem.

Oparła się na kanapie i chusteczką otarła usta. W jej oczach nie widział łez, były suche, błyszczące i wpatrzone prosto w niego.

- Jeśli ktoś mógłby mnie tu zatrzymać - powiedziała cicho

- to tylko ty... i Daisy. Reszta... - Pogardliwie uniosła podbródek. - Gdy minęło już niebezpieczeństwo zarażenia, nie mogę się od nich opędzić. A przecież nie wiem, czy sama nie zostałam zarażona. To przecież niezwykle zakaźna choroba. Powiedziałam to Gwendolinie Fenwick i w tym momencie ujrzałam, jak niemal kurczy się pod suknią. Cóż - kiwnęła głową - więcej się z nią nie zobaczę.

- Kiedy zamierzasz wyjechać?

- Za dzień albo dwa.

- Jedziesz sama?

- Tak, John. W naszych czasach to się już praktykuje.

OBSESJA

- Wiem o tym - rzekł ostro. - Myślałem tylko... o Daisy.

- Tak, zastanawiałam się, czy jej nie poprosić, by ze mną pojechała, lecz ona ma dużo zajęć w swoich komitetach pomocy trędowatym i organizacjach dobroczynnych. Wcale się z tego nie wyśmiewam. Zresztą ona nigdy nie wspominała o tym, że chciałaby ze mną pojechać. Gdyby to zrobiła, z radością przyjąłabym taką propozycję, bo ona jest, jak mawiał Leonard, „człowiekiem od trudnej roboty”. To określenie sięga czasów służby wojskowej Leonarda w Indiach. Jego kapral, gdy wybierał żołnierzy na niebezpieczną misję, mówił: „Ten człowiek od trudnej roboty”.

John musiał przyznać, że to adekwatny opis starszej pani. Po krótkim milczeniu odezwał się:

- Wiesz, że Leonard poprosił mnie, żebym... no, pozostał twoim przyjacielem, żebym ci pomagał w... w czym tylko mogę?

- Wiem, John - odparła szybko. - Wiem i... porozmawiamy o tym innym razem. Wiem, że nie mogłabym marzyć o lepszym przyjacielem. On też miał tę świadomość.

- Zaczęła kręcić głową. - Pomówimy o tym przy innej okazji. - Nagle wstała i John spostrzegł, że jest zdenerwowana.

- Czy zobaczymy się jeszcze przed twoim wyjazdem?

- spytał.

- Tak, oczywiście. Zostanę jeszcze ze dwa dni, zanim wszystko zostanie przygotowane.

- I Johnson będzie zarządzał majątkiem?

- Tak. - Jej oczy otworzyły się szeroko i ujrzał w nich prośbę. - A cóż innego miałam zrobić? Nie mogę po prostu wyjechać i oczekiwać, że ty albo Daisy będziecie tu wszystkiego pilnować. Cała służba to naprawdę wspaniali ludzie, ale potrzebują kogoś, kto będzie nimi kierował, kto jest dobrym organizatorem i potrafi wydawać polecenia. - Urwała na moment. - Wiem, że jest trochę nadęty i uważa się za kogoś

Catherine Cookson

bardzo ważnego. Wydaje mi się, że lepiej mieć kogoś takiego, komu można zaufać, niż zatrudnić jakiegoś zarządcę. Nie sądzisz?

- Tak, chyba masz rację. Na pewno masz rację. Siedzieli twarzą w twarz i Helena zaczęła nerwowo prostować wąski rąbek chusteczki, po czym złożyła ją w kwadrat.

- Chcę ci powiedzieć, John... chciałam już powiedzieć ci wcześniej... bo jest mi strasznie przykro, że... że twoje życie, twoje małżeństwo okazało się takie nieudane... Zaslługujesz na to, by mieć szczęśliwy dom.

Poczuł rumieniec na policzkach.

- Z moją matką żyje mi się całkiem dobrze - rzekł głębokim barytonem.

- Przepraszam cię, że o tym wspomniałam. Ja tylko chciałam, żebyś...

Rumieniec powoli ustępował z policzków Johna. Nagłym ruchem wyciągnął ku Helenie rękę, a gdy podała mu dłoń, powiedział:

- Nie przejmuj się. Ja to rozumiem. Można powiedzieć, że sam jestem sobie winien. Moje małżeństwo wynikło z nadmiernego upajania się winem domowej roboty.

Miał nadzieję, że tymi słowami rozładuje nieco atmosferę. Uśmiechnął się do niej, lecz po chwili spostrzegł, że Helena zamrugnęła szybko oczami, a jej usta ogarnęło drżenie. Powiedział szybko:

- Proszę cię! Nie martw się tym. Posłuchaj! Uwierz mi - zaczął wymyślać piękne kłamstwa - moje życie jest takie, jakie chcę. Sam doprowadziłem do obecnej sytuacji i bardzo mi z tym dobrze. Beatrice nie stwarza mi żadnych problemów. Nie widzimy się, więc oboje mamy spokój. Teraz już pójdę.

Wpadnę jutro. - Puścił jej dłoń i podszedł do krzesła, by wziąć swój płaszcz i kapelusz. - Daj mi znać, kiedy dokładnie wyjeżdżasz, to odprowadzę cię na stację. To znaczy jeśli...

244

OBSESJA

- powiedział wkładając płaszcz - jeśli obiecasz, że będziesz do mnie pisała. Przełknęła mocno ślinę.
- Tak, John. Oczywiście, że będę do ciebie pisała.
- Zatrzymasz się w Paryżu?
- Jeszcze nie wiem. Muszę się najpierw spotkać ze starszą damą, jak zwykł o mej mawiać Leonard.
- A jeśli starsza dama ci się nie spodoba, to pojedziesz dalej?
- Tak, chyba tak.
- Masz na myśli jakieś konkretne miejsce?
- Chciałabym pojechać do Włoch, do Rzymu. Intryguje mnie również Austria.
- I wszędzie tam pojedziesz sama? - spytał z niedowierzaniem. Taka piękna kobieta od razu stałaby się łakomym kąskiem dla wszelkiego typu mężczyzn. Jednak nic nie mógł na to poradzić. - Więc zobaczymy się jutro? — rzekł obojętnie.
- Tak, John.

Nie powiedziawszy nic więcej, wyszedł.

Miał przed sobą kilka wizyt u pacjentów, lecz gdy jechał do miasta, przypomniał sobie, że przygotował buteleczkę z lekarstwem dla chorego za zapalenie oskrzeli i zapomniał włożyć ją do torby.

Otworzył drzwi do swojego gabinetu i zdziwiony stanął oko w oko z Cornwallisem.

- O! Myślałem, że wyjechałeś w teren do pacjentów.
- Bo wyjechałem. Szuka pan tu czegoś?
- Tak, chciałbym pożyczyć... o, właśnie to. - Podniósł strzykawkę. - Doktor Rees ma rękę jak kowal. W zeszłym miesiącu stłukł dwie sztuki. Już mu powiedziałem, że odejmę mu to z pensji. - Wyminął Johna, lecz po chwili zatrzymał się i spojrzał mu prosto w oczy. - Dzisiaj rano musiałem pojechać do twojej żony.

Catherine Cookson

Wydawało się, że Cornwallis czeka na jakąś reakcję, lecz gdy z ust Johna nie padło żadne słowo, powiedział: - Czy uskarżała się kiedykolwiek na złe samopoczucie, gdy... no, gdy żyliście ze sobą?

- Nie żyliśmy ze sobą, doktorze. Byłem jej mężem.

- Nie łapmy się za słówka. Pytam cię - powiedział lekko poirytowany - czy miała kiedyś, jak to się potocznie mówi, odbicia?

- Nic mi nie było wiadomo o żadnych „odbiciach”.

- Nie było mnie tam dokładnie w tamtym momencie, ale wyglądało mi to na atak hysterii. Gdy znalazłem się na miejscu, była sztywna jak trup.

- Co to znaczy: „sztywna jak trup”? Chyba nie umarła?

- Nie umarła, ale jeśli moja diagnoza jest prawidłowa, cierpi na pewną formę nerwicy. Na tle psychicznym. „Na tle psychicznym”, powtórzył w myślach John. Stary mówił do mego jak do laika. Mimo wszystko John wcale nie był tym wszystkim zaskoczony.

- Wiesz, co myślę?

- Nie, panie doktorze, lecz jestem pewien, że zaraz się dowiem.

- Ach... - Cornwallis odwrócił do niego czerwoną twarz. - Wiesz co? Twoje zachowanie czasami doprowadza mnie do pasji - powiedział odwzajemniając złośliwość Johna. - Czasami bronię cię, bo wiem, że jesteś uwiązany do kobiety, która zachowuje się nienormalnie. Jednak są chwile, tak jak teraz, gdy zachowujesz się niczym zwykły chłystek i chciałbym dać ci kopa w... dupę i nieważne, czy chorą, czy zdrową nogą. Bez metafor.

John pochylił głowę i przygryzł wargę. Chciało mu się śmiać, gdy patrzył, jak jego przełożony kuśtykając maszeruje do swojego pokoju. John zamknął za nim drzwi i oparł się o nie. Położywszy rękę na czole powtórzył: „Nieważne, czy chorą, czy zdrową nogą”. Nic na to nie mógł poradzić, że lubił

OBSESJA

starego, chociaż tamten był wścibski. Ale po co on przyszedł do jego gabinetu? Przecież i tak nic by tu nie znalazł, poza medycznym wyposażeniem. A jednak zrećtnie wybrnął z tą strzykawką. Stary spryciarz.

Przeszedł do swojego laboratorium, gdzie przygotowywał lekarstwa, i wziął buteleczkę, której zapomniał. Jednak nie od razu opuścił pomieszczenie. Oparł się o marmurową płytę i patrząc przed siebie pomyślał: „Neurastenia? Napady hysterii? Sztywna jak trup?” Wcale nie był zdziwiony. Nim zeszywniała, na pewno miała atak. Cornwallis sugerował, że jest niezrównoważona psychicznie. Chętnie przyznałby mu rację, ale to nie była neurastenia. Spojrzał na buteleczkę. Jak długo jeszcze pozostanie mężem Beatrice? Separacja to tylko separacja. Co ma począć z resztą swojego życia? Czy ma je spędzić między tym gabinetem a swoją zaciszną sypialnią? A co z wieczorami? Będzie siedział z matką i nikt już ich nie odwiedzi.

Jutro czy pojutrze nawet nie będzie mógł na nią patrzeć. Francja, Włochy, Austria. I mężczyźni, wszędzie mężczyźni, a przecież ona jest tylko człowiekiem. Ona nie myślała tak jak on, bo była przekonana, że ból po stracie męża nigdy jej nie opuści. Jednak miłość to choroba, a z wielu chorób można się wyleczyć i pacjent rozpoczyna nowe życie. I to właśnie może się stać jej udziałem, jeśli spotka jakiegoś sympatycznego, przystojnego bałwana... Och, na litość boską! Lepiej już pójdzie i zabierze się do pracy.

Gdy wyszedł na korytarz, w drzwiach naprzeciwko pojawiła się... tamta kobieta! Była wymizerowana i obszarpana. Przypomnił sobie, że w zeszłym tygodniu czytał notatkę w gazecie, że oskarżono ją o prostytutkę i zaczepianie mężczyzn na ulicy. Dano jej do wyboru pięć funtów grzywny albo dziesięć dni aresztu. Wybrała grzywnę. Pomyślał o jej mężu i synu, i o tym, jak oni to odczują.

Catherine Cookson

Nie widział jej od tamtej nocy, kiedy mąż wyrzucił ją z domu. Jednak gdy patrzył na nią teraz, zrobiło mu się jej szkoda. Żałosne stworzenie. Jeśli do tego stanu doprowadziła ją nadmierna pożądlivość, to mógłby postawić tę kobietę u boku Beatrice, gdyż ona także miała nadmiernie rozwinięte cielesne instynkty.

Cofnął się o krok, by pozwolić jej przejść. Mijając go zwróciła na niego oczy, a jej mocno umalowane usta ułożyły się w uśmiech.

- Dziękuję - rzekła.

Wypowiedziała to proste słowo nie przez grzeczność, lecz drwiąco i złośliwie. Dopiero po chwili wyszedł za nią na ulicę.

Gdy odwiązał lejce od żelaznego słupka, poczuł za sobą jej obecność. Stała i obserwowała go z tajemniczym uśmiechem. Zajął miejsce na dwukółce.

- Szczęśliwych dni, doktorze! - zawołała ze śmiechem.

Rozdział piąty

Miineło siedem tygodni, a on dostał od Heleny trzy listy: jeden z Paryża i dwa z Włoch. Jednak ostatni list przyszedł już dwa tygodnie temu. Mimo to w całym tym okresie nie był zupełnie pozbawiony towarzystwa, bo Daisy zapraszała go do swojego domu i dzięki temu dobrze się poznali. W tej właśnie chwili siedział w jej cieplarni, a ona odpowiadała na zadane przez niego pytanie.

- No, może jeden raz w tygodniu - rzekła nieszczerze. Nie mogła mu powiedzieć: „Dostaję od mej regularnie dwa listy tygodniowo”, bo właśnie oznajmił jej, że od dwóch tygodni daremnie czeka na kolejną przesyłkę.

Wyciągnęła rękę i pogłaskała szeroki liść rośliny.

- Myślisz, że ta podróż dobrze jej robi? - spytał.

- Nie.

Spojrzał na nią.

- Nie?

- Absolutnie. Ona nie może ulżyć swoim cierpieniom albo zatrzeć dręczących ją uczuć poprzez skakanie z jednego pociągu do drugiego, z kraju do kraju, czy z hotelu do hotelu. Jedyne sposoby na ukojenie bólu to znaleźć w życiu nowy cel. Tak jak ja znalazłam moją kolonię trędowatych. -

Uśmiechnęła się do niego. - Widzę jednak, że ona nie zażyje kąpieli

Catherine Cookson

w karbolu, z której wyskoczy jako zupełnie inny człowiek. - Roześmiała się, a on jej zawtórował. - Jednak nie martwię się o nią: stanie się coś, co pokaże jej właściwą drogę w życiu. Zawsze tak jest, jeśli tylko czekamy wystarczająco długo. Niektórzy czekają krócej, inni dłużej. Tak jak ty, na przykład.

Przekrzywił lekko głowę, jakby zdziwiony jej słowami, lecz nie spytał, co miała na myśli, bo gdy zadała następne pytanie, aż podskoczył na krześle.

- Od kiedy ją kochasz?

Gdyby to pytanie zadał ktoś inny, taka bezpośredniość zdenerwowałaby go. Daisy była świetnym obserwatorem, bo pod przykrywką beztroski i humoru kryła się mądrość i życiowe doświadczenie. Mimo wszystko zaskoczyła go kompletnie i nie potrafił się zdobyć, by spojrzeć na jej zniszczoną twarz, zajrzeć w te mądre oczy. Odwrócił głowę i zapatrzył się w otaczającą go zieleń przepięknej cieplarni. Spojrzał na nią ponownie, gdy powiedziała:

- Nie martw się, to nie jest aż tak widoczne. Tylko Leonard o tym wiedział.

Odwrócił się gwałtownie, aż nogi wiklinowego fotela zaszurały po podłodze wyłożonej mozaiką z kafelków. Uspokajająco podniosła dłoń.

- Ciiiicho. Nic nie mów. On nigdy o tym nie wspomniał, lecz domyśliłam się po sposobie, w jaki mówił o tobie. Z prawdziwym uwielbieniem. Naprawdę, uwierz mi. Domyśliłam się, że od dawna wiedział o twoich uczuciach. Chyba jeszcze zanim przeprowadzili się tutaj. Więc teraz odpowiedz na moje pytanie: kiedy się w niej zakochałeś?

Nabrał głęboko powietrza i spojrział na swoje buty.

- Gdy ujrzałem ją po raz pierwszy na przyjęciu z okazji dwudziestych pierwszych urodzin Beatrice. Rozmawialiśmy tylko parę minut, bo właśnie przyjechał Leonard. Potem jednego popołudnia spotkaliśmy się na szczycie Craig's Tor. Zasnąłem w słońcu, a gdy się zbudziłem, ona tam była.

250

OBSESJA

Spałem, a Helena siedziała i przyglądała mi się. Zrobiliśmy sobie taki mały piknik. - Przeczesał ręką włosy. - Od tamtego dnia byłem przybity, a potem musiałem przyjąć do wiadomości fakt, że ona wyszła za męża. Gdy sam ożeniłem się z jej siostrą, myślałem, że Helena zupełnie znikła z mojego życia. - Pokiwał wymownie głową w kierunku Daisy. - To był największy błąd mojego życia. Ale nie mówmy o tym.

Na kilka sekund zapadło milczenie.

- Jak myślisz, ile jeszcze czasu minie, zanim ona tu wróci?

- spytał cicho.

- Nie wiem, John. Jeśli nie skąpie się w karbolu, może zdecydować się na powrót nawet jutro.

Czekał na to, co powie dalej.

- W jej listach czuję niepokój. Nie wydaje mi się, żeby jej dotychczasowe podróże przyniosły jej jakąś ulgę. Gdy Leonard umarł, nawet nie płakała, tak samo jak w następnych dniach. To zły znak, jeśli ludzie nie potrafią płakać, bo ich uczucia zaczynają zjadać ich od środka, tak jak nowotwór. I nie sądzę, żeby straciła głowę na tyle, że podczas tej podróży wylądowała z kimś w łóżku. Minie wiele czasu, zanim ona zacznie powracać do normalnego życia. Jej uczucie do Leonarda było naprawdę głębokie. Nie wiem, jak to było, gdy się poznali. Myślę, że wtedy nie wiedziała, co to jest miłość, taka prawdziwa miłość. Lecz wkrótce nauczyła się kochać. - Oparła głowę na poduszce przyczepionej do wiklinowego fotela i utkwiała wzrok w szklanej kopule cieplarni. - Kiedyś zazdrościłam takim ludziom jak Helena, która potrafiła wyzwolić taką miłość. Lecz teraz od wielu lat już im nie zazdroszczę, bo taka miłość, jaką ty czujesz do niej, przynosi ci tylko ból. Sam to przyznaj. Ja nie zaraziłam się trądem, ale zaraziłam się pewnym rodzajem miłości, która w moim przypadku składa się z kilku pomieszanych składników. Mam substytuty miłości, takie jak przyjemność, gdy jestem dobra dla innych i inni są dobrzy dla mnie. Czuję także głębokie uwielbienie

Catherine Cookson

do kilku osób. Muszę jednak przyznać, że jeśli chodzi o Leonarda, to naprawdę mogłam go szczerze pokochać. Zostaniesz na kolacji? Skoczył na nogi i spojrzał na nią z góry.

- Nie! - powiedział bez ogródek. - Bo wiem, co to oznacza. Zostanę tu całą noc, a pani Atkinson będzie tam stała z kapeluszem i płaszczem w garści czekając na mój powrót. Tak więc dobranoc, pani Daisy.

Do następnego spotkania, co według wszelkiego prawdopodobieństwa nastąpi jutro albo pojutrze.

- Dobranoc, John - odpowiedziała. - i dziękuję.

Rozdział szósty

Minął tydzień. John właśnie skończył badać kobietę dobiegającą sześćdziesiątki i przygotowywał dla niej buteleczkę z lekarstwem. Spojrzał na nią ponad biurkiem.

- Jest pani naprawdę niemądra, Emily Green. Proszę iść do domu i natychmiast położyć się do łóżka. Przyjdę do pani jutro rano. I mówię pani - pogroził jej palcem - niech pani nie myśli o swoim chłopie. On nie jest nawet w połowie tak chory jak pani.

- Panie doktorze, niech pan tak nie mówi.

- Właśnie że tak mówię. On ma lekką pylicę krzemową, ale to normalne u większości górników. Powiem pani wprost: ma pani zapalenie oskrzeli, ale może się ono przerodzić w coś znacznie gorszego, jeśli nie będzie pani mnie słuchać. Teraz proszę iść i położyć się do łóżka.

- Ale kto zajmie się...?

- Sami się sobą zajmą. Pani mąż ma przecież obie ręce i nogi i bez kłopotu pokonuje dystans do lokalnego pubu, prawda?

- Ale jakie on ma życie, panie doktorze! Chciałam powiedzieć...

- Nieważne, jakie on ma życie. A jakie pani miała życie? Gdzie są pani córki? Czy jedna z nich nie może przyjść i coś ugotować?

Catherine Cookson

- Obydwie mają swoje rodziny, którymi muszą się zajmować. I robią to, panie doktorze. To naprawdę dobre dziewczyny. Czasami nas odwiedzają.

- Tak, przychodzą, żeby mamusia zrobiła im herbatkę i dała co nieco do jedzenia. Dobrze wiem, co się dzieje u pani domu, wystarczająco długo tam przychodzę. - Wstał i zaczął mówić trochę ciszej. - Mówię poważnie, niech pani się położy i nie wstaje z łóżka. W przeciwnym razie wyląduje pani w szpitalu i zostanie tam przez dłuższy czas. Rozumie pani?

- Tak, panie doktorze - szepnęła z opuszczoną głową. Wiedział, że go rozumiała. Jej syn umarł na gruźlicę, gdy

miał dwadzieścia sześć lat, a ostatnio ten sam los spotkał jej najmłodszą, dziewięcioletnią córeczkę. Wstała i uśmiechnęła się do niego słabo.

- Zrobię tak, jak pan mówi, a oni niech sami dają sobie radę. Mówiąc prawdę, przez ostatnie kilka miesięcy ostrzegałam ich, że pewnego dnia będą zdani na siebie.

- Bardzo dobrze. Na razie to dopiero początki i można to wyleczyć. Gdy przyjdę jutro, porozmawiam z pani mężem. I niech się pani o niego nie martwi. Ludzie dokonują niemożliwych rzeczy, kiedy zachodzi taką konieczność. Jest takie powiedzenie: potrzeba matką wynalazku.

Uśmiechnęła się.

- Dziękuję panu, doktorze. Bardzo dziękuję. Dobry z pana człowiek.

Kiedy wyszła, usiadł i pokręcił głową. Kobiety i mężczyźni. W tym małżeństwie on nie był w połowie tak chory jak ona. Kaszlała i pryskała śliną. Westchnął i nacisnął ręką dzwonek. W korytarzu rozległ się jakiś tumult, więc wstał i ze zdumieniem ujrzał, jak drzwi otwierają się gwałtownie i staje w nich Daisy.

- Ja tylko na chwileczkę, naprawdę - powiedziała do czekającego pacjenta. - Mam wiadomość dla pana doktora.

254

OBSESJA

- Co się takiego stało? - zapytał niecierpliwie.

- Ona wróciła!

Przez chwilę nie odzywał się.

- Helena?

- A kto inny miałby wrócić? Owszem, Helena.

- Kiedy?

- Wczoraj wieczorem. Przyszła do mnie koło ósmej. Wprost nie mogłam w to uwierzyć. Po prostu przyszła. — Cofnęła się o krok. - Pomyślałam, że chciałbyś o tym wiedzieć.

- Daisy. - Chwyił ją za ramię. - Na pewno nie wróciła bez przyczyny.

- Oczywiście. Ale ona nic mi nie powiedziała. Może ty będziesz miał więcej szczęścia. Przypuszczam, że ją odwiedzisz, prawda? - wyszczerzyła zęby.

- Przyjdę natychmiast, gdy tylko skończę wizyty u pacjentów.

- Świetnie! Muszę już uciekać. Ten facet za drzwiami pobije mnie, jeśli zostanę tu chwilę dłużej. Parskał tak głośno, że już chciałam zaproponować, żeby sobie zafundował kółko w nosie, jak dla byka.

Otworzyła drzwi i uśmiechnęła się do mężczyzny, który był od niej znacznie niższy.

- Bardzo dziękuję - powiedziała słodko. - To bardzo miło z pańskiej strony. Jestem panu wielce zobowiązana.

- Nie ma za co - odezwał się pojednawczo i patrzył, jak ta dziwna kobieta niemal skacze pokonując długość korytarza. Potem wszedł do gabinetu i powiedział: - Dziwaczna kobita.

John nie znalazł na to odpowiedzi.

Wczynie rannego dyżuru miał tak wiele nagłych wezwań do pacjentów, że do Col Mount dotarł dopiero około trzeciej po południu.

Catherine Cookson

Drzwi otworzył mu Johnson, który po chwili wahania powiedział:

- O, dzień dobry, panie doktorze. Czy... czy życzy pan sobie zobaczyć się z lady Spears?

Tego już było Johnowi za wiele. Ten wyniosły typ zaczynał grać mu na nerwach.

- No cóż, Johnson. Nie przyjechałem po to, żeby zobaczyć się z tobą. Gdzie jest lady Spears?

Mężczyzna wyprostował się i odpowiedział arogancko:

- Milady jest w swoim pokoju.

- Bądź łaskaw poinformować ją, że ma gościa. Będę w salonie. - Z tymi słowami John przeszedł przez hall i wszedł do salonu. Celowo zostawił za sobą otwarte drzwi. Gdy był już przy kominku, odwrócił się i spojrzał w głąb korytarza, gdzie Johnson wciąż stał w tym samym miejscu, po czym zachnął się najwyraźniej rozdrażniony i ruszył w stronę schodów.

John usłyszał kroki Heleny na schodach. Weszła do salonu i zamknęła za sobą drzwi, a on zbliżył się do niej, z wyciągniętymi rękami. Ujęła jego dłonie i uśmiechnęła się.

- Jak dobrze cię widzieć, John.

Przez chwilę nie potrafił wydobyć z siebie głosu. Zdobył się tylko na to, by powtórzyć jej słowa:

- Ciebie również, moja droga. Uśmiechnęła się promiennie.

- Siadaj i pytaj o wszystko.

Zajęła miejsce na kanapie, a on w fotelu tuż koło niej.

- Muszę zebrać siły, bo jestem zbyt zaskoczony. No dobrze, spróbuję zacząć. Skąd wracasz?

- Z Paryża, skąd zaczęłam moją trasę.

- Myślałam, że chciałaś jechać do Rzymu i Austrii?

- Byłam w Rzymie, a potem w Austrii, w końcu wróciłam do Paryża.

- Żeby pomieszkać u starszej damy?

OBSESJA

- Ależ skąd! Myślałam, że takie osoby istnieją tylko na kartach powieści. Codziennie malowano ją i pudrowano, dwie służące skakały przy niej cały czas.
- JJe ona ma lat?
- Około osiemdziesięciu, ale wciąż myśli bardzo sprawnie i zarządza całym majątkiem. Chciała, żebym u niej została. Nie, nie chciała. Żądała tego. Nie podobał jej się głos sekretarki, a biedaczka musiała jej czytać większość dnia. I dlatego chciała, żebym ja przejęła tę funkcję, a gdy ośmieliłam się wyśmiać ten pomysł, ona wpadła we wściekłość.
- Więc nie zostałam tam dłużej?
- Skądże! Bogu dzięki. Przeprowadziłam się do pobliskiego hotelu.
- Co robiłaś?
- To, co każdy turysta: byłam w Luwrze, Wersalu, pałacu Tuilleries i, oczywiście, w Notre Dame. Odwiedziłam też bazary. Są świetne.
- I wszędzie chodziłaś sama? - spytał z nutką zdumienia w głosie.
- Tak, sama, przy pomocy bardzo życzliwego dorożkarza, którego wynajmowałam z dnia na dzień przez całe dwa tygodnie mojego pobytu. Był naprawdę bardzo miły i pomocny. Określał się mianem mego obrońcy, bo nie mógł zrozumieć, że jestem sama.
- A czy potrzebowałaś obrony? Wiem, że to głupie pytanie.
- Na pewien sposób tak. - Roześmiała się. - Był taki jeden dżentelmen, który był dość natrętny do dnia, gdy mój obrońca powiedział: „Proszę pani, musimy się spieszyć na stację, bo pani mąż już na pewno przyjechał, a on jest znany z tego, że łatwo traci cierpliwość”. Tak przynajmniej można przetłumaczyć to, co mówił paryskim slangiem. Pochodził z jednej z biedniejszych podmiejskich dzielnic. Lecz dużo wiedział o panach i jak wynikało z tego, co mówił... paniach różnego

Catherine Cookson

typu. - Spowaźniała. - Widzisz, Leonard nie chciał, żebym nosiła żałobę, żeby w domu zapanowała grobowa atmosfera. Jednak myślę, że gdybym ubierała się na czarno, pomogłoby mi to w czasie podróży po Europie. A właśnie - znowu się uśmiechnęła. - Dopiero w chwili, gdy tamtego wieczoru rozstałam się z moim obrońcą, zdałam sobie sprawę, że tamten mój niecierpliwy niby-mąż, który miał przyjechać na stację, nosił nazwisko znanego boksera. W każdym razie to miało miejsce na dzień przed moim wyjazdem i przykro mi było pożegnać mojego obrońcę. On nawet zostawił swoją dorożkę i odprowadził mnie do pociągu.

- Więc opiekował się tobą jak ojciec?

- Nie. Nie był wiele starszy ode mnie. Powiedziałabym, że miał trzydzieści parę lat. Żonaty, z piątką dzieci. - Ci Francuzi są tacy romantyczni.

- To prawda, John.

- Cieszysz się, że wróciłaś? - spytał.

- Jeszcze nie wiem - odparła poważnie. - Wiem tylko, że musiałam tu przyjechać.

- Jak to: musiałaś?

- Nie potrafię tego wyjaśnić, ale coś się ze mną stało. Może mi nie uwierzysz, może pomyślisz, że to tylko wyobraźnia, podświadome pragnienie... To było wtedy, gdy siedziałam przy małym biurku obok okna w moim pokoju. Z okna rozpościerał się przyjemny widok. Hotel mieścił się przy głównej ulicy, lecz słońce świeciło na rząd platanów, a dookoła kłębili się ludzie, mnóstwo ludzi. Wszystko wyglądało tak jasno i radośnie. - Spojrzała na niego poważnie. - Przypominam sobie, że pomyślałam wtedy: to cudowne miasto, więc zamiast jechać do Hiszpanii, zostanę tutaj. Psychicznie nastawiłam się już na wyjazd na Półwysep Iberyjski i kiedy wzięłam do ręki przewodnik turystyczny, nagle... - spuściła oczy na swoje splecione dłonie, które spoczywały na jej podołku - ...to było takie realistyczne: poczułam za plecami

OBSESJA

obecność Leonarda. Wydawało mi się, że wystarczy, bym uniosła ręce, o, tak - wyrzuciła ramiona w górę - a dotknę jego twarzy. Gdy siedziałam przy toalecie, on często stawał za mną. Lecz wtedy... wiedziałam, że on tam jest, i przeszedł mnie zimny dreszcz, i - urwała na chwilę - i usłyszałam w myślach jego słowa tak wyraźnie, jakby zostały wypowiedziane na głos.: „Jedź do domu. Koniec tułaczki. Nie zapomnisz

O mnie tułając się po świecie". I wiesz co - zamrugła mocno

i spojrzała mu prosto w oczy. - Wiesz, John, odpowiedziałam mu na głos: „Nie chcę o tobie zapomnieć. Nigdy". A on odparł: „Wiem o tym, kochana, i nie chcę, żebyś o mnie zapomniała. Czas uleczy twój ból, lecz tylko wtedy, gdy wrócisz do domu i... pozostaniesz tam". Uwierz mi, jego słowa naprawdę brzmiały bardzo zdecydowanie: „Cokolwiek będzie się z tobą działo, pozostań tam". W pewien sposób to było przerażające, jak gdyby... jak gdyby naprawdę coś miało mi się przydarzyć. John wziął ją za rękę.

- Nic złego ci się nie stanie. Wierzę w to, co mi powiedziałaś. On bardzo cię kochał, wiedział, że chcesz uciec przed bólem wywołanym jego odejściem. W ten sposób znajdował w sobie siłę do życia. Znasz to powiedzenie: Więcej jest rzeczy na niebie i ziemi, niż śniło się waszym filozofom.

Uwolniła dłonie z jego uścisku i wstała, lecz on pozostał na miejscu. Patrzył, jak podchodzi do kominka, wyciąga rękę i chwyta krawędź półki. Nadstawił ucha, by usłyszeć jej szept:

- Masz rację: naprawdę jest więcej takich rzeczy. To było takie realne... Odwróciłam się myśląc, że zobaczę tam jego, jego ducha lub coś, co świadczyłoby o tym, że on tam był. Niczego nie ujrzałam, lecz od tamtej chwili owładnęło mną pragnienie szybkiego powrotu. - Odwróciła się do Johna. - No i jestem. Wiesz, to naprawdę wspaniałe uczucie: być tutaj znowu, spotkać się z tobą i z Daisy. Jesteście moimi jedynymi przyjaciółmi. Prawdziwymi przyjaciółmi. Gdy jestem

Catherine Cookson

z tobą lub z Daisy, mogę być sobą, ale tylko wtedy. Nawet Rosie nie daje mi tego komfortu, w jej towarzystwie nie czuję się sobą... Nie mogłam jej tego powiedzieć. Kocham ją, bo to moja siostra, i mimo że jest zamężna, wciąż patrzę na nią jak na małą dziewczynkę. Chociaż... w pewien sposób ona również przeszła przez piekło.

- Tak - kiwnął głową. - Przeszła przez piekło i nie jest już młodą dziewczyną, lecz młodą matroną. I nie minie wiele czasu, a zostanie młodą matką.

- Naprawdę? To cudownie!

- Tak. Ona też tak myśli. No i Robbie. Dotąd żadna kobieta nie nosiła pod sercem jego dziecka, więc dla niego to też będzie pierwsze doświadczenie.

Uśmiechnęła się.

- Muszę ją odwiedzić.

- Na pewno bardzo się ucieszy. Wpadnij tam. Wiem, że napisałaś do niej raz czy dwa, ale, tak jak ja... wczoraj wieczorem myślałem, że jesteś w Timbuktu, na Borneo albo w Kongo.

- Chciałbyś napić się herbaty? - spytała cicho.

- Tak, bardzo proszę.

Pociągnęła za sznur i odezwał się dzwonek. Gdy wszedł Johnson, powiedziała do niego:

- Johnson, proszę, przynieś nam herbatę.

Jego zachowanie wydawało się Johnowi odpychające. Gdy tamten wyszedł, powiedział do Heleny:

- Muszę ci wyznać, że nie mogę znieść tego faceta. Helena roześmiała się.

- Tak, jest trochę napsuszony, prawda? Ale bardzo troskliwie opiekował się Leonardem. Poza tym był w służbie u Frede-ricka, chociaż, o ile sobie przypominam, nie bardzo długo, bo zajął miejsce Beechama, wspaniałego starego lokaja. To Beecham pracował dla rodziny od czasu, gdy był małym chłopcem. W każdym razie potrzebowałam Johnsona, ponie

OBSESJA

waż wyjeżdżałam na dłuższy czas, a on doglądał tu wszystkiego i spisał się bardzo dobrze. Wszystkie rachunki są w najlepszym porządku. Nalegał, żebym je przejrzała dziś rano... - ściszyła nieco głos - bo chciał, żebym zobaczyła, że zaoszczędził trochę pieniędzy przeznaczonych na utrzymanie domu. To z pewnością nie spodobało się kucharce, gdyż pani Dolly Jones bardzo lubi przygotowane przez nią posiłki, tak jak i wszyscy inni. A ponieważ wszyscy ciężko na to pracują i, według mnie, należy im się godziwe wyżywienie, musiałam mu delikatnie powiedzieć, że nie ma potrzeby przesadzać z tym oszczędzaniem i że kucharka, tak jak dotychczas, powinna sama zamawiać to, co jej potrzebne w kuchni. I przypuszczam, że właśnie dlatego cała służba powitała mnie tak serdecznie i wylewnie.

- No cóż, cieszę się, że nie jestem jedynym, który go nie znosi.

Johnson nie zniżył się do tego, by osobiście wnieść herbatę. Zamiast niego zrobiła to Hanna Worth, która wtoczyła do salonu stolik na kółkach. Na widok Johna uśmiechnęła się.

- Dzień dobry, panie doktorze.

- Dzień dobry, Hanno. Co słyhać?

- Wszystko dobrze. Zwłaszcza teraz, gdy... nasza pani wróciła. Wszystko jest w najlepszym porządku. Stojący z boku Johnson wyprostował się jeszcze bardziej, jeśli to w ogóle było możliwe, i odezwał się:

- Zostaw to już. Sam naleję do filiżanek.

- Nie ma takiej potrzeby, Johnson. Dziękuję ci - powiedziała Helena.

Zdawało się, że mężczyzna lekko westchnął, lecz odwrócił się i miarowym krokiem wyszedł. Helena naląa herbatę.

- Może któregoś wieczoru przywiózłbyś tu swoją matkę? Zawsze dobrze znosiła podróż powozem.

- Na pewno bardzo się ucieszy z zaproszenia. Powiedz tylko kiedy, a przyjedziemy oboje.

Catherine Cookson

- Sami zdecydujcie, kiedy. Ja nie zamierzam opuszczać domu i składać nikomu wizyt. Chciałabym tylko, żeby odwiedziła mnie jeszcze Daisy. Więc gdy tylko nie będziesz miał dyżuru w gabinecie, daj znać, a Henry przyjedzie tym... - roześmiała się - środkiem transportu.

Nie mógł uwierzyć, że siedzi tam z nią popijając herbatę i jedząc wykwinne kanapki. Daisy mówiła, że minie sporo czasu, zanim Helena wróci do normalnego życia, lecz jej obecne zachowanie dowodziło, że ten powrót już się rozpoczął. Od razu też przyszło mu do głowy naturalne pytanie: w jaki sposób ten fakt wpłynie na jego życie. Wciąż wisiało nad nim potworne widmo Beatrice, a za nią - prawo.

Rozdział siódmy

Ostatni z pacjentów już wyszedł. John zebrał papiery leżące na biurku i włożył je do tekturowej teczki, po czym wstał i odetchnął głęboko.

- Na dzisiaj koniec - powiedział do siebie.

Przeszedł do laboratorium, umył ręce i stał przez chwilę patrząc w małe lustro nad umywalką.

Poprawił sobie krawat i przygładził włosy.

Ostatnio zmizerniał, rysy jego twarzy wyostrzyły się. Czy naprawdę miał dopiero trzydzieści dwa lata? Gdyby spotkał samego siebie na ulicy, powiedziałby, że to czterdziestolatek.

Usłyszał, jak otwierają się drzwi do gabinetu, i dobiegł go głos partnera:

- John, jesteś tam?

Po chwili wahania odpowiedział:

- Tutaj, doktorze.

Stary Cornwallis zawołał do niego „John”, co robił niezwykle rzadko. Szczerze mówiąc przypominał sobie, że miało to miejsce tylko dwukrotnie: raz, gdy dziękował mu za to, że sam prowadził lecznicę przez trzy tygodnie, podczas gdy on w szpitalu leczył chorą nogę. To było dawno, w ciągu pierwszego roku wspólnej pracy. Drugi raz użył jego imienia, gdy wyrażał mu współczucie z powodu nieudanego małżeństwa-

Catherine Cookson

wa. To było po tym, jak został wezwany do domu, żeby zająć się Beatrice.

Gdy wrócił do gabinetu, stary siedział na miejscu przeznaczonym dla pacjentów.

- Masz chwilkę? - spytał Cornwallis.

- Tak, oczywiście.

- Może lepiej usiądź. - Cornwallis wskazał mu krzesło po drugiej stronie biurka.

John usiadł i czekał.

- Czy oprócz swojej żony znasz kogoś, kto mógłby ci źle życzyć?

To było dziwne pytanie. John wolno pokręcił głową.

- Pewnie, jest parę takich osób, ale jak dotąd się nie ujawnili. Dlaczego pan pyta?

- Dlatego. - Wyjął z kieszeni list i podał mu go przez biurko.

John spostrzegł, że koperta była zaadresowana do doktora Cornwallisa. Po chwili zastanowienia wyjął list i przeczytał:

Szanowny Panie,

Myszę, że powinien pan wiedzieć, że Pański asystent, doktor John Falconer, naraża na hańbę dobre imię Pańskiej lecznicy, przez co traci Pan wielu pacjentów. Od pewnego czasu jest on przedmiotem ożywionych rozmów w mieście w związku ze swoimi nad wyraz częstymi wizytami u pewnej owdowiałej damy. Jak powszechnie wiadomo, jest on mężczyzną żonatym. Lecz co gorsza owa dama jest siostrą jego żony. Znany jest fakt, że rzeczona dama próbowała położyć kres tym wizytom, a jego natarczywość doprowadza ją do rozpacz. Ponadto, jak już zostało wspomniane na początku tego listu, Pańska lecznica poniesie z tego powodu straty, bo zwłaszcza kobiety nie będą chciały, żeby zajmował się nimi człowiek o tak niskim poziomie moralnym.

Życzliwy

264

OBSESJA

John uniósł wzrok i spojrział na swego partnera.

- To raczej nie Beatrice - odezwał się Cornwallis.

- Nie! To na pewno nie ona.

- Czy domyślasz się, kto może wiedzieć o twoim prywatnym życiu tyle, ile zostało opisane w tym liście? - Wskazał list ruchem głowy.

Cisza trwała pełną minutę.

- Wiem, kto to mógł być - powiedział w końcu John. - Jednak nie można nic nikomu zarzucić, dopóki nie ma dowodu. Jednak zgadzam się z panem, że to zupełnie nie w stylu Beatrice. Ona powiedziałaaby to prosto w twarz i to zapewne publicznie.

- Tak właśnie myślałem. - Cornwallis wstał i wyjął list spod dłoni Johna. - Niewiele można w tej sprawie zrobić. Chyba tylko porozmawiać z samą zainteresowaną. Czy ona ma jakichś bliskich przyjaciół, którym mogła opowiedzieć o tych sprawach?

- Jest tylko jedna taka osoba i pan ją zna: pani Daisy Wheatland.

- Tak, znam ją. Możesz ją natychmiast wykluczyć. Według mnie to jest napisane ręką jakiegoś mężczyzny. To, że tak powiem, zbyt „Jdimczne”, by pochodziło od kobiety.

- Ręka jakiegoś mężczyzny. Tak. - John pokiwał głową. Już wiedział, do kogo ta ręka należała. Zadał sobie pytanie, co też ów człowiek zamierzał dzięki temu osiągnąć ponad to, co osiągnął dotychczas.

- Teraz musisz na siebie uważać. Przy okazji, jak się miewa lady Helena? - Zaśmiał się krótko. - To zbędne pytanie, bo w zeszłym tygodniu rozmawiałem z Petersem, który twierdzi, że ona żyje w stanie dużego napięcia. Wydaje się, że nie wyrzuciła jeszcze z siebie całego żalu po stracie męża. Peters mówi, że to źle, a ja w pełni się z nim zgadzam. Łzy koją ból i duszy, i ciała, a gdy łez nie ma, to oznacza kłopoty. Zawsze wolę, gdy kobiety płaczą. - Uśmiechnął się.

Catherine Cookson

- Oto paradoks dla ciebie. Z medycznego punktu widzenia łyż to dobre lekarstwo, o ile nie zażywa się go zbyt długo, bo inaczej można wpaść w nałóg. - Ruszył w kierunku drzwi.

- Na pewno stwierdzisz, że jestem dziś w nastroju do filozofowania, doktorze.

Ponieważ John nie odpowiedział, stary odwrócił się gwałtownie i zobaczył, jak stoi i gapi się na biurko.

- Słyszysz, co powiedziałem? Jestem dziś w nastroju do filozofowania.

- Tak, doktorze, słyszałem, co pan powiedział, i w pełni zgadzam się z pańską filozofią.

- To dobrze. No, muszę już iść. Nie bierz sobie całej tej sprawy zbyt głęboko do serca. Jeśli chcesz mojej rady, to nie zmieniaj dotychczasowego trybu życia. Dziwne, prawda? Myślę, że ten, kto napisał Ust, chce upiec własną pieczeń przy cudzym ogniu, i jeśli ty uzbroisz się w cierpliwość, on sam się skompromituje... Lepiej już pójść, bo jeszcze powiem, że widziałem, jak to robił. A na co by to wskazywało? Ojej!

- Wyszedł zamykając za sobą hałaśliwie drzwi.

John stał obok biurka mówiąc sobie, że nie musi długo się zastanawiać, kto wymyślił te brednie.

Spojrzał w kierunku drzwi. Stary zachował się naprawdę przyzwoicie. W rzeczywistości był życzliwym i porządnym człowiekiem, chociaż skrywał to pod grubym płaszczykiem egoizmu. Jednak to można było wybaczyć. Znowu powiedział „John”, co oznaczało, że martwi się o mego. Był mu za to wdzięczny. Głęboko wdzięczny. Poruszył nerwowo ramionami, chociaż to nie odzwierciedlało jego uczuć: w głębi duszy czuł wściekłość.

Kiedyś po prostu otwierał frontowe drzwi i wchodził do środka, lecz ostatnio był zmuszony dzwonić.

Złościło go to, lecz pozostawił tę sprawę bez komentarza.

Dzisiaj, gdy otworzyły się drzwi, spostrzegł, że na jego

OBSESJA

widok Johnson nie potrafił ukryć zdziwienia. Gdy minął go bez słowa i skierował się do salonu, rzucając swój kapelusz na krzesło w hallu, usłyszał za sobą jego głos:

- Milady nie oczekuje...

Odwrócił się tak gwałtownie, że niemal zderzył się z tamtym.

- Doskonale wiem, kogo milady oczekuje, a kogo nie. Już miał otworzyć drzwi do salonu, kiedy z gabinetu

w drugim końcu korytarza wyszła Helena. Stał z boku i poczekał, aż pierwsza wejdzie do salonu. Nie przywitała się z nim, a John zauważył, że Helena jest czymś bardzo zdenerwowana. Niezbyt delikatnie zamknął drzwi, podbiegł do kanapy, na której usiadła, i zajął miejsce obok niej.

- Heleno, co się stało? Moja droga, o co chodzi?

- Och, John! - Jej powieki zatrzepotały szybko. Po chwili wahania rzekła: - Ktoś chce nas oczernić, skompromitować. Przynajmniej ciebie, z mojej przyczyny, i... nie mogę sobie z tym poradzić.

- Skąd o tym wiesz?

- Z listu.

- Jakiego Ustu?

- Został w gabinecie na... na biurku.

Wcale nie był zdziwiony, gdy wyskoczył z salonu i ujrzał Johnsona stojącego metr od drzwi.

- Ani się waż tam wchodzić! - ryknął na niego. - Słyszysz? Ani się waż! Zaraz się za ciebie wezmę. W gabinecie zobaczył na biurku rozpostarty list i natychmiast zorientował się, że pisała go ta sama ręka, co list do Cornwallisa.

Poblady Johnson wciąż stał w tym samym miejscu. Mocno zacisnął usta. Tym razem John minął go bez słowa, lecz ponownie trzasnął za sobą drzwiami.

Usiadł obok Heleny i objął ją ramieniem. Trzymając przed sobą kartkę zaczął czytać:

Catherine Cookson

Szanowna Pani,

Winna się Pani dowiedzieć, że rujnuje Pani karierę pewnemu lekarzowi z miasta. Jego nieustające wizyty u Pani wywołują skandal, w związku z czym jego partner martwi się, że zachowanie tego lekarza ma wpływ na dobre imię jego lecznicy. Dla wszystkich zainteresowanych byłoby korzystne, gdyby zerwała Pani związki z tym mężczyzną, bo mówi się już o Pani jako o kobiecie lekkich obyczajów. Przekazuję Pani tę informację tylko ze względu na Pani dobro.

Życzliwy

- Boże!

- John, kto to mógł zrobić? Przecież nie zrobiliśmy nic złego, a jednak czuję się winna. Cały czas. Rozmawiam z Leonardem i on mówi mi, że wszystko jest w porządku, tak jak być powinno. Nie mogę w to uwierzyć. John, czuję się taka zagubiona. Od czasu, gdy wróciłam, zupełnie tracę panowanie nad sobą. Ale twoja kariera i...

- Do diabła z moją karierą! Ten list nie ma żadnego znaczenia. Dziś rano doktor Cornwallis dostał podobny list, z całą pewnością od tego samego człowieka.

- Ty... wiesz, kto za tym stoi?

- Wiem i położę temu kres.

To zdanie zrobiło na Helenie duże wrażenie, bo powiedziała błagalnie:

- John, ty nie przestaniesz mnie odwiedzać, prawda?

- Jak w ogóle możesz o to pytać! Nic ani nikt nie sprawi, że przestanę być blisko ciebie.

- Nie zrobiliśmy nic złego. Nic. Leonard jeszcze przed śmiercią mówił mi, co muszę zrobić. Ale ja nie chciałam go słuchać... nie mogłam... John! - jęknęła głośno, przenikliwie, jakby była u kresu wytrzymałości. Objął ją ramionami i przywarł do niej mocno.

- Płacz! Tak, wypłacz się, wypłacz, kochana. Nie zauważył, gdy otworzyły się drzwi.

OBSESJA

- Jak pan śmie! - usłyszał za sobą czyjś głos. - Zdenerwował pan milady!

John w furii odwrócił głowę i wrzasnął na niego:

- Wynoś się! Wynoś się, zanim cię... - chciał powiedzieć „zabiję”.

Tamten wyszedł, przepychając się między dwiema pokojówkami, które tymczasem stanęły w drzwiach.

- Hanno! - krzyknął John. - Podaj pani sole trzeźwiące, a ty, Betty, przynieś moją torbę z bryczki. Kilka minut później, gdy zaaplikował Helenie sole trzeźwiące i tabletkę, ponownie zwrócił się do Betty, tym razem cicho:

- Proszę, przygotuj kawę. I powiedz Henry'emu, żeby pojechał po doktora Petersa i poprosił go o jak najszybszy przyjazd do milady.

Gdy zostali sami, John znowu wziął Helenę w ramiona.

- Kto... - wyszeptała - kto mógł zrobić coś takiego... napisać te listy?

- Nie musisz daleko szukać, moja droga. To Johnson. Na moment zapało jej dech.

- Johnson? Nigdy go nie podejrzewałam. Lecz gdy teraz o tym myślę, to muszę przyznać, że ostatnio zachowywał się dość dziwnie. Nie mówiłam ci...

- Nie musisz, moja droga. To nie mów. Wyjęła z rękawa chusteczkę i otarła oczy.

- Jestem mu winna pensję - szepnęła.

- Jak mu płacisz? Co pół roku?

- Nie, miesięcznie.

- Ile?

- Funta tygodniowo.

- Funt tygodniowo! Nieźle się tu urządził. Fakt, że płacisz mu co miesiąc, ułatwi sprawę. Zapłać mu miesięczną pensję i dodaj funta za jeszcze jeden miesiąc zamiast wypowiedzenia.

Catherine Cookson

- Ja... nie będę mogła na niego patrzeć.
- Nie musisz. Ja się nim zajmę. Masz tu gdzieś pieniądze?
- Jest trochę w szufladzie biurka w gabinecie. Klucz...
- Ścisnęło ją w gardle, aż musiała odkaszląć, by móc dokończyć zdanie. - Klucz jest w mojej torebce.
- Teraz poleż chwilę i nie denerwuj się. Gdzie jest twoja torebka?
- W sypialni.
- Gdy Betty przyniesie kawę, poproszę ją, żeby przyniosła tę torebkę.

Kiedy później John wyjmował klucz z torebki Heleny, zobaczył, że Johnson cały czas stoi w hallu. Minął go bez słowa i poszedł do gabinetu.

Ledwo zniknął z widoku, Johnson ruszył pędem do salonu, gdzie szybko zbliżył się do Heleny, która na jego widok skuliła się w narożniku kanapy. Nachylił się nad nią.

- Proszę pani, musi mnie pani wysłuchać. Pan... pan zostawił panią pod moją opieką. Tak, tak właśnie było: powiedział mi, co mam robić, i kazał opiekować się panią i...

Helena poczuła nagły przyływ sił i z całą mocą odepchnęła go od siebie.

- On... wcale tego nie zrobił! - krzyknęła do niego.
- Zapominasz się. Byłeś jego służącym i... i moim także, nikiem więcej. A teraz, proszę, wyjdź stąd! Wyjdź natychmiast.

- Niech mnie pani wysłucha. Ten człowiek ściągnie na panią same kłopoty. Jestem tu, żeby panią chronić i opiekować się... Zdażył wykonać tylko pół obrotu, gdy ktoś chwycił go z tyłu za kołnierz i z taką siłą pchnął na boczny stolik, że mebel przewrócił się. Odgłos upadku stłumił krzyk Heleny, jednak dwie służące i kucharka, które stały w drzwiach, krzyknęły jeszcze głośniej. Wtem pięść Johna wylądowała na głowie Johnsona, a gdy tamten szykował się do kontrataku, kucharka skoczyła naprzód i naparła na niego swoim masywnym ciałem.

OBSESJA

- Ani się waż, panoczku! - krzyknęła.

- W porządku. Zejdź mu z drogi - powiedział John. Widział, że tamten wcale się go nie boi, wręcz przeciwnie,

zachowywał się agresywnie. Odetchnął głęboko dwa razy i powiedział:

- Oto twoje pieniądze - powiedział i rzucił mu pod nogi sakiewkę. - Jest tam miesięczna pensja i dodatkowo za następny miesiąc, zamiast wypowiedzenia. Teraz zabieraj swoje rzeczy i wynoś się z tego domu. I nie waż się pokazywać tu kiedykolwiek. Powiem ci tyle, że będziesz musiał stawić się w sądzie, bo tam lądują autorzy takich perfidnych listów. - Spojrzał na Hannę. - Bądź tak dobra i przyprowadź mężczyzn, którzy pracują na zewnątrz. - Znowu przeniósł wzrok na Johnsona. - Daję ci dokładnie dziesięć minut na spakowanie swoich rzeczy. Dziesięć minut. - Pokazał mu palcem drzwi. Minęło kilka sekund, nim Johnson schylił się i podniósł sakiewkę, cały czas patrząc na Johna, a potem, nie zmieniając swej wojowniczej postawy opuścił salon. John patrzył za nim oszołomiony.

Kucharka i Betty sprzątały poprzewracane i potłuczone przedmioty.

- Chodź stąd - powiedział do Heleny. - Chodźmy do gabinetu.

W milczeniu posłusznie wykonała polecenie. Pomógł jej zająć miejsce, gdy do drzwi zapukała Hanna.

- Panie doktorze, ci mężczyźni już tu są.

- Połóż się - powiedział do Heleny. - Spróbuj się odprężyć, za kilka minut będzie po wszystkim.

W hallu stało dwóch pracowników, którzy opiekowali się terenem wokół domu.

- Zaraz wam powiem, o co chodzi - powiedział do nich i przeniósł wzrok na Hannę. - Gdzie jest jego pokój? Dziesięć minut już minęło.

Catherine Cookson

Niemal w tej samej chwili w drzwiach na drugim końcu korytarza pojawił się Johnson, niosący dużą walizkę i mniejszy neseser. Miał na sobie szary garnitur, płaszcz i kapelusz na głowie. Znowu przybrał pozę starszego lokaja i wyniosłym tonem powiedział do Artura Bella:

- Bell, będę potrzebował środka transportu do miasta.

- Zamknij się i jazda stąd! - powiedział groźnie John. - O drugiej koło bramy będzie przejeżdżał konny omnibus. Będziesz miał trochę czasu, żeby spokojnie poczekać. - Odwrócił się do dwóch mężczyzn. - Pod żadnym pretekstem ten człowiek nie ma prawa zbliżyć się do tego domu i terenu posiadłości.

Gdyby w jakikolwiek sposób próbował spotkać się z waszą panią, macie natychmiast wezwać policję. Zresztą ja sam niedługo skontaktuję się z policją w mojej własnej sprawie, bowiem ten osobnik jest autorem oszczerczych anonimów, zniesławiających mnie osobiście.

Johnson podniósł swoje walizki i gdy doszedł do drzwi, odwrócił się jeszcze na chwilę.

- Mogę pana za to pozwać do sądu. Taki zarzut trzeba udowodnić.

- Mogę to udowodnić nawet bez pomocy grafologa.

U podnóża płaskich schodków Johnson odwrócił się jeszcze raz, rzucając Johnowi nienawistne spojrzenie.

- W każdym razie, nigdy nie wygrasz. Nigdy! - warknął złowieszczo.

John stał bez ruchu i patrzył, jak tamten idzie aleją. W myślach powtórzył wypowiedziane przezeń słowa: „Nigdy nie wygrasz. Nigdy!” Chociaż musiał przyznać, że było w tym trochę racji, nie rozumiał, co też ów człowiek miał nadzieję osiągnąć w trudnej sytuacji, jaką sam sobie stworzył.

Jednak dlaczego pytał? Samotna wdowa ufała mu do tego stopnia, że zostawiła pod jego opieką dom, zaś on wyobraził sobie, że stał się dla niej niezbędny, więc naturalną koleją

OBSESJA

rzeczy i pod wpływem jego subtelnych manewrów powinna zwrócić się ku niemu. Tak już bywało w przeszłości: poślubiając służących, wielu ludzi zostało wyrzuconych poza nawias swojej klasy. Facet miał tupet. Nic dziwnego, że postrzegał Johna jako główną przeszkodę na swojej drodze.

Usłyszał głos Henry'ego:

- Niech się pan nie martwi, panie doktorze. Już my się nim zajmiemy, i to z prawdziwą przyjemnością. Już miał wrócić do gabinetu, gdy z salonu wyszła kucharka.

- Chciałbym cię prosić o dzbanek mocnej herbaty - powiedział do niej.

- Za minutę będzie gotowa, panie doktorze.

- Poproś dziewczęta, żeby przygotowały dla pani łóżko. Powinna odpocząć.

- Tak, panie doktorze, racja, po takich przeżyciach jest na pewno bardzo zdenerwowana.

Helena wciąż siedziała skulona w skórzanym fotelu. Była blada. Usiadł obok niej i wziął ją za rękę.

- Już po wszystkim. On już sobie poszedł i nie będziesz miała z jego powodu więcej zmartwień.

Wydałem odpowiednie polecenia służbie.

- Od pewnego czasu trochę się go bałam. Kiedy powiedział, że powinniśmy zaprzestać zamawiania tego i owego... ja... było mi wszystko jedno. On pilnował wszystkiego. Chociaż wiedziałam, że coś jest nie tak i że reszta służby nie jest zadowolona. Byłam jednak tak zaprzątnięta własnym nieszczęściem i poczuciem winy, że...

Położył dłoń na jej policzku.

- Posłuchaj, Heleno. Nie myśl tak... nieszczęście, owszem, to prawda, ale nie wina. Nie masz powodu, by czuć się winną. Rozumiem cię, bo ja także tego wszystkiego doświadczyłem. Wiesz, o czym mówię, prawda?

Patrzyła na niego przez chwilę.

Catherine Cookson

- Tak, John. Ale... ale to mi nie pomogło, lecz pogłębiło poczucie winy.

- Heleno! Leonard wiedział, że tak się stanie, przynajmniej wiedział, co do ciebie czuję. Jestem tego pewien. Wiedział również, że ty go kochasz. Naprawdę. Miał także świadomość, w jaki sposób jego śmierć odbije się na tobie. Chodziło nie tylko o samotność, lecz o uczucie kompletnej pustki, brak wiary w możliwość pokochania kogoś innego, o to, że nawet nie wolno ci nikogo pokochać. On wiedział o wszystkim. Czasami rozmawialiśmy bardzo szczerze na najbardziej intymne tematy. Kiedyś powiedział, że powinienem zostać blisko ciebie, zająć się tobą, nawet gdybym miał to zrobić jedynie jako twój przyjaciel. Wiedział, że moje małżeństwo nie ma wpływu na uczucie, jakie do ciebie żywię. A ponieważ moje małżeństwo okazało się katastrofą, nie czułem winy z powodu miłości do ciebie. Winiłem się tylko dlatego, że nie potrafiłem ukryć tego, co czuję, i to jeszcze za życia Leonarda. Ale powtórzę: jestem pewien, że on doskonale wiedział, co się stanie, a co więcej, chciał, żeby to się stało. Uwierz mi, on naprawdę tego chciał, bo kochał cię bezgranicznie... Błagam cię! Nie płacz. Uroniłaś już dosyć łez. To nie wyjdzie ci na zdrowie. O, jest już nasza herbata. - Wstał, a Betty postawiła tacę na stole. - Ja się tym zajmę, Betty. Dziękuję ci bardzo. Daj mi pięć minut, żebym wypił moją filiżankę, a potem wróc i pomóż swojej pani położyć się do łóżka.

- Nie!

Odwrócił się do Heleny, która gwałtownie kręciła głową.

- O, tak - odpowiedział. - Myślę, że niedługo będzie tu doktor Peters i chciałby cię widzieć właśnie w łóżku.

Gdy Betty wyszła z gabinetu, nalał filiżankę herbaty i zaniósł ją Helenie.

- Wypij to. Do dna. Może to nie lekarstwo, ale dwa dni w łóżku na pewno wyjdą ci na zdrowie.

- Dwa dni w łóżku! O, nie, John. Czuję się zupełnie dobrze.

OBSESJA

- Nie czujesz się dobrze, a jutro poczujesz się jeszcze gorzej. Ta historia musiała wywołać w twojej głowie kompletny zamęt i nastąpi reakcja. W każdym razie musisz zrobić to, co ci każe doktor Peters. Nie wiem, czy przyjdę tu jutro, bo Rosie może zacząć rodzić w każdej chwili.

- Tak, oczywiście.

- Oni chcą, żebym był w pobliżu. Nie dlatego, żeby doktor Cornwallis nie potrafił zrobić tego lepiej, lecz postawili na amatora. - Pospiesznie wypił swoją herbatę. - Zostawię cię teraz pod opieką twoich służących. - Ściszył głos. - Nie tylko ze względu na ciebie, ale i na mnie.

Ujął jej dłoń i przycisnął do swojego policzka, po czym szybko wyszedł. W hallu Hanna i Betty spojrzały na niego zdziwione.

- Pan wychodzi, panie doktorze? - spytała Betty.

- Wychodzę. Już i tak za długo tu jestem i nadużywam gościnności. - Uśmiechnął się i przeniósł wzrok na Hannę. - Kiedy przyjedzie doktor Peters, bądź tak miła i powiedz mu, że jutro postaram się wpaść do niego na chwilkę.

- Dobrze, powtórzę mu to, panie doktorze. Betty podała mu kapelusz.

- Opiekujcie się waszą panią.

- Ale pan jutro przyjdzie, prawda? - spytała Hanna.

- Jeszcze nie wiem. Będę bardzo zajęty, oczekuję na urodziny dziecka - dodał, wywołując śmiech obydwu służących. - Tak, możecie się śmiać, ale ja trochę się tego boję, bo nigdy jeszcze nie przyjmowałem porodu. To moje pierwsze dziecko.

- Panie doktorze! - Betty zakryła ręką usta.

Pomyślał, że ten śmiech to dobra wróżba na przyszłość, lecz nagle przypomniał sobie ostatnie słowa Johnsona: „W każdym razie, nigdy nie wygrasz. Nigdy!”

Rozdział ósmy

Dobrze, jeszcze mocniej... Dobra dziewczyna... O, już jest... on... ona... to dziecko. Tak! Dobra dziewczyna! - Rosie opadła ciężko na łóżko, a John podał krzyczące wniebogłosy maleństwo akuszerce. - Ale ma płuca! Prawdziwy Szkot!

- O Boże! - Anna Macintosh wyciągnęła ręce, żeby wziąć swojego wnuka.

- Trzeba mu przemyć oczy - rzekła akuszerka.

- Tak, wiem. Robbie! Robbie! - zawołała. Natychmiast otworzyły się drzwi i do pokoju wpadł Robbie, lecz zamiast patrzeć na nowo narodzone dziecko, spoczywające w ramionach jego matki, ruszył ku Rosie. Leżała cała spocona, lecz szczęśliwa. Pochylił się nad nią, a ona pogłaskała go po włosach.

- To chłopiec, Robbie. Masz syna.

Nie odpowiedział. Mocno przycisnął twarz do jej twarzy, objął ją czule, uniósł i przytulił. W dalszym ciągu nic nie mówił.

- Połóż ją - krzyknął na niego John. - I odsuń się. Trzeba ją opatrzyć. Przeżyła ciężkie chwile. Mimo wszystko nie sądziłem, że pierwsze dziecko może się urodzić tak szybko i bez komplikacji. Pani Macintosh, wspaniale dawałaś sobie radę, wiesz o tym?

OBSESJA

Rosie odwróciła głowę w kierunku Johna.

- Naprawdę? Ja wcale nie odniosłam takiego wrażenia.

- Ręczę ci za to moim słowem. A ty, szanowny panie, zamierzasz obejrzeć swojego syna, czy też mamy go posłać tam, skąd przyszedł?

Akuszerka roześmiała się. Po chwili pani Anna podeszła bliżej i podała dziecko ojcu.

Robbie spoglądał na noworodka, który mrugał do niego oczami. Chłopiec poruszał ustami, jakby usiłował coś powiedzieć. Na czubku głowy miał kępkę dość gęstych włosów.

- Daj mi go. Co się z tobą dzieje? - Matka odebrała mu dziecko i zdziwiona patrzyła, jak Robbie szybko wychodzi z pokoju.

- To nic niezwykłego - powiedziała akuszerka, która pochylała się nad Rosie. - Musi pani pamiętać, że synowi właśnie urodziło się dziecko, a dla niego to była naprawdę bardzo ciężka praca.

Wszyscy się roześmiali, nawet Rosie.

- Poradzi pani sobie? - powiedział John do pani Mc Queen.

- Tak, doktorze. Może pan być spokojny.

- Wobec tego pójdę się trochę umyć.

Zszedł na dół do kuchni, gdzie Robbie na jego widok zerwał się na nogi. Kiedy odwrócił głowę w przeciwnym kierunku, John podszedł bliżej i położył mu rękę na ramieniu.

- Nie wstydź się. To dla ciebie szczególna chwila, którą musisz zapamiętać. Na zawsze.

- Tak długo czekałem, żeby być razem z nią, myślałem, że to nigdy nie nastąpi, a teraz wszystko jest zbyt cudowne, żeby było prawdziwe.

- Słuchaj, obydwu nam to się przyda. Napijmy się kawy wzmocnionej jakimś trunkiem.

Umywszy ręce, włożył głowę pod kran nad zlewozmywakiem. Dopiero teraz poczuł, jak bardzo jest zmęczony. Ostatnie dwadzieścia cztery godziny to była prawdziwa

Catherine Cookson

mordega. Pobił się z Johnsonem, przepędził go z domu Heleny, a już niecałą godzinę później wezwano go do wypadku drogowego. Jakiś koń dostał szału, gdy kilku chuliganów dźgnęło go w zad. Dwie osoby zostały ciężko ranne. Potem mnóstwo pacjentów w gabinecie, kolejna rozmowa z Cornwallisem, w której opowiedział mu o wydarzeniach z Col Mount. Stary udzielił mu wtedy życzliwej rady: „Od tej chwili miałbym się na baczności, John”, lecz dodał jeszcze: „Nie zapominaj, że pani Beatrice jeszcze nie zeszła ze sceny”.

Była już niemal ósma wieczorem, gdy wrócił do domu i ponownie musiał opowiedzieć o wszystkim matce, która najwyraźniej bardzo się tym przejęła.

- Czy to może mieć jakiś wpływ na twoją pracę? - spytała go.

- Jeśli nawet, to co z tego? Najwyżej zaczniesz mnie odwiedzać więcej pacjentek, które zechcą sprawdzić, cóż to za Casanova.

Matka roześmiała się. - Chyba masz rację.

Gdy w końcu położył się do łóżka, miał czas pomyśleć o tym, co, według niego, było najważniejszym wydarzeniem tego dnia: Helena wypłakała się, a łzy pozwoliły jej wydobyć z siebie najskrytsze myśli. Ledwie zasnął, a już dobijał się do niego Robbie, który też ronił łzy - łzy szczęścia. A kiedy on sam będzie płakał? Nie potrafił znaleźć odpowiedzi.

Rozdział dziewiąty

Beatrice wyszła z kancelarii adwokata z postanowieniem, że już nigdy nie da się namówić, żeby tu wrócić. Jeśli w dalszym ciągu będzie zasięgała jego porady, cała ziemia, kawałek po kawałku, dostanie się w ręce obcych ludzi. Już po raz drugi przepisała tysiąc metrów kwadratowych na rzecz tego samego przedsiębiorcy budowlanego. Nie miał znaczenia fakt, że sprzedawała kawał zwykłego, dziewiczego lasu. To była ziemia, a ziemia była wszystkim, co miała. Zapowiedziała adwokatowi, że to ostatni raz i że nie odstąpi już ani piędzi ziemi.

Kiedy powiedział jej: „Cieszę się, pani Falconer, że zdoła pani utrzymać resztę majątku”, chciała krzyknąć: „Może weźmie się pan za mojego męża? On też powinien zajmować się utrzymaniem domu i terenu w należytych stanie. Mam teraz tylko jednego ogrodnika”. Gdyby to jednak powiedziała, przyznałaby się, że nie była w stanie przekazać tego Johnowi bezpośrednio, ponieważ nie żyli ze sobą. Zresztą i tak była pewna, że tamten o tym wie.

Ostatnio przychodziły jej do głowy dziwne myśli. Nie mogła się na niczym skoncentrować, bo ciągle drażyła ją świadomość, że jej mąż mieszka tuż obok, na wyciągnięcie ręki od niej. Wiedziała, w którym pokoju śpi, przynajmniej

Catherine Cookson

wiedziała, że to jeden z dwóch, jakie miał do wyboru, gdyż trzeci był zbyt mały. Okna w tylnej ścianie domu wychodziły na las. Niemal pod samymi oknami niskie ogrodzenie oddzielało ogród należący do oficyny od terenu wokół głównej części domu. W tej części lasu gęsto rosły splątane drzewa, lecz Beatrice nie po raz pierwszy przedzierała się przez nie w ciemnościach i patrzyła w te dwa okna, z trudem powstrzymując się, żeby nie rzucić w nie cegłą.

Szła ulicą Northumberland, gdy nagle poczuła słabość, zmęczenie, które często poprzedzało atak.

- O mój Boże! - powiedziała do siebie. - Tylko nie tutaj! Doktor Cornwallis dał jej tabletki, które miała brać w wypadku, gdyby tak właśnie się poczuła. Miała je w torebce.

Stanąła przy dużej sklepowej wystawie, po omacku poszukała w torebce i nie wyjmując z niej małego kartonowego pudełeczka, zdjęła pokrywkę rozsypując tabletki. Nie przejęła się tym, tylko szeptała gorączkowo:

- To nieważne. Weź lekarstwo! Weź je! ...

Z trudem przełknęła pastylkę, a potem odetchnęła głęboko i poszła dalej. Powiedziała sobie, że najlepiej zrobi, jeśli wróci do domu. Ale... ale co z zakupami? Jest taka dobra cukiernia. Tylko gdzie? Znalazła sklep w bocznej uliczce. Na wystawie leżały kuszące pudełka czekoladek i inne słodczy. Była z siebie całkiem zadowolona, gdy wyszła z cukierni niosąc trzy półkilogramowe pudełka czekoladek „Rowntree”. Od pewnego czasu kupowała jednorazowo najwyżej kilogram.

Była taka szczęśliwa, że popędziła na stację.

W pociągu panował tłok. Wydawało się, że wszyscy jeździli na zakupy właśnie do Newcastle. Nigdy nie mogła sobie pozwolić na jazdę pierwszą klasą, więc musiała znosić towarzystwo zwykłych, pospolitych pasażerów. Dzisiejszy dzień nie był wyjątkiem.

280

OBSESJA

Na szczęście miała miejsce przy oknie i cały czas wyglądała przez nie, próbując nie zwracać uwagi na wszechobecny tumult i harmider.

Pociąg przejeżdżał mostem między Newcastle i Gateshead. Rzeki prawie nie było widać, bo na jej powierzchni unosiło się mnóstwo statków i łodzi wszelkich kształtów i rozmiarów. Nigdy nie zadała sobie pytania, dokąd albo skąd płyną. Porównywała sposób podróżowania, na jaki była teraz skazana, ze sposobem podróżowania za czasów jej dziadka, a nawet za czasów ojca. Jeśli oni chcieli robić zakupy w Newcastle, zawsze jechali tam powozem.

Pokręciła lekko głową, gdy przypomniała sobie, że wtedy była przecież młodą, bardzo młodą dziewczyną.

W Gateshead wysiedli niemal wszyscy pasażerowie. Została tylko ona i jeszcze jedna osoba. W chwili, gdy pociąg miał już ruszyć, drzwi otworzyły się gwałtownie i do przedziału wkroczyła kobieta. Ciężko usiadła na miejscu przy oknie, naprzeciwko Beatrice. Konduktor z hukiem zamknął drzwi i pociąg zaczął nabierać prędkości. Stukot kół odbijał się głośnym echem w głowie Beatrice, tak głośnym, że chciała zatkać palcami uszy. Spojrzała na spóźnioną pasażerkę.

Tamta nie spuszczała z niej wzroku.

Beatrice szybko odróciła głowę do okna. Teraz miarowo stukające koła zdawały się mówić: „Ta kobieta! To ona! Ta kobieta! To ona! Ta kobieta! To ona!”

Nerwowo wciągnęła powietrze i powiedziała sobie, że musi zachować spokój. Do Fellburn pozostały jeszcze tylko dwie stacje. Miała wysiąść w High Fellburn i modliła się, żeby trzecia pasażerka nie wysiadła wcześniej.

Na następnej stacji trzecia pasażerka pozostała na swoim miejscu.

Gdy pociąg ruszył, Beatrice cały czas wpatrywała się w okno, ale tylko przez chwilę, bo kątem oka spostrzegła, że trzecia pasażerka poprawia kapelusz, a następnie bierze swoją

Catherine Coolson

torbę i inne pakunki. Wiedziała, że powinna zrobić to samo, wysiąść razem z nią i poczekać na następny pociąg. Jednak siedziała sztywno na swoim miejscu. Gdzieś w zakamarkach umysłu zaświtało jej, że kiedy zostaną same, kobieta siedząca naprzeciwko niej zacznie mówić i wtedy Beatrice dowie się czegoś o Johnie. To dziwne, ale wydawało się jej, że ta druga nienawidzi go tak samo jak ona, że wini go za sytuację życiową, w której się znalazła.

Stało się tak, jak przewidywała: trzecia pasażerka wysiadła, drzwi zatrzasnęły się za nią i pociąg powoli ruszył w dalszą drogę. Mollie Wallace również poruszyła się na swoim miejscu i powiedziała miłym głosem:

- Zabawne, kogóż to można spotkać w pociągu. Beatrice wciąż patrzyła w okno.

- W pociągu ludzie chętnie rozmawiają, szczególnie ci, którzy mieszkają samotnie. Zawsze szkoda mi samotnych ludzi, zwłaszcza kobiet skrzywdzonych przez swoich mężów. Wiem coś o tym, bo sama tego doświadczyłam. Ale ja nigdy nie uskarżam się na brak towarzystwa. Ja i mężczyźni dobrze się rozumiemy. Bardzo dobrze. Słyszałam jednak, że pani żyje niczym pustelnica. Ten pani dom to forteca. Rzadko pani wychodzi, nie przyjmuje gości, z wyjątkiem handlarzy. Ha! Wystarczą odpowiedni handlarze i nie trzeba czytać gazet, by zdobyć najświeższe wiadomości.

Zapadło milczenie. Trwało tak długo, że Beatrice miała już zamiar spojrzeć na Mollie Wallace, by sprawdzić, czy ta nie zasnęła. Lecz po chwili odezwała się ponownie, a w jej głosie zabrzmiał jakby smutek:

- Mój chłop, Davey, to był dobry człowiek. Był trochę miękki, tak, za miękki jak na twarde warunki życia, ale w głębi duszy to był równy facet. - Nagle zmieniła ton i powiedziała podniesionym głosem, niemal agresywnie: - Ale pani chłop, niby wykształcony i na stanowisku, to prawdziwa świnia. Wie pani o tym? On zupełnie otwarcie mieszka

OBSESJA

w dwóch domach, a w jednym z nich wyraźnie pokazuje, że to właśnie on tam rządzi. Pobił lokaja i wyrzucił go na ulicę dlatego, że facet próbował bronić swojej milady, a pani siostry, gdy figlowali na kanapie. Zresztą ona wcale nie jest lepsza od niego. A potem jeszcze wezwał cały personel i porozstawiał wszystkich po kątach.

Beatrice poczuła, że zaraz zacznie się dusić. Jej ręka bezwiednie powędrowała ku szyi. Nie mogła już dłużej wytrzymać i wbiła wzrok w tamtą kobietę, która skwapliwie pokiwała głową.

- To szczerą prawdą, informacje wprost od lokaja. Zastanawia się pani, skąd ja o tym wiem? Powiem pani. Kręcę się tu i tam, ale nie musiałam wychodzić z domu, żeby usłyszeć tę opowieść, bo córka właścicielki domu pracuje w kuchni we dworze i chętnie nadstawia uszu. Tak się składa, że tamtejszy drugi lokaj jest serdecznym przyjacielem lokaja pani siostry. Często spotykali się w pubie „Pod Czerwonym Lwem”, gdy mieli wolne. Spotkali się także w dniu, kiedy pani mąż pobił tamtego, rozbijając przy okazji meble. No i ten Johnson opowiedział mu całą historię. Mąż pani siostry prosił swojego zaufanego lokaja, żeby opiekował się jego żoną. Podobno facet wcale tego nie wykorzystał. Miał podejrzenia wobec pani męża już od chwili, gdy ujrzał go po raz pierwszy. A gdy potem nie było dnia, żeby pani mąż nie składał wizyty, lokaj powiedział, co o tym myśli, po czym został natychmiast wyrzucony. O, całe miasto aż wrzało od plotek. A teraz on tam praktycznie mieszka. Czasami zajrzy jeszcze do swojej matki, ale to wszystko. A w ostatnią niedzielę, pani chyba o tym wie, byli razem w kościele, ona jako chrzestna, a on chrzestny dziecka pani drugiej siostry. Niech pani zgadnie, jakie imię nadali dziecku? John. Czyż to nie urocze? Potem był poczęstunek w tym chlewiku, który graniczy z pani majątkiem. Dziwne, że nie słyszała pani odgłosów wesolej zabawy.

Catherine Cookson

Beatrice bezwiednie przesunęła się na krawędź miejsca, chwytając zakrzywionymi palcami za brzeg ławki. Nie pozostawiała cienia wątpliwości co do swoich intencji. Tamta gwałtownie zerwała się na nogi.

- Niech no pani tylko spróbuje, a nie wyjdzie pani cała z tego przedziału. Mam ochotę wyładować się na kimś za doznane krzywdy, a pani jest pierwsza na mojej liście. Pani, nasienie swego lubieżnego ojca. Powiem pani coś: miałam wielkie opory, zanim dopuściłam go do siebie, bo to była największa świnia, jaka kiedykolwiek chodziła po ziemi.

W tej chwili obydwie kobiety ze zdziwieniem uświadomiły sobie, że pociąg zatrzymał się. Mollie Wallace poprawiła mocno dopasowane palto, naciągnęła mocniej kapelusz i chwyciła z ławki torebkę.

- Z tego, co widzę - powiedziała przed wyjściem - jest pani dokładnie taka sama jak pani ojciec. I to ja nie pozwoliłabym pani otrzeć się o moją suknię. Słyszysz mnie pani? Gdybym nie miała nic przeciwko pani mężowi, powiedziałabym, że ma pani to, na co pani zasłużyła. W pewien sposób pani los odplaca mi za to, co musiałam wycierpieć z powodu tego obmierzłego typu, pani ojca.

Wyszła z przedziału trzaskając drzwiami. Lecz jeszcze przez moment jej twarz pojawiła się za szybą, twarz, która wyrażała samą nienawiść. Ta twarz mogła równie dobrze być twarzą Beatrice, która czuła w tej chwili dokładnie to samo: nienawiść.

Gdy pociąg ruszył, opadła na ławkę w rogu przedziału. Ukryła twarz w dłoniach i jęknęła. Wiedziała, że musiała wysłuchać tej złośliwej tyrady, jeśli chciała się czegoś dowiedzieć o Johnie. Była zbyt wyniosła, żeby poniżyć się do rozmowy na jego temat ze służbą, więc wiedziała tylko, że mieszka w oficynie razem z matką, dalej pracuje w mieście i że odwiedza Helenę. Tak, te wizyty nie były zupełnie bezowocne. Ale ona nigdy nie da mu rozwodu. Nawet gdyby

OBSESJA

tak się stało, wiedziała już, a przeczytała sporo na ten temat, że oni nigdy nie mogliby zostać małżeństwem. Miała ich w garści. Ale... cały ten brud, te obrzydliwości, które wygadywała ta kobieta... Pobił lokaja, który przyłapał ich razem... O, nie! Boże! Zaraz dostanie kolejnego ataku. Nie! Musi wytrzymać. Musi! Tak, trzeba zjeść kilka czekoladek!

Gwałtownie sięgnęła do torby i niemal wyrwała wieczko z pudełka. Kilka czekoladek wypadło na podłogę, lecz ona nie zwracała na to uwagi. Chwyciła w dłoń dwie inne, wepchnęła sobie w usta i natychmiast sięgnęła po następne.

Zanim pociąg zatrzymał się na stacji High Fellburn, Beatrice zjadła już osiem sztuk. Kiedy wysiadła, przywołała dorożkę i po dwudziestu minutach była w domu.

W hallu spotkała Frances, która już chciała spytać: „Czy miała pani miły dzień?”, lecz ujrawszy twarz Beatrice powiedziała tylko:

- Ojej, proszę pani! - Odebrała od niej torebkę, pomogła zdjąć palto i kapelusz. - Niech pani pójdzie ze mną - rzekła łagodnie.

Beatrice pozwoliła odprowadzić się do swojej sypialni. Tam od razu podeszła do łóżka i usiadła na jego brzegu, a Frances zdjęła jej pantofle.

- Niech się pani położy.

Beatrice nie dała się prosić i gdy Frances przykryła ją kocem, owładnęło ją dziwne uczucie - uczucie izolacji i zapomnienia.

Rozdział dziesiąty

John!

- Słucham cię, mammo?

- Boję się.

- Czego się boisz?

- Niczego. Chodzi mi o nią. - Matka ruchem głowy wskazała ścianę. - Wyszła na polowanie.

- Co ty mówisz, mammo?

- To się zaczęło kilka tygodni temu. Wtedy wydawało mi się, że to sen, że mam jakieś halucynacje.

Było już dość późno, ty od jakiegoś czasu siedziałeś u siebie na górze, a jej służące na pewno spały już od paru godzin. Za pierwszym razem to było jak... jakby pies drapał w drzwi. Te drzwi są na samej ścianie mojej sypialni. Po chwili usłyszałam jakieś pomrukiwania i już wiedziałam, że to ona. Nie słyszałam słów, mówiła raz ciszej, raz głośniejsze, szeptała. Musiała jednak mówić dość głośno, bo inaczej bym jej nie usłyszała. Następnego dnia wieczorem zdawało mi się, że to był tylko sen, bo tym razem od drzwi nie dobiegały żadne dźwięki. Jednak nazajutrz odgłosy powtórzyły się. Zaczyna się tak, jakby drapała paznokciami w drzwi. W ciągu ostatnich dwóch tygodni zdarzyło się to już sześć razy, wczoraj również. Byłam w ogrodzie i zobaczyłam tę pokojówkę, Mary. Podeszła

286

OBSESJA

bliżej i przechyliwszy się nad ogrodzeniem spytała mnie o zdrowie. Powiedziałam, że czuję się dobrze i z kolei sama spytałam, jak się miewa jej pani. A ona na to, że nie wie. Użyła wyrażenia „wszystko stoi na głowie”. Zdaje się, że Janie Bluett poprzedniego dnia złożyła wymówienie. Już od pewnego czasu chciała odejść, bo jak twierdzi Mary, już nie może znieść atmosfery w tym domu. Tak samo kucharka, która obiecała Mary, że jeśli będzie odchodzić, to weźmie ją ze sobą. Tak się przedstawia sytuacja.

- Czy chcesz się stąd wyprowadzić? Matka westchnęła.

- Nigdy nie przypuszczałam, że coś takiego przejdzie mi przez gardło, bo zawsze uwielbiałam ten domek. Ale muszę przyznać, że ona zaczyna mnie przerażać. Nigdy nie uwierzyłam, że będzie zachowywać się w ten sposób. Zastanowił się przez chwilę.

- Chyba nie od razu uda mi się znaleźć coś odpowiedniego dla ciebie, ale jeden z tych dużych gmachów na Brampton Hill został przekształcony w prywatny dom dla rekonwalescentów. Doktor Cornwallis ma tam swojego pacjenta. Mówi, że to przyjemny i wygodny dom. Chciałabyś tam pojechać?

- Prywatny dom dla rekonwalescentów? - rzekła po chwili.

- Powiedziałam sobie, że nigdy nie zamieszkałam w takim miejscu, jednak wolę to niż pozostanie tutaj. Ale nie na długo, boja muszę mieć normalny dom, w którym jest dużo miejsca i pokoi. Nie wytrzymałabym uwiązana cały dzień w jednym pomieszczeniu.

- Wiem o tym, moja droga. W każdym razie rano pogadam ze starym, a potem sam pojedę i obejrzę ten dom. I nie martw się, w dowolnej chwili możemy spakować nasze rzeczy i wyjechać stąd. Teraz uspokój się i posłuchaj: Jeśli znowu usłyszysz to drapanie, weź swoją laskę i zastukaj w sufit.

- Wziął jedną z lasek powieszonych na barierce przy łóżku.

- Będziesz musiała wstać, ale zrób to, jeśli ona zacznie

Catherine Cookson

skrobać. Teraz uspokój się. Muszę poczytać, więc nie położę się spać jeszcze przez godzinę. A właśnie, w gościnnym pokoju zostawiłem trochę medycznych książek. Muszę porozumieć się z Frances, żeby ukradkiem mi je przyniosła. Jednak wydaje mi się, że prędzej ty spotkasz Mary, niż ja Frances, więc jeśli zobaczysz ją jutro, przekaż jej tę wiadomość, dobrze? Poproś, żeby zniosła te książki na dół i zostawiła pod naszymi drzwiami.

- A jeśli nie spotkam jej jutro ani pojutrze?

- To trudno. Wślizgnę się do kuchni i poproszę jedną z dziewcząt, by przekazała jej wiadomość.

- I zaryzykujesz spotkanie z Beatrice?

- Cóż, skoro dopiero nocą podchodzi do naszych drzwi, to nie sądzę, by zbliżała się tu za dnia.

Zobaczmy. Teraz przygotuj się do snu. - Nachylił się i pocałował ją, po czym wszedł do salonu, jednak nie po to, żeby czytać. Jego książki i czasopisma medyczne leżały na stole, a on siedział niemal całą godzinę, zastanawiając się nad przyszłością...

Miał lekki sen, zresztą często w ogóle nie mógł zasnąć i dzisiejszy dzień nie był wyjątkiem. Czuł się bardzo zmęczony, jednak sen nie przychodził, mimo że John już pół godziny leżał w łóżku.

Patrzył w ciemność myśląc o Helenie, o ich wspólnej przyszłości, gdy wtem rozległ się brzęk szkła i jakiś przedmiot uderzył w mosiężną ramę łóżka. Zerwał się na nogi i stał przez chwilę, szukając po omacku zapalek, by zapalić gazową lampę. Znowu zadźwięczało rozbijane szkło. John podskoczył przestraszony.

Pospiesznie włożył kaptcie i podszedł do rozbitego okna, ostrożnie stąpając pośród ostrych odłamków. Wyrzwał przez boczną szybę, kierując wzrok ku oknu drugiej sypialni. Wydawało się, że na zewnątrz jest jaśniej niż w pokoju. I wtedy spostrzegł ciemną postać, która nikła między drzewami.

280

OBSESJA

Była szalona, a jednak przebiegła, bo wiedziała, że on nie potrafił zasnąć przy zaciągniętych zasłonach i opuszczonej roletcie. Lubił budzić się w świetle poranka.

Wrócił do stolika i zapalił lampę. Po chwili z dołu dobiegł przestraszony krzyk matki:

- John! John! - Zaraz zejść, mamó! - zawołał. - Wszystko w porządku. Rozejrzył się za tym przedmiotem, który uderzył w ramę łóżka. Leżał tam.

Podniósł z podłogi połówkę cegły o ostrych krawędziach i obejrzał ją uważnie. Już wyobrażał sobie, jak Beatrice idzie przez las do miejsca, gdzie budowano dom na ostatniej tysiącmetrowej parceli, a potem podnosi tę cegłę. Wszedł do drugiej sypialni, gdzie także musiał stąpać po rozbitym szkłe.

Znalazł tu jeszcze jedną połówkę cegły, która tym razem trafiła znacznie bliżej celu: leżała na samym środku kołdry. Gdyby tu spał, a ona rzuciła niecały metr w bok, to trafiłaby go - jak zamierzała - prosto w głowę. Przyniósł obydwie połówki na dół, gdzie matka stała opierając się ciężko na laskach. Kiedy pokazał jej cegły, powiedziała:

- John! Ona zwariowała! Naprawdę zwariowała!

- Wracaj do łóżka. Ja położę się na kanapie. Już wszystko w porządku. Nie bój się. Cała drżysz.

- Ty sam cały się trzęsiesz.

Nie odpowiedział, tylko pomógł jej położyć się.

- Zrobię herbaty.

Kilka minut później usiadł obok niej z filiżanką w ręku.

- To przepełniło czarę. Nie wiem, gdzie będziesz teraz spała, ale na pewno nie w tym domu. Jutro poproś panią Atkinson, żeby spakowała wszystkie nasze rzeczy.

- W spiżarni jest pełno jedzenia i prawie dwadzieścia butelek wina - odparła.

Gdyby sytuacja nie była tak poważna, na pewno by się uśmiechnął: oto typowa gospodyni.

Odpowiedział szybko:

Catherine Cookson

- Zostaw spiżarnię. Wino... jeśli musisz je zabrać, to owiń butelki gazetami lub starymi ubraniami i zapakuj w kartonowe pudła. Spytałem Cornwallisa, czy mogę je przechować w lecznicy. - Odebrał od niej pustą filiżankę. - Teraz otul się i spróbuj zasnąć, by do jutra nabrać sił. To będzie ciężki dzień. - Wychodząc z pokoju dodał w myślach: „Na pewno będzie ciężki dla mnie”.

Napij się herbaty - powiedział Cornwallis.

- Nie, dziękuję. Wlałem już w siebie sześć filiżanek. Przepraszam, że przeszkodziłem panu w śniadaniu.

- Właśnie skończyłem. Rzuciła cegłami w okna? To poważna sprawa. Wygląda na to, że pomieszało się jej w głowie. Jest chyba trochę szalona, ale...

- Według mnie po prostu obłąkana... Czy można to poświadczyć opinią lekarską?

- Z powodu rzucania cegłami w twoje okna? Nie, to nie przejdzie. Ona wcale nie jest obłąkana. Ale wyraźnie widać, że miewa napady, które mają rozładować stresy, tę wezbraną nerwową energię, co często prowadzi do takich mniej groźnych ataków.

- Kiedy widział ją pan po raz ostatni?

- Wezwano mnie do niej jakieś dwa tygodnie temu. Wybrała się na zakupy i wróciła w dość kiepskim stanie, tak przynajmniej twierdziła służąca. Widzisz, jeśli o nią chodzi, nie mogę być niczego pewien. Nie mogę autorytatywnie stwierdzić, że to histeria, bo histeria ma wiele symptomów, które u twojej żony nie występują. Jednak nie ma nic takiego, co pozwoliłoby ją uznać za obłąkaną. Jest przebiegła, tak jak inni w podobnym stanie ducha. Gdybym miał zebrać niezależne opinie lekarzy, które, jak wiesz, w takich przypadkach są obowiązkowe, to po przeprowadzeniu rozmowy z twoją żoną komisja na pewno nie znalazłaby wystarczających powodów, by uznać ją za niepoczytalną. Nie, musisz znaleźć inny sposób,

OBSESJA

żeby się od niej wyzwolić. Chociaż, jeśli ona nie chce słyszeć o rozwodzie, to ja nie potrafię ci nic doradzić. Ale czekaj... - Uniósł rękę i pokiwał Johnowi palcem, jakby chciał go ostrzec. - Czekaj no. Coś mi świta w głowie. Chodzi o niepoczytalność jednego z małżonków. Parę lat temu była taka sprawa... - Pokręcił głową. - Sprawdzę to. Gdzieś tu musi być książka prawnicza. Albo możesz iść do biblioteki. Ty sam chyba nie masz takich książek?

- Tak się dziwnie składa, że mam, i to nawet trzy. Jedna z nich została wydana już czterdzieści albo i więcej lat temu. Gdy byłem studentem, kupiłem kiedyś całą paczkę książek na wyprzedaży, bo wśród nich była książka medyczna, na którą wówczas nie mogłem sobie pozwolić. Tak, chyba są tam trzy pozycje. Sprawdzę to, kiedy wrócę do domu.

- Słusznie. To naprawdę może coś dać. Sprawdź, czy jest tam coś o niepoczytalności w małżeństwie. A jeśli chcesz rozejrzeć się, żeby znaleźć nowe mieszkanie dla swojej matki, to ja i doktor Rees przyjmiemy twoich pacjentów.

- Dziękuję. Będę bardzo wdzięczny. Chciałem zajrzeć do tego nowo otwartego domu, o którym pan wspominał, na Brampton Hill.

- Niestety, nie masz szczęścia. Kiedy byłem tam wczoraj z wizytą, siostra przełożona powiedziała mi, że mają już listę oczekujących.

- Szkoda. Miałem wrażenie, że to odpowiednie miejsce.

- A sam dokąd się przeprowadzisz?

- Na pewno nie wrócę do pani Pearsons. Coś tam znajdę, niech się pan nie martwi.

- Zanim znajdziesz, pamiętaj, że jeśli chcesz, to tu na górze jest wolne łóżko.

John milczał przez chwilę.

- To bardzo miło z pana strony. Jeśli nie uda mi się gdzie indziej, to chętnie skorzystam.

- Dla mnie to żaden kłopot. Ale ty możesz mieć parę

Catherine Cookson

bezsennej nocy, bo chrapię wysokim „C”, albo śpiewam... - Uśmiechnął się do Johna. - Gdy chrapię, jestem trzeźwy, ale gdy śpiewam, to oznacza, że napiłem się mojego lekarstwa. John także zmusił się do uśmiechu. - Jeśli i ja wypiję dawkę tego samego leku, możemy zaśpiewać w duecie. Podobno mam piękny baryton.

- Wątpię, czy to kiedykolwiek nastąpi, bo twój organizm nie zniósłby mojego lekarstwa. Nie masz odpowiedniej budowy ciała. W każdym razie dowiedz się wszystkiego i daj mi znać, jak ci poszło. Czy miałeś dziś odwiedzić jakichś pacjentów?

- Troje, ale wpadnę do nich po drodze.

- Dobrze.

Na tym rozmowa skończyła się i John rozpoczął poszukiwanie nowego mieszkania...

O dwunastej w południe był już bliski rozpaczy, bo jego wysiłki okazały się bezowocne. W końcu zrobił to, czego pragnął przez cały ranek: skierował bryczkę w stronę Col Mount, do Heleny.

Akurat była tam Daisy. Jadły lekki lunch i gdy nalegały, żeby się do nich przyłączył, nie odmówił, gdyż rano zjadł tylko jedną grzanekę.

Potem, gdy usiedli w salonie, żeby napić się kawy, Daisy przyjrzała mu się badawczo.

- Masz jakieś kłopoty, prawda?

- Dlaczego tak myślisz? - spytał z uśmiechem.

- Bo nawet się dzisiaj przyzwoicie nie ogoliłeś. Pogładził się ręką po podbródku i wybałuszył oczy.

- Przecież się goliłem.

- Owszem, tu i ówdzie. Pod uszami masz dwie kępki, o których widać zapomniałeś.

Helena wybuchnęła śmiechem, a on zawtórował jej, lecz po chwili urwał nagle i rzekł:

- To cud, że w ogóle się ogoliłem. W nocy mieliśmy ciekawe przeżycia.

- Helena spojrziała na niego pytająco.

OBSESJA

Chwilę milczał, po czym odstawił filiżankę na stolik.

- Musimy się wyprowadzić z tego domu - powiedział bezbarwnie. - Moja matka jest śmiertelnie przerażona. Dopiero wczoraj powiedziała mi, co tam się działo. Beatrice w nocy drapała w drzwi i coś tam gadała. Spałem na górze, więc tego nie słyszałem. Ale wczoraj w nocy przez okna wleciały dwie cegły. Nie wiedziała, w którym pokoju śpię, ale pewnie liczyła na łut szczęścia.

- To niemożliwe! Nie! - Helena kręciła głową. - Przecież ona jest... - Urwała, a on przytaknął.

- Tak, ona jest niezrównowazona psychicznie. Jestem tego pewien od dłuższego czasu.

- Czy doktor Cornwallis o tym wie?

- Tak, oczywiście. Ale, jak twierdzi, to będzie trudno udowodnić. W każdym razie cały ranek szukałem nowego mieszkania. Matka i pani Atkinson zostały, żeby spakować rzeczy. Pomyślałem, że umieszczę matkę w tym nowym domu dla rekonwalescentów na Brampton Hill, ale Cornwallis mówi, że nie ma tam wolnych miejsc. Szukałem gdzie indziej, ale jak na razie bez skutku.

Helena wyciągnęła do niego rękę i już miała coś powiedzieć, gdy do rozmowy wtrąciła się Daisy:

- Znam dwa miejsca doskonale nadające się dla twojej matki. Będzie sobie mogła wybrać.

- Naprawdę? - spytał podekscytowany.

- Tak jest. - Pokiwała głową. - Albo u mnie, albo tutaj.

- Tak! Tak! - Helena i Daisy popatrzyły na siebie. - Tutaj, John - rzekła Helena. - Byłoby cudownie, gdybym mogła ją u siebie gościć.

- Nie ma mowy. To byłoby narzucanie się, naprawdę. Zresztą ona potrzebuje kogoś, kto by się nią zajął, no i chciałyby mieć przynajmniej dwa pokoje.

- Popatrz tylko, ile w tym domu jest pokoiów. I wszystkie są puste! Na górze jest osiem sypialni.

Catherine Cookson

- Ale ona nie może wchodzić po schodach na górę - odezwała się Daisy.

- Wiem o tym - powiedziała niespodziewanie głośno Helena. - Wiem. Jest tu bawialnia, której nikt nie używa, a z której można zrobić wspaniałą sypialnię. Tuż obok znajduje się palarnia, z której będzie całkiem ładny salon, a dalej jest przejście do cieplarni. Mama nie będzie nikomu przeszkadzała, bo wszystkie te pomieszczenia są w końcowej części korytarza. I naprawdę będę szczęśliwa, jeśli ona tu zamieszka.

- Nie. - John pokręcił głową. - Nie chcę, żebyś traciła z nią czas.

- Nie gadaj bzdur - rzuciła Daisy. - Ona nie wie, co robić ze swoim czasem. Jest śmiertelnie znudzona. Chciałam, żeby popracowała trochę na rzecz naszego komitetu, ale jej wygląd działa destrukcyjnie na pracę innych.

- Daisy, jak możesz mówić takie rzeczy? Uśmiechałam się głupkowato tylko po to, żeby ci sprawić przyjemność. - Spojrzała na Johna. - Tak jak mi kazała, mówiłam o rzeczach, o których nie miałam zielonego pojęcia.

- Dobrze więc: zrób coś, o czym masz pojęcie, i poproś służbę, żeby przygotowała te pokoje, a ja im pomogę. A ty, John, wracaj szybko do matki i powiedz jej, że wszystko jest gotowe i że już nie musi się martwić. Przy okazji: gdzie ty sam zamierzasz się zatrzymać?

- Doktor Cornwallis zaproponował mi łóżko w swoim pokoju do czasu, aż coś sobie znajdę.

- No więc możesz sobie znaleźć miejsce u mnie w domu, kiedy tylko zechcesz. To byłoby naprawdę przyjemne. Pomyśl, chłopcze. Tak, mieć mężczyznę tylko dla siebie. Powiedz Cornwallisowi, że masz gdzie mieszkać, że dostałeś propozycję, niemoralną, nieprzyzwoitą, czy jak tam ją nazwiesz, ale jednak propozycję. Powiem ci jeszcze - kiwnęła mu głową - że nie każdemu mężczyźnie bym ją złożyła.

OBSESJA

John podszedł do niej i ująwszy jej pomarszczoną twarz w dłonie, powiedział cicho:

- Posłuchaj, bo to, co teraz powiem, jest najszczerzą prawdą. Gdyby moje serce nie należało już do kogoś innego, to skorzystałbym z tej propozycji. Poważnie.

Zobaczył, jak jej oczy rozbłysły na moment, a na policzki spłynął delikatny rumieniec. Pokiwał głową, jakby potwierdzał to wszystko, co powiedział przed chwilą, a następnie odwrócił się do Heleny, która stała uśmiechając się łagodnie.

- Dziękuję ci, najdroższa. Wiem, że to nieadekwatne słowa, ale w tej chwili nie potrafię wprost wyrazić, jaką odczuwam ulgę.

- O której godzinie mam wysłać powóz, żeby zabrał mamę?

- spytała cicho. Zawahał się.

- To powinno być już po zmroku - wtrąciła się Daisy - na wypadek, gdyby zobaczyła go Beatrice. Co ty na to, John? - Masz rację.

- No dobrze, ale bez względu na porę pojedę tam i...

- Nie, Heleno. Proszę cię.

- Zgadzam się z nim - rzekła Daisy. - Lepiej trzymaj się stamtąd z daleka. Ja sama pojedę i pomogę.

- Dziękuję ci, Daisy. Gorąco ci dziękuję.

- A więc, powiedzmy, o siódmej?

- Tak, dobrze. - Patrzył to na jedną, to na drugą. - Naprawdę nie wiem, jak mam wam dziękować.

Kiedy tu przyszedłem, nie miałem pojęcia, co począć, a teraz czuję...

- Urwał. - Lepiej już pójdę.

Gdy pospiesznie skierował się ku wyjściu, Helena ruszyła za nim, ale Daisy zatrzymała ją gestem. A kiedy drzwi zamknęły się za nim, powiedziała cicho:

- Lepiej zostawić go samego. On jest u kresu wytrzymałości.

Catherine Cookson

Było kilka minut po szóstej, gdy drugi raz wrócił do oficyny i ze zdziwieniem zobaczył, że matka siedzi już ubrana do wyjścia.

- Gdzie się podziewałeś? - powiedziała z wyrzutem. - Nie było cię całe popołudnie.

- Mamo - odparł podobnym tonem. - Przecież wszędzie są chorzy ludzie.

Usiadł obok, a wtedy z jej oczu popłynęły łzy.

- Boże, przepraszam cię. Pomimo dobrych wiadomości, cały dzień potwornie się bałam.

- Nie bądź niemądra. Teraz nasze życie się zmieni, i to na lepsze.

Ścisnęła jego dłonie.

- Jadłeś coś?

- Kobieto! Słuchaj, co do ciebie mówię! Już wcześniej powiedziałem ci, że jadłem lunch z Heleną i Daisy, która niedługo tu będzie. Ubrałaś się już, ale czy jesteś spakowana?

- Tak, zostało tylko kilka książek, które Frances obiecała przynieść z góry. Pani Atkinson musiała pójść do dentysty, bo potwornie bolał ją ząb. Miała do ciebie wstąpić, lecz widocznie cię nie zastała. Bałam się tak bardzo chyba dlatego, że byłam zupełnie sama.

Oboje drgnęli, gdy usłyszeli odległe pukanie w drzwi.

- Panie doktorze! - zawołał czyjś głos.

- To Frances - rzekł John. - Na pewno chodzi o moje książki.

Szybko przeszedł przez hall i otworzył drzwi. Frances dźwigała całe naręcze książek.

- Panie doktorze, tam ich jeszcze sporo zostało - powiedziała - ale nie dałam rady ich przynieść.

Zresztą pani gdzieś wyszła, pewnie na dłuższy spacer, bo zabrała ze sobą laskę.

Rzucił okiem na książki i zorientował się, że większość z nich nie dotyczyła tematyki medycznej.

- Czy ona zwykle wychodzi z domu o tej porze?

OBSESJA

- Tak, panie doktorze. Obchodzi cały teren.

Oboje pobiegli korytarzem, dalej przez główny hall i schodami na górę do gościnnego pokoju. Zgarnął z półki swoje medyczne książki, przy okazji strącając pozostałe na podłogę. Odwrócił się szybko i ruszając do drzwi powiedział:

- Frances, bądź tak dobra i przynieś mi je.

U szczytu schodów zatrzymał się z uczuciem, że ze strachu serce wyskakuje mu z piersi, bo pod górę szła ku niemu Beatrice.

Na jego widok zacisnęła mocno powieki, jakby nie mogła uwierzyć w to, co widzi. Powoli zbliżała się do niego, pewnie sunąc krok po kroku.

Gdy była już na górze, musiał się cofnąć i niczym uczeń, którego złapano na drobnej kradzieży, wyjąkał: - Ja... zabierałem tylko... moje medyczne książki.

- O, tak! Twoje medyczne książki. Przyszłam tylko po czekoladki. Byłam głodna. - Uśmiechnęła się, aż przeszedł go dreszcz grozy. - Coś powiedziało mi: „Wróć tam, Beatrice. Potrzebujesz energii”. A czekoladki dają energię. Wiedziałaś o tym, John? Czekoladki dają energię.

Skinął głową prześlizgując się obok niej i znalazł się na górnym podejściu schodów. Wiedział, że gdzieś obok Beatrice stoi Frances. Wtem odwrócił się niespodziewanie i zaczął schodzić. Nie mógł trzymać się poręczy, bo ręce miał pełne książek.

Później nie mógł sobie przypomnieć, czy najpierw usłyszał krzyk Frances, czy swój własny, gdy noga Beatrice z całą siłą wylądowała na jego plecach. Poczuł, jak leci w powietrzu, a obok niego trzepocące kartkami książki. Nie usłyszał jednak swojego drugiego krzyku, kiedy upadł na podłogę, nie usłyszał też krzyku Frances ani przerażonych głosów kucharki i Janie Bluett.

Słyszając krzyki, Catherine Falconer wstała i chwyciwszy swoją laskę, pokuśtykała do hallu w głównej części domu, gdzie stała grupka osób.

Catherine Cookson

- Pani go kopnęła! Kopnęła go! - krzyczała Frances. Beatrice wymachiwała swoją laską.
- Zamknij się, nim przeciągnę cię tym po plecach! On sam się przewrócił! Spadł ze schodów.
- O Boże! - wykrztusiła matka Johna, ujrzawszy leżącego nieruchomo syna. Jedną nogę miał podkurzoną, druga sterczała pod nienaturalnym kątem. Z jednej nogawki sączyła się krew.
- Coś ty mu zrobiła, kobieto? - krzyknęła pani Falconer. - Coś ty zrobiła?
- On upadł! Spadł ze schodów! Nie żyje!
- Ależ nie! Żyje, proszę pani. Oddycha.
- Już niedługo pooddycha. Nie ruszaj się z miejsca. - Beatrice pogroziła laską Janie Bluett.
- Ty oszalałaś! Kobieto, jesteś obłąkana! Wezwij lekarza. Rozkazuję ci wezwać lekarza do mojego syna.
- No proszę: „Rozkazuję ci!” To mój dom. Mój, pani Falconer. A on wdarł się tutaj bezprawnie. I niech pani uważa na to, co pani do mnie mówi, bo skończy pani tak jak on. Mam już pani dosyć. Tak, dosyć mam pani, siedzącej cały czas za tymi zamkniętymi drzwiami. Ale to już koniec. Koniec dla was obojga.

Frances zamierzała precyzyjnie się na dół, gdy Beatrice wrzasnęła na nią:

- Mówiłam ci już! Zaraz oberwiesz! - Podsunęła laskę pod sam nos Frances.
- Pani oszalała! - krzyknęła dziewczyna. - Oszalała! I kopnęła go pani, tak, kopnęła go pani, dlatego zleciał ze schodów.

Gdy laska z dużą siłą opadła na ramię Frances, dziewczyna odskoczyła do tyłu z głośnym krzykiem i przywarła do Janie Bluett.

- Kobieto! - powiedziała błagalnie pani Falconer. - Błagam cię, wezwij lekarza.

OBSESJA

- Tak, bardzo proszę - odezwał się z tyłu głos kucharki.

- Proszę, niech pani pozwoli, żeby ktoś sprowadził lekarza. Beatrice nie zwracała uwagi na słowa kucharki. Cała jej

złość skierowała się przeciwko matce Johna.

- Zamknij się! Mówiłam, żebyś się zamknęła, bo w przeciwnym razie wytrączę ci te cholerne laski i powalę na ziemię.

- Zrobiła krok w stronę Catherine Falconer, gdy za plecami usłyszała jakiś szmer i na widok biegnącej korytarzem Mary Simmons zawahała się, lecz po chwili zaczęła znowu wrzeszczeć. - Tak jest, starucho! Na kolana! Twój synalek byłby zdziwiony, bo przez wiele lat trzymałaś go przy sobie udając, że nie możesz chodzić. Radzę ci, nie ruszaj się. A wy...

- wskazała ręką na stłoczoną grupkę służących - to samo was dotyczy, bo czeka nas wszystkich długa noc. Umiera się o trzeciej w nocy, prawda? O trzeciej. Wtedy jest bardzo cicho i spokojnie. Byłyście kiedyś na dworze o trzeciej? Nawet ptaki jeszcze nie śpiewają, gawrony też boją się wydać z siebie głos. Wiedziałyście o tym? Co? Bo o trzeciej w nocy cały świat jest wymarły i wtedy umierają ludzie. Tak właśnie jest. Tak więc usiądę na podłodze...

Mary Simmons co sił w nogach biegła aleją. Będzie musiała wezwać pomoc. Pobiegnie do pana MacIntosha. Sprowadzi go tutaj. Nagle dziewczyna krzyknęła głośno, gdy zza zakrętu wyłoniła się jakaś postać, która chwyciła ją za ramię. Uspokoila się nieco, gdy usłyszała łagodny głos:

- Co się stało? - Daisy wyciągnęła dziewczynę z cienia drzew i zatrzymała w miejscu oświetlonym blaskiem księżyca. Spojrzała jej prosto w twarz. - Co się stało, dziewczyno?

- Och, proszę pani! Ona... ona postradała zmysły. Zabiła pana doktora. Zepchnęła go ze schodów i nie pozwala wezwać doktora Cornwallisa. Biegłam... biegłam, żeby sprowadzić pana MacIntosha, który mieszka obok. Wszyscy są w hallu, a ona nie pozwala nikomu wyjść, nawet kucharce. Ma laskę.

Catherine Cookson

- W porządku, dziewczyno. Już dobrze. Biegnij i powiedz panu MacIntoshowi, żeby jak najszybciej przyszedł. Słuchaj, tam na drodze stoi mój powóz. Powiedz woźnicy, że był wypadek i pani Daisy prosi, żeby pojechał po doktora Corn-wallisa. Zapamiętasz?

- Tak, proszę pani. Mam powiedzieć woźnicy, żeby sprowadził doktora Cornwallisa, a ja sprowadzę... sprowadzę Robbiego. Tó znaczy, pana MacIntosha.

- Tak jest! Dobra dziewczyna. No, biegnij już. Szybko! Daisy pobiegła aleją. Drzwi do oficyny były otwarte. Nie

weszła tam od razu, lecz zatrzymała się słuchając czyjś głośny krzyk. Na palcach przeszła przez niewielki hall i skierowała się do drzwi wiodących ku głównej części domu. Spojrzała wzdłuż korytarza i zobaczyła jakąś postać, która stała wymachując rękami. Teraz usłyszała ten sam głos już całkiem wyraźnie:

- Co mówisz, starucho? Masz ostatnie życzenie? Tak, ludzie przed śmiercią zawsze mają ostatnie życzenie. Gdyby on mógł mówić, też by je miał, prawda? O, tak, na pewno. Jego ostatnim życzeniem byłoby zobaczyć ukochaną Helenę. Może nie? Gdyby o to poprosił, dobrze by wiedział, jaką dostanie odpowiedź. - Urwała na moment, po czym zaczęła wrzeszczeć: - Powiedziałabym, że Helena może zobaczyć już tylko jego martwe ciało. I tak właśnie będzie.

- Beatrice, on krwawi. Przecież widzisz, że płynie z niego krew.

- Tak jest, pani Falconer, widzę, że krwawi. Teraz krwawi także z ust. I mam nadzieję, że popłynie z niego jeszcze dużo krwi. A potem przestanie, bo zmarli przecież nie krwawią, prawda? Chyba mam rację. Zdaje się, że czytałam gdzieś o tym.

- On nie umiera! - zaprotestowała głośnie pani Falconer. - A krew płynie nie z jego ust, lecz z nosa.

- Wszystko jedno skąd. Niedługo przestanie.

Daisy szybko pochyliła się i zdjęła pantofle. Zaczęła do

OBSESJA

nich podchodzić ukradkiem, tak cicho jak zwierzęta z afrykańskiej dżungli.

Na widok Daisy wylaniającej się z korytarza stojące razem dziewczęta zamarły. Kucharce, która stała z drugiej strony Johna, również zapało dech. Potem wypadki potoczyły się błyskawicznie.

Przy akompaniamencie krzyków Daisy skoczyła na Beatrice obejmując ją pod pachami i przytrzymując jej ramiona. Beatrice wrzasnęła z bólu na całe gardło, gdy została przewrócona na podłogę. Upadła przywalona ciężarem Daisy, która widać sama na chwilę straciła oddech, bo nie mogła wydobyć z siebie głosu. Jednak zaraz krzyknęła do kucharki:

- Daj coś, żeby związać jej ręce i nogi! Szybko! Wszystkie trzy rozglądały się rozpaczliwie dookoła, gdy

Daisy zawołała jeszcze raz:

- Dawaj paski od fartuchów! Szybciej!

Kucharka zerwała z siebie fartuch i jednym ruchem ręki oderwała związane końce pasków.

Tymczasem Daisy przyklękała na wierzgających wściekle nogach Beatrice.

- Zwiążcie jej ręce!

Wykonały polecenie nad wyraz gorliwie. Daisy mocno zacisnęła węzeł, a drugim płóciennym paskiem mocno skrepowała nogi Beatrice. Przewróciła ją na plecy, po czym wstała dysząc ciężko i spojrzała na nią. Beatrice spazmatycznie chwytiała oddech.

- Ty! Ty! Tyyy! - sapała nienawistnie.

- Posadźcie ją na krześle.

Kucharka niezbyt delikatnie pociągnęła skrepowaną postać w stronę rzeźbionego dębowego krzesła i z pomocą dziewcząt uniosła ją i posadziła. Beatrice jęknęła, gdy związane z tyłu ręce uderzyły w oparcie. W tej samej chwili Daisy pochyliła się nad panią Falconer.

- Niech pani wstanie. Bardzo proszę. Wszystko będzie dobrze. Już posłaliśmy po lekarza.

Catherine Cookson

Wydaje się, że na dźwięk tego właśnie słowa Beatrice nagle jakby oprzytomniała.

- Żadnego lekarza! - wrzasnęła. - Tu nie przyjedzie żaden lekarz! Nie! - Miotła się na wszystkie strony.

Daisy spojrzała na Frances i spytała:

- Czy ona bierze jakieś tabletki nasenne?

- Tak, proszę pani. Bierze.

- Przynieś je.

To polecenie wywołało kolejny dziki wrzask Beatrice. W ciągu minuty Frances była z powrotem i podała Daisy pudełko z lekarstwem.

- Podobno ona lubi czekoladki? - spytała Daisy.

- O, tak, proszę pani. Zjada je całymi pudełkami. W salonie jest jedno otwarte...

- Przynieś je. Trzymając w ręku czekoladki, Daisy podeszła do wijącej się postaci i nachyliła się nad nią. - Otwórz usta - powiedziała, na co Beatrice zareagowała jeszcze mocniejszym zaciśnięciem szczęk. Daisy chwyciła ją za nos i wykręciła go mocno. Gdy usta otworzyły się szeroko, Daisy wrzuciła w nie tabletkę, która jednak została natychmiast wypluta. Daisy wzięła z drżącej dłoni Frances następną tabletkę, a potem sięgnęła po czekoladkę. Jeszcze raz pociągnęła Beatrice za nos i wepchnęła jej w usta i jedno, i drugie. Tym razem natychmiast zacisnęła jej mocno usta, a po słyszalnym odgłosie przelknięcia powtórzyła całą procedurę jeszcze raz.

Beatrice patrzyła na nią. Jej spojrzenie było tak wrogie, tak przepełnione nienawiścią, że Daisy musiała odwrócić wzrok. Podeszła do Johna i z bólem patrzyła na jego powykęcane ciało.

Bezwiednie zakryła ręką usta i przymknęła oczy.

- O mój Boże! - szepnęła. - John, kochany, co ona ci zrobiła?

- Czy mogłybyśmy... wyprostować go trochę? - powiedziała łamiącym się głosem matka.

OBSESJA

- Nie - odparła Daisy. - Lepiej zostawić go do czasu, aż przyjdzie lekarz. Jest już w drodze.

Catherine Falconer spojrzała na nią zdziwiona.

- Powiedziałam tej małej pokojówce, żeby wysłała mojego woźnicę, a sama pobiegła po Robbiego.

W tej samej chwili Robbie pojawił się w korytarzu. Gdy był już przy nich, ze zdumieniem spojrzał na związaną postać siedzącą na krześle, a potem na leżącego bezwładnie Johna.

- Boże miłosierny! - zawołał i przyklęknął obok niego.

- Nie radziłabym go dotykać, dopóki nie przybędzie lekarz

- odezwała się Daisy. - Krwawi dość obficie, a nie wiadomo, gdzie jest rana.

Robbie skinął głową i spojrzał na bladą twarz swojego najlepszego przyjaciela. Nie umiał wyrazić słowami tego, co czuje.

- Ona go kopnęła! - zawołała nagle Frances. Jej głos brzmiał niemal histerycznie. - Kopnęła go w plecy! Kucharka najpierw upomniała ją delikatnie, a potem mocno przygarnęła dziewczynę do siebie.

Robbie spojrzał pytająco na Daisy.

- On musi trafić do szpitala. Potrzebny będzie ambulans. Czy został już wezwany?

- Nie - pokręciła głową Daisy.

- Nie można go tak długo zostawić. - Wstał nie spuszczać wzroku z Johna. - Lekarz przyjedzie najwcześniej za dwadzieścia minut, o ile był w gabinecie. Pojadę i dowiem się.

- Wybiegł z hallu, a w tym samym momencie rozległ się szaleńczy śmiech związanej Beatrice.

- Już za późno - powiedziała sennie. - Za późno...

Były to niemal te same słowa, jakie wypowiedział Corn-wallis, gdy po dwudziestu minutach wszedł do domu. Delikatnie rozciął nogawkę spodni i bieliznę na kontuzjowanej nodze. Ujrzał otwarte złamanie: odłamki kości przebiły ciało.

- Boże miłosierny!

Catherine Cookson

Pani Falconer wydała rozpaczliwy jęk.

- Niech pani ją zabierze do któregoś pokoju - powiedział do Daisy.

Gdy na bezwładnym nadgarstku wyczuł nieregularny puls, nie zareagował, chociaż w głębi serca odczuł bolesne ukłucie.

- Potrzebny będzie ambulans - zwrócił się do Daisy.

- Robbie... Macintosh już pobiegł, żeby go sprowadzić.

- Jak to się stało? - Doktor wskazał na pochyloną postać siedzącą na krześle.

- To długa historia - odparła Daisy pokazując swoją lewą dłoń, którą nadwreżyła upadając na podłogę.

Corawallis z trudem podniósł się i powiedział enigmatycznie:

- Teraz ma już dowód, jakiego potrzebował, żeby się uwolnić. Oby tylko nie było za późno.

Pięć minut później nadjechał ambulans. Według wskazań Cornwallisa sanitariusze nie starali się wyprostować złamanej nogi, tylko delikatnie położyli Johna na noszach.

- Pojadę za wami do szpitala - rzekł Cornwallis. Tymczasem odwrócił się jeszcze do Beatrice, która siedziała z podbródkiem opartym na piersi, a potem spojrzał pytająco na Daisy.

- Dałam jej dwie tabletki nasenne.

- Doskonale. Nic lepszego nie można było zrobić. Mówi pani, dwie?

- Tak jest.

- No, to będzie spała do samego rana. Wtedy przyjdę, żeby ją zbadać, ale nie sam. Na pewno nie sam. I chciałbym, żeby ta dziewczyna - wskazał Frances - została tu jako świadek tego, co się wydarzyło.

- Ja też tu będę - dodała Daisy. Kiwnął głową.

- Dobrze - powiedział i wyszedł.

Kiedy Daisy zobaczyła, jak korytarzem biegnie ku niej Mary, zawołała do niej:

OBSESJA

- Już wszystko w porządku. - Poklepała ją po ramieniu.

- Dobra dziewczyna.

W drzwiach salonu stanęła kucharka.

- Dobrze się spisałaś - powiedziała do swojej pomocnicy, po czym zwróciła się do Daisy: - Kanapa jest już przygotowana, proszę pani.

- Dobrze. Rozwiążę ją, zanim wyjdę. Co z wami teraz będzie? - spytała.

- Jeszcze dziś pojedę do mojej siostry. Zabiorę ze sobą Mary i Janie. Już i tak podjęliśmy decyzję, że odchodzimy, a Janie nawet znalazła sobie nową pracę, którą może rozpocząć choćby jutro. Pozostaje więc tylko Frances.

Wszyscy przenieśli na nią wzrok. Dziewczyna niepewnie kręciła głową.

- Jeśli nie masz innych planów - odezwała się Catherine Falconer - to chętnie skorzystałabym z twoich usług, bo potrzebuję kogoś do pomocy. - Odwróciła się do Daisy. - To znaczy, o ile lady Spears wyrazi na to zgodę, przynajmniej na razie.

- O, tak, mogę za to ręczyć - odparła natychmiast Daisy.

- A więc wszystko ustalone. Ogrodnik ma dzisiaj wolne i pewnie siedzi w swoim pokoiku przy stajniach w drugim końcu posiadłości, tak więc niczego się nie dowie do jutra rana. Ona też nie zbudzi się wcześniej. Możemy spokojnie zamknąć dom i wracać do siebie.

Rozdział jedenasty

Gdy Beatrice się przebudziła, już świtało, mimo to w pokoju paliło się światło. Przez jakiś czas leżała jeszcze skulona na kanapie, bo czuła się dość dziwnie. Dopiero po chwili poczuła ból głowy i całego ciała, zwłaszcza ramion i kostek u obu nóg. Powoli podniosła się i usiadła, próbując otrząsnąć się z oszołomienia.

Nagle jakby w jej umyśle otworzyła się jakaś klapka i przypomniała sobie wszystko, co się stało. Przed jej oczami szybko przesuwały się obrazy wydarzeń ostatniego wieczoru. Zabiła go. Jej noga wylądowała na samym środku jego pleców. To kopnięcie sprawiło jej prawdziwą przyjemność, tak samo jak jego widok, gdy leżał u podnóża schodów i krwawił, gdy uciekało z niego życie. Ponownie odczuła tę samą rozkosz, która jednak minęła na wspomnienie dziwnej postaci, która skoczyła na nią i związała ją. Nagle zakryła dłonią usta, bo przypomniała sobie, jak tamta wpychała w nią czekoladki, aby wraz z nimi połknęła jakieś pigułki. Pigułki nasenne. Tak, właśnie dlatego spała aż do rana. Lecz czemu Frances nie przeniosła jej na górę i nie zgasiła światła?

Wstała z kanapy i kuśtykając wyszła do hallu. Gdzież oni wszyscy są? Gdzie jest służba? Chyba jest jeszcze bardzo wcześnie. Ale ona ich zbudzi. Chciało jej się pić.

OBSESJA

Poruszała się, jakby była pijana. Weszła do kuchni i stwierdziła, że nie napalono jeszcze w piecu. Wyszła na korytarz.

- Kucharka! - zawołała. - Frances!

Nie było odpowiedzi, więc poszła prosto do pomieszczeń, w których mieszkały. Drzwi były pootwierane. W bladym świetle poranka zobaczyła puste pokoje, tu i ówdzie stały komody i szafy z pootwieranymi szufladami.

Wróciła do hallu i zatrzymała się u podnóża schodów. Spojrzała na wypolerowane klepki, na których widniało kilka ciemnych plam. Nachyliła się i przeciągnęła po nich koniuszkami palców. Ponownie doznała ekstazy. Zabiła go! Wiedziała, że to kiedyś nastąpi. Umarł w jej domu. Nie wiedziała, o której godzinie go zabrali. Była jednak pewna, że jego ciało było już tylko ludzkim wrakiem, bo pamiętała pozycję, w jakiej leżało na podłodze, i krew. Dużo krwi. I to ciało, ciało, którego nie chciał jej dać. A teraz przyjdą po nią i zabiorą ją. Powiedzą, że jest obłąkana. Może faktycznie była trochę szalona, lecz nie w takim stopniu, by pozwolić im decydować o swoim przyszłym życiu. Jej życie było jej prywatną własnością, a dom należał do niej. Tak jest! Ale co by się stało, gdyby umarła? On przecież niczego już nie odziedziczy. On nie, ale jej siostra - owszem. Tak, jej najdroższa Helena mogła zostać dziedziczką. Pobiegnęła do salonu i tam rzuciła się znowu na kanapę waląc pięściami w poduszki.

- Nie! - wrzasnęła histerycznie. - Nigdy! Nigdy!

Co Helena zrobiłaby z majątkiem? Wiedząc, że ona sama tak bardzo go kochała, z rozkoszą sprzedałaby wszystkie te cudowne meble, a potem dom... Albo przekształciłaby go w dom czynszowy z mieszkaniami dla zwykłych, pospolitych ludzi albo... albo...

Wstała i zaczęła biegać z jednego pokoju do drugiego: jadalnia, gabinet, sala bilardowa, palarnia, która była pokojem jej ojca, kapliczka. Zaczęła powtarzać w myślach: „Palarnia,

Catherine Cookson

palarnia, palarnia..." Szybko wbiegła na górę do swojej sypialni, gdzie stanęła zadyszana, trzymając się poręczy łóżka. Była cała spocona. Jej ciało potrzebowało wyzwolenia się z ograniczających je okowów, potrzebowało wolności. Wolność. Szarpiąc zrywała z siebie ubranie, aż została w fiszbinowym gorsecie. Spojrzała po sobie. - Później. Najpierw okiennice.

Zbiegła po schodach i zaczęła od salonu. Pociągnęła mocno, by uwolnić okiennice, które były złożone na pół i przylegały do ścian obok bardzo wysuniętego okna balkonowego. Nikt ich nie ruszał od wielu lat, więc nim zakryła wszystkie trzy okna, porządnie się zmęczyła.

Zamknięcie okiennic w pozostałych pomieszczeniach parteru zabrało jej poł godziny. Jedyne okna w kuchni nie miały okiennic, lecz z wyjątkiem jednego były zamknięte sztabami od zewnątrz.

Światło poranka sączyło się już tylko przez szpary między okiennicami. Ciemności ogarnęły cały parter oprócz salonu, gdzie wciąż paliło się światło.

Usiadła na stopniach schodów i niczym małe dziecko objęła rękami podkurczone nogi, jakby udało się jej dokonać czegoś bardzo sprytnego. Roześmiała się, jednak nie był to śmiech dziecka; ryczała głośno napawając się świadomością, że oszuka ich wszystkich, a zwłaszcza ją, siostrę. Ona nigdy nie dostanie tego domu, jej pięknego domu, jej dziecka. Tak, ten dom zawsze był jej dzieckiem. Gdy była mała, to był dom jej lalek, gdy była nastolatką i zmarła jej matka, osiągnęła swój cel i od tamtej pory z dumą się nim opiekowała. To był jej dom i na zawsze takim pozostanie. Nigdy nie stanie się własnością jej siostry, którą przestała lubić jeszcze W dzieciństwie, a którą znienawidziła już jako dorosła kobieta.

Wstała i wyszła do hallu. Ogarnęła ją radość, chciała tańczyć. Ostatnio dość często tańczyła w samotności. W sypia-

300

OBSESJA

Ini miała mało miejsca, ale teraz cały hall należał do niej. Ale nie, jeszcze nie teraz. Najpierw musi zrobić coś innego. Pobiegnęła do komórki po parafinę.

Metalowy pojemnik był ciężki i pełny po brzegi, jednak zdołała przenieść go do kuchni i postawić na stole. Chwyciła z kominka dwa mosiężne dzbany i napełniła je parafiną, a potem wesolutko, jakby niosła dzbanki z piwem, poszła do salonu i polała parafiną wszystkie zasłony. To samo zrobiła z fotelami i kanapą, a potem odwiedziła pozostałe pomieszczenia, nie zapominając o oficynie.

Szczególnie tam nie żałowała parafiny.

Ostatni dzban zużyła na spryskanie schodów i zasłon w swojej sypialni.

Czy wszystkie drzwi są dobrze zamknięte? Tak.

Nie rozwidniło się jeszcze na dobre, gdy przygotowała pochodnie z mocno zwiniętego w rolki papieru. Zaczynając od oficyny, biegła od jednego pokoju do drugiego, wszędzie podkładając ogień. W końcu, pośród wijących się przedziwnie języków ognia i dymu, rzuciła się na górę i wpadła do swojej sypialni. Zdarła z siebie gorset i bieliznę, potem pantofle i pończochy. Wyrzuciła ramiona w górę i zaczęła skakać po całym pokoju. Nagle zatrzymała się przed dużym lustrem i wyciągnęła rękę do swojego odbicia, krzyząc:

- Dobre ciało, młode ciało, ale on go nie chciał. Powinnam była je dać komu innemu. Tak jak pani Wallace.

Dziwne, ale w tej chwili nie czuła do tej osoby żadnej niechęci, a raczej pełną żalu zazdrość. Nie chciała zostać odizolowana jak ciotka Ally. Z uniesionymi nad głową rękami zaczęła się kołysać, tańczyć. Nagle chwycił ją kaszel.

- Zimno mi - zajęczała. - Muszę włożyć szlafrok. Chciała podejść do łóżka, ale w tej samej chwili domem

wstrząsnęła eksplozja. Jej podmuch rzucił Beatrice na podłogę.

Catherine Cookson

Zanim Robbie wrócił ze strażakami, płonął już cały dom. Obok stała bezsilna Rosie z Tomem Needlerem. Zapłakana dziewczyna podbiegła do dowódcy załogi strażackiej, który właśnie zeskakiwał z wozu.

- Tam... tam jest moja siostra... Błagam pana! Ratujcie ją!

- Dobrze, panienko. Dobrze. Zrobimy wszystko, co w naszej mocy.

Następnego dnia, gdy dom był już tylko pogorzeliem, znaleziono ciało Beatrice Falconer, leżące pod oknem jej sypialni na kilku zwęglonych balach.

W gazetach na pierwszych stronach pisano o tragedii męża i żony. Dziennikarz nie zapomniał dodać, że gdy dom stał w płomieniach, doktor Falconer walczył ze śmiercią w szpitalu.

Rozdział dwunasty

Helena i Rosie stały nad grobem Beatrice. Chociaż żadna z nich nie płakała, obydwie czuły smutek z powodu odejścia siostry i sposobu, w jaki zginęła. Było jednak oczywiste, że sama zaplanowała swoją śmierć. Jak powiedział doktor Cornwallis, miłością jej życia był dom, więc zabrała go ze sobą. Lecz zrobiła to dopiero po zabiciu swego męża. Z taką świadomością umierała. Tę wersję potwierdziły zeznania czterech służących oraz pani Freeman Wheatland, która musiała stoczyć walkę z Beatrice, żeby ją okiełznać. Gdy odwróciły się od grobu, Helena mocno objęła i przytuliła Rosie. Wiedziała, że siostra miała więcej powodów niż ona sama, żeby nienawidzić Beatrice, która bezlitośnie próbowała zniszczyć jej życie, a przy okazji zmieniła życie człowieka, który teraz mógł zostać jej własnym mężem. Jednak nie było teraz istoty bardziej szczęśliwej od Rosie: miała cudowne dziecko i do szaleństwa kochała Robbiego.

Przed kościołem zatrzymały się i popatrzyły sobie w oczy.

- Muszę wracać... do szpitala - powiedziała Helena.
- Robbie mówi, że on jest już zupełnie przytomny.
- Tak, to prawda.
- Zajrzę tam wieczorem - rzekła Rosie.
- Dobrze, kochana.

Catherine Cookson

Odwróciły się jednocześnie i dołączyły do stojącej przed kościołem grupy żałobników.

Doktor Cornwallis stał przy łóżku Johna i wygłaszał do niego małą przemowę.

- Skoro teraz już słyszysz, co mówię, to zapamiętaj sobie wszystko. Niebezpieczeństwo już minęło. Twoje plecy nie poniosły uszczerbku. Owszem, są posiniaczone, nawet bardzo, ale kości ostały się całe. Miałeś szczęście. Boże, miałeś naprawdę dużo szczęścia. Noga była połamana w drzazgi, ale po drugiej operacji wszystko będzie w porządku. Druga noga goi się bez komplikacji. Teraz słuchaj. - Nachylił się bliżej i mówił już ciszej, lecz bardziej stanowczo. - Musisz się zdecydować. Dobrze wiesz, o czym mówię. W siedemdziesięciu pięciu procentach przypadków można się zdecydować, czy odejść, czy pozostać. A ty masz wiele powodów, żeby zostać. Jest kobieta, która ciężko choruje z twojego powodu. Rozumiesz, co mówię? Na pewno rozumiesz, bo w głowę nic ci się nie stało. Doznałeś tylko wstrząsu, udawanie umarlaka nic ci nie pomoże. Wbiłeś sobie do łba, że już więcej nie będziesz chodził, tak? Będziesz chodził tak jak wszyscy. Za parę tygodni, może za parę miesięcy, ale będziesz chodził. Poza tym chcę, żebyś wrócił do pracy. Młody Rees to dobry chłopak, ale to nie to samo co ty. Poza tym, nie zdawałem sobie sprawy, że jesteś bardziej popularny ode mnie. Przychodzi do mnie wielu ludzi i wszyscy wypytyują o twoje zdrowie. Jestem zazdrosny o moich pacjentów, ale oni walą całymi tabunami. Więc zrób, co mówię. Podejmij decyzję, a jeśli ostatnia wiadomość cię do tego nie nakłoni, to nic nie zdoła tego zrobić. - Jeszcze bardziej ściszył głos. - Dowiadywałem się w tej sprawie. Mój adwokat też. Niedawno wprowadzono przepis umożliwiający mężczyźnie poślubienie siostry swojej zmarłej żony, więc nie macie już żadnych przeszkód.

304

OBSESJA

John zamrugał powiekami. Zdawało mu się, że są pozlepiane gumą. Patrzył na swojego przyjaciela i nie odzywał się. Nie potrafił zebrać myśli. Jak przez mgłę przypominał sobie, że ktoś mówi mu o Beatrice, która spaliła dom i sama zginęła w płomieniach. Nie potrafił przyjąć tego do wiadomości, bo w jego myślach ona wciąż istniała i stała u szczytu schodów. Czuł na plecach jej pantofel. Nie pozbędzie się tego wrażenia do końca życia, ale i tak długo już nie pożyje. Lecz teraz Cornwallis mówi, że ona umarła. Z domu zostały zgliszcza, a on sam jest wolny. Lecz cóż mu z tej wolności? Nie chciał życia kaleki, nie chciał poruszać się na wózku i być ciężarem dla Heleny. Ona miała już kiedyś pod opieką chorego mężczyznę. I nie będzie miała drugiego w jego osobie. Doktor Cornwallis powiedział, że wszystko teraz zależy już tylko od niego: może zostać, albo odejść. Podjął już decyzję.

Rozdział trzynasty

Daisy patrzyła na stojącą po drugiej stronie łóżka Helenę.

- Wiesz, że wrastające paznokcie u stóp można leczyć za pomocą pasków z cygar?

Helena zamknęła oczy, przygryzła wargę i opuściła głowę ściskając Johna za rękę.

- Nigdy o tym nie słyszałem - odpowiedział.

- Ja też nie, aż do chwili, gdyjechałam na. górze jednego z tych nowych elektrycznych tramwajów z pałakami. Przede mną siedziały takie dwie panusie i jedna opowiadała drugiej

O tych paskach z cygar.

- Tak - rzekł John lekko drżącym głosem. - No i co?

- Powtórzę wam wszystko słowo w słowo. Przysięgam, że to prawda. No więc jedna mówi: „Ten wrastający paznokieć u nogi niemal doprowadził mnie do szału”. A druga na to: „Mówiłam ci, żebyś poszła z tym do specjalisty” „No pewnie,

1 musiałabym zapłacić mu pół korony. Nigdy w życiu. Ale spróbuję sposobu May Thorpe. Ona twierdzi, że to działa. Trzeba uciąć paznokieć dokładnie w prostej linii, nie zaokrąglając. Potem bierze się pasek z cygara, mały kawałek, ale koniecznie z cygara, bo jest w nim coś, co pomaga, może nikotyna albo coś w tym rodzaju. Obcina się mały kawałeczek i wciska pod krawędź obciętego równo paznokcia”. Ha,

314

OBSESJA

słuchajcie dalej. - Przerwała na chwilę. - Mówię wam, że to prawda. Kawałek paska z cygara wkłada między paznokiec i ciało. W tym momencie niemal wybuchnęłam głośnym śmiechem, naprawdę, bo ta druga powiedziała: i wtedy zapalasz swój duży palec u nogi.

- Daisy, błagam cię! - zawołał John krztusząc się ze śmiechu. - Dajże spokój.

- Niczego nie zmyśliłam. Naprawdę tak było. Po twarzy Heleny spływały łzy.

- Jak to jest, że właśnie tobie zawsze przytrafiają się te zabawne historie? Ani ja, ani nikt inny nigdy nie ma do nich szczęścia.

- Bo ty wcale nie słuchasz, co się wokół ciebie dzieje. Otóż to: trzeba słuchać.

John położył głowę na poduszce i zamknął oczy. Daisy była jednym z błogosławieństw tego świata.

To właśnie ona w czasie ostatnich trudnych miesięcy słała promyk światła w jego ponure życie.

Dziwne, ale gdy czasami odczuwał bardzo silny ból, dotknięcie jej ręki przynosiło mu ulgę. Ta kochana istota nie tylko potrafiła rozśmieszyć do łez, miała w sobie również jakieś niepojęte właściwości uzdrawiające.

- No, będę uciekać, bo mam jeszcze huk roboty. Muszę poczynić przygotowania do jutrzejszego ślubu. - Ślubu? A czy ja znam państwa młodych? Daisy zacisnęła oczy i odpowiedziała po chwili:

- Chyba nie. Nie. - Spojrzała na Helenę. - Wrócę po ciebie za pół godziny. I pamiętaj, że nie będę tu już wchodzić. Bądź przy bramie. On zabiera ci zbyt dużo czasu. - Kiwnęła głową w stronę łóżka. - A przecież masz inne rzeczy do roboty.

Helena uśmiechnęła się.

- Tak jest, mam inne rzeczy do roboty. Szczególnie dzisiaj. Daisy roześmiała się i wyszła z sali. John spojrzał na

Helena łagodnie.

- Co to za szczególne zajęcie?

Catherine Cookson

Nie odwzajemniła jego spojrzenia, lecz patrzyła na trzymaną w swojej dłoni jego rękę. Przycisnęła ją mocno do piersi. - Muszę przygotować się do ślubu - powiedziała cicho.

- Ślubu? Tego, o którym mówiła Daisy?

- Zgadza się.

- Znasz państwa młodych?

- Tak, znam ich. - Wciąż unikała jego wzroku.

- O co chodzi? Czuję tu jakiś podstęp. Nie, tylko mi nie mów, że stary Cornwallis oświadczył się pani Newton. Szybko uniosła głowę.

- Doktor Cornwallis i pani Newton? Skądże. Nawet nie wiedziałam, że są zaprzyjaźnieni.

- Są przyjaciółmi od wielu lat. W każdym razie spotykają się przynajmniej raz w tygodniu, żeby napić się wina i pograć w karty. Ona może wypić tyle co on. - Naprawdę?

- Naprawdę. No dobrze, ale skoro to nie Cornwallis, więc kto?

Popatrzyła mu prosto w oczy.

- Nie, to nie doktor Cornwallis, ale inny doktor. Ty.

- Ja? O czym ty, do licha, mówisz?

Ułożyła go z powrotem na poduszkach i oparła dłoń na jego ramieniu.

- Proszę cię: tylko się nie denerwuj. Posłuchaj mnie. Czekałam wystarczająco długo, więc spójrzmy prawdzie w oczy. Możesz tu jeszcze spędzić trzy miesiące albo i więcej, zanim wstaniesz i będziesz mógł na własnych nogach pójść do ołtarza. No więc wszystko zostało już przygotowane. - Poklepała go po ramieniu. - Nic nie mów. Dostyc się już nasłuchałam twoich protestów w tej sprawie.

Ustaliliśmy, że weźmiemy ślub jutro w szpitalnej kaplicy. Nie zauważyłeś, że pielęgniarki są czymś podekscytowane? Wiadomo o tym już od tygodnia. Dogadzały ci, opiekowały się tobą, wczoraj nawet sprowadziły ci fryzjera, bo narzekałeś, że za bardzo zarosłeś.

OBSESJA

- Nie, Heleno! Nie ma mowy. Absolutnie się nie zgadzam. Już miałaś w domu jednego inwalidę, a ja nie chcę, żebyś miała następnego. Z wielką radością zaprowadzę cię do ołtarza, ale tylko wtedy, gdy wyjdę stąd na własnych nogach.

Usiadła.

- Dlaczego tego nie chcesz? - spytała.

- Nie muszę ci mówić dlaczego. Po pierwsze czuję, że jestem coraz silniejszy. Poza tym wiem, że to może zabrzmieć tak, jakbym był niewdzięcznikiem, ale czasami żałuję, że nie pozwolili mi umrzeć. John! Jak możesz mówić takie rzeczy? Zwłaszcza mnie. Przecież wiesz, co do ciebie czuję.

- Przepraszam cię, najdroższa. - Uścisnął jej dłoń. - Ale popatrz na mnie tylko. - Gestem wskazał łóżko. - Musimy się pogodzić z tym, że już nigdy nie będę normalnie chodził. Złamanie było tak skomplikowane, że sam się zastanawiam, jak im się udało ocalić tę nogę. I co z tego? Jest bezużyteczna. Nie będę mógł przenosić na nią ciężaru ciała. Na początku będę chodził o kulach, a potem, mam nadzieję, o laskach, które będą mi towarzyszyć do końca życia. Beatrice nieźle mnie urządziła. Wyobrażam sobie, jaką miała frajdę.

Helena cofnęła rękę.

- Nie lubię, gdy rozczulasz się nad sobą.

- Wcale tego nie robię, tylko chcę ci wykazać, że mam powody, by odczuwać żal. Nie użalam się nad sobą, po prostu przedstawiam fakty.

- Więc jutro nie ożenisz się ze mną? Zamknął oczy.

- Heleno. Moja Heleno - niemal jęknął. Zapadło milczenie.

- Wszyscy na to czekają - przerwała ciszę. - Zwłaszcza twoja matka i, oczywiście, Daisy. Robbie zgodził się być twoim przyjacielem, doktor Cornwallis odprowadzi mnie do ołtarza. Wszystko jest już ustalone. Ślubu udzieli wielebny Cuthbert

Catherine Cookson

z Saint Giles. Wszyscy tak bardzo się starali, żeby wszystko przygotować.

- Kochałem cię już dawno temu - powiedział ze spuszczoną głową. - Wydaje mi się, że zawsze cię kochałem, ale nigdy tak bardzo jak teraz. - Gdy uniósł głowę, ujrzała w jego oczach łzy. Trzymał ją mocno za rękę. - Heleno. Moja Heleno.

Pochyliła się, a on objął ją mocno i wycisnął na jej ustach gorący pocałunek. Po chwili odsunął ją od siebie. - Jakże ja pójdę do kościoła w takim stanie?

- Wszystko już przygotowane, wielmożny panie. W najdrobniejszych szczegółach. Będziesz siedział w wiklinowym fotelu.

- Boże kochany! Do ślubu w wiklinowym fotelu. - Przygryzł wargę i pokręcił głową. - Wiesz co? - powiedział cicho. - Jesteś najcudowniejszą kobietą na świecie. Nie, nie kobietą: dziewczyną, która usiadła obok mnie na szczycie Craig's Tor i patrzyła, jak śpię, potem wypła ze mną ciepłe piwo, a potem nagle znikła z mojego życia, zostawiając mnie na skraju rozpaczy.

Znowu nastąpiło milczenie, bo w tym momencie żadne z nich nie chciało rozmawiać o Leonardzie.

- Jutro będzie również niespodzianka dla kogoś innego

- odezwała się wesoło.

- Dla kogo?

- Dla Rosie i Robbiego.

- Niespodzianka dla nich? O co chodzi?

- O ziemię. Ty jej prawnie nie odziedziczyłeś. Doktor Cornwallis rozpoczął postępowanie w sprawie unieważnienia małżeństwa jeszcze przed tym pożarem, więc nie ty zostałeś dziedzicem majątku, lecz my, siostry Beatrice. Marion chętnie zgodziła się na moją propozycję, żeby wszystko przekazać Robbiemu. Będzie miał prawie dwadzieścia hektarów. Rosie jest w siódmym niebie.

- Niemożliwe!

310

OBSESJA

- A jednak! - pokiwała głową.
- Heleno, to naprawdę cudowny dar. On zawsze chciał mieć farmę. Będzie znakomitym gospodarzem.
- Wyciągnął do niej rękę.
- Bardziej się cieszysz z tego niż z naszego ślubu.
- To prawda - odparł bezbarwnie. - Z tego cieszę się o wiele bardziej.

Chwilę trwali w uścisku, po czym John ujął jej twarz w swoje dłonie.

- Wiesz, co właśnie zrozumiałem? - spytał. Pokręciła przecząco głową. - Zrozumiałem, że do tej chwili nigdy w życiu nie byłem naprawdę szczęśliwy. Praca dawała mi tak zwaną satysfakcję, lecz zarazem była źródłem frustracji. Ale teraz wiem, że bez względu na wszystko spędzimy nasze życie razem. Jutro zostanie to ostatecznie przypieczętowane, lecz już dzisiaj nie mogę przestać o tym myśleć. Dziękuję ci, moja kochana, najukochańsza.

Tym razem ona wzięła w dłonie jego twarz i zajrzała mu głęboko w oczy.

- Jesteś cudownym człowiekiem.

Na te słowa poczuł ogromną radość, tak ogromną, że przyćmiła nawet uczucie, jakie do niej żywił.

Przypomniawszy ten wieczór, gdy pożegnawszy Henry'ego pomyślał, że wątpi, by po jego śmierci ktokolwiek wyrzekł o nim te słowa, którymi Henry opisał Leonarda.

Ale jednak żył, nie umarł, nazajutrz miał się ożenić, a ona nazwała go cudownym człowiekiem.